

M a r a t J o a n n a

**J e d e n a ś c i e
T y s i ę c y D z i e w i c**



Jest jedno istotne pytanie, na które po trzydziestu latach studiów nad duszą płci pięknej nie umiałbym odpowiedzieć: czego właściwie chce kobieta?

Zygmunt Freud

ZAMIAST WSTĘPU

To miasto przypomina palimpsest, gdyż to, co najciekawsze, znajduje się pod spodem. Uważny obserwator natrafi tu na plątaninę dziwnych tropów. Warto pamiętać, że niektóre z nich świadomie zacierano. Żeby zakłamać przeszłość. Punktem wyjścia niech będzie Cmentarz Nieistniejących Cmentarzy, założony niedawno dla upamiętnienia wszystkich nekropolii zlikwidowanych po wojnie. Zniwelowano je, bo niszczały, pozbawione troskliwej opieki bliskich, o których jedni mówią, że wyjechali, a inni uporczywie nazywają ich wypędzonymi. To szczególne miejsce pamięci znajduje się w samym centrum, u podnóża Góry Gradowej (Hagelsberg), która jest najlepszym punktem widokowym na miasto. Widać stamtąd nie tylko stoczniowe żurawie, ale także początek alei zwanej najpierw Lipową, potem Wielką, od lat trzydziestych XX wieku Aleją Hindenburga, w latach pięćdziesiątych Rokossowskiego, obecnie zaś patronuje jej zwycięstwo, ale mało kto się zastanawia czyje. Fundatorem Wielkiej

Alei był Daniel Gralath, który w czterech rzędach kazał usadzić tysiąc czterysta szesnaście lip sprowadzonych z Holandii. Niektóre z tych drzew w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku stały się szubienicami dla ludzi straconych przez Niemców w publicznych egzekucjach. W połowie alei, w miejscu dawnego kościoła Świętych Aniołów, *vis-a-vis* gmachu Akademii Medycznej, gdzie podczas wojny profesor Rudolf Spanner wytwarzał mydło z ludzkich zwłok, stoi sobie czołg T-34 - symbol zwycięstwa Armii Czerwonej, przywodzący na myśl masowe gwałty krasnoarmiejców na mieszkankach miasta, którym nie udało się w porę stąd uciec.

Wątek kobiecy, choć w nieco mniej radykalnej formie, na dobre rozgościł się w wypiętrzonym nad Głównym Miastem kościele Najświętszej Marii Panny (*Marienkirche*), gdzie można się pomodlić u stóp odzianej w niebieskie szaty Bogurodzicy, zapewne najurodziwszej obywatelki miasta (rocznik tysiąc czterysta dwudziesty). Dziewic jest w tej dawnej miejskiej farze znacznie więcej, ponieważ ołtarz główny przedstawia koronację wyrzeźbionej w drzewie lipowym Maryi. Jednak pod względem liczebności najbardziej imponująca jest kaplica Jedenastu Tysięcy Dziewic. Ta nazwa pasuje raczej do *Księgi rekordów Guinnessa* albo do jakiegoś flash moba, zupełnie nierealnego w czasach, gdy dziewictwo jest raczej skazą niż powodem do dumy. Wielkie przeszacowanie liczby towarzyszek świętej Urszuli wynika z błędnego odczytania napisu na kamieniu, upamiętniającym zamordowaną przez Hunów księżniczkę i jej towarzyszkę. Nieporozumienie wzięło się stąd, że napis

„XIMV” odczytano jako „jedenaście tysięcy” zamiast „jedenaście męczennic dziewic”. Średniowieczny kult dziewictwa opierał się na poglądach świętego Augustyna, który pisał, że wyłącznie ciało mężczyzny jest w pełni obrazem Boga, ciało kobiety zaś stanowi nieustanną przeszkodę w wykonywaniu nakazów rozumu. Trudno się dziwić, że dziewictwo reklamowano jako sposób przewycięzania owej *imbecilitas*, właściwej kobiecie reproduktorce. Dobrze rozreklamowana dziewica mogła zostać nawet osobą publiczną, jak święta Katarzyna ze Sieny, która by uniknąć zamążpójścia, stanęła pod strumieniem wrzącej solanki.

Patronką nowoczesnego tramwaju, jadącego w kierunku Oliwy, jest Johanna Henrietta Schopenhauer. Ta patrycjuszka, pisarka i matka wielkiego pesymisty Arthura mieszkała w jednym z dworów, zbudowanych wzdłuż starego traktu biegnącego z opactwa oliwskiego w kierunku miasta Danzig. Słowiańska nazwa tej okolicy, wymieniona w dokumencie z tysiąc dwieście siedemdziesiątego dziewiątego roku, brzmi: *Polane*. Z czasem mieszkańcy miasta zaczęli wymawiać tę nazwę z niemiecka: *Pelonken*. Numery dworów rosły w kierunku oddalania się od Oliwy. Może dlatego dzisiejsza numeracja posesji położonych przy ulicy Polanki niejednego człowieka wyprowadziła na manowce. Spacerując tamtędy przed laty, zgubiłam drogę i przez pomyłkę weszłam do starej, poniemieckiej willi, gdzie zaczyna się ta opowieść.

1.

KOLJACZKOWA

Siedziała wyprostowana w fotelu. Właśnie przeglądała stare fotografie i listy. Wysypały się z pudełka po butach. To on ma taki głupi zwyczaj, że wszystko chowa w tych pudełkach. Bałaganiarz. Brudas. Flejtuch po prostu. Niczego nie potrafi zrobić jak należy. Wszystko byle jak. A w jego pokoju jeszcze gorzej. Lepiej nie wchodzić. Zamknie go na klucz, niech się kurzą te papierzyska, to powieściidło nigdy nienapisane. Jednak z listami powinna coś zrobić. Wyrzucić? Nie, lepiej spalić. Albo przewiązać różową wstążeczką i oddać nadawcy. Ale pewnie by ich do domu nie doniósł. Bo on zawsze wszystko gubił - klucze od domu, dokumenty, chusteczki do nosa. Kiedyś nawet zgubił swoją własną córkę. Na spacerze w parku. Ale na szczęście to stare dzieje. Szkoda gadać. Te listy i inne jego szpargały powinna oddać jego matce. Chociaż wcale nie jest pewne, że jej była teściowa chciałaby to mieć. Ta stara jędza. Skoro takiego wspaniałego synka wychowała, nie powinna liczyć na żadne przyjazne gesty ze strony

byłej synowej. Będzie musiała przyjąć pod swój dach nie tylko syna, ale także jego rzeczy. Zresztą po tym jej synalku i tak nic jej nie zostanie. Puste butelki najwyżej i cała góra nikomu niepotrzebnych karteluszków zapisanych jego drobnym, niewyraźnym charakterem pisma. Nie do odcyfrowania dla normalnego człowieka. Może jeszcze Agnieszka. Ale tylko połowę genów miała po Jakubie Herbście. Resztę, tę ważniejszą, mitochondrialną, macierzystą, po Gosi Herbst *de domo* Koljaczkównie. Po matce. Powinna się nazywać Agnes. Jak tamta z powieści. I nosić nazwisko dziadka, nie ojca. Przynajmniej tyle literatury w rodzinie by zostało.

Co teraz powinna zrobić? Ach, tak, te głupie listy. Sprzed trzydziestu lat. O czym on wtedy pisał? Ze chodzi bez celu po Długim Pobrzeżu, że jej szuka, że każda jasnowłosa, długonoga nimfa z kaszubskich jezior przypomina mu tę jego jedną jedyną, Gosię K. A przecież dobrze wiedział, że była wtedy w Krakowie i tam studiowała na pierwszym roku anglistyki. Prawie codziennie chodziła na Kazimierz. I myślała o nim. O tych jego czarnych, inteligentnych oczach. I o ciemnych, kręconych włosach. I o tym, że był od niej o całe pięć centymetrów niższy. I że do ślubu nie będzie mogła założyć pantofli na wysokich obcasach. A on ciągle snuł się po tym Długim Pobrzeżu, zamiast wsiadać do pociągu i jechać, jechać za nią do Krakowa. I całą noc stać na korytarzu, gdzie pełno podpitych żołnierzy, a dym z papierosów wżera się w szary sweter, który wydziergała jego babka. Ta spod Wałbrzycha.

Jednak zamiast wsiadać do pociągu, ten rzekomo w niej zakochany chłopak wolał spacerować po Długim Pobrzeżu, które jest długie jak wszystko w tym mieście. Smagał go północno-zachodni wiatr, co latem unosi niesforne pierzaste obłoki, a jesienią ciężkie, pękate chmury, z których pada deszcz. Zimne krople wprost z ołowianego nieba padają na kryte czerwoną dachówką kamieniczki i spływają rynnami w dół. Gdy jakaś rynna jest uszkodzona, wówczas krople zamieniają się w strumyki i ciekną po czerwonych ceglach kościołów. Cegły te podobno spajano zaprawą z kurzych jaj. Pewnie dlatego ogień nie strawił ich do końca, gdy miasto płonęło i pękały serca dzwonów, a ludzie kryli się po piwnicach.

Babka Gizela Koljaczkowa świetnie zapamiętała tamten pożar i to, jak bolszewicy gwałcili kobiety. Nie tylko niemieckie, kaszubskie też. Wtedy właśnie począł się ojciec Gosi. To było bolesne poczęcie. Niechciane. Wstydlive. Ale cóż dało się zrobić? Nie ma większych sił niż siły natury. Babka przez wiele lat utrzymywała, że jej syn był synem nieboszczyka Koljaczka. Dopiero Jakub wyciągnął z niej prawdę. Usiadł u stóp jej fotela. Wyjął reporterski magnetofon, zdobycy z czasów, gdy jako młodziutki chłopak pracował w biurze prasowym Komisji Krajowej „Solidarności”, i rozpoczął łagodne przesłuchanie.

Teraz, gdy od wielu lat nie było babki Gizeli Koljaczkowej, a Jakub pewnie już zapadł w pijacką drzemkę po czterech piwach i leżał w swoim barłogu w mieszkaniu swojej matki na Jaśkowej Dolinie, mogła tego posłuchać jeszcze raz. W spokoju, gdyż dom był pusty.

Bo od kilku dni ten jakubowy barłóg był już w mieszkaniu jego matki na Jaśkowej Dolinie, a nie tu. A ta nieszczęsna kasetka z opowieścią o pełnym sprzeczności i niedomówień początku rodziny wypadła ze starego pudełka po butach. Jego zawartość składała się na opowieść o młodym Jakubie Herbście, jego miłości do Gosi Koljaczkówny i reporterskiej pasji. Ciągle jeździł nad jezioro i wypytywał babkę Koljaczkową o szczegóły z przeszłości. Po co? Rewelacje staruszki nikogo w rodzinie nie obchodziły. Trudno się temu dziwić, bo mało kto chce być synem, a zwłaszcza wnuczką czerwonoarmisty. Jakiegoś kałmuka na krzywych nogach. Nikt przecież nie zaprzeczy, że Koljaczek mógł być ojcem Joachima zwanego Hanno i dziadkiem Gosi. Zginął tuż przed zakończeniem wojny. Gdzieś na froncie, ale nawet nie wiadomo, na którym: wschodnim czy zachodnim. Wiadomo tylko, że walczył w mundurze Wehrmachtu, w którym nie tylko jemu było do twarzy. Wszystkim innym chłopakom z wioski nad jeziorem również. Jakub jednak lubił komplikować ludzkie historie, więc pewnie wmówił babce, że stało się jeszcze inaczej. I ona w to uwierzyła. Była już wtedy stara. Nigdy zresztą nie odznaczała się specjalną bystrością umysłu. Wypiła za dużo wina porzeczkowego i nagadała bzdur. Jakub wyjął magnetofon i zaczął nagrywać te nedorzeczności. Przepadał za takimi opowieściami i Gizelą, która niespecjalnie lubiła się myć. Dlatego Gosia unikała uścisków starej Kaszubki, jak tylko się dało. A babcia Gizelka była wylewna. Opowiadała nieskładnie. Powstawały z tego obrazy.

Oto po całej nocy zwijania się z bólu młoda wdowa po żołnierzu Wehrmachtu sama, bez niczyjej pomocy, urodziła syna. Potem ogromnie się cieszyła, że miał jasne włosy, niebieskie oczy, a jego nogi były długie i smukłe jak te, które należały do nieboszczyka Koljaczka. Lubiła też opowiadać Jakubowi, jak ją Koljaczek oplatał tymi nogami i usiłował spłodzić potomka. Ale mimo sporego wysiłku z jego strony i pokornej uległości Gi-zeli nic z tego nie wychodziło. A potem zabrali go do wojska. Trzeba przyznać, że pięknie wyglądał w mundurze Wehrmachtu. Nawet Gosi podobał się ten dziadek w szwabskim mundurze. Jakub był zachwycony. A przecież on właśnie powinien czuć lęk na widok tego munduru. Ale jakoś nie czuł. Lękał się wielu rzeczy, lecz dziadek Małgorzaty w niemieckim mundurze nie budził w Jakubie Herbście żadnych obaw.

Gizelka nie chciała zostać sama na gospodarstwie, gdy jej Koljaczka zabrali do wojska. Modliła się, płakała, aż w końcu uciekła do miasta, do kuzynki Brigitte. Mieszkała przy Pelonkerweg i była tam za podkuchenną u jednej pani profesorowej, która pewnego dnia uciekła z córkami. Zabrała tylko biżuterię i futra. Zostawiła całą resztę. Cynowe garnki, lśniące patelnie, rosenthalowską porcelanę, srebrne łyżeczki, adamaszkową bieliznę i mnóstwo innych pięknych rzeczy. Wkrótce okazało się, że profesorowa i jej córki zginęły. Statek, którym popłynęły, został storpedowany i zatonął, a one razem z nim. Dzięki temu adamaszkowa pościel przez wiele lat służyła Gizeli i jej synkowi. A potem korzystała z nich matka Gosi. Nawet jeszcze Agnieszka, gdy

była mała, spała na poduszkach powleczonej pościelą pani profesorowej, której kości od dawna spoczywały na dnie Morza Bałtyckiego. Więc gdy Gizela i jej kuzynka zostały same w profesorskiej willi i zaczęły przyglądać się temu bezpańskiemu dobytkowi i niepokoić się, czy aby właścicielki tych wspaniałości nie powrócą, rozległo się łomotanie do drzwi.

To była Agnes - żona sklepikarza. Przybiegła, żeby je ostrzec. Cała rozedrgana, opowiadała o tym, że bolszewicy są już w mieście, że palą kościoły i kamienice. Jakby tego było mało, gwałcą kobiety. Nie przebierają. Stare, młode, Niemki, Kaszubki. Gizela trochę się bała, ale jednocześnie była ciekawa, jak ci bolszewicy wyglądają. Czy rzeczywiście mają karabiny na sznurkach i krzywe nogi? Miała trzydzieści dwa lata. Od dziesięciu lat była żoną Koljaczka. Nigdy jednak nie czuła podniecenia, gdy jej płowowłosy mąż kładł się obok niej i przystępował do spełniania swoich małżeńskich powinności. Teraz jednak odczuwała podekscytowanie. Jej długonogi wojak był daleko na froncie. Pisał do niej listy, ale ona nie umiała czytać, więc chowała je do skrzyni. A wilgotne, zwiastujące wiosnę powietrze, pomieszane z dymem i pyłem, zapowiadało coś nowego i podniecającego. Czuła, że to nowe, pachnące wilgocią, kurzem i samogonem, jest już gdzieś blisko.

Kuzynka Brigitte wpadła w panikę. Chciała uciekać. Płonęły kościoły, w tym także ten najpotężniejszy, z czerwonej cegły, górujący nad całym miastem. Słychać było dudnienie ludzkich stóp, odzianych w ciężkie buciory, sunących szeroką aleją wysadzaną lipami.

Kuzynka nie chciała patrzeć, jak płoną kościoły. Gizeli, choć zawsze uważała się za niezmiernie religijną osobę, widok płonących świątyń sprawiał ogromną, wręcz niewypowiedzianą radość. W niej też coś zaczęło płonąć. Tyle lat mieszkała nad wodą, mimo że nigdy jej nie lubiła. W przeciwieństwie do Koljaczka, który świetnie pływał, łowił ryby i wiosłował, jego żona bała się tej niebieskiej toni. Ponadto w domu też wszystko było niebieskie. Nawet ona musiała haftować serwety niebieską nicią. Jej mąż miał w skrzyni niebieski surdut. Ładnie się prezentował w tym kolorze. Jednak Gizela wolała ogień, który rozpalala pod kuchnią. Pewnie dlatego tak lubiła gotować i jeść. Gdy Koljaczek pływał, wiosłował, łowił ryby, ona jadła i robiła się coraz krągłjsza. Jej ciężkie piersi zwisały jak dwa wielkie bochny chleba. Gdy zdejmowała koszulę, mąż zawsze odwracał wzrok. Nie rozumiała dlaczego. Czuła się zawstydzona i upokorzona. Wiedziała, że nie pasowali do siebie: on - wysoki i smukły, ona - niska i krępa. Jak mogli ich pożenić, ci ojce? Więc gdy paliło się miasto, Gizela zamiast lęku czuła podniecenie. Wiedziała, że stanie się coś, na co czekała przez całe swoje ponad trzydziestoletnie życie. W tym ogniu spełni się jej los.

Brigitte prawie nie umiała mówić po polsku, zapomniała nawet kaszubskiego. Od wielu lat mieszkała w mieście. Bała się strasznie, szukała kryjówki. Ciągnęła za sobą Gizelę. Ta jednak opierała się. Nie chciała schodzić do piwnicy ani smarować twarzy sadzą, ani udawać garbatej. Wręcz przeciwnie: obciągnęła bluzkę. Zerknęła w lustro. Całkiem ładnie wyglądała. Nosila

biustonosz, który ofiarowała jej kuzynka. Okazał się trochę za mały i cisnął, ale piersi nie były już obwisłe. Upięła rzadkie włosy w kok. Zeszła do piwnicy i spokojnie czekała na swoje przeznaczenie, któremu z pewnością nie było na imię Johann Koljaczek. Czekają tak dwa dni i dwie, znacznie gorsze od tych dni, niezbyt długie, wiosenne noce. Brigitte na przemian modliła się i płakała. A Gizela spała i jadła, jak gdyby nigdy nic. Czekala.

Gdy już się wydawało, że do ich piwnicy nikt nie wtargnie, usłyszały dudnienie wojskowych butów. Ilu ich było? Gizela nie wszystko zapamiętała. Przypomniała sobie tylko dwóch. Ten pierwszy był niski i krępy. Zaraz gdy wpadł do piwnicy, natychmiast upatrzył sobie złotowłosą, wiotką Brigitte. Nic nie pomogła sadza położona na policzkach. Kałmuk od razu wybrał ładniejszą i rzucił się w jej kierunku z jakimś niezrozumiałym okrzykiem. Kuzynka, ubrana w szarą, podkreślającą jej kobiece kształty sukienkę, która kiedyś należała do jej pani, próbowała uciec przed paskudnym zalotnikiem. Na darmo. Dopadł ją. Gizela patrzyła na to, siedząc na skrzyni, w której gospodarze przechowywali jabłka. Była dziwnie spokojna, choć kuzynka wrzeszczała wniebogłosy, wiała się, wierzgając nogami tak zabawnie, że Gizeli po prostu chciało się śmiać, choć przecież powinna płakać. A kałmuk zupełnie nic sobie z tego nie robił. Za nic też miał jedwabną bieliznę pani profesorowej, która kilka tygodni wcześniej zdążyła przejść do wieczności wraz ze swoimi niewinnymi córeczkami. Jedna miała na imię Gretchen.

i przygotowywała się do konfirmacji, a młodsza, złotowłosa Lotta, lubiła, jak Brigitte kręciła jej włosy na papiloty. Ani jedwabie, ani angielskie wełny, ani nawet francuskie perfumy nie zdołały powstrzymać pragnącego wojennej zdobyczy barbarzyńcy. Brał tę swoją zdobycz chciwie i pewnie.

Wtedy do piwnicy wszedł ten drugi. Też nie był zbyt wysoki. Błyskawicznie ogarnął całą sytuację bystrym spojrzeniem ciemnych oczu. Zdjął ciężki, brudny kaftan. Miał kasztanowe włosy. Podszedł do skrzyni z jabłkami, na której siedziała Gizela. Obrzucił ją uważnym, lecz niechętnym spojrzeniem. Miał przed sobą trzydziestoletnią babę z olbrzymimi piersiami. Pewnie szukał młodej gazeli, a trafiła mu się byle jaka kaszubska chłopka. Gizeli było coraz bardziej wstyd. Wiedziała, że żołnierz wołałby jej smukłą kuzynkę, ale ta ledwie już dyszała pod rozsierdzonym kałmukiem. Jej szara sukienka powoli nasiąkała krwią. Wiotkie ciało Brigitte już nie stawiało oporu.

Gdy już myślała, że ją ominie bolszewicki gwałt, ten drugi żołnierz podszedł do niej i jednym wprawnym ruchem swojej ciężkiej dłoni zerwał z niej bluzkę i stanik. To, co zobaczył, musiało mu się spodobać, a może nawet wzruszyć, bo z wielką ochotą przypadł do jej wielkich piersi. Niewiele zapamiętała z tego, co zdarzyło się potem. Jedno wiedziała na pewno. To, co działo się z nią przez kilka lub kilkanaście następnych godzin, stanowiło dla niej dowód, że człowiek może za życia znaleźć się w raju. W pamięci został jej zapach dymu, samogonu i machorki. Wszystko to kojarzyło się Gizeli

z jej ulubionym żywiołem - ogniem, przez który zapewne niejedną raz przechodził ów bolszewicki żołnierz. Dobrze zapamiętała jego pokryte wojennym pyłem, kasztanowe włosy, za które szarpała za każdym razem, gdy wydawało się jej, że jest w niebie. Chociaż właściwie to nie, bo niebo jest przecież niebieskie, a ona tego koloru nigdy nie lubiła, tak jak lśniącego jeziora i surduta, w który odziewał się Koljaczek w niedziele i święta. Tamten zaś miał na sobie pachnący dymem mundur, a jego oczy były brązowe, ciało od dawna niemyte, jędrne i gorące. To był prawdziwy oblubieniec Gizelki *de domo* Dziegielewskiej, a po mężu Koljaczkowej. Na niego czekała, wędrując przez trzydzieści lat pośród kartoflisk i kapuścianych zagonów. Aż wreszcie w tym obcym, płonącym mieście znalazła swoje szczęście.

Gdy się obudziła, bolszewicy już poszli. Leżała zupełnie naga na twardej skrzyni. W kącie, na worku z kartoflami, rozpostarte było ciało jej pięknej kuzynki. Prawie nic nie zostało z jej eleganckiej sukienki z angielskiej wełny. Same krwawe strzępki. Twarz przypominała miazgę, podobnie jak cała reszta. Jednak Brigitte od dawna już nie było w tej piwnicy. Gizela wiedziała to, zanim jeszcze dotknęła martwego, sztywnego ciała swojej kuzynki. W przeciwieństwie do Brigitte Gizelka przeżyła chwile szczęścia, o jakim nawet nie śmiała marzyć przez wszystkie lata swojego życia, gdy kopała ziemniaki, kisiła kapustę i haftowała serwetki niebieską nicią. Co było robić? Brigitte już nikt nie mógł pomóc. Ale ona, Gizela, wciąż jeszcze żyła, może nawet bardziej niż kiedyś. Jej życie właśnie stało

się podwójne. Wiedziała o tym od pierwszej chwili. Niepokój budziła w niej wyłącznie jedna myśl, natrętna i niesforna. Starła się ją zagłuszyć. Ale ona wciąż wracała i wracała.

Weszła na piętro. Znalazła w szafie ciepłe swetry i spódnice. Na nogi włożyła ciężkie kamasze pana domu. Do brezentowego plecaka w kolorze przypominającym barwę munduru tego drugiego żołnierza, z którym zaznała iście bolszewickich rozkoszy, zapakowała skarby, schowane uprzednio pod podłogą - półmisek i dwie filizanki. Porcelanę owinęła w adamaszkową pościel i już była gotowa do wyjścia. Przypomniała sobie o łyżeczkach z monogramem J.K. O tym monogramie dowiedziała się od Brigitte. Sama nigdy nie miała głowy do liter, zwłaszcza niemieckich. Ale srebrne łyżeczki to co innego. W dodatku wygrawerowane na nich litery J.K. mogły znaczyć tyle, co Johann Koljaczek, jej ślubny. Nigdy nie wyciągała ręki po cudze, ale te łyżeczki mogły się jej przydać. Nie tylko jej zresztą. O świcie opuściła starą willę przy Pelonkerweg, w której zostało rozdarte na strzępy ciało jej kuzynki Brigitte. Gizela wiedziała, że powinna opuścić miasto jak najszybciej i ruszyć w stronę wzgórz i jezior, skąd przywędrowała. Choć nie lubiła tych jezior i chałupy Koljaczka, tam właśnie było jej miejsce. Wiedziała, jak poruszać się wśród pagórków i lasów. Wędrowała kilka dni. Zachodni wiatr uderzał prosto w jej brzuch. Wreszcie dotarła nad jezioro.

Chałupa stała nienaruszona. Gdy weszła do środka, nawet nie rozpałała pod kominem. Nie chciała, żeby

ktokolwiek z sąsiadów wiedział, że Koljaczkowa wróciła do domu. Miała zresztą inne zmartwienia. Po kilku miesiącach, gdy jej brzuch wyraźnie się zaokrąglił, niepokój stał się jeszcze większy. A jeśli to kałmuk? Ten, co zamęczył kuzynkę Brigitte... Przecież też dopadł Gizelkę, tam, na tej skrzyni. Jak Brigitte ucichła na amen, wtedy Gizelka doświadczyła kałmuka. Nie dało się tego zapomnieć. Został w niej lęk, który towarzyszył jej przez całe życie. Nawet wtedy, gdy się okazało, że jej syn ma zupełnie proste i w dodatku długie nogi, dokładnie takie jak nieboszczyk Koljaczek, świeć Panie nad jego duszą, gdziekolwiek jego ciało spoczywa. Stara kobieta zapłakała. Już za wiele opowiedziała temu ciemnowłosemu chłopakowi o czarnych oczach, w które tak zapatrzyła się jej wnuczka, płowowłosa Gosia. Szloch staruszki i ciepłe słowa Jakuba kończyły nagranie.

No już dość na dzisiaj, jest chyba dwunasta w nocy. Gosia wyłączyła magnetofon, zgasła światło i powędrowała na górę. Weszła do łazienki. Niecierpliwym gestem zdjęła czarny sweter, a potem spodnie. Lubiła czarny kolor. Tuszował wszystkie niedoskonałości jej ciała. Tak jej się przynajmniej wydawało. Babka Gizela też ubierała się na czarno, ale ona nie zamierzała niczego tuszować. Wręcz przeciwnie - była niezmiernie otwarta. Babka ubierała się na czarno, bo była wdową. Przez większość życia była wdową. Obnosiła się z tym swoim wdowieństwem. Kłula nim w oczy. Ale Gosia nie była wdową. Mogła co najwyżej być rozwódką. Już niedługo. Złożyła już pozew w sądzie.

Rozebrała się. Stała przed wielkim lustrem w łazience. Była wysoka, choć nie tak smukła jak wtedy, gdy kształt jej ud i łydek w swoich nigdy nieopublikowanych wierszach opiewał Jakub Herbst. Zawsze miała szerokie biodra, które zakłócały harmonię jej sylwetki, a teraz na dodatek jej dawniej smukłe nogi zrobiły się ciężkie i masywne. Dlatego wołała nosić spodnie zamiast ulubionych niegdyś minispódniczek. Patrzyła z nostalgią na coraz dłuższe i smuklejsze kończyny swojej córki Agnieszki i myślała, że to jest jedna z tych rzeczy, które chciałyby odzyskać. Ale ani diety, ani basen, ani nawet uporczywe ćwiczenia na siłowni nic nie pomagały. Wciąż stała twardo na ziemi na tych swoich potężnych nogach i wiedziała, że nie wzbudzą one niczyjego zachwytu. Z kolei piersi miała tak małe, że zdawały się tonąć w czeluściach staników z najmniejszą miseczką A. Weszła do kabiny prysznicowej, zamknęła szczelnie drzwiczki. Teraz nadszedł czas, żeby zmyć z siebie kurz i pot, w którym pełno było niezrozumiałych emocji, jakie przeżywała po rozstaniu z mężem. Stała długo pod intensywnym strumieniem ciepłej wody, nie bacząc na to, że taka kąpiel niewątpliwie sporo kosztuje. Kiedy mieszkał tu Jakub, wszystkim domownikom wydzielala czas, który mogli spędzić pod prysznicem, albo ilość ciepłej wody, którą można było wlać do wanny. Kuba w końcu zupełnie przestał używać ciepłej wody. Mówił, że się hartuje. Ale zamiast tego przeziębiał się i okropnie kaszlał. Nie dało się wytrzymać z nim w sypialni. Nie chcąc budzić swoich kobiet, spał na kanapie w salonie. Wtedy

wszystko było w porządku. Dzięki temu Gosia mogła zostawać w sypialni sama ze swoimi fantazmatami, których bohaterem był Wiesiek Formela. Rosły blondyn o ciężkich dłoniach. Znali się jeszcze z liceum.

Wszystkie dziewczyny za nim szalały, jedynie Gosia była wobec niego lodowato obojętna. A biedny Wiesio Formela ciągle o niej rozmyślał. Usiłował jej zaimponować starą syreną ojca, którą przyjeżdżał pod samą szkołę. Ponieważ oboje mieszkali w dzielnicy portowej, często ją odwoził i przywoził ze szkoły. Trwało to do czasu, gdy pojawił się Jakub, a wraz z nim zaczęła się era tramwajowa, a potem pociągowa. Nieszczęsny Formela zamiast pisać patriotyczne poematy i studiować polonistykę, poszedł na budownictwo lądowe i zaczął myśleć o własnym domu. Mieszka teraz dwie ulice dalej. Wyremontował starą, zaniedbaną willę przy ulicy Polanki, skądinąd dobrze znaną Gosi. Jaką głupią gęsią była, że go nie wybrała! Przecież zawsze jej się podobał. Ale teraz jest zajęty. Ożenił się z jakąś mądrą. Chude to i zasuszone. Podobno naukowiec. Pani naukowczyni. Śmiechu warte.

Wytarła mokre ciało szorstkim ręcznikiem i natarła balsamem nawilżającym. Weszła do sypialni. Zdjęła szlafrok i położyła się na wznak. Zaczęła wyobrażać sobie, że oto Wiesiek dzwoni do drzwi, a ona w samym szlafroku zbiega na dół. Otwiera mu drzwi. Wiesiek wchodzi. Gdy zamyka drzwi na zasuwę, on już zdejmuje z niej szlafrok i choć Gosia prosi go, żeby poszedł z nią do sypialni, on jednak wybiera kanapę Jakuba w salonie. Dopiero tam, na tej kanapie, Gosia znajduje

utracone szczęście i namiętnie ciągnie za płowe kudły Wieśka za każdym razem, gdy osiąga orgazm. Po kilku zbliżeniach nareszcie może zasnąć.

Nazajutrz obudziła się około południa z okropnym bólem głowy. Czekał ją kolejny dzień wspomnień. Pokój Jakuba Herbsta stanowił wyzwanie dla każdego, kto tam wchodził. Już od progu atakował słodkawy zapach brudnych skarpetek. Nie, z pewnością nie będzie ich prać. Szkoda pralki, proszku, nie mówiąc już o energii i wodzie. Wyjęła z szuflady w kuchni foliowy worek na śmieci i zaczęła zbierać szarobure, boleśnie poskręcane skarpetki, porozrzucane po całym gabinecie niespełnionego pisarza. Ze skarpetkami poszło łatwo. Gorzej z popielniczkami, puszkami po piwie i niedokręconymi butelkami, w których Jakub, z właściwą sobie perfidią, zostawił dość cieczy, by przez przypadek można było wylać ich zawartość na książki i papiery. Gosia musiała być ostrożna. Pochylała się nad każdą butelką i dopiero zakręciwszy ją, wrzucała do worka. Najgorsze jednak okazały się pety, które można było znaleźć w zupełnie nieoczekiwanych miejscach. Także w pudełkach po butach, gdzie Jakub archiwizował dokumentację do swojej wielkiej powieści, której tematem miało być oczywiście miasto. To wspaniałe, dumne miasto, które przez stulecia przechodziło z rąk do rąk, chlubiąc się swoją niezależnością niczym jakaś grecka polis. Jakub znał je od podstaw. Jako student brał udział w badaniach archeologicznych, prowadzonych przez profesora Dombrowskiego, który z upodobaniem penetrował cmentarze, zalegające pod posadzkami kościołów,

i niejednokrotnie dokopał się do calca, gdzie już nie było ani kości, ani nawet Wojciechowych krzyżyków. Tam był początek. Jakub go znał i wiedział, co było dalej. Z każdym rokiem swojej żmudnej pracy wiedział coraz więcej o mieście i jego mieszkańcach. Jednak jego powieść nie miała nawet początku. Zdawała się także nie mieć końca. Za to inni pisarze zgrabnie opiewali niegdysiejsze i obecne piękno owego miasta. I to właśnie ci inni, którzy wcale nie dotykali krzyżyków pozostawionych tu u zarania dziejów przez praskiego biskupa, dostawali nagrody, a ich twórczość znajdowała amatorów również za granicą, co przynosiło sławę i całkiem spore dochody. Jakub tymczasem szukał swojego bohatera, który miał go wyprowadzić z labiryntu szczegółów, lecz tych nie sposób było ze sobą powiązać.

Kilkakrotnie wydawało mu się, że znalazł właściwy trop, właściwego człowieka. Najpierw była to babka Koljaczkowa, ale ona tak niewiele czasu spędziła przy ulicy Pelonkerweg, a obecnie Polanki. Choć widziała, jak płonęły kościoły i odchodzili dawni mieszkańcy, to przecież jej właściwym miejscem był dom nad jeziorem, gdzie przyszedł na świat jej jedynak - Joachim, a kilkanaście lat później pewna dziewczyna, która pracowała jako kelnerka w pobliskim ośrodku wczasowym, urodziła mu córkę Małgorzatę, która lubiła przedstawiać się jako Gosia. Bez tych zgrzytających spółgłosek w środku jej pełnego imienia. Tak więc przez następnych dziesięć lat chałupa pełna była wrzasków, a gdy te cichły, słychać było pochlipywanie matki Gosi, która nie mogła wytrzymać pod jednym dachem z apodyktyczną

teściową. Aż wreszcie jej ślubny pojechał do Ameryki i przywiózł dolary, za które kupił mieszkanie w portowej dzielnicy. Wtedy przenieśli się do miasta.

Potem w życiu Jakuba pojawiła się pewna młoda Niemka. Jej dziadkowie zdołali w porę uciec z miasta i szczęśliwie dotrzeć do Bawarii, skąd pochodziła znakomicie mówiąca po polsku Annemarie. Jasnowłosa dziewczyna przyjechała pod pozorem zbierania materiałów do pracy doktorskiej akurat wtedy, gdy Gosia była w ciąży. Oczywiście właściwy obiekt badań ambitnej doktorantki stanowił młody, obiecujący literat, którego semicki wygląd i nazwisko musiały wzbudzać zrozumiałe wyrzuty sumienia w tej przedstawicielce rasy dawno wygnanych stąd panów. Jednak oprócz owych wyrzutów było coś jeszcze. Właśnie to coś najbardziej irytowało Gosię, przemienioną za sprawą Jakuba Herbsta w pokraczne stworzenie o kształtach hipopotami-cy. Annemarie była wysoka i rosła. Miała rudawe włosy i twarz niewiniątka. Lubiała zabierać Jakuba Herbsta w dalekie podróże, przez co odnajdował ową nić, która miała stanowić wątek główny jego powieści. Niemka zaproponowała mu kontynuowanie badań w monachijskich bibliotekach i archiwach, oferując jednocześnie niezbędną pomoc językową, ponieważ Jakub w czytaniu pisanej gotykiem niemczyzny był równie biegły jak babcia Koljaczkowa. Gdy więc Gosia, zboleła po ciężkim porodzie, wróciła do mieszkania rodziców, zamiast męża znalazła tylko nabazgraną znajomym pismem kartkę, wyrwaną z zeszytu, z której wynikało, że jej autor udał się do Niemiec na kwerendę i wróci

w październiku, czyli za trzy miesiące. Kwerenda musiała być niezwykle udana, gdyż Jakub zaledwie raz przysłał kartkę, w której pozdrawiał wszystkich, a na końcu nawet swoją nowo narodzoną córkę Sarę. Nawiasem mówiąc, córka Jakuba i Gosi otrzymała na chrzcie imię Agnieszka, a jej matka złożyła pozew o rozwód.

Chronologicznie pierwszą, za to w ogóle ostatnią nicią, która miała stanowić zarówno osnowę, jak też wątek główny powieści o mieście, był Artur Hofman, potomek starej pruskiej szlachty. Polak z wyboru. Choć nieraz żałował tego wyboru. Głównie za sprawą Polaków. Jednak Hofman, choć z natury wielki pesymista, nie ustawał w wysiłkach, by dźwigać z ruin miasto Danzig, potem walczył o jego kulturową tożsamość i kulturalną autonomię środowiska literatów, któremu przewodził, by w końcu wspierać swym intelektem ruch obywatelskiego nieposłuszeństwa, który ogarnął najpierw miasto, a potem cały kraj, dokładnie wtedy, gdy Jakub i Gosia przygotowywali się do matury. Właśnie wówczas, tuż przed Bożym Narodzeniem, Gosia po raz pierwszy i ostatni w życiu przekroczyła próg tajemniczej, pełnej zakamarków willi, gdzie na parterze miał swój salon i pracownię pisarz Artur Hofman, a na piętrze trzy pokoje zajmowała jakaś inna rodzina. Kilka miesięcy wcześniej do ich klasy dyrektorka przyprowadziła nowego ucznia. Zaraz wszyscy zaczęli szeptać, że Jakub jest Żydem. Ma się rozumieć, że Herbst to Żyd. „Precz z Żydami!” - krzyczał Wiesio Formela, nerwowo zerkając na Gosię, która nie mogła oderwać wzroku od nowego ucznia. Cały czas się na niego gapiła. A on

nic. Był cichy i skryty. Z nikim nie gadał. Dziewczyny wyszpiewowały, że jest od nich o trzy lata starszy, choć pozostawał mały i drobny. Kiepsko się uczył. Właściwie to nie uczył się wcale. Zajmowało go coś innego. Tym czymś było przesiadywanie w pewnym salonie przy ulicy Polanki. Przez wszystkie lata małżeństwa Gosia i Jakub wielokrotnie zastanawiali się, czy willa przy ulicy Polanki, gdzie w czasach ich młodości mieszkał Artur Hofman, to ta sama willa, w której została zgwałcona babcia Koljaczkowa. Niestety, nie zdążyli o to zapytać babci Gizelki, która zmarła w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku. Niezaprzeczalne było to, że w tej willi mieszkał obecnie ich dawny szkolny kolega Wiesiek Formela z żoną.

Znowu siedziała wyprostowana w fotelu. Myślała, co dzieje się z Jakubem. Pewnie leży w swoim barłogu i gnije. Psują mu się zęby, ale do dentysty nie pójdzie, bo się boi. O tej porze jest już pewnie kompletnie pijany. Wzięła do ręki telefon i wykręciła numer Wieśka. W słuchawce usłyszała niski, męski głos. Chciała życia, nowego początku, zupełnie jak kiedyś jej babka. W powietrzu czuło się zapach zbliżającej się wiosny, ogień płonął w kominku.

2.

SŁODKA DZIURKA

Każdy spędza święta po swojemu, prawda? Monika z Waldusiem, cholernym draniem i damskim bokserem, Gosia z Wieśkiem - wciąż jeszcze mężem Anki, Sinobrody zapewne w samotności (choć kto go tam wie?), a ona, Anka Formela, spędzi je w swojej nowej chustce na łysej głowie i z pomysłem na książkę w głowie. Wszyscy więc mają coś, a czasem nawet kogoś, na te święta. Ale na razie nadszedł dopiero szósty grudnia, imieniny Świętego Mikołaja. Dawniej dla małej Ani to był najważniejszy dzień w roku, bo dostawała prezenty od ojca. Spotykała się z nim. Brał ją na kolana i mogła bezkarnie szarpać go za brodę. Czuła jego ciepło i zapach wody po goleniu. Przez wiele lat nie udało jej się zidentyfikować tego zapachu. Aż wreszcie poznała mężczyznę, który pachniał jak ojciec i też nosił brodę. Tak czy owak, mikołajki pozostały dla Anki najbardziej wyczekiwany dzień w roku. Ulubionym i najprzyjemniejszym. Dlatego właśnie czuła, że dziś powinna zjeść ciastko. Z kremem albo bez, ale

kaloryczne. Przynajmniej tyle będzie słodkiego w jej życiu. To ciastko musi zrównoważyć wszystko, co było lub jest nie do przełknięcia. Właściwie: do wyrzycania. Ostatnio trafiały się jej same paskudztwa. Słone i gorzkie. W najlepszym wypadku mdłe. Niestety, po ciastkach również zbierało się jej na wymioty. I tak źle, i tak niedobrze. Cholerna ludowa mądrość. Zawsze na czasie.

Jakieś pół roku temu usłyszała w słuchawce nieznamy głos. Zacinający się, bełkotliwy. Nie wiedziała, o co chodzi. Chciała odłożyć słuchawkę. Ale ponieważ zawsze starała się być uprzejma, słuchała dalej wynurzeń nieznanego głosu. Wtedy padły te słowa, których się nie spodziewała. Głos mówił o tym, że jej mąż, Wiesiek Formela, chce się z nią rozwieść, że planuje ten rozwód już od roku i że zamierza się ożenić z Koljaczkową, to znaczy z Gosią Herbstową. Wtedy Ankę również zemdliło. Jakoś tak nietypowo. Z początku myślała, że to pod wpływem tej hiobowej wieści, którą nieznamy głos przekazał jej drogą telefoniczną, ale to było z zupełnie innego powodu. Niestety. Z tego właściwego powodu siedziała teraz z Moniką w tej dziurze, którą ktoś chyba dla żartu nazwał słodką, i słuchała paplaniny koleżanki. Bo Monika Ryba-Dopierała chyba świetnie się bawiła, wyśmiewając tych wszystkich niemłodych już ludzi, którzy mimo szalejącej na dworze zamieci przyszli tu jedynie po to, żeby nakupić sobie ciastek i najeść się słodkości, zanim umrą.

Anka też czuła, że czas najwyższy przełknąć coś słodkiego, by przełamać gorycz w ustach i niesmak,

towarzyszące jej przez ostatnie tygodnie, które spędziła w szpitalu. Teraz pora na przyjemności. Właśnie tu, w „Słodkiej dziurce”, zaczynał się dla niej radosny, świąteczny czas. Miesiąc, który miała wyłącznie dla siebie. Żeby odetchnąć i żeby popracować. Więc teraz powinna zjeść i wypić coś zupełnie nieszpitalnego. Żeby się zrelaksować, zanim w domu, w łazience, ostatecznie zeszkrobie z siebie ten poszpitalny osad. Brud i wspomnienia. Niechciane towarzystwo obcych ludzi. Upokorzenia. I to, że po chemii nic się nie da zjeść. Przynajmniej przez pewien czas. Zresztą potem i tak wszystko smakuje inaczej. Metalicznie. Bo się ma w sobie całą tablicę Mendelejewa albo przynajmniej połowę. W szpitalu rzygała jak kot, którego zawsze tak ogromnie chciała mieć, ale nigdy nie miała. Nie wiadomo dlaczego. Może z tego samego powodu, który sprawiał, że nigdy nie była w nikim zakochana. Z wzajemnością. Tak jej się przynajmniej wydawało.

- Bo, wiesz, tu przyłazą te wszystkie stare baby i stare dziady, co się chcą nawpieprzać słodyczy, zanim wyciągną kopyta. Stare dziady inżynierzy. Takie jak mój ojciec. Stare politechniczne dziady, które lubią flanelowe koszulki i szetlandzkie sweterki. Dobrze wiedzą, że życie się kończy i trzeba poszaleć.

- Trzeba żyć, trzeba czekać na swój koniec. - Anka nie wiedziała, co odpowiedzieć na tę gadkę koleżanki, więc palnęła zdanie ni z gruszki, ni z pietruszki, aż Monika zamilkła. Widocznie poczuła się głupio. Wypadła z roli pocieszycielki-rozśmieszaczki, która towarzyszy chorej w drodze ze szpitala do normalnego życia.

Zamiast śmichów-chichów zapadła kłopotliwa cisza. Monika miała rację. Rzeczywiście po „Słodkiej dziurce” kręciły się same starsze panie i wszystkie kupowały ciastka. W dużych ilościach. Starsi panowie najwyraźniej też byli spragnieni słodczy. Napoleonki, pączki, ptysie. Z kremem, z dżemem, z budyniem. Pychota. Bitka śmietana. Krem sułtański z rodzynkami. Sama słodczy. Ance zbierało się na wymioty na samą myśl o takim kremie. Ale nie tym staruszkom, łaknącym smaków zapamiętanych z dzieciństwa. Sprzed wielu lat. Gdy w niedzielę po kościele za rączkę z mamusią i z tatusiem wędrowali do cukierni. Tej w rynku, gdzie mieli najlepsze kremówki. Zawsze świeże.

Natomiast Anka zapamiętała z dzieciństwa tylko krem sułtański. Nie mogła też zapomnieć, że zbierało jej się na mdłości, gdy matka stawiała przed nią pucharek z tym smakołykiem. Ciężkim, słodkim, tłustym, naszpikowanym rodzynkami, posypanym wiórkami czekolady. Nie do zjedzenia. Siedziały w kawiarni na Rynku Nowego Miasta w Warszawie. To była ulubiona kawiarnia matki. Mała Ania przestraszonym wzrokiem wpatrywała się w tę obcą kobietę, która była jej matką. Siedziała przed nią. Wysoka, rudowłosa. Uszminkowana. Z doklejonymi rzęsami. Popijała czarną kawę i paliła papierosy. Jednego za drugim. Mocne papierosy bez filtra. Śmierdziały potwornie. Ale w tamtych, dość odległych czasach nikomu nie przeszkadzał smród papierosów w kawiarni. Do kawiarni przychodziło się na kawę i na papierosa. Jedynie małej Anusi - bo tak zawsze mówiła do niej matka - drobnej dziewczynce

ze skwaszoną minką, przeszkadzał wgrzyżający się w ubranie i we włosy nieznośny papierosowy dym. Mimo to skwapliwie pochylała się nad pucharkiem i próbowała jakoś okiełznać ten krem za pomocą łyżeczki. Takiej aluminiowej, bez monogramu ani żadnych innych oznak szlachectwa. Ania starała się z całych sił, bo nie chciała rozgniewać matki, która uważała, że słodki krem sułtański to najlepsza rzecz, jaką można zafundować dziecku w kawiarni. Mała więc zawzięcie wiosłowała łyżeczką, żeby zjeść jak najwięcej. Ale nadaremno. Krem sułtański nie nadawał się do zjedzenia. Można było najwyżej pogmerać w pucharku. Żeby nie sprawić przykrości rodzicielce. Fundatorce słodkich tortur. Ale matkę niełatwo było wprowadzić w błąd.

- Nie smakuje ci? - Zadając to pytanie, marszczyła brwi. Widać było, że jest niezadowolona.

- Smakuje, no smakuje, ale za dużo - skarżyła się Ania.

- Trudno ci dogodzić! - Matka była wyraźnie zagniewana, więc mała kulila się w sobie, przeczuwając, co będzie, jeśli nie zje, i próbowała jeść dalej. Wysilała się, jak mogła, byle nie wyniknęła z tego kolejna awantura. Żeby matka nie krzyczała, nie gniewała się na nią. I nie robiła tych strasznych, niezadowolonych min, których mała Ania tak strasznie się bała. Ale jej rodzicielka zwykle nie dawała za wygraną. Gasila papierosa, dopijała ostatni łyk kawy, potrząsała gniewnie rudą czupryną i poirytowanym tonem zwracała się do kelnera:

- Rachunek proszę!

Ania wiedziała, że całą drogę powrotną przez Ogród Krasińskich matka będzie jej wypominać ten

nieszczęsny krem. Niepotrzebnie wydane pieniądze, na które przecież niełatwo było zapracować. Zacznie szarpać ją za rękę. Tego bała się najbardziej. Wstydz się, Anusiu, niejadku, cholerny francuski piesku, któremu nigdy nic nie smakuje! Nawet pyszny krem sułtański. Przepyszny! Wilcze oczy, a gardło jak u małego ptaszka. Zawsze wszystko zepsujesz tym swoim marudzeniem! Każdą przyjemną chwilę! Spacer na Stare Miasto w wiosenne, niedzielne przedpołudnie. A przecież słoneczne przedpołudnia nie tak często się zdarzają. Więc dlaczego je psujesz, wiecznie skrzywiona, niezadowolona? Ciągłe wszystko jest nie tak! Matka na głowie staje, żeby ci sprawić przyjemność, a ty nie potrafisz tego docenić. Ani starań matki, ani pięknej pogody. Nawet ten przepyszny sułtański krem ci nie smakuje! Nie umiesz się cieszyć. Z niczego! Nie potrafisz okazywać wdzięczności. Po kim ty taka jesteś? Bo na pewno nie po mnie! Jesteś taka jak twój ojciec. Zupełnie jak on. Taka sama. Wiecznie niezadowolona mina. Nic ci się nie podoba. Oj tak, po nim to masz. Matka się dla ciebie zarzyna, wydaje ostatnie pieniądze, a ty nie umiesz tego docenić!

Ania nie wiedziała jeszcze wtedy, jaki naprawdę jest jej ojciec, bo go prawie nie знаła. Znała tylko jego zapach. I tę szorstką brodę. No i wiedziała, że od niego są te wszystkie piękne zabawki, które dostawała na mikołajki. Klocki, kolorowe książki i czekolady, które smakowały zupełnie inaczej niż wyroby czekoladopodobne, kupowane w okrągłaku przy Okopowej. A pluszowy miś panda pachniał zupełnie jak ojciec. Lubiła ten zapach.

Wolała go od matczynych perfum Masumi, wymieszanych ze smrodem papierosów. Jednak mimo całej swojej sympatii do ojca wiedziała, że jej rzekome podobieństwo do niego jest piętnem nie do zatarcia. Ze będzie się za nią ciągnąć to podobieństwo, które przy każdej nadarzającej się okazji uparcie wypominała jej matka.

Wciąż wahała się, czy zamówić coś słodkiego, czy jednak nic nie zamawiać. Sprawiała tym przykrość koleżance i może nawet sobie samej. Ale to pozostawało od niej silniejsze. Naprawdę chciała, żeby było słodko i miło. Takie przedświąteczne ciuciu-muciu, ale niestety nie dało się. Żołądek odmawiał jej posłuszeństwa, zupełnie tak jak wtedy, gdy siedziały z matką w tej kawiarni na Nowym Mieście. Dziś, w dniu swoich trzydziestych siódmych urodzin, po prostu nie mogła patrzeć na słodycze, bo mdliło ją jeszcze bardziej. Mdliło jak cholera od samego rana, strach pomyśleć, co będzie później. A przecież przyszła tu w towarzystwie Moniki, żeby się rozerwać. To były jej urodziny, w dodatku mikołajki. Kiedyś czekała na ten dzień przez cały rok, ponieważ spędzała go z ojcem. Zwykle dzwonił już rano albo nawet poprzedniego dnia i się umawiali. Żeby spędzić ten dzień razem. Ojciec mimo upływu lat wyglądał i pachniał tak samo. Zawsze mało mówił. Ale uważnie słuchał i celnie ripostował. W jej urodziny zawsze gdzieś jechali. Lubił prowadzić samochód. Nigdy nie miał żadnej stłuczki, żadnego wypadku. Dostał może ze dwa mandaty. Za drobne wykroczenia. Anka zaś trzy razy oblała egzamin na prawo jazdy. Wstydziała

się tego. „Masz to po mnie - ironizowała matka. - Też nie zrobiłam prawka. Nikt go nie miał w rodzinie Wichurów. Ani prawka, ani autka. Nigdy żeśmy groszem nie śmierdzieli. Ani benzyną”.

Tamtego dnia „Słodka dziurka” była pierwszym przystankiem Anki po wyjściu ze szpitala.

- Wreszcie na wolności, co? - Monika postanowiła wznowić rozmowę, ponieważ dotychczas jakoś się nie kleiła.

- Uff. To prawda.

- Chyba najgorsze masz za sobą.

- Chyba jednak nie, ale przynajmniej urwałam się z tego piekła. I to na cały miesiąc.

- W dodatku świąteczny. Będiesz mogła święta spędzić w domu. Z rodziną.

- Ja nie mam rodziny.

Monika pechowo się zagalopowała. Wiedziała, że Anka jest teraz sama. Ale jej święta kojarzyły się wyłącznie z rodziną i dlatego chlapnęła głupstwo. Anka cieszyła się, że dopiero za trzydzieści dni będzie musiała ponownie się zgłosić do szpitala. Z piżamą i szczoteczką do zębów. Niemniej na samą myśl, że znowu musi się tam znaleźć, skóra cierpła jej na plecach i miała ochotę zwagarować. Tak na dobre. Nie na chwilę, dwie, ale na resztę życia. Uciec stąd jak najdalej. Teraz miała celebrować chwilową wolność. Coś w rodzaju zimowych wakacji. Niestety, te wakacje zaczęły się trochę pechowo, bo na dworze szalała zawieja. Orkan, któremu Niemcy podobno nadali imię Ksawery.

- Napijesz się kawy? - zapytała Monika, rozciągając wargi w wymuszonym uśmiechu. Chciała zatrzeć złe wrażenie. Naprawdę pragnęła sprawić przyjemność koleżance. Wiedziała, że Anka przepada za kawą, zwłaszcza taką z ekspresu. Czarną. Mocną jak diabli. Ale teraz niestety o takiej nie mogła nawet pomarzyć.

- Zamów mi herbatę, proszę. - Głos rekonwalescentki zabrzmiał słabo i nienaturalnie. Do Moniki chyba wreszcie dotarło, że jej koleżanka jest w kiepskim stanie, chociaż lekarz twierdził, że na razie wszystko jest w jak najlepszym porządku. Ze będzie dobrze. Ze trzeba być dobrej myśli. Monika nie dała po sobie poznać, że się martwi. Nie chciała psuć radosnego nastroju. Po prostu udawała, że wszystko jest dobrze, i dalej się uśmiechała. Całkowicie nienaturalnie. Jak klaun. Anka za to wyglądała jak klaun, ale nie z powodu głupkowatego uśmiechu, ale za sprawą ubrań, które zrobiły się na nią za duże. Ostatnio poważnie schudła. Powinna kupić nowe ciuchy, ale nie miała ochoty na żadne zakupy. Więc jedynie cienka herbatka i żadnych ciastek. To była jej ostateczna decyzja. A przecież właśnie po to tu przyszły - dwie koleżanki: Anka i Monika. Żeby się najeść ciastek. Zwłaszcza Anka powinna się zasłodzić. I nieważne, że prawdę mówiąc, nie cierpi ciastek. Ale przecież mimo to wybrała się do cukierni, do „Słodkiej dziurki”. Razem z Moniką, koleżanką z wydziału, która miała jej opowiedzieć o „starych dziadach inżynierach”. Te dziady rzekomo nie dawały Monice spokoju, dręcząc ją nachalnymi awansami. Bo jak wiadomo, wszystkie dziady lubią

takie duże, postawne blondyny jak Monika. Jeszcze całkiem niestare, a poza tym lekko przy kości. Zupełne przeciwieństwo Anki, która całkiem niedawno też była blondynką, ale niezbyt wysoką i dość szczupłą. Teraz po prostu była chuda. Zamiast króciutkiej blond fryzury nosiła na głowie chustkę. Jak piętno. Tak jej się przynajmniej wydawało. Bo chusta zawsze naznacza lub, jak wolą niektórzy, piętnuje. Chusty, a właściwie chustki, noszą na przykład wiejskie kobiety. Teraz już coraz rzadziej, ale kiedyś bez chustki nie mogła się obyć żadna baba na wsi. Chustka i przed wiatrem ochroni, i przed deszczem, i nawet przed zimnem, zwłaszcza wełniana. Również przed „złym okiem”, a to przecież najważniejsze. Każda kobieta wie, że „złe oko” może najbardziej zaszkodzić, więc w chustce na głowie zawsze jest bezpieczniej. Jak włosów nie widać, to złego nie kusi. A jeszcze lepiej, jeśli zakryje się twarz: wtedy to już nic nie widać i można spokojnie przetoczyć się przez życie. Jak beczka. Nikt jej nie zauważy. Nieważne, jak pękata byłaby lub piękna. Taka burka pozwala na pełną niezauważalność, jak czapka niewidka. Muzułmanki wiedzą, co robią. One są o wiele rozsądniejsze, niż mogłoby się wydawać. Wiedzą, że w świecie mężczyzn nie ma miejsca dla kobiet, wobec tego trzeba się czymś odgradzić od tego świata. Jeśli nie murem, to przynajmniej warto się zasłonić szmatą. Dlatego teraz Anka Formela ukrywała łysą głowę pod chustką. Ta chustka miała niebieski kolor i wzór w drobne kwiatuszki, żeby było weselej, chociaż niestety nie było wesoło. Należało więc coś zrobić, żeby

nie było całkiem smutno. Tę prześliczną łączkę wybrały wspólnie z Moniką w „Manhattanie”, bo Monika ma znakomity gust. I rzeczywiście, ta chustka była ładna, wcale nie smutna. Chociaż twarz Anki wyglądała mizernie, w szarzielonym odcieniu. Już nawet makijaż nic a nic nie pomógł. Nie dawało się ukryć wórów pod oczami i ziemistej cery. Stare dziady zaś gapiły się na chustkę, a nie na Monikę. Chustka na głowie kobiety wydawała się czymś nienaturalnym. Sygnalizowała, że coś jest nie tak. Ze jej właścicielka jest chora.

- Ale masz figurę, jak modelka! - Monika zawsze zazdrościła koleżance figury, ale teraz w jeszcze większym stopniu niż kiedyś. Bo na Ance wszystko wisiało. Jak na kiju.

- No tak, mam, i co z tego?

- Jak to co? Możesz nosić dzinsy rurki w rozmiarze trzydzieści cztery! Ja to nawet w podstawówce nie mieściłam się w takie portki. Zawsze miałam ten cholerny bęben. Wystający bebech. Dlatego nie mogę się ubrać jak należy. W dzinsy rurki i w obcisły sweterek albo w koszulową bluzkę, też blisko ciała. Nie da się, bo brzuchol wystaje. - Monika rzeczywiście musiała przestrzegać żelaznej zasady, żeby wszystko było od ciała możliwie jak najdalej, zwłaszcza w górnych partiach. Tyłek na szczęście miała zgrabny i nie musiała bać się dzinsów, chociaż rurki nieszczerólnie jej pasowały, lepsze były klasyczne męskie farmerki.

- Więc się ciesz, kobieto, że wszystko leży na tobie jak na modelce!

- Jestem za niska i za stara na modelkę.

Co prawda, to prawda. Z tej chudości Anki też nie było żadnego pożytku. Nawet jeśli dzinsy kapitalnie leżały na jej chudym, kościstym tyłku, zupełnie jakby była dzieckiem, po tej chemii zrobiła się z niej taka cherlawa krasnoludka: trzy ćwierci do śmierci, prawdę mówiąc. Ponadto nie miała włosów. Ani brwi. Nic tu nie pomagała kształtna czaszka, bo wystarczy, że zdejmie tę chustkę, a będzie wyglądała jak kościotrup. Tak więc chudość to jednak nic zabawnego, choć przecież wszystkie kobiety, zwłaszcza po czterdziestce, marzą, żeby mieć chude, kościste tyłki, lecz mimo diet i innych szaleństw pozostają pulchne. Nadmuchane jak poduszki. Tak jak w przypadku Moniki, która od dawna gotowała wyłącznie na parze i łykała wszystkie możliwe pigułki na odchudzanie, ale wciąż ważyła tyle samo, ile przed kuracją, plus dodatkowe trzy, cztery kilogramy w ramach efektu jo-jo. Anka była chuda jak szczapa i pewnie jeszcze schudnie, gdy znowu wyląduje w szpitalu. Ale zamiast się cieszyć, że przynajmniej figurę ma jak trzeba, ciągle marudziła i nie miała ochoty na pączki, a przecież przydałoby jej się trochę kalorii.

- No, nie wygłupiaj się! Właśnie po to tu przylazłyśmy, żeby coś wypić i zjeść po pączku. A ty co? Znowu marudzisz, że nie lubisz słodczy. Ze ci nic przez gardło nie przejdzie. To musisz się przemóc. Więc wcinaj, mówię ci! - zagrzmiała Monika, stawiając przed Anką tackę z ociekającym tłuszczem pączkiem. Anka spojrzała na Monikę wymownie. Przecież nie zamawiała ciastek, lecz herbatę. Ale Monika wszystko wiedziała lepiej. Dlatego zamówiła ciastka. - No i pogapimy się na tych

wszystkich żalonych starców, którzy tu przyłazą opychać się ciastkami - dodała konspiracyjnym szeptem.

Ciastka wcale nie były tanie. Właściciel wiedział, że ludzie, którzy niedługo mają pożegnać się z życiem, chcą jeszcze zaznać odrobinę słodczy, choćby ciastkowej. Anka, chociaż jeszcze nie była stara, też zaliczała się do tej grupy nieszczęśników, którym do śmierci było jakby nieco bliżej niż innym, właściwie tuż-tuż. Należało więc się z nią jakoś oswajać, a przy tym korzystać z życia, ile się tylko dało. A być może już za wiele się nie dało. Więc dlaczego ta smutaska nie chce jeść? Monika zjadła już dwa. Dla zabicia czasu.

- Jedz, jedz. Bo zaraz będziemy musiały wyjść na tę cholerną zimnicę i zmierzyć się z wichurą, zimnym i mokrym wietrzyskiem.

Anka niezbyt się bała tego zimna, ponieważ przez cały czas było jej zimno. Tylko wtedy, kiedy wymiotowała, robiło jej się cieplej. Nawet całkiem gorąco. Nie znosiła tych momentów. Na szczęście nie musi teraz wracać do szpitala, przebierać się w piżamę i leżeć w sali z obcymi kobietami, z jakimiś wariatkami, które po nocach wrzeszczą, charczą i spadają z łóżek. W dzień jest jeszcze gorzej, bo przychodzą do nich rodziny. Przeważnie bandy prostaków i chamów. Zaczynają gadać o niczym. O jakichś zupełnie nieistotnych sprawach. Więc trzeba teraz grzecznie wypić herbatkę i przynajmniej zjeść pół pączka. Prawie tak jak w tłusty czwartek. Bo jak ktoś w tłusty czwartek nie zje pączka, to cały rok będzie miał do dupy. Tak przynajmniej uważała Monika, dla której jedzenie pączków w ten dzień

stało się nie tylko tradycją, ale po prostu koniecznością. Ale do tłustego czwartku było jeszcze daleko i Anka bała się myśleć o tak odległej przyszłości. Dla niej liczył się jedynie najbliższy miesiąc. Potem będzie musiała tu wrócić na badania i kolejną chemię. Wtedy znowu nie będzie mogła niczego tknąć, bo zaraz zwróci wszystko to, co zdoła przełknąć. Prędzej czy później. Herbata w „Słodkiej dziurce” to pierwsza okazja po wyjściu ze szpitala, żeby napić się czegokolwiek normalnie, jak człowiek - z filiżanki, a nie ze szpitalnego kubka, i przy okazji pośmiać się z monicznej paplaniny, z tych wszystkich siedzących przy sąsiednich stolikach dziadków, którzy rzekomo gapili się na Monikę i marzyli, że może jeszcze uda im się zaliczyć taką fajną babkę. Wszak viagra czyni cuda!

Wczoraj pakując walizkę, która teraz stała obok, Anka nie mogła się skupić. Ciągle patrzyła na księżyc. Jakby to był jakiś narzeczony albo mąż. Księżyc w pełni - czy może być coś piękniejszego? Ten księżyc kogoś jej przypominał. Świętego Mikołaja, oczywiście. Uśmiechnięty, czerstwy staruszek niezmiernie jej się podobał. Był jak dziadek, którego nigdy nie miała. Albo jak dobry wujek. Dobry, czuły mężczyzna. Czy można chcieć więcej? Bo przecież Sinobrody też był dojrzały jak ten księżyc w pełni. Chociaż tak naprawdę wszystko w jego smutnej twarzy mówiło o starości. O tym, że już go dogoniła, ponura i podstępna, i zdążyła odcisnąć piętno nie tylko na jego twarzy. Za to ojciec Anki był już naprawdę stary. Najwyraźniej chyba zapomniał o jej urodzinach. Dotąd zawsze do niej telefonował, żeby

złożyć życzenia. Takie rzeczy były dla niego ważne. Urodziny, rocznice, święta. Lubił celebrować. Ale tym razem zapomniał. Nie miał do tego głowy. Od początku roku czuł się coraz gorzej. To Anka powinna do niego zadzwonić. Przypomnieć mu o swoim istnieniu, a także to tym, że szósty grudnia był ich dniem. Ze zawsze ją gdzieś zabierał. Ze po spacerze w grudniowe przedpołudnie pili czekoladę, aby się rozgrzać. Ze ojciec lubił ją głaskać po głowie. Jak była mała. Potem twierdził, że to nie wypada. A jej tego głaskania dotkliwie brakowało.

Nie mogła się skoncentrować na pakowaniu walizki. Tych piżam, cuchnących jakimś odkażającym paskudztwem, stosowanym w szpitalach zamiast lizolu, podobnie jak wszystkich innych jej ubrań po szpitalnym pobycie, a także kosmetyków, które i tak na wiele się nie zdały, bo w szpitalu wszystko zmienia barwę i zapach. Zastanawiała się, ile razy jeszcze przyjdzie jej pakować tę walizkę. Gzy jej podróże zostaną ograniczone wyłącznie do szpitala i z powrotem? A może jednak kiedyś jeszcze pojedzie z tą walizką na lotnisko, podniecona i nieco spanikowana perspektywą podróży lotniczej? Zawsze bała się latania, lecz teraz już wiedziała, że nie było się czego bać. Ze prawdziwe niebezpieczeństwo siedziało w jej własnej głowie. A wszystkie wyimaginowane, samolotowe strachy były wyłącznie dziełem jej chorej wyobraźni, więc niepotrzebnie opowiadała stewardesom, że cierpi na aerofobię. Owszem, bała się, że nagle dostanie ataku paniki, i dlatego chciała uprzedzić personel pokładowy o swojej ewentualnej

niekontrolowanej reakcji. Żeby w razie czego nikt się nie zdziwił. Ale pewnie już nigdy nigdzie nie polecą. Zresztą nie miała dokąd. Do kogo. Nikt nie będzie na nią czekał na lotnisku. Ani na lotnisku, ani w domu, ani gdziekolwiek indziej. Może to dobrze, bo nikt nie będzie się nad nią roztkliwiał, płakał po jej śmierci szczerymi czy nieszczerymi łzami. Nie miała nikogo bliskiego. Oprócz ojca. Ale jego nie chciała martwić swoją chorobą. Nic mu nie powiedziała. Pewnie by się załamał. On jeden. Bo matka powiedziała jej tylko:

-Jak jesteś chora, to się lecz. I obyś miała za co!

Święte słowa! Dla mateczki cyrkóweczki liczyła się wyłącznie mamona. Żadne tam sentymenty. Córka dla niej była jedynie inwestycją. Niestety, nie do końca trafioną.

Natomiast od męża w ramach pocieszenia usłyszała, że powinna wystawić głowę na wiatr, żeby jej wszystkie złe myśli wywiały z głowy.

- To z braku tlenu - mówił Wiesiek. Nie miał już ochoty na te wszystkie nudne tragedie. Męczyło go to i nudziło. A jej chudość bynajmniej nie była dla niego ekscytująca. Raczej odrażająca. Wiesiek lubił bowiem rubensowskie kształty. Lubiał zdrowe, hoże dziewczyny.

Anka naprawdę nie powinna się dziwić, że jej mąż, Wiesiek Formela, oddalił się od niej. Że puścił ją kantem. To wyłącznie jej wina. Zawsze była chłodna i zamknięta w sobie. Choroba dodatkowo wyostrzyła te

cechy. Wiesiek zaś potrzebował u swego boku kobiety z temperamentem, a nie chorej mizantropki. Cóż więc dziwnego w tym, że chciał się z nią rozwieść, żeby jak najszybciej zalegalizować kolejny związek? Gosia, jego nowa kobieta, była niezadowolona, że to tak długo trwało. Miał być szybki rozwód i zaraz potem ślub. Ale niestety wszystko się ślimaczyło. Poza tym Anka musiała się wreszcie wyprowadzić z domu Wieśka. Bo ten dom trzeba będzie sprzedać. Jak najkorzystniej i możliwie szybko. Nie podobał się Gosi. Woląла swój. Bardziej nowoczesny.

Ten Wieśka był jeszcze ponemiecki. Diabli wiedzą, kto tam mieszkał. Podobno jakiś profesor. Ale to nic pewnego. A po wojnie pianistka, córka profesora szkoły muzycznej i jakiejś szansonistki. Ta pianistka urodziła się w tym domu. Była do niego przywiązana. Ale wyemigrowała do Stanów i po śmierci rodziców musiała wystawić willę na sprzedaż. To od niej Wiesiek kupił dom jako lokatę kapitału. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. Tak mówił. Kiedyś mieszkał tu również Artur Hofman. Anka od pierwszego wejrzenia zapalała miłością do tej willi. Bo, jak twierdziła, lubiła domy z duszą. Dlatego Wiesiek wyremontował willę. Więc tym bardziej należało ją tego pozbawić. Żeby nie było jej zbyt lekko na duszy.

Niestety, żona Wieśka grzebała się z przeprowadzką. Oj, grzebała! Wykręcała się a to brakiem czasu, a to chorobą. Spryciara. Mówiła, że po świętach albo po Nowym Roku. Jak tylko znajdzie coś odpowiedniego i niedrogiego. Obiecanki cacanki. Należało babie wystawić

klamoty za drzwi i zmienić zamki, ot co! Ale Wiesiek był dupowaty, niestety. Przynajmniej w tych sprawach. Bo w innych ani trochę. Słuchał więc głodnych kawałków swojej żonusi. O tym, jaka to jest słaba i chora.

Tere-ferre! Gosia dobrze wiedziała, że to była gra na zwłokę. Patrzyła właśnie przez szybę swojego samochodu, który zaparkowała dokładnie naprzeciwko „Słodkiej dziurki”, i widziała tę wychudzoną, lecz wciąż jeszcze żywą kobietę, w dodatku nadal żonę Wieśka. Rzeczywiście wyglądała niezbyt korzystnie. Zbrzydła. To dobrze. Ta chusteczka na głowie. To żeby wycisnąć łzy. Pewnie by się Wiesio wzruszył, gdyby ją taką zobaczył. Ciekawe, dlaczego ze szpitala nie pojechała prosto do domu? Siedziała w cukierence i próbowała pić coś ciepłego. Rozmawiała z jakąś koleżanką. Ta koleżanka za to miała figurę jak się patrzy. Gosia od razu zauważyła, że Monika ma duże piersi. Sama o takich marzyła. W każdym razie dobrze, że Anka nie zadzwoniła do Wieśka, aby ją odebrał ze szpitala. Bo chyba jej nie odmówił. Właśnie dlatego Gosia tutaj przyjechała. Żeby trzymać rękę na pulsie. Nie można dopuścić do jakichkolwiek kontaktów Wieśka z żoną. Anka starała się wzbudzić jego współczucie. Liczyła pewnie na to, że się nad nią zlituje i pozwoli jej zostać w domu, który przecież należał do niego. Do tego nie można było dopuścić. Żeby Wiesiek zostawił dom swojej żonie. Coś już nawet przebąkiwał na ten temat. Że tak by było najlepiej. I najszlachetniej. To niezmiernie zaniepokoiło Gosię. Przecież lubiła nie tylko Wieśka, ale również jego majątek. A dom był naprawdę sporo

wart. Poza tym nawet fajnie urządzone, chociaż należałoby wiele w nim zmienić. Przede wszystkim za dużo tam było niebieskiego. Anka lubiła ten kolor. Niebieski i turkusowy. Kolory morza. Do tego wszystkie ściany były białe, a właściwie w kolorze *ecru*. To zupełnie nie w guście Małgorzaty. Wolała cieplejsze barwy i bogatszy wystrój wnętrz. Ale dom i tak zostanie wystawiony na sprzedaż, więc nikt nie będzie się przejmował kolorem ścian i mebli. Anka musi tylko zabrać swoje szpargały i szmaty i wreszcie się wynieść. Najlepiej w cholerę. No nie, Gosia wcale jej źle nie życzyła. Ale dobrze też nie. Bo dlaczego miałaby życzyć dobrze żonie swojego przyszłego męża? Zwłaszcza przed rozwodem. Rozwód z kolei musi nastąpić jak najprędzej. Wiesiek naprawdę się z tym guzdrał. Mówił, że to nie jest właściwy moment, że trzeba poczekać na to, na tamto. Przede wszystkim mieli poczekać, aż Anka lepiej się poczuje. Wtedy ewentualnie będzie mógł z nią porozmawiać. Tak bardziej konkretnie, na temat domu. A także rozwodu. Ale na razie trzeba czekać. Nie można przecież kopać leżącej w szpitalu! Zupełnie nie trafiały do niego zdroworozsądkowe argumenty, że Anka czuje się lepiej i że właśnie wychodzi z tego szpitala. Gosia wiedziała o tym od Romy, swojej byłej teściowej, która leżała z Anką w jednej sali. Tak się złożyło. Szczęśliwy traf. Gosia zawsze miała szczęście. Wiesiek powinien więc jak najszybciej rozmówić się z żoną. Bez roztkliwiania się. Wyznaczyć jej jakiś konkretny termin. Żeby się wreszcie spakowała i wyniosła. Najlepiej do Warszawy. Do swojej matki. Bo tam jest jej miejsce. Jak najdalej

od Wieśka. Żeby nie czuł się zobowiązany do pomagania biednej, chorej Anusi. Takiej chudziutkiej i malutkiej. Sama Gosia nie była ani mała, ani chuda. Chyba dlatego podobała się Wieškowi. Choć mogłaby mieć większy biust. Przynajmniej o jakieś dwa rozmiary. A najlepiej o trzy. Wiesiek, jak każdy stuprocentowy samiec, lubił duże piersi. Nie chciał się do tego przyznać, ale lubił, i to bardzo. Ciągłe ściągął z Internetu fotki i filmiki z piersiastymi paniami. Dlatego Gosia miała zamiar powiększyć sobie piersi. Ogromnie jej zależało na tym, żeby ich współżycie układało się dobrze. Była już nawet u chirurga i wszystko miała dogadane, niemniej bała się, że jak pójdzie do szpitala, to Wiesiek zacznie interesować się Anką. Zacznie dzwonić do niej, pytać o zdrowie i o to, czyjej czegoś nie kupić, nie podzucić. Pytać, jak się czuje, co mówią lekarze, jakie są rokowania. Właśnie dlatego nie należało się z tym spieszyć. Najpierw rozwód, następnie sprzedaż domu. A dopiero potem zabieg. Ale z drugiej strony nie chciała tak długo czekać. Taki zabieg to trochę bólu, ale efekty są znakomite. Marzyła więc o tym, żeby rozpocząć nowe życie z nowym partnerem i z nowym biustem, który będzie gwarancją, że w tym związku wszystko będzie się układało jak należy. Od biustu zaczynają się bowiem wszystkie zmiany w życiu kobiety. Wyczytała to w pewnym poradniku. Poza tym Gosia zawsze marzyła o dużych piersiach. Więc może na wiosnę, a może jednak jeszcze przed świętami? Żeby zrobić Wieškowi prezent. Nie tylko jemu, samej sobie też. Wcale się nie przejmowała, że Agnieszka będzie

szydziła z nowych cycków mamusi. Jest w trudnym wieku, dojrzewa, więc nic dziwnego, że ma skłonność do krytykowania swojej rodzicielki. Ze w matce nic jej się nie podoba, że ciągle z niej drwi. Potem jej przejdzie. Zmądrzeje. Gorzej, że pogoda straszna. Wichura, zamieć od rana. Ledwo dojechała pod szpital. A teraz trzeba wracać.

Anka małymi łykami popijała słabą herbatę. Nie była w szampańskim nastroju, chociaż planowała ten dzień od dawna. Miał być wesoły i pogodny. Zupełnie inny niż te wszystkie szpitalne dni. Szare i smutne. Przed wyjściem ze szpitala odważyła się spojrzeć w lustro. Niepotrzebnie. Chyba właśnie to ją przygnębiło. Zobaczyła swoje odbicie i się przeraziła. W szpitalu taka bladość i chudość jakoś uchodziła, ale w świecie młodych i zdrowych ludzi nie miała sensu. Wiedziała o tym. Wystarczyło popatrzeć w lustro. Bo przecież nic tu nie pomoże, nawet to, że chustka jest kwiecista i ładna, a w jej walizce były jeszcze dwie, równie gustowne, wybrane przez Monikę, która biegała po second handach jedynie po to, żeby wybrać dla koleżanki te naprawdę ładne i eleganckie. Żeby Anka wyglądała w szpitalu jak najlepiej i żeby czuła się jak człowiek, jak kobieta, a nie jak obozowa muzułmanka, taka, której już wszystko jedno. Przecież nie jest jej wszystko jedno. Jeszcze ciągle trzymała fason. Nawet ta jej walizeczka na kółkach była szykowna. Z jajem.

Zarąbista - tak by ją określiła Monika. Więc chyba jeszcze nie wszystko stracone. Może jednak zdoła się jakoś pozbiierać i jeszcze wróci do pracy. Dlatego teraz zamiast marudzić w „Słodkiej dziurce” - cukierence dla starców stojących nad grobem - warto się wybrać gdzie indziej. Napić się wina, pogadać i się pośmiać. Już od pewnego czasu się nie śmiała i wiadomo, że to nie tylko z powodu choroby. Ale o innych powodach, tych prawdziwych, nie chciała mówić. W każdym razie nie będzie się zwierzać Monice ani nikomu innemu.

Więc może jednak jakieś wagary? Anka nie miała ochoty wracać do pustego domu. Zresztą może już nie był pusty? Może Wiesiek sprowadził tam swoją kochankę? Może śpią w ich małżeńskiej sypialni, która od dłuższego czasu była wyłącznie samotną sypialnią Anki? Tak więc nie miała się dokąd spieszyć. Jako bezdomna i bezwłosa powinna się teraz napić. Wina. Wcale nie takiego z wyższej półki. Może być zwykły bełt. Kwaśny. Byleby iść stąd. Uciec jak najdalej. Od szpitala, od „Słodkiej dziurki”, od Wieśka i jego nowej starej baby. Poza tym najlepiej już tu nie wracać. Nie stawić się za miesiąc w izbie przyjęć. Zrezygnować z leczenia. Zamiast tego pójść z Moniką na wino. Może się nawet upiją. W końcu miała co oblewać. Miesiąc wolności od szpitala. Początek wielkich wagarów. Powinny pójść na starówkę, którą puryści historyczno-językowi nazywali tu Głównym Miastem. Byle dalej od umierania, a właściwie zdychania w jakiejś zatęchłej szpitalnej sali, od robienia pod siebie, od tych wszystkich starych bab w pampersach.

Od argusowego oka niejkiej Romy Herbst, która leżała w tej samej sali, co Anka. Jęczała po nocach. Majaczyła. Umierała we śnie, by rano znów obudzić się w całkiem dobrej formie. Potem dalej narzekać i marudzić. Na duszności i inne tam bóleści. Nieznośne stare babsko. Anka nie chciałaby być na jej miejscu. Postanowiła, że nie zostanie staruchą w pampersach! Nie da się upuścić w ten sposób. Woli pić z Moniką na Głównym Mieście. Może nawet pójść do jakiejś strasznej mordowni. Na przykład do „Duszka”. Tam przychodzą tacy sami poprzetręceni ludzie. Zupełnie tacy jak ona, bez włosów i nawet bez brwi. Tak ją urządzili ci lekarze. Konowały cholerne. Tak o nich mówiła Roma. Straszna starucha. Ale tak samo zawsze mówi Monika. Ze konowały i nie znajdują się na niczym. Wysyłają swoich pacjentów na cmentarz albo do domu wariatów. Tak czy owak, na Srebrzysko. Więc teraz czas na wypad z tej dziury. Żadnych pączków ani herbatek. Ciasteczek z budyniem, kremów sułtańskich dla jakiegoś popierdalonego sułtana, który poszukuje Szeherezady. Anka nie będzie żadnemu sułtanowi nic więcej opowiadać. Żadnych historyjek na dobranoc ani na dzień dobry. Opowieści z tysiąca i jednej nieprzespanych nocy. Dziś jest dzień Świętego Mikołaja, a nie żadnego tam Mykoły Kągiebisty. Dziada Mroza, który przyjechał tu czołgiem. W marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. I spalił całe miasto. W try miga. Jak przystało na prawdziwego ruska. Na pamiątkę tamtej krwawej rozprawy z hanzeatyckim miastem i jego mieszkańcami, a zwłaszcza

mieszkankami, przy głównej ulicy ustawiono sowiecki czołg. By przypominał, że wielki brat Świętego Mikołaja ciągle jest gdzieś w pobliżu i czuwa. Więc niech wszyscy diabli wezmą tego Mykołę, a właściwie Dziada. A poza tym Ani Formeli należy się coś od życia. Kieliszek wina. Chociaż tyle. Nawet nie wie, czy zdoła wypić to wino. Ale się postara. Niech idzie do głowy. Może nie będzie tak bolała. Więc do przodu! *Avantipopo!ol* Niestraszna nam wichura, cholerny Ksawery!

W „Duszku” śmierdziało starym tłuszczem. Chyba smalcem albo olejem rzepakowym. Albo mieszaniną jednego i drugiego. Monika nie miała ochoty tam wchodzić, ale nie mogła odmówić chorej koleżance. Skoro chciała posiedzieć w tej mordowni, to nie należało się jej sprzeciwiać. Monika nie lubiła się poświęcać, lecz dla chorej miała swoistą taryfę ulgową. Anna chciała poszaleć, więc trzeba jej było w tym pomóc, a w każdym razie opiekować się nią, ponieważ w jej stanie nawet kieliszek wina mógł niebezpiecznie uderzyć do głowy. Monika zaś nie miała zbyt wiele czasu. Powinna wrócić do domu, bo kupiła paczkę ze słodyczami od Mikołaja dla swoich bliźniaczek, Sandry i Nicoli. Czas uciekał, a dzieciaki czekały. Natomiast jej koleżanka najwyraźniej miała ochotę na całonocne balowanie. Mogłaby się przynajmniej wygadać, powiedzieć, co jej leży na wątrobie. Co się wydarzyło w jej życiu,

że jest sama? Ze mąż po nią nie przyjechał? Ze nie odwiedził jej w szpitalu? Ze wyprowadził się z domu? Do innej kobiety? Anka jednak milczała, nic nie chciała mówić. Zmieniała temat albo milczała, gdy ktoś ją pytał o męża. Wolała bredzić o chustce, którą od pewnego czasu nosiła na głowie zamiast włosów. Nie chciała się przyznać, że mąż ją zostawił. Ze została zupełnie sama. Nie miała nikogo. Wiesiek miał gdzieś to, że jego żona może niedługo umrzeć. Ze mogą znaleźć jej zwłoki w pustym domu. Po kilku dniach. Jak już będą chłupotały w pełnym rozkładzie. Jeśli oczywiście nie umrze w szpitalu, na co najwyraźniej nie miała ochoty. Chociaż to byłoby najrozsądniejsze wyjście. Może nie tak znowu czysto i higienicznie, bo wbrew pozorom w szpitalu wcale nie ma zbyt dobrych warunków sanitarnych. Ale zawsze to lepiej, niż umierać samotnie w domu, gdzie żaden człowiek nie poda jej nawet herbaty. Owszem, Monika podałaby, i to nie tylko herbatę, ale przecież Anka tego sobie nie życzyła. Nie była zbyt gościnna. Egoistka i mizantropka. Pani wygodnicka na dodatek. Przez całą drogę powtarzała, że nie chce nikogo widzieć. Wieśka pewnie też nie. Niech więc ma te swoje pijane mikołajki. Właśnie zaczęła coś bredzić o jakimś Mikołaju, który wcale nie nazywa się Mikołaj, ale zupełnie inaczej. Oczywiście pociągnięta za język, nie chciała zdradzić, kto to taki. Ani czy w ogóle jakoś się nazywa, czy istnieje. Czy może jednak wymyśliła go sobie na potrzeby tego dnia? Mówiła, że ma białą brodę i całkiem wydatny nos, niekoniecznie czerwony, ale jak jest mróz, to może się zaczerwienić. Monika

lubiła konkrety i chciałyby wiedzieć, czy to jest jakaś wymyślona postać, czy może jednak prawdziwy mężczyzna. Dlatego zadawała pytania.

- Czy to aby nie jest, no wiesz kto? Przecież się spotkaliście. I to chyba kilka razy. Wypytywałaś mnie o niego.

Anka nie miała ochoty na zwierzenia. Zwłaszcza na ten temat. Drażliwy i trudny. Nie ma mowy! Nikt się nie dowie, kim jest nowy mężczyzna w życiu Anny Formeli. Właściwie to Anny Baumann. Chciała wrócić do swojego panieńskiego nazwiska, chociaż nie wiedziała, czy zdąży. Najpierw powinna się rozwieść. A to wymaga czasu. Kosztuje też sporo nerwów. Monika także chciała się rozwieść, ale po rozważeniu wszystkich za i przeciw doszła do wniosku, że lepiej trwać nawet w zupełnie nieudanym związku.

Wbrew oczekiwaniom Anka nie wypłała wina. Powiedziała, że jej nie przechodzi przez gardło i że chce herbaty. Zwyczajnej. Bez cytryny i bez cukru. Gorzkiej. Czy ta kobieta musi się lubować w goryczy? Poza tym chciała wrócić do siebie. Taksówką. Więc jednak wybrała wariant śmierci w pustym domu. Gdzie żaden człowiek nie poda jej nawet herbaty. I tak dalej, i tak dalej. Straszna śmierć. Życie też straszne. Chyba że ten Święty Mikołaj to nie żadna fantazja, ale realny mężczyzna. Ten mężczyzna. Monika widziała go kilka razy. Przelotnie, ale widziała. Ostatnio w smutnych okolicznościach, na pogrzebie. Jak szedł za trumną swojego ojca. A z nim jego synowie. Cholernie do niego podobni. Anka podeszła do niego. Uściskali się.

Właściwie to on ją uściskał. I pocałował. Wcale nie po przyjacielsku. Monika dostrzegła w tym pocałunku erotyzm. Pomyślała, że oni ze sobą sypiają. Niemniej Anka woli zgrywać cnotliwą kobietę i ukrywa swój romans. A romans jest jak nic! Monika więc musi dowiedzieć się czegoś na temat tego romansu.

- Gadaj kto to! - Monika zaczęła ostro i z grubej rury. Dobrze wiedziała, o kogo chodzi, ale udawała, że nie wie. To była taka jej gra. Po trzech kieliszkach wódki, które zdążyła już wypić. A może nawet po czterech. Straciła rachubę. Ale i tak wiedziała swoje. - No mów, nie wykręcaj się, do jasnej ciasnej!

- Nikt! Nikogo nie ma! - W głosie Anki dawało się wyczuć nieco histeryczną nutę, ale Monika nie dała się zwieść. Zamówiła jeszcze jedną wódkę i spojrzała na koleżankę spode łba.

- No nie gadaj. Już ja wiem, że lubisz starszych od siebie! - wypaliła. Ankę zatkało. Była wściekła, bo Monika trafiła w sedno. Jak zawsze. Więc nic nie powiedziała. Spuściła jedynie wzrok, co oznaczało jej kapitulację. Całkowitą. Monika mogła już sobie gadać. Po pijacku. Snuć swoje bzdurne teorie na jej temat. -Masz kompleks ojca i dlatego ci się starsi podobają. Ten tam, co mieszka w Szwecji, też ci się podoba. Widziałam na pogrzebie starego Dombrowskiego, jak się na niego gapiłaś, a potem jak się ściskaliście. Nie oszukasz mnie. Taka znowu święta dziewica to ty nie jesteś ani sierotka Marysia, chociaż udajesz cnotliwą i pokrzywdzoną. W dodatku lubisz śmierć! A może nie? - Anka w zeszłym roku obroniła doktorat o *arsbene*

mortendi. Ale co w tym złego? Niestety, Monika zupełnie nie rozumiała, o co chodzi. To znaczy wiedziała, że chodzi o umieranie i że jej koleżanka dorabia do tego jakieś teorie, zamiast grzecznie położyć się w szpitalu pod kroplówką, a potem może pod tlenem. W pampersach. Jak mały dzidzius. Powrót do początku, a nie jakieś tam moriendy-ględy. - Opanuj się, dziewczyno, masz jeszcze szansę, przecież ten onkolog, pan doktor Maciek czy jak mu tam, w każdym razie całkiem przystojny, powiedział, że rokowania są niezłe. Więc jak się postarasz i oni, te konowały, znaczy się, zrobią swoje, to jeszcze będziesz zdrowa i dożyjesz setki. No, może nie setki, ale chociaż pięćdziesiątki. I jeszcze napiszesz książkę. O tym dobrym umieraniu. Czy o czym tam chcesz. I tak nikt tego nie będzie czytał. Przecież mówiłaś, że masz pomysł, że wiesz już co i jak. Więc nie bądź głupia, więcej pokory! Nawet jeśli poleżysz jeszcze trochę na sali z tymi paskudnymi staruchami, to co ci szkodzi? Nie musisz słuchać, co one tam mamrocą. Pewnie się modlą. Ze co? Ze krzyczą po nocy? Chrapią? Wszyscy starzy ludzie chrapią. Jak dożyjesz starości, też będziesz chrapać. Dlatego teraz musisz popracować nad swoim zdrowiem, bo kiepsko z tobą, Anula, oj, kiepsko. No, nie histeryzuj. Napisz list do tego swojego Mikołaja, co mieszka w Szwecji. Cha, cha, cha, myślisz, że nie wiem, kto to jest? Ten twój Mikołaj. Napisz, napisz do niego. Może cię wysłucha i przyjedzie tu na saniach. Przecież mieszka całkiem niedaleko. Warto się zabawić w święta, pojeść, pospać w łóżku, niekoniecznie w samotności, a potem grzecznie wrócić

do szpitala. Nie można inaczej. W imię jakichś dyrdy-matów. Kopyta wyciągnąć - na to zawsze będzie czas. Teraz jeszcze jest czas, żeby temu zapobiec. I żyć! Jasna cholera - żyć!

3.

NIE DA SIE ZMIENIĆ SINOBRODEGO

Chciał jej napisać, że zabrakło tej kropli szaleństwa i desperacji, żeby coś zaistniało naprawdę. Między nimi. Chociaż nawet mu się podobała. Wiadomo dlaczego. Właśnie to jej przeszkadzało. Robiła mu o to wymówki. Ze tak nie można traktować kobiety - jak jakiejś lalki albo figury woskowej. Podobnej do tamtej, utraconej. Dlatego nie godziła się na zaspokajanie jego chorej tęsknoty. A on cieszył się, że to prawie ta sama buzia. Prawie te same włosy. Na tym nie koniec. Wszędzie szukał śladów podobieństwa i je znajdował. To przynosiło mu ulgę. Anka się wściekała, bo oczekiwała zupełnie czegoś innego. Teraz na przykład liczyła na to, że ją będzie wspierał w chorobie. A tego właśnie nie chciał robić. Po prostu nie mógł.

Rozumiała, że nikt nie będzie pakował się w związek z chorą kobietą. W dodatku z mężatką. Zwłaszcza ktoś taki jak Sven, a właściwie Szczepan Dibelius, nie popełnia głupich, szkolnych błędów. Jest na to za mądry. Zbyt doświadczony i przewidujący, by się wikłać w beznadziejne sprawy. Mimo to interesował się nią. Na swój sposób oczywiście. Może dlatego, że była ulubioną doktorantką jego ojca. Na pewno dlatego. Przecież kochał ojca. Pewnie z tego powodu wciąż odpisywał na e-maile i esemesy od Anki. To była taka grzecznościowa korespondencja. Bez żadnych podtekstów. No, może z małymi. Raz sobie pofolgowali. Ale wyłącznie raz, dobra, właściwie dwa razy. Wszak *einmal ist keinmal* Teraz Anka, zapewne z nudów, a może z samotności, ogromnie ekscytowała się tą znajomością. Z pewnością w większym stopniu niż powinna. Wbrew zdrowemu rozsądkowi. Na przekór wszystkiemu.

W końcu istnieje coś takiego jak miłość niemożliwa. Piękna nazwa, prawda? Nazwa znakomita. Określa miłość lepiej niż wszystkie inne przymiotniki. To jest uczucie niemożliwe do zrealizowania. W każdym razie w przypadku Anki i Svena alias Szczepana tak właśnie było. Żadnej szczypty szaleństwa. Ani desperacji. Z jego strony. A ona przecież tym bardziej nic nie robi. Nawet nie mrugnie powieką ani nie zadrży jej głos. Żeby nie wiadomo co. Nie zamierza się kompromitować. Zwłaszcza sama przed sobą. Ale oczywiście każde spotkanie z nim coś znaczyło. Nawet jeśli w czasie takiego

spotkania prawie ze sobą nie rozmawiali. Bo Sven nie lubił rozmawiać. Albo nie potrafił. W każdym razie mówienie jakoś mu nie szło. Wolał ciszę. Milczenie.

Podobno był dwukrotnie żonaty i pochował obie żony. Były młode, w każdym razie młodsze od niego. A jednak umarły. Jedna po drugiej. Więc dwukrotnie został wdowcem. Miał siną brodę. Prawdziwy Sinobrody. Anka wolała jednak widzieć w nim Świętego Mikołaja. Takiego dobrotliwego, starszego mężczyznę z białą brodą. Piękna była ta broda i dobrze się jej kojarzyła. Na pewno nie z Sinobrodym. Z kimś dobrym i szlachetnym. Z marzeniami. Tymi z dzieciństwa. Kiedy jeszcze wierzyła w Świętego, co przynosi dzieciakom prezenty na Gwiazdkę. Czekala na jego przyjście. Ale ten prawdziwy jakoś nie mógł albo nie chciał do niej przyjść. Za to pojawiali się różni tacy podrabiani. Pseudowujkowie. Mikołajowie. Przebierańcy, w których z łatwością można było rozpoznać kolejnych absztyfikantów matki. Wszystkich tych akrobatów, iluzjonistów, prestidigitatorów, wołyżerów. Ale przecież nikt nie traktował ich poważnie. A na pewno nie Ania. Mimo to długo uważała, że prawdziwy Mikołaj, ten z czerwonym nosem i białą brodą, istnieje naprawdę. Wbrew temu, co twierdziły wszystkie szkolne niedowiarki, Ania wierzyła i nigdy nie przestała wierzyć w Świętego, który przynosi prezenty szóstego grudnia, w jej urodziny. Więc ten brodaty mężczyzna stał się ucieleśnieniem jej dziecięcych marzeń. Dobrotliwy, szlachetny i szczodry. I podobnie jak tamten z czasów jej dzieciństwa - nieosiągalny.

Właściwie to nic o nim nie wiedziała. Nic konkretnego. Krążyły o nim dziwne plotki. Na przykład o tych żonach. Ze to podejrzane, że umarły tak jedna po drugiej. Ance natomiast kojarzył się ze Skanią. Z podróżą promem, a potem samochodem. Z promieniami słonecznymi, z całą bezwzględnością i mocą oświetlającymi twarz mężczyzny tak, że oprócz najgłębszych bruzd dało się dostrzec także wszystkie inne zmarszczki i przebarwienia. Właśnie w ten sposób oświetlona była jego twarz, gdy go po raz pierwszy zobaczyła. Od razu skojarzyła tę twarz, bynajmniej nie z Sinobrodym, ale ze Świętym Mikołajem. Mikołaj powinien być jowialny. Powinien też uśmiechać się i rozdawać dzieciom cukierki, głaszcząc je po głowach.

Natomiast mężczyzna z ponurą miną, który zeszłej jesieni przywitał ją w bazie promowej w Karlskronie, przez całą drogę do Lund zachowywał się jak gbur. Przywitał ją niby uprzejmie, ale bez cienia uśmiechu. Coś tam burknął pod nosem na powitanie, ale trudno było zrozumieć co. Ani też dociec, czy to było uprzejme, czy jedynie zdawkowe. Chyba to drugie. Na pewno nie brzmiało serdecznie, ciepło, przyjaźnie. Raczej oficjalnie. I miało na celu budowanie dystansu pomiędzy nimi. Jego spojrzenie spod okularów też zdawało się jakieś nieobecne. Trochę nieprzytomne. W każdym razie trudno było się dopatrzeć odrobiny zainteresowania Anką. Jej przyjazdem i tym, że miał ją zawieźć do Lund. Obiecał to swojemu ojcu. Dlatego z samego rana przyjechał po nią do tej bazy promowej. To była zwykła uprzejmość. Wyłącznie ze względu na ojca. Bo

to właśnie on go poprosił, żeby zajął się Anusią, jak ją nazywał. Żeby był dla niej miły. Ale ta druga prośba okazała się chyba trochę na wyrost. Sven, o którym jego ojciec mówił po prostu Szczepcio, nie umiał być miły albo po prostu nie chciał. Nie mieściło mu się w głowie, że mógłby uśmiechnąć się do nieznajomej kobiety lub powiedzieć jej choćby zdawkowy komplement. Więc nie był miły, ale ponury. Ostre słońce świeciło mu prosto w twarz i to go najwyraźniej drażniło. Mrużył oczy. Anka zaś mogła dokładnie policzyć wszystkie jego zmarszczki. Było ich niemało, niektóre nawet dość głębokie. Liczyła je skrupulatnie, zastanawiając się, ile może mieć lat. Oczy miał podkrążone. Nie był podobny do swojego ojca. Przede wszystkim przewyższał go wzrostem. Ponadto miał niezbyt sympatyczną twarz i głęboko osadzone oczy. Anka przyglądała mu się z rosnącym zainteresowaniem. To mu się nie podobało. Był poirytowany i nie umiał tego ukryć. Nie odzywał się, ale jego gesty zdradzały, że jest zniecierpliwiony tym, że jakaś obca baba gapi się na niego i bezczelnie przelicza zmarszczki na jego pięknej, choć już niemłodej twarzy. Wyświadczał jej przysługę, a ona zamiast to docenić i zachowywać się powściągliwie i dyskretnie, bezceremonialnie wpatrywała się w niego, a na domiar złego usiłowała nawiązać z nim jakąś rozmowę, chociaż wyraźnie dawał jej do zrozumienia, że nie chce mu się gadać. Ani z nią, ani z nikim innym. Zamierzał ograniczyć się wyłącznie do roli szofera. Niestety, ta drobna blondynka, zdaje się, że nie farbowana, lecz naturalna, robiła wrażenie niezdrowo nim zainteresowanej,

a w dodatku najwyraźniej zamierzała wypytywać go o jego prywatne sprawy. Stawał się coraz bardziej rozeźlony tym jej gapieniem się i zainteresowaniem jego osobą. Gniewnym ruchem wrzucił do bagażnika jej ulubioną małą walizkę w niebieskie kwiatki. Jego gesty i mimika zdradzały coraz większe zniecierpliwienie i rosnącą niechęć do pasażerki. Drażniła go. Też sobie znalazła obiekt zainteresowania! Cholerna baba! Teraz będzie pewnie gadała przez całą drogę. Nie powinien się zgadzać na tę przysługę. Ale nie chciał odmawiać ojcu. Ojciec zaś najwyraźniej chciał mu ją podsunąć. Mimo że była mężatką. Też coś! Opowiadał jakieś bzdety o tym, że ta Anusia, jego ulubiona i nieoceniona doktorantka, jest nieszczęśliwa w małżeństwie i że potrzebuje kogoś bliskiego, bo jest bardzo samotna. A co go, do diaska, obchodzi jakaś niedopieczona baba?! Ze to doktorantka ojca, że stary ją lubił? I co z tego? Sven miał dość kobiet. Nie zamierzał nadskakiwać jakiejś tam Anusi. A swoją drogą, co za idiotyczne zdrobnienie. Ale skoro ojciec tak go prosił, skapitulował i zgodził się zawieźć tę panią do Lund. Ale na tym koniec. Nie miał zamiaru zapraszać do swojego łóżka żadnych miłych doktorantek swojego ojczulka. Niezależnie od tego, jak były samotne i złaknione czułości. Pani Formela bardzo podobała się tatusiowi. Nawet zażartował, że nie miałby nic przeciwko temu, żeby jego owdowiały niedawno syn trochę poflirtował z tą kobietą albo nawet coś więcej. A co to komu szkodzi? Nie bądźmy znowu tacy pruderyjni ani pryncypialni. Niepotrzebne skreślić.

Anka od pierwszej chwili czuła niechęć Dibeliusa, ale nie dawała tego po sobie poznać. W końcu zawsze mogła się obrazić, podziękować za przysługę, wysiąść z auta, trzasnąć drzwiami tak, żeby nie było wątpliwości, że jest obrażona, i to bardzo. A potem pojechać do Lund pociągiem lub autobusem. Tak by było o wiele wygodniej. Po co korzystać z uprzejmości nieznanego i w dodatku gburowatego mężczyzny? Po co znosić jego fochy? Tak zupełnie bez powodu.

- Ja chyba panu przeszkadzam. Nie chciałabym pana fatygować. Może pojedę pociągiem albo autobusem? Są tu chyba jakieś pociągi, prawda? Autobusy też chyba są - powiedziała Anka.

Mężczyzna zignorował jej pytanie, które najwyraźniej rozzłościło go tak, że właściwie wcale już tego nie ukrywał. Ale nic nie odpowiedział. Był wściekły, że ona mówi za niego. Tak jakby nie miał swojego zdania. Chciałby jej to zakomunikować, chociaż tak naprawdę sama powinna się domyślić. Co za straszna baba, histeryczka jakaś. Swoją niechęć i złość demonstrował całym ciałem. Uruchomił silnik. Samochód ruszył. To wtedy po raz pierwszy pomyślała o nim - Sinobrody. Z antypatią, bo wydał jej się zły i zacięty. Pełen niechęci do niej i pretensji nie wiadomo o co. Chyba nie o to, że mu się dokładnie przyjrzała? Rzeczywiście, zlustrowała go od stóp do głów jeszcze w bazie promowej. Ale przecież musiała mu się przypatrzeć. Znała go tylko ze zdjęcia, które nie było zbyt aktualne. Pochodziło sprzed ładnych kilku lat, ponieważ wyglądał na nim dużo młodziej niż obecnie. Musiała więc mu

się przyjrzeć, zastanawiając się, czy to on, czy nie on. Poza tym Sinobrody też się na nią gapił. Bezczelnie taksował ją wzrokiem, tam, w bazie promowej, gdy do niego podeszła. Najwyraźniej nie przypadła mu zbytnio do gustu, bo od pierwszego wejrzenia patrzył na nią jakoś tak nieprzychylnie. Dlatego skoncentrowała się na szczegółach. Bo one przecież najczęściej mówią o człowieku. Drobiazgi, mało istotne z pozoru. Zwróciła uwagę na to, że miał niedoczyszczony lewy but. Ze nosił dzinsy, a spod kurtki wystawał mu kołnierzyk niebieskiej koszuli w kratę. Ze w niebieskim było mu do twarzy ze względu na niebieskie oczy. A ona miała przecież wielką słabość do tej chłodnej barwy. Nie bez powodu w jej domu znajdowało się tyle niebieskich akcentów. Dlatego ta niebieska koszula Sinobrodego była tym, co jej się w nim spodobało. Od pierwszej chwili. Plus kolor oczu. Natomiast ta jego nieskrywana, niczym nieuzasadniona niechęć do niej dziwiła ją

i bulwersowała. Jak można się tak zachowywać wobec obcej kobiety? Nigdy nie była gadułą. Zawsze wolała milczeć, niż mówić. Ale milczała jakoś tak uprzejmie. Żeby nikogo nie urazić. A Sinobrody tym swoim wymownym nic niemówieniem dręczył otoczenie. Więc cały czas w tym jego samochodzie czuła się nieswojo. Czuła się zażenowana. Wtedy miała jeszcze włosy na głowie i nie była taka wychudzona. Wyglądała całkiem dobrze. Jak na swój wiek. Mogła się nawet podobać. Komuś. Ale przecież nie takiemu mrukowi. Tak więc podczas podróży samochodem z Karlskrony do Lund marzyła o jednym.

Żeby wysiąść. Żeby nigdy więcej nie oglądać tego mężczyzny.

- Naprawdę nie musi mnie pan odwozić. Nie ma takiej potrzeby. Sama sobie poradzę - jeszcze raz spróbowała przerwać to nieprzyjemne milczenie. Ale mężczyzna nadal zachowywał się tak, jakby był głuchy. Niemniej zdołał powstrzymać złość. Może dlatego, że przestała mu się przyglądać? Ale cały czas była skrępowana. Nikt jej przedtem tak nie traktował, nawet matka. Może stary Wichura, ale on się nie liczył. Było jej przykro i źle. Chciała, żeby ta podróż skończyła się jak najszybciej. Żeby mogła wysiąść z tego samochodu i zapomnieć o niemiłym epizodzie. O topornym facecie, który był synem jej mentora, człowieka, którego darzyła szacunkiem i sympatią. Wszystko to powodowało spory i nieprzyjemny rozdźwięk - spotkanie z gburowatym synalkiem kogoś tak miłego i otwartego jak profesor Dombrowski, u którego Anka skończyła właśnie doktorat na temat średniowiecznej *arsbenemo-riendi*. Jej uwaga skupiona była na płytach nagrobnych w gdańskich kościołach. Wizyta w Skanii również wiązała się z doktoratem. Profesor wymyślił, że jego starszy syn ją popilotuje. Próbowала wyperswadować mu ten pomysł. Ale profesor się uparł i już. Twierdził, że dla syna to żaden kłopot, bo od ponad trzydziestu lat mieszkał w Szwecji i zawsze gościł przyjaciół i studentów ojca. A poza tym dobrze mu robi, jeśli się z kimś spotka, porozmawia.

- To naprawdę sympatyczny facet, chociaż trochę odludek. Przyda mu się kontakt z kimś z Polski.

Będiesz zadowolona, Anusiu, zobaczysz - zapewniał ją profesor. - On naprawdę jest miły, tylko czasem trochę nieprzystępny.

Zgodziła się. „Skoro to syn profesora, to na pewno będzie sympatyczny” - tak właśnie pomyślała, chociaż Monika od razu uprzedziła ją, że o synu profesora, tym ze Szwecji, krążą dziwne legendy. Ze owdowiał i ma trudny charakter. Zdaniem Moniki Anka nie powinna korzystać z jego uprzejmości. Najlepiej, żeby się wcale z nim nie spotykała. Szkoda czasu i nerwów. Ta rodzinka jest jakaś porąbana, argumentowała Monika. Sam Dombrowski niczego sobie, miły, poważny. Ale ci jego synowie?! Jeden stuknięty, cały czas trzymają go w psychiatryku na Srebrzysku. Właściwie to nie wiadomo, czy żyje. Nikt go nigdy nie widział. Zona profesora też była psychiczna. Rzuciła się z okna. A ten syn z pierwszego małżeństwa to niby normalny, ale pochował już dwie żony. Wcale nie jest jeszcze taki stary. Więc chyba też coś z nim nie tak. Najwyraźniej to Monika miała rację. „Chociaż może ta jego poza pełna nieuzasadnionej wrogości to jedynie zewnętrzna skorupa” - pomyślała Anka. Kobiety lubią tak myśleć, nawet wtedy, gdy mają do czynienia z gburem lub brutalem. Lubią oswajać trudnych mężczyzn. Ale przecież nie da się zmienić Sinobrodego. On i tak pozostanie sobą. Pełnym złości i uprzedzeń facetem, któremu się wydaje, że drobna blondynka koniecznie musi być wścibską babą, która wsadza swój mały nosek w nie swoje sprawy. Albo ma ochotę go poderwać. To był czysty absurd, bo nosiła wtedy obrączkę, przekonana, że Wiesiek ją kocha,

choć nie była pewna, czy ona jego też. Ale to nie zmieniało faktu, że czuła się zobowiązana wobec męża i naprawdę nie chodziły jej po głowie miłosne podboje. A zwłaszcza uwodzenie syna profesora. Tym bardziej że ten syn okazał się nieuprzejmym, zarozumiałym typem.

Skoro już na czas podróży byli skazani na swoje towarzystwo, chciała choć trochę przełamać kłopotliwe milczenie. Zdarza się, że złe okazuje się wyłącznie pierwsze wrażenie. Więc może zamiast oglądać szwedzkie pejzaże, warto nawiązać rozmowę? Choćby zdawkową, ale zawsze. Zastanawiała się nad pierwszym pytaniem. Uznała, że powinno być ogólne.

- Jak długo mieszka pan w Szwecji? - Pytanie było konkretne, bo lubiła konkrety. Ale jej rozmówca najwyraźniej ich nie lubił, szczególnie jeśli bezpośrednio go dotyczyły.

- Długo - brzmiała krótka odpowiedź, a z tonu Sinobrodego można było wywnioskować, że jego irytacja rosła. Już prawie bulgotał. „Jak czajnik - pomyślała. - Zaraz wybuchnie, więc może jeszcze jedno pytanie. Oczywiście też konkretne. A niech tam, niech się złości. To nawet zabawne”.

-A gdzie pan mieszka? - zadając to pytanie, uśmiechała się do siebie z satysfakcją. Może wysadzi ją z samochodu? Tu, na autostradzie? Albo zabije, a zwłoki wrzuci do bagażnika jak jej walizkę w kwiatki, a następnie pochowa w swoim ogródku? W gruncie rzeczy złościł się tak zabawnie. Tym razem Sinobrody ją zignorował. Ponieważ wyglądał jakoś nieszczególnie, trochę się zaniepokoiła. Dlatego postanowiła zaryzykować

jeszcze jedno krótkie pytanie. Już ostatnie. - Dobrze się pan czuje? - Naprawdę nieco się o niego zaniepokoiła, bo był blady i źle wyglądał. Gzy to aby na pewno dobry pomysł, żeby wiozł ją do Lund?

- Może być. - Odpowiedź była znowu krótka, ale zauważyła na jego twarzy lekki uśmiech. Więc może pierwsze lody zostały przełamane. Potem wiele razy słyszała tę odpowiedź z jego ust. To chyba była jego ulubiona fraza. Pewnie dlatego, że okazała się na wskroś bezpieczna. Nie można było z niej wywnioskować, jak naprawdę się czuł i co myślał. Niczego nie można było wywnioskować. Pozostawało jedynie snucie domysłów. Właśnie to snucie domysłów na jego temat, zwłaszcza gdy robiła to kobieta, irytowało go nie mniej niż zadawanie wścibskich pytań o to, gdzie mieszka i jak się czuje.

- I nie mów do mnie pan - warknął na zakończenie ich pierwszej rozmowy.

Ostre, jesienne słońce, padając na jego twarz, odsłaniało znacznie więcej bolesnej prawdy niż wszystko to, czego się dotąd o nim dowiedziała. Trochę bała się tej twarzy, a właściwie tego, co skrywało się pod nią. Ale musiała przyznać, że miał wyjątkowo szlachetną twarz. Był zmęczony. Chyba niewyspany. A może miał kłopoty ze snem? Stąd ta drażliwość? Potem, gdy już się lepiej poznali i pytała go o to jego niespanie, zachnął się i powiedział: „Nie będę ci się zwierzał”. Była pewna, że on nikomu się nie zwierzał. Może w dzieciństwie swojej mamie. Ale przecież Sinobrody chyba nigdy nie był dzieckiem. Nie płakał. Nie przytulał się

do nikogo. Niektórzy ludzie tacy są. Nie ma w nich najmniejszego śladu po dzieciach, którymi kiedyś przecież musieli być. Niewielkiej szczeliny, przez którą można by się wślizgnąć do środka. Nie dało się uwierzyć w to, że mógł być kiedyś chłopczykiem. Że nie miał tej swojej brody i pełnego powagi wyrazu twarzy. Trudno też sobie wyobrazić, że mógł być kiedyś jasnowłosym blondynkiem. Takim z kędziorkami. Psotnym i wesołym. Szczęzącym niekompletny już rząderek mleczaków w szczerym, dziecięcym uśmiechu. Mężczyzna, który zeszłej jesieni wioził ją do Lund, był posepny i nieprzystępny.

Niemniej właśnie wtedy to wszystko się zaczęło. Zrobił na niej jednak duże wrażenie. Może dlatego, że nic nie mówił, że ignorował jej pytania. Bo były niedyskretne. Wszak nie musiał zdradzać jej, gdzie mieszka. O tym jego domu na szwedzkiej prowincji słyszała niestworzone rzeczy. Oczywiście od Moniki. Wyglądało to na jakieś plotki. Monika, chichocząc, opowiadała, że Sinobrody ma pałac. Że mieszka w dużym domu z ogrodem, z pewnością za dużym jak na potrzeby samotnego mężczyzny. Że pewnie jest już całkiem zeszwedziały. Dlatego zimą, w Dzień Świętej Łucji, dziewicy i męczennicy, w jego oknach również można zobaczyć zapalone świece. Tak samo jak u wszystkich jego szwedzkich sąsiadów. Sinobrody, w przeciwieństwie do swojego domu, który był dość nietypowy, nie wyróżniał się niczym nadzwyczajnym. Prowadził życie zwykłego obywatela. Spokojnego, takiego, co płaci podatki i przestrzega przepisów. Na co dzień grzecznego,

uprzejmego, budzącego zaufanie. Ale trzymał się na dystans. Był zamkniętym w sobie milczkiem. Jak wielu Skandynawów. Dlatego nikomu z sąsiadów to nie przeszkadzało. Oni też nie mieli wylewnej natury. Dibelius, dwukrotny wdowiec, był po prostu jednym z nich. Powściągliwym, lubiącym spokój i oczywiście zdrowy tryb życia Szwedem. Obywał się bez alkoholu, głośnej muzyki, a od pewnego czasu również bez kobiet.

Pomyślała, że teraz w jego oknie też palą się świece. Jak w oknach większości domów w jego kraju. Za kilka dni przypadał Dzień Świętej Łucji, uważany przez wielu ludzi za najkrótszy i najmroczniejszy w roku. Orszaki młodych dziewczyn, niekoniecznie dziewic, rodem ze Skanii, pojawiały się również w Gdańsku. Trochę przypominały dziewczynki w strojach komunijnych, tyle że były starsze. W dodatku miały na głowach te dziwne wianki z płonącymi świeczkami. Naprawdę niebezpieczne igranie z ogniem.

Postanowiła zadzwonić do niego. Właśnie dziś, w dzień Świętego Mikołaja. Podjęła przecież ważną decyzję i chciała z kimś porozmawiać. Z kimś bliskim. Przynajmniej do pewnego stopnia. Niekoniecznie na temat tej decyzji. Wcale nie chodziło jej o prawdziwą rozmowę, taką dogłębną. A już na pewno nie zamierzała się zwierzać. Co to, to nie! Wystarczy, że usłyszy jego głos, że on jej powie, że u niego wszystko w porządku, że może być. Gdy to usłyszy, będzie mogła spokojnie

położyć się do łóżka i zacząć myśleć o *ars bene moriendi*. Wciąż jeszcze nie skończyła z tym tematem, chociaż doktorat obroniła w zeszłym roku. Kiedy żył jeszcze profesor Dombrowski. Jej promotor i mistrz. Ale temat pozostał. W jej głowie. Dokładnie tam, gdzie się kumulowały wszystkie najważniejsze sprawy jej życia. Nie dawały jej spokoju. A temat dobrego umierania niepostrzeżenie stał się dla niej tematem głównym. Sprawą życia i śmierci. Ale tylko ona o tym wiedziała. Ze czasu jest coraz mniej. A do napisania całkiem sporo. Na to wszystko miała wyłącznie ten świąteczny miesiąc. Dla niektórych ludzi radosny, dla innych smutny i samotny, a dla wszystkich ciemny. Potem znowu zaczął ją truć. Więc musiała się spieszyć. Wykorzystała każdy dzień, każdą godzinę. Na pracę. Na pisanie. A potem, jeśli to okaże się nieuchronne, chciałaby odejść spokojnie, bez niepotrzebnych zabiegów medycznych, które tylko utrudnią i wydłużą jej odchodzenie. Ale najpierw miała ochotę na rozmowę z Sinobrodym. Właśnie z nim. Chciała porozmawiać o czymkolwiek. Niekoniecznie o sztuce dobrego umierania. A już na pewno nie o swojej chorobie. To byłoby zbyt osobiste, a przecież zawarli niepisaną umowę, że nie będą mówić o osobistych sprawach. Ani słowa, ani mru-mru. Dziś miała ochotę na rozmowę. Nawet na jakiś błahy i nic nieznaczący temat. Chciała pogadać o pogodzie, o tym orkanie, co wiał za oknem. Ale abonent był poza zasięgiem. Nie mogła nawet nagrać swojego komunikatu na automatycznej sekretarce. Po kilkunastu minutach wybrała numer ponownie. Nadal był poza zasięgiem. Może

wybrał się w jakąś daleką podróż? W rejs dookoła świata. Samotny, oczywiście. Bo jakże by inaczej? A może po prostu zapalił świece w oknach i siedział w domu przy kominku, patrząc na płonący ogień?

W domu Anki panował chłód, bo postanowiła oszczędzać na ogrzewaniu. Przecież nie przelewało jej się. Wiesiek się wyprowadził i sama musiała płacić rachunki. Poza tym lubiła chłód. Także chłodne kolory, a zwłaszcza błękit pruski. Kolor mundurów pruskiej armii. Błękitnej, w odróżnieniu od zieleni mundurów rosyjskich czy barwy indygo, w której lubowali się Francuzi. Dlatego tak dobrze się czuła nad morzem, choć przecież wychowała się na warszawskiej Woli, przy ulicy Gibalskiego. Na Gibalaku, jak mówili niektórzy. Nic więc dziwnego, że tu, nad morzem, ciągle jeszcze poruszała się po omacku. Niczym cudzoziemka. Z tym krajobrazem łączyło ją wyłącznie zamiłowanie do niebieskiego. Nie bała się wiatru szalejącego za oknem ani chłodu panującego w domu, który - choć sprzyjały temu jego klimat i wystrój - nie był jej domem.

Niemniej powinna się stąd jak najszybciej wyprowadzić. Komuś wyraźnie na tym zależało. Tą osobą wcale nie był Wiesiek, jej mąż, do którego należał ten dom. *Cherchez la femme, cherchez la femme!* Oczywiście, że za tym wszystkim stała kobieta. Ta, której zależało na tym, żeby Anna wyniosła się stąd jak najszybciej i jak najdalej. Chciała ją pozbawić domu, gdzie czuła się bezpiecznie. Gdzie mogła się zaszyć i pracować z dala od zgiełku, od ludzi, od bolesnych spraw, od lęków. Swoich i cudzych. Ten dom był przecież jej *pied-a-terre*.

Wymarzonym domem kobiety, która całą młodość spędziła w akademikach, a potem w wynajętych pokojach. Obskurnych, zimnych, nieprzytulnych. Umeblowanych byle jak: chybotliwe stoły, stare, zapadające się wersalki, wytarte dywany. Podłogi z *PCV*, płyty pilśniowe, paździerzowe i lamperie. Bylejakość, tymczasowość, niepewność. Nie chciała do tego wracać ani się stąd wyprowadzać. Zostawiać tych wszystkich niebieskości, błękitów, turkusów, grynszpanów. Chłodnych, stonowanych barw tego domu, całego w kolorze *blue*. Na własny kąt przyszło jej czekać wiele lat. Całe życie pełne trudu, wyrzeczeń, samotności. Teraz miałyby tak po prostu zabrać stąd swoje rzeczy, ulubione książki i ubrania, bibeloty? Wszystko to, co było jej własnością. Tak czy inaczej, miała się wyprowadzić po Nowym Roku. O to poprosił ją Wiesiek. Przysłał jej esemesa, kiedy jeszcze była w szpitalu. Odpisała, że się zastanowi. Nawet nie miał odwagi zatelefonować. Od czasu gdy się wyniósł z domu, nie kontaktowali się inaczej. Nie rozmawiali twarzą w twarz. Nie chciał się z nią spotkać. Napisał tylko, że chce rozwodu i żeby sobie czegoś szukała. Dom był objęty intercyzą, więc po rozwodzie utraci do niego prawa. Dlatego i tak prędzej czy później będzie musiała się wynieść. Zawsze przecież mogła wrócić do matki do Warszawy. Tam, gdzie było jej miejsce, jak podpowiadała Wieškowi jego kobieta. Niech ona się wyprowadzi stąd jak najszybciej! Wcale nie musisz jej utrzymywać! Nie masz żadnych zobowiązań. Po prostu niech się stąd zabiera, bo to nie jest jej dom, ale twój. Pamiętaj, że twój. Możesz z nim zrobić, co zechcesz. A ta twoja

żonka to zwyczajny pasożyt. Nie musisz jej utrzymywać. Niech idzie do jakiejś prawdziwej roboty i zarobi chociaż na siebie. Tylko nie wierz jej, że jest chora. Ona udaje i histeryzuje, bo chce grać na twoich uczuciach. Na emocjach. Jest w tym dobra. W udawaniu. Więc wyznacz jej konkretny termin i niech się wynosi z twojego domu. Nie ma prawa tam mieszkać. Jeszcze za to płacisz. Za wodę, za prąd, który zużywa, bo lubi taką iluminację w domu. Te wszystkie światła, światełka, światełeczka. Płacisz za wywóz śmieci, i to wcale nie mało. Za wszystko bulisz jak jakiś frajer. Tak nie może być. Dość tego. Niech się wynosi z domu, choćby dziś. Powiedz jej to, a jak nie powiesz, to ja powiem. Tej twojej żonie od siedmiu boleści. Musi wreszcie stąd zniknąć, rozumiesz? I nie mów, że będziesz jej pomagał, bo nie będziesz. Dlaczego miałbyś jej pomagać? Też coś! Ona ma dwie ręce i dwie nogi, i głowę na karku chyba też ma, więc może pracować, a nie biegać po kościołach i opisywać jakieś płyty nagrobne. Też sobie zajęcie znalazła. Kretynka. Wiesiek tylko kiwał głową. Nie miał ochoty na dyskusje z Gosią na temat domu i rozwodu. Dobrze wiedział, że Anka mogła mieszkać w willi przy ulicy Polanki do rozwodu, a nawet dłużej. Wcale nie był pewien, czy uda się ten rozwód uzyskać tak szybko, jak by życzyła sobie tego Gosia.

Ance rzeczywiście wciąż nie dawał spokoju ten temat. Mimo że już obroniła doktorat o płytach nagrobnych i *ars bene moriendi*. Ale jeśli chodzi o temat sztuki dobrego umierania, wciąż przybywało jej materiałów i pomysłów. Fascynowały ją obrzędy towarzyszące

umieraniu, o których większość ludzi już nie pamiętała. Jak się umierało, widziała w szpitalu, gdy stawiano parawan odgradzający konającą pacjentkę od tych jeszcze żyjących. Słysząc było jedynie rżenie konającej samotnie kobiety, które nie dawało innym zasnąć. Więc się wściekały i złorzeczyły. Jak pasażerowie w zatłoczonym tramwaju. O dawnych rytuałach, mających ułatwić przechodzenie na tamten świat, niemal doszczętnie zapomniano, także w tym mieście *Sądu Ostatecznego* Hansa Memlinga i podziemnych cmentarzy, tajemniczych korytarzy, kilkupoziomowych piwnic i wizerunku martwego Chrystusa na krzyżu w kaplicy Jedenastu Tysięcy Dziewic. Jej rozprawy o nagrobnych inskrypcjach i o cmentarzach pod posadzkami kościołów i tak nikt nie przeczyta. Oprócz garstki profesjonalistów. Może nie starczy jej czasu na opublikowanie wszystkiego w pierwotnie zamierzonej formie. Monumentalnej. Ale z całą pewnością powstanie ciekawy artykuł. Może nawet seria artykułów. Co prawda, najpierw będzie musiała wynająć mieszkanie. Oczywiście już po wyjściu ze szpitala. Tak na dobre. Jeśli w ogóle wyjdzie. Już teraz powinna czegoś poszukać, bo przecież nie przeprowadzi się do matki. Na razie jeszcze była u siebie. Po raz ostatni wybrała numer Sinobrodego. Niestety, dalej był poza zasięgiem.

Był nieosiągalny również wtedy, gdy ją wiozł do Lund. Siedziała obok niego, ale on nie zwracał na nią

uwagi. Nie odpowiadał na jej pytania. Zdawało się, że ją ignoruje. Ale jakoś dowiózł ją na miejsce. Kiedy wracała z powrotem, też po nią przyjechał, żeby ją odwieźć do bazy promowej. Wiadomo, ze względu na ojca. Przecież profesor prosił go, żeby koniecznie pomógł Anusi. Żeby nie nosiła ciężkiej walizki. Stary nie miał córki i chyba traktował Ankę jak swoją małą córeczkę. Więc on, jak przystało na dobrego syna, który zawsze słucha próśb ojca, pomagał Ance w noszeniu walizki. Nie był już tak zagniewany. Wydawało się, że się do niej nawet uśmiechnął. Lekki półuśmiech. Ledwo zauważalny. Ale niezmiernie cenny. Już mogła mu się przyglądać. Oczywiście ukradkiem, dyskretnie, ale zawsze. Jakoś się z nią oswoił. To dało się zauważyć. Już nie trząsał drzwiami. Jego ruchy były miękkie, spokojne. Pomyślała, że jest nawet sympatyczny. Wprawdzie trochę zamknięty w sobie i małomówny. Ale jednak miły, a na pewno uprzejmy. Znowu nosił niebieską koszulę, co zdecydowanie przemawiało na jego korzyść. Niebieskie oczy, niebieska koszula, nawet ramki jego okularów miały kolor ciemnoniebieski. Właściwie były granatowe. Bardzo eleganckie. Zapewne z tych najdroższych. Gdy się z nią żegnał, to nawet coś powiedział. Że było mu miło ją poznać. Chyba mówił szczerze. Powiedział to prawie szeptem i spuścił oczy, jakby się zawstydział. Więc zapytała, czy będzie w Gdańsku w najbliższym czasie i czy mógłby ją odwiedzić, bo tak dobrze im się rozmawiało po drodze. Rzeczywiście, rozmowa była długa, tyle że to ona cały czas mówiła, a on jej potakiwał. Kiwał głową. Ale tak przyjaźnie. Było widać, że

jej słowa mu nie przeszkadzają. Że mu się to wszystko nawet trochę podobało, że wracała z seminarium pełna wrażeń i chciała się z nim wszystkim podzielić. W końcu chyba nawet trochę mu się podobała. Była taka drobna i ruchliwa. Całkowite jego przeciwieństwo: on był wysoki i dość flegmatyczny. Ojciec miał rację, że ją tak chwalił. Że taka miła i uprzejma, a do tego zdolna. Jakby ich chciał wyswatać. Dobrze sobie. Stary usiłował swatać swojego syna z mężatką. Mówił, że jest nieszczęśliwa w małżeństwie i że to po niej widać. Że jej czegoś brakuje. Oparcia i chyba również innych rzeczy. Skąd staruszek to wiedział? Jeszcze powtarzał, że byliby ładną parą. Tu już przesadził! Chociaż ta mała wydawała się Svenowi niebrzydka. Niebrzydka i nie-głupia. Nawet trochę w jego guście, ponieważ kogoś mu przypominała. Nawet bardzo. Wcale nie chciał, żeby wyjeżdżała. Postanowił więc, że w najbliższym czasie rzeczywiście odwiedzi ojca, który mieszkał na stałe w Polsce. Nie lubił Gdańska, ale wizyta u ojca to dobry pretekst, żeby się z nią spotkać. Nie żeby porozmawiać, bo przecież nie lubił gadać, ale mogliby się spotkać i wypić kawę. Czemu nie? Był na siebie trochę zły, że tak ją z początku potraktował. Jedynie dlatego, że chciała lepiej mu się przyjrzeć. Powinien być zadowolony, że kobieta się nim interesuje. Widocznie już całkiem zdziczał z samotności i ze smutku. A ta kobieta była w dodatku dość atrakcyjna i młodsza od niego o dobrych parę lat. Chyba nawet kilkanaście. To mógłby być problem, gdyby coś między nimi zaiskrzyło. Ale nie zaiskrzyło. Nic a nic. Na szczęście. Więc na

pożegnanie serdecznie uściskał jej dłoń. Zaprosił ją do siebie. Powiedział, żeby dała znać, jak tylko się będzie wybierała do Szwecji. Ze musi go odwiedzić tam, u niego, w Oskarshamn. To małe miasteczko. Ładnie tam, zwłaszcza latem, bo zimą niespecjalnie. W każdym razie chciałby ją gościć u siebie. Ale się rozgadał! Nie mogła uwierzyć, że ją zapraszał. Do własnego domu. Czyli do domu Sinobrodego. Jeszcze kilka dni temu nie chciał nawet powiedzieć, gdzie mieszka, a teraz ją zapraszał do siebie. Dziwne. Co mu się stało? Między nimi nic się nie wydarzyło. Opowiedziała mu jedynie o seminarium w Lund i o swojej pracy. O płytach nagrobnych i o kaszubskich rytuałach czuwania przy zmarłych. O średniowiecznych pogrzebach i o szkieletach znajdujących przez archeologów pod posadzkami kościołów. Na całych Kaszubach i w samym Gdańsku, a zwłaszcza w Oliwie. Anka mówiła o tym przez całą drogę, nie zważając na to, że jej towarzysz podróży nie odzywał się ani słowem. Ale ten półuśmiech, a właściwie ćwierć uśmiech na jego twarzy pozwalał jej mieć nadzieję, że już ją zaakceptował. Wydawało jej się, że nawiązała się między nimi jakaś nić porozumienia, a nawet sympatii.

Oczywiście postanowiła nie skorzystać z zaproszenia. Wtedy wydawało jej się, że jako kobieta zamężna nie powinna wdawać się w żaden podejrzany związek z wdowcem. W dodatku dwukrotnym. Jego wdowieństwo zdawało się niezwykle podejrzane, bo przecież w tym nowoczesnym, wręcz ponowoczesnym świecie to kobiety zostawały wdowami, i to w późniejszym

wieku. Mężczyźni zaś rzadko. Więc to było niezmiernie podejrzanе i dziwne. Sinobrody też był dziwny. Nie że dziwak, ale był dziwny, chociaż nie wzbudzał w niej niepokoju. Uważała, że jest przystojny. Niemniej bała się sama przed sobą przyznać, że ten milczący mężczyzna jej się podobał i że gdy uściskał jej dłoń, poczuła to coś, czego nigdy przedtem nie czuła. Więc zawstydziała się. Miała poczucie winy. Postanowiła, że pomyśli o tym później, gdy już będzie sama w kajucie na promie i pewnie nie zdoła zasnąć przez całą noc.

Na miejscu okazało się jednak, że prom nie popłynie do Gdyni tego wieczora. Tak więc chyba będzie musiała zostać w Karlskronie. Wtedy zaproponował jej, żeby u niego przenocowała. A on zabukuje jej bilet na samolot, bo nie wiadomo, czy prom popłynie następnego dnia. Jak sztorm, to sztorm. Nie należy ryzykować. Potem dość długo jechali, aż zasnęła w samochodzie. Nie miała już siły opowiadać mu o czymkolwiek. Była zmęczona.

Podróż trwała dość długo. Przez cały czas było ciemno i cicho. Chyba musiał ją wynieść na rękach z samochodu, bo obudziła się dopiero na kanapie, przykryta kraciastym, ciepłym kocem. W kominku palił się ogień.

- Może się czegoś napijesz? - zapytał uprzejmie.
- Uhm.
- Herbaty?
- Dobrze, herbaty.
- Cukier? Mleko?
- Piję mocną bez cukru i bez mleka. -Hm.

- Go „hm”?

- Minimalistycznie.

Herbatę podał w błękitnym imbryku. Prześlicznym. Filiżanki i talerzyki też miały ten sam kolor. „Znakomicie, mogłabym tu zostać” - pomyślała. Ściany w tym wielkim, chyba sześćdziesięciometrowym salonie były wprawdzie zielone. Ale to też chłodna barwa. Jak morze w lecie. Zupełnie inne niż teraz podczas sztormu. Wszystko świadczyło tu o dobrym smaku. Angielskie klubowe fotele i meble kolonialne, a właściwie stylizowane na kolonialne, były dość ciężkie, ale pasowały do wnętrza. Całości dopełniały poutykane gdzieś akcenty żeglarskie. Zdradzały pasję gospodarza. To był zdecydowanie niekobiecy salon. Chyba urządzał go sam, już po śmierci drugiej żony. Wnętrze sprawiało dość przytulne wrażenie, a zarazem odpychało. Czowała się tam znakomicie, a jednocześnie wiedziała, że jest nie u siebie. Meble, bibeloty, korzenne zapachy należały do innego porządku. Ten świat nigdy nie będzie do niej należał. Podobnie jak gospodarz, który patrzył na nią z troską, ale nic nie mówił. A ona nie miała już siły zagadywać tej ciszy wiszącej między nimi. Ani się uśmiechać, trzepotać rzęsami, robić zdziwionej miny. Chciało jej się spać. Jednocześnie miała wielką ochotę jeszcze przez chwilę poprzyglądać się temu domowi, który wbrew jej oczekiwaniom okazał się wykwintnie urządzoną willą, chyba dość obszerną, sądząc po rozmiarach salonu. Ten dom, a właściwie salon, przypominał nieco salon w domu jej ojca w Otwocku. Brakowało tylko jednego elementu - ogromnego kobiecego

portretu, który znajdował się w centralnym punkcie tamtego podwarszawskiego salonu.

Gdy zabrakło herbaty i konfitur morelowych, nie można już było przedłużyć miłego wieczoru, zwłaszcza że gospodarz sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego. Zaprowadził ją do pokoju gościnnego, gdzie miała spędzić noc. Po drodze minęli pokój, który był chyba jego sypialnią. Dominowało w nim wielkie małżeńskie łóżko. „Pewnie teraz sypiają w nim różne młode panny, które umilają mu weekendy, bo na stałe raczej nie ma nikogo” - przeleciało jej przez głowę. Zawstydziała się swoich myśli. Zupełnie jakby chciała wziąć udział w jakimś castingu na trzecią żonę Sinobrodego. A była przecież mężatką. Może nie najszczęśliwszą, ale zawsze. Tak więc tego należało się trzymać.

Gdy już leżała w łóżku, zapukał do jej pokoju z niewinnym pytaniem, czy czegoś jej nie trzeba. Pytanie było wprawdzie neutralne, ale jego twarz zdradzała zupełnie inne zamiary, które nie wydawały się niewinne. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Od razu wyczuła, że to pytanie chyba stanowiło jedynie pretekst. Chciał wiadomo czego. Mogła po prostu na to przystać. Zamiast spać w dość niewygodnym, ale za to stylowym łóżku w pokoju gościnnym, spędzić noc w sypialni gospodarza, któremu zebrało się na amory. Coś go chyba naszło. Już po drodze z Lund do Karlskrony zrobił się miłszy, a w momencie gdy stał w drzwiach pokoju gościnnego, miał maślane oczy.

- Nie, niczego nie potrzebuję - odpowiedziała stanowczym tonem i zaraz tego pożałowała, bo Sinobrody

bez słowa zamknął drzwi i poszedł do swojej sypialni. Usłyszała, jak przekręca klucz w zamku. Czyżby zamykał się przed nią? Więc ona też przekręciła klucz u siebie. Dla równowagi. Jeśli on się zamyka na klucz, to ona też. Zupełnie jak w przedszkolu. Tamtej nocy oboje zachowywali się niepoważnie. Mieli ochotę spędzić ją razem, ale zabrakło im odwagi.

Miała skrupuły z powodu męża. Czas pokazał, że zupełnie niesłusznie. Właśnie podczas jej pobytu w Lund Wiesiek po raz pierwszy zaprosił Gosię do ich małżeńskiej sypialni. Żeby nie ranić uczuć córki swojej kochanki, która wówczas jeszcze mieszkała z Gosią. Oboje niezmiernie się ucieszyli, że prom został odwołany i że Anna przez jeszcze jedną noc zostanie w Szwecji. Mieli całą noc dla siebie i jeszcze kawałek następnego dnia mogli spędzić w błękitnej małżeńskiej sypialni Formelów, z której Gosia ciągle się wyśmiewała, że jest romantyczna i pensjonarska. Ile ona ma lat, ta twoja? Siedemnaście? Jak można tak urządzić sypialnię?! Te błękity dobre są dla grzecznej nastolatki, a nie dla dorosłej kobiety, już dobrze po trzydziestce. Wiesiek nic nie odpowiadał na te słowa. Kobiety byłyby naprawdę wspaniałe, gdyby mniej mówiły i nie psuły najlepszych chwil swoim gadaniem. Pierwsze chwile z Gosią w łóżku były bowiem wspaniałe. Wiesiek od dawna tak się nie czuł. Zupełnie jak młody bysio, którym przecież już od dość dawna nie był. Ostatnio nie miał nawet ochoty na szybkie numerki ze swoją biuściastą sekretarką w biurze. A z Gosią było mu tak dobrze, że powtarzał jej na ucho, że jest jak w niebie,

a ona zamiast ochoczo potakiwać i stękać, jak na rasową kochankę przystało, szydziła z gustu jego żony, który zdaniem Wieśka pozostawał bez zarzutu.

Dibelius rzeczywiście poczuł się urażony zachowaniem swojego niespodziewanego gościa. Bo ta cała Anusia - niebrzydka i niegłupia - jak ją zachwalał jego ojciec - zachowała się idiotycznie. Była po prostu beznadziejna. Nieważne, że mu się podobała, bo wyglądała jak Mia Farrow w *Dziecku Rosemary*. Ta sama blond fryzurka i twarz anioła. Trudno nie zwrócić uwagi na takie zjawisko. Więc zwrócił, lecz od razu tego pożałował. Nie umiała się zachować. Najpierw kokietowała go przez całą drogę, trzepotała tymi swoimi firanami jak jakaś potłuczona, a gdy potem przyszło co do czego, powiedziała „nie”. I to jakim tonem? Głupia histeryczka!

Na szczęście sztorm osłabł i prom miał wypłynąć jeszcze tego wieczora. Dibelius ogromnie się cieszył, że się jej wreszcie pozbędzie. Wszak miał coś pilnego do załatwienia. A jakże! Więc zastanawiał się, czy zdąży na wieczorny samolot do Sztokholmu. Bezpośrednie loty do Sztokholmu z małego, prowincjonalnego lotniska odbywały się wyłącznie dzięki temu, że w Oskarshamn znajdowała się elektrownia jądrowa. Dlatego mieszkając na głębokiej prowincji, Dibelius mógł szybko znaleźć się w stolicy. To miało dla niego ogromne znaczenie. Ze względu na interesy. To one były w jego życiu najważniejsze. Plus oczywiście

rodzina. Czyli synowie. Z pierwszego małżeństwa. Już całkiem dorośli. Ralph i Norman. Mieli przyjechać na święta. Ralph z Norwegii, a Norman aż z Afryki Południowej. Nosiło ich po świecie. Ale przecież zawsze był blisko z synami. Między nimi była więź. Prawdziwa, silna więź. Miał co do tego absolutną pewność.

Na razie należało jak najszybciej wyekspediować tę uroczą panią do Karlskrony. Niech wraca do męża, skoro jest taka cnotliwa. Niech się tu więcej nie pokazuje. O nic nie będzie jej prosił. Bo w tym, co zdarzyło się wczoraj, tkwiło coś w rodzaju prośby. Poczł się tak ogromnie samotny, a ona zbudowała tak lepki i intymny nastrój, że się wygłupił. Wstydził się tego i dlatego podczas śniadania nic nie mówił i nawet na nią nie patrzył.

Znowu to samo. Dąsy, nieskrywana złość. Straszny facet. To samo, co za pierwszym razem. Anka nic nie zjadła na śniadanie, bo jedzenie chyba stanęłoby jej w gardle. Wypiła tylko herbatę. Tym razem nie było błękitnego imbryka ani filizanek. Zamiast tego czekał na nią prosty, siermiężny kubek i maczanka. Nawet nie miała ochoty rozejrzeć się po domu ani po ogrodzie, który okazał się znacznie większy, niż można by przypuszczać. Dom Sinobrodego to była prawdziwa posiadłość. Zupełnie nie w skandynawskim stylu. Wyglądał na nieco nowobogacki. Jak z tych szwedzkich kryminałów o mężczyznach, co się zdradziecko uśmiechali i byli posiadaczami fortun, których dorobili się na handlu narkotykami. Przed nią zaś stał mężczyzna, który wprawdzie się nie uśmiechał prawie wcale, ale chyba zajmował się jakimiś podejrzanymi interesami,

bo uczciwą, ciężką pracą nie tak łatwo dorobić się w Szwecji takiej posiadłości. Prędeż drewnianego domku z mikroskopijnym ogródkiem, w którym na maszcie powiewa szwedzka flaga.

Anka demonstracyjnie usiadła na tylnym siedzeniu i przez całą, dość długą drogę z Oskarshamn do bazy promowej w Karlskronie nie odezwała się ani słowem. Zacięła się. Udawała, że śpi, chociaż wcale nie chciało jej się spać. Dibelius zrozumiał, że przesadził z tymi porannymi dąsami, ale ona też mogłaby nieco spuścić z tonu. W końcu wczoraj wyglupili się oboje. Chciał to jakoś załagodzić. Przecież mimo wszystko mu się podobała. Ojciec miał rację. Była niebrzydka i niegłupia. W dziennym świetle to pierwsze stawało się jeszcze widoczniejsze. I kokietowała go po babsku. Niech jej będzie. Nawet to lubił. Jego druga żona, Frida, też taka była. Jasna blondynka i drobniutka. Delikatnej urody. Zdrowie też niestety miała delikatne.

Więc gdy już dojechali do Karlskrony i wyciągał jej śliczną walizeczkę z bagażnika, zaproponował, żeby jeszcze pojechali do miasta, bo chyba nie warto siedzieć w poczekalni przez tyle godzin. Prom wypływał wieczorem. Chciał zatrzeć złe wrażenie. Trochę go irytowała, ale równocześnie podobała mu się coraz bardziej. Więc jeśli nawet spóźni się na ten wieczorny samolot, to nic nie szkodzi, polecą jutro. Miał czas. Sprawa nie była aż tak pilna, choć niewątpliwie ważna.

Z początku się boczyła, ale była głodna i w końcu przystała na rozsądną propozycję Svena. Ale już nie miała ochoty na rozmowy. Nie bawiło jej też

liczenie zmarszczek na jego twarzy i szacowanie ceny okularów, które miał na nosie. Nie bawiły jej spekulacje, czy aby nie pochował w ogrodzie swoich dwóch żon i kilku innych pań, które zaprosił na weekend. Żeby przemocowały na wąskim łóżeczku w pokoju gościnnym w pakiecie i piły herbatę zaparzoną w niebieskim imbryczku. Sinobrody znowu próbował być miły, a na pożegnanie uściśnął jej dłoń. Znowu poczuła się dziwnie. Może poprzednią noc należało spędzić na nieco wygodniejszym pościeliu?

Nocą na promie przewracała się z boku na bok i z brzucha na plecy, zastanawiając się, co by się wydarzyło, gdyby jednak... Przecież wiadomo, o co mu chodziło. Jej zresztą też. Nie trzeba być hipokrytką. Ten mężczyzna ją pociągał, i to od pierwszej chwili. Dlatego tak uważnie mu się przyglądała. Przypominał jej kogoś ważnego. Ten sam typ. Dostatecznie wysoki, poważny, skupiony. Jej ojciec też taki był. Również nosił brodę i miał podobne okulary. Był tak samo niedostępny i tajemniczy. Nawet dom miał podobnie urządzone. W przypadku Dibeliusa pierwsze wrażenie okazało się złe, za to drugie lepsze, a nawet całkiem dobre, ale trzecie znowu fatalne. I tak w kółko. Ich znajomość zaczęła się od tego, że rzucił jej walizką w głąb bagażnika, a każdy jego gest zdradzał irytację i niechęć do niej. Nie wiadomo, z jakiego powodu. Ale potem to się zmieniło. Również trudno dociec dlaczego. Więc

dobrze, że była już na promie i płynęła z powrotem do domu, do Wieśka, który zapewne będzie czekał na nią w Gdyni. Może nawet cmoknie ją w policzek na przywitanie. Ale to tak przelotnie, *pro forma*, żeby zaznaczyć, że wciąż są małżeństwem, chociaż coraz bardziej oddalali się od siebie. Zwłaszcza on się oddalał od niej. Mieszkali razem, ale żyli osobno. Anka zresztą zawsze była osobna. We wszystkim. W dodatku nie zauważała tego, co się działo w jej najbliższym otoczeniu. Nie dostrzegała, że Wiesiek zaczął żyć na własną rękę, a właściwie na kocią łapę. Z dawną szkolną koleżanką, która właśnie rozstała się z mężem.

Wszystko zaczęło się od tego, że zapisali się na siłownię. To było kilka miesięcy przed podróżą Anki do Lund. Wiesiek chciał stracić brzuch i nabrać mięśni. Mężczyzna w pewnym wieku musi dbać o siebie, żeby nie sflaczeć. Namówił żonę, żeby zaczęli razem chodzić na siłownię. Przecież trzeba się ruszać. Ćwiczyć, żeby się pot lał hektolitrami. Anka zgodziła się, chociaż zupełnie nie miała na to ochoty.

Właśnie w tej siłowni pojawiła się ona. W obcisłym kostiumie. Z wielkim tyłkiem. Potrząsała nim cały czas. Jakby to było coś, z czym należy się obnosić. Akurat. Dzięki forsownym ćwiczeniom chciała ten tyłek stracić. Po to tam chodziła. Żeby schudnąć, a przy okazji poderwać jakiegoś faceta. Ten drugi cel jednak został pierwszym, jak tylko zobaczyła Wieśka. Anka od razu to wyczuła.

- Och, Wiesiek, kopę lat! Nic się nie zmieniłeś - tak zaczęła mówić. Potem od razu uderzyła do Anki:

- A pani jest żoną Wieśka? Taka chudzina? Przecież Wiesiek zawsze lubił pełne dziewczyny. - Musiała dopiec rywalce. Od początku było jasne, że są rywalkami. Ze tu chodzi o Wieśka. Ze ta kobieta z dużą pupą podrywa jej męża. Więc Anka nie miała wyjścia, musiała chodzić na tę cholerną siłownię, chociaż potwornie ją to męczyło. Zresztą wcale nie chciała się odchudzać. Nie musiała. Ale chodziła tam nawet z katarem i z kaszlem. Byle ta baba nie zbliżała się do jej męża. Cały czas wpatrywała się w niego takim głodnym wzrokiem. Od początku było jasne, o co jej chodziło. Dążyła do tego konsekwentnie. Z początku Wiesiek nie zwracał na nią uwagi. Nawet się z niej podśmiewał. Mówił, że ma tyłek jak armata, i śmiał się. Oczywiście w domu, po powrocie z siłowni. Leżał na kanapie i rechotał. Pewnego dnia oświadczył, że już nie będzie tam chodził. Ze woli ćwiczyć w domu. Wtedy Anka zaniepokoiła się na serio, lecz nie dała tego po sobie poznać. Wiesiek nie chodził już na siłownię, ale za to coraz później wracał z pracy. Jego żona domyślała się, co się stało. Nie była naiwna. Ale sama przed sobą udawała, że wszystko jest w porządku. Chociaż tak nie było.

Gosia jednak postanowiła pójść na całość i wreszcie zrobiła ten pierwszy krok. Zadzwoiła do Wieśka. Na jego służbowy numer. Zapytała, czy do niej przyjdzie. Tak po prostu. Bez ogródek. A on nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Zamurowało go. Zupełnie nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Owszem, zauważył, że patrzyła na niego w dość szczególny sposób. To go dowartościowywało jako mężczyznę. Czuł się atrakcyjny

i to mu odpowiadało. Ale nie spodziewał się, że Koljaczkowa (bo tak mówili o niej w szkole) zacznie oczekiwać czegoś więcej. Był trochę skrępowany, gdy tam szedł. Głupio się czuł. Ale ciekawiło go, jak będzie.

Gosia nie mogła się doczekać. Umówili się na piątą, a już była szósta i Wiesiek wciąż nie przychodził. Zwątpiła i już chciała zdjąć z siebie te koronki. W końcu zadzwonił do drzwi. Był czerwony jak burak. Nie wiedział, co powiedzieć. Zaprosiła go do salonu. Zapytała, czego się napije, a on odparł, że wody. Zeby nie robiła sobie kłopotu. Nie wiedziała, jak to dalej pociągnąć, bo Wiesiek wyglądał na ogromnie skrępowanego. Cały czas się czerwienił. Pił wodę małymi łykami. Nie zdołał wydusić z siebie ani słowa. Poza tym nie wiedział, o czym rozmawiać. Z żoną też nie rozmawiali za wiele, bo ona ciągle tylko czytała i czytała. Nigdy nie miała dla niego czasu. Wiesiek nie nawykł do gadki. Do roboty to i owszem, ale nie do rozmów. Nie do gadania po próżnicy, jak to mówiło się w domu u Formelów. Jeszcze kiedy mieszkali w Sierakowicach. Zanim w siedemdziesiątym czwartym przenieśli się do Gdańska. Ojciec pracował w stoczni jako elektryk. Harówka była ciężka, a pieniądze marne. Ale ziemi na wsi nie mieli za dużo, więc stary ściągnął ich do miasta, bo przydzielili mu mieszkanie kwaterunkowe w Nowym Porcie. I już tak zostało. Wiesiek był najstarszy z rodzeństwa i długo nie mógł się przyzwyczaić do miasta. A także do tego gadania o niczym. Więc siedząc naprzeciwko Gosi i pijąc wodę mineralną z bąbelkami, nie wiedział, co ma powiedzieć ani po co tu przyszedł. Właściwie

to już powinien wyjść. Powinien wracać do domu, do żony. Nie wygłupiać się. Bo z sekretarką to było co innego. Brał ją w biurze na szybko. Tak dla zdrowia. Fajna dziewczucha była. Z Sierakowic, jak on. Zostawała z nim po godzinach. Czasem przychodziła wcześniej, przed pracą. Nie zajmowało im to dużo czasu. Najwyżej piętnaście minut. Ale z tą babą to nie wiedział, co począć. Polowała na niego przez całe trzy miesiące. Na tej siłowni. Wcale mu się nie podobała. Ani młoda, ani ładna. Ale była chętna. Najwyraźniej. Cały czas dawała mu to do zrozumienia, że ma na niego chęć. Kiedy chodzili z Anulką na siłownię, podrywała go na oczach żony. Bezczelna baba. Więc w końcu postanowił, że nie będzie tam więcej przychodził. Dlatego powiedział żonie, że koniec z tą cholerną siłownią. Ze ma dosyć, bo i tak nie schudnie. Szkoda czasu. Wtedy Koljaczkowa zadzwoniła i zaprosiła go do siebie. Ot tak, po prostu. Powiedziała, że będzie na niego czekała w czwartek o siedemnastej u siebie w domu. Podała adres dla przypomnienia i zaraz się rozłączyła. Początkowo Wiesiek wcale nie zamierzał przyjść. Śmiał się z niej. Przecież wcale mu się nie podobała. Więc nie zamierzał się wplątywać w żadną kabałę.

Nawet nie zauważył, jak wstała i wyszła z salonu. Tak był skupiony na tej wodzie mineralnej, którą pił. Na bąbelkach. No i jeszcze był zajęty swoimi myślami. Zastanawiał się, po co tu przyszedł, skoro nie interesowała go Gosia. Już prędzej sekretarka. Ta z Sierakowic, co odeszła kilka dni temu. Powiedziała, że wraca do domu i wyjdzie za mąż, bo chce mieć dzieci i normalny

dom. Odeszła, chociaż dobrze jej płacił. Nawet bardzo dobrze. Miał nadzieję, że w ten sposób ją zatrzyma. Zaproponował jej nawet podwyżkę. Ale nic nie pomogło. Odeszła. Więc wyglądało na to, że nie miał nikogo na stałe. Dziewuch z agencji nie lubił. To było poniżej jego godności. Myślał nawet o nowej sekretarce. Chciał zatrudnić jakąś młodą dziewczynę. Może się nada. Takie miał plany. Nie planował jednak romansu z Gosią Herbst. W końcu ją i tego jej Kubę pamiętał jeszcze z liceum. Stanowili wyjątkowo niedopasowaną parę. Jednak się pobrali i dość długo byli ze sobą. „Ja cię kręcę!” - pomyślał, gdy weszła do pokoju, rozebrana do rosołu. A właściwie do gorsetu. Był taki czarny z czerwonym. Więcej czerni niż czerwieni. To go niesamowicie kręciło. Tak sobie w myślach powtarzał, że widok ogromnego gołego tyłka kręci go na maksa. Nie umiał tego ukryć. Gosia wiedziała, jak się rozebrać. Co wyeksponować, a co schować. Zaczzerwienił się jeszcze mocniej. Postanowił, że to tylko ten jeden raz. Jedyny. W końcu dawno tego nie robił w taki sposób, w jaki lubił. W pracy nie miał czasu na takie ceregiele. Na czarne koronki, na gorsety i podwiązki. Ściągał jedynie sekretarce bawełniane majtki i od razu przystępował do rzeczy. Teraz zaś mógł sobie popatrzeć na to, co miała mu do pokazania Gosia. Zona nie miała pojęcia o jego prawdziwych potrzebach. Na koronkowej bieliźnie też się nie znała. A ta szelma wiedziała, o co chodzi. Ale nawet jak już leżeli na podłodze, cholernie twardej, z sosnowych desek, i Wiesiek rozpinał ten gorsecik, cały czas sobie obiecywał, że to jednorazowy

wyskok. Bez żadnego znaczenia. Nawet powiedział to głośno.

- Żeśmy się zapomnieli - wystękał, gdy już skończyli. A Gosia tylko krzywo się uśmiechnęła. Tak po gośkowemu. Już dobrze wiedziała, że teraz to ona jest górą, bo Wiesiek i tak wróci. Żeby nie wiadomo jak się zarzekał, wróci.

Potem zaczęli się spotykać regularnie. Jeśli Anki nie było w domu, to u Wieśka, a jeśli nie było Agnieszki, córki Gosi - to u niej. Wiesiek nie traktował tego serio. Tak myślał. Nawet zaczął mówić do siebie. Że mu nie zależy na tej babie. Bo jest stara i brzydka. Ale wciąż do niej wracał. Gały czas powtarzał też sobie w myślach, a czasem na głos, że jest żonaty. A żona jest taka delikatna. Nie chciał jej urazić. Zranić. Traktował Gosię jako coś tymczasowego. Znajdzie nową sekretarkę, podobną do poprzedniej, i wszystko wróci do normy. Przecież nie było w tym żadnego uczucia. Wciąż kochał tylko żonę. Oddałby za nią życie, gdyby trzeba było. Tak mówił. Powtarzał to często. Żeby się upewnić, bo coraz częściej w to wątpił. Anulka tylko kiwała głową i prosiła go, żeby nie gadał głupot. Więc w końcu przestał powtarzać. Ale nie przestał spotykać się z Gosią.

Tamtego wieczoru, po powrocie Anki ze Szwecji, Wiesiek położył się obok żony w ich małżeńskim łóżku, a właściwie łożu, i od razu zasnął, taki był zmęczony. „Ciekawe po czym” - zastanawiała się jego żona, nie mogąc zasnąć. Już tej pierwszej nocy po powrocie nie mogła przestać myśleć o nowym znajomym. Miała nawet ochotę porozmawiać z kimś na ten temat. Ale

przecież tak na dobrą sprawę nie było o czym mówić, bo nic się nie zdarzyło. Tylko uścisk dłoni. Plus to, co zdarzyło się poprzedniej nocy. A właściwie co się nie zdarzyło, bo dała mu kosza. Naprawdę dziwny człowiek. Tajemniczy, chłodny i taki wycofany. W dodatku cały czas miał te swoje *ups and downs*. Prawdziwy Sinobrody. Intrygujący i nieobliczalny. Właśnie dlatego zrobił na niej ogromne wrażenie. Chciała się dowiedzieć o nim czegoś więcej. Może Monika coś wie? Przecież nie będzie pytać profesora. Od razu by się zorientował. Tak, zorientowałby się. Ze co? Ze Sinobrody jej się podoba. Ze chciałyby jeszcze raz się z nim spotkać. Oczywiście tak przy okazji. Gdyby na przykład przyjechał do ojca do Gdańska. Chyba czasem tu bywa? Wtedy mogliby się spotkać i porozmawiać. Chociaż Ance nie chodziło o rozmowę. Patrząc na pochrapującego męża, przesiąkniętego zapachem perfum, których sama nie używała, nie miała żadnych wątpliwości, że głupio się zachowała, wypraszając Dibeliusa z pokoju gościnnego. Zastanawiała się, czy on się do niej jeszcze kiedykolwiek odezwie. Może to ona powinna zrobić pierwszy krok jako wścibska baba, w dodatku blondynka? Zeszła na dół, do kuchni, bo nie chciała budzić Wieśka. Było jej zimno, chociaż miała na sobie niebieski szlafrok frotte. Cała się trzęsła z zimna. A może nie z zimna, ale z przejęcia? Chciała coś zrobić, czuła, że musi. Może po prostu napisać? Tylko nie wiedziała co. Czy to wypada? Oczywiście, że nie wypada. Nie powinna starać się podtrzymywać tego kontaktu. Była tego pewna. A jednak wysłała krótkiego esemesa: *spisz?*

bo ja nie mogę. Zaraz przyszła odpowiedź: *nie śpię*. Równie krótka i bezpośrednia jak jej pytanie. Nie wiedziała, o co jeszcze mogłaby zapytać. Liczyła na to, że może on coś wymyśli, że zada następne pytanie i że rozmowa jakoś się potoczy. Ale on milczał. Tamtej nocy nie nadeszła żadna nowa wiadomość. Niemniej po kilku dniach, podczas kolejnej bezsennej nocy, znowu wysłała wiadomość i zaraz otrzymała odpowiedź. Równie krótką i zdawkową jak jej pytanie. Ale zawsze.

Zastanawiała się, dlaczego on jest taki małomówny. To pewnie kwestia języka. Chyba słabo mówi po polsku i dlatego odpowiada półsłówkami. Po prostu. A najczęściej nie mówi nic. Chociaż wcale jej to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie, pociągało ją, to jednak chciała dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Może od profesora? To było jedyne dostępne źródło. Zresztą to on zaaranżował ich spotkanie, więc winien był jej wyjaśnienia, ponieważ ono sporo ją kosztowało. Chyba zmieniło coś w jej życiu, chociaż pozornie nie nastąpiła żadna zmiana. Żyła jak dawniej. Spokojnie, bez emocji. Czasem tylko musiała wysłać krótkiego esemesa do obcego mężczyzny. Zaledwie dwa lub trzy słowa, bo na takie najlepiej reagował. Nie lubił dłuższych.

Okazało się jednak, że profesor Dombrowski zachorował i trafił do szpitala. Ale zapewniał ją, że to nic takiego, że złego diabli nie biorą. Im bardziej ją zapewniał, tym bardziej była zaniepokojona. Leżał na

onkologii. Źle wyglądał. Podobno odwiedzali go tylko ludzie z wydziału. Żadnej rodziny. Ten Sinobrody chyba naprawdę nie miał serca. Nie przyjechał do chorego ojca. Wolał siedzieć w swojej samotni. Pewnie, tak przecież najwygodniej. Cholerny eremita.

W szpitalu czuła się skrępowana. W sali leżało kilka osób. Starych mężczyzn w wieku profesora. Wszyscy byli w kiepskim stanie. Anka nie wiedziała, jak zacząć właściwą rozmowę.

- No powiedz wreszcie, o co chodzi. - Mówiąc to, profesor puścił do niej oko.

- Nic, właściwie nic, panie profesorze.

- Widzę, że jednak coś jest na rzeczy. Mów, proszę.

- Dlaczego on, to znaczy dlaczego Sven, pana syn, jest taki małomówny? - wykrztusiła po dłuższej chwili milczenia.

Profesor uśmiechnął się. Chyba był zadowolony, że jego ulubioną uczennicę interesowały takie rzeczy. Mimo wszystko zależało mu przecież na tym, żeby się poznali.

- Sven? Raczej Szczepiek albo Szczepanek, bo tak na niego wołaliśmy, jak był mały. Daliśmy mu na chrzcie Szczepan. Jego matka lubiła to imię. Ale on zmienił je na głupie Sven, bo Szczepan mu zgrzytało. Tak mi powiedział. Stygmatyzowało go podobno, tak jak nazwisko Dombrowski. Ponieważ było trudne do wymówienia i kojarzyło się ze Wschodem. Z Rosją. A to nie jest dobre skojarzenie. Więc zmienił równocześnie imię i nazwisko.

- Ale dlaczego nazwisko?

-To długa historia, kiedyś ci opowiem, jak już mnie stąd wypiszą.

- Ale dlaczego jest taki małomówny, jakby był zasznurowany? - Anna przerwała profesorowi. Nigdy wcześniej się to jej nie zdarzyło. Dombrowski jeszcze raz się uśmiechnął.

-W dzieciństwie jąkał się i pewnie dlatego jest taki małomówny.

- Aha. - Nie chciała pytać o nic więcej. I tak się wygłupiła. Uśmiech Dombrowskiego mówił wszystko. Zorientował się. Wiedział, że coś się wydarzyło. Ze ona już nie może spokojnie się nudzić u boku Wieśka Formeli. Zajmować się ustawianiem filiżanek w serwantce. Malowaniem mebli na niebiesko. Coś się w jej życiu skończyło. Ten spokój i ład, do którego tak wytrwale dążyła.

Więc może dziś znowu uda się go wywołać? Może nie jest poza zasięgiem? Odpowie? Tak jak to on, krótko. Zdawkowo. Chociaż dwa słowa. Pół zdania. Zawsze coś. Napisała, że właśnie wyszła ze szpitala i że ma miesiąc dla siebie. Wierzyła, że tym razem jej odpowie. Tak jak zawsze. Krótko, ale treściwie. Tak jak to miał w zwyczaju. Przyzwyczaiła się do tego. Wierzyła, że przyjedzie. Tak jak ostatniej wiosny na pogrzeb profesora Dombrowskiego.

Gdy zobaczyła Dibeliusa w kościele, poczuła się dziwnie. Była to smutna uroczystość, a ona poczuła radość, że wreszcie go zobaczyła. Kilka miesięcy

po tamtym spotkaniu, które zaczęło się niefortunnie w bazie promowej w Karlskronie. Przez całą mszę zamiast się modlić, zastanawiała się, czy się z nią umówi. Oczywiście już po pogrzebie. Może chociaż porozmawia z nią przez chwilę. Zawsze to coś. Albo nawet pójść razem na kawę. Powinna płakać, ale zamiast tego czuła coś na kształt radości. I wstyd się przyznać - podniecenia. Ciągłe myślała, jak to będzie, gdy wreszcie stanie z nim oko w oko. Może wcale jej nie pozna? Widzieli się tylko raz. Od tego momentu minęło trochę czasu, więc może jej nie poznać. Albo będzie udawał, że jej nie poznaje. Po Sinobrodym można się wszystkiego spodziewać. Gdy wreszcie, już na cmentarzu, podeszła do niego, by go uściskać w geście kondolencji, miał nieobecne spojrzenie. Ale poznał ją i przytulił, a nawet pocałował. Nawet jakby się uśmiechnął. Tylko dłonie miał chłodne. Nic nie powiedział. Anka znowu poczuła wstyd, że podczas mszy zastanawiała się, czy się z nią umówi. Dla Sinobrodego spotkanie z Anką było w tej chwili chyba ostatnią rzeczą, o której myślał. Był zaprzątnięty pogrzebem. Ciągłe ktoś do niego podchodził. Przeważnie starzy ludzie. Dlatego szybko odeszła, zwłaszcza że byli z nim jego synowie. Bardzo podobni do niego. Zwłaszcza jeden z nich. Potem dowiedziała się, że to starszy i że ma na imię Norman. Też miał brodę jak ojciec. „Trzech wikingów” - pomyślała, odchodząc.

Już wychodziła z cmentarza, gdy poczuła, że ktoś jej położył rękę na ramieniu. Czyżby jej marzenie miało się spełnić? Ale to nie był Dibelius, lecz Koljaczkowa, jak mówił o niej Wiesiek. Ciekawe, dlaczego tu

przyszła. A jeszcze ciekawsze, dlaczego wykonała ten gest. Czy to miało oznaczać pokój między nimi, czy wręcz przeciwnie? Tak na dobrą sprawę, wcale się nie znały. Widziały się zaledwie kilka razy na tej cholernej siłowni. Więc to nie była żadna znajomość.

- O co chodzi? - Głos Anki zabrzmiał nienaturalnie wysoko.

- Musimy porozmawiać. - Gosia była spokojna i pewna.

- Nic nie musimy, to znaczy ja nic nie muszę!

Anka wyrwała się i pobiegła do wyjścia z cmentarza. Była wściekła i lekko spanikowana. Ta kobieta ośmieliła się do niej podejść! Ukradła jej męża, a teraz chciała zagarnąć resztę. Tak głęboko przejęła się tym nagłym atakiem, że nie dosłyszała dźwięku telefonu. Ktoś próbował się z nią połączyć. Ona jednak niczego nie słyszała. Taka była wściekła. Potem ogromnie tego żałowała. Dzwonił do niej cztery razy. Próbowwała oddzwonić, ale miał wyłączony telefon. Przez cały wieczór siedziała samotnie w kuchni, czekając nie wiadomo na co. Pewnie nie miał czasu. Trudno się dziwić. Po pogrzebie czekało go dużo zajęć. Pewnie jakaś stypa. W rodzinnym gronie, z tymi synami. Nie zadzwoni. Poszła na górę, do sypialni. Miesiąc wcześniej Wiesiek spakował swoje rzeczy i się wyprowadził. Nawet jej nie uprzedził. Zostawił jedynie kartkę. Ze się wyprowadził i to wszystko. Tamtego dnia, po męczącym i smutnym pogrzebie, szybko zmorzył ją sen. Dopiero następnego dnia rano znalazła esemesa od Sinobrodego. Piła właśnie kawę ze swojej ulubionej filiżanki *china blau*, gdy

natrafiła na wiadomość, która ją zelektryzowała. Że czeka na nią w hotelu „Scandic”. „To ten bunkier naprzeciwko Dworca Głównego” - pomyślała. Nieważne, co to za miejsce, ważne, że tym razem nie można zmarnować okazji. Szybko odpisała, że przyjdzie, i jeszcze zapytała, o której ma się zjawić. Odpowiedź przyszła natychmiast: że jak najszybciej, że będzie czekał na dole, przy recepcji. Za godzinę.

Teraz miała typowo babski dylemat. Jak się ubrać? Jak uczesać? Nie miała nic nowego, a jej ulubione dzinsy okazały się za ciasne w pasie. Czyżby przytyła? Najwyraźniej tak. Więc może jakaś sukienka albo spódnica? Było chłodno - wczesna wiosna. Szkocka kratka nie będzie taka zła. Poza tym dwuczęściowy strój zawsze pozwala zatuszować niedoskonałości sylwetki. Przede wszystkim proporcje ciała. Zbyt krótkie nogi. Przypominały jej się docinki matki. Że ma nóżki jak u kacuszki, nie wiadomo po kim. Przecież oboje rodzice byli długonodzy. „W kogoś ty się wdała, że jesteś taka mała?” Grażyna Wichura lubiła dręczyć córkę takimi pytaniami. „Takie brzydkie kaczątko jesteś! Nie dość, że nogi masz byle jakie, to jeszcze włosy słabe. Nie to co ja!” Więc stojąc przed dużym lustrem w sypialni, Anka zastanawiała się, co zrobić, żeby jej włosy wydawały się gęściejsze. Ale nic jej nie przyszło do głowy. Żaden pomysł na to, jak zagęścić włosy w pięć minut. Postanowiła uczesać się tak, jak to robiła na co dzień. Zaczesać grzywkę na lewy bok. Miała krótkie włosy. Ostrzyżone na chłopaka. I tak było najlepiej. Nie była z tych, co potrzęsają burzą loków. Miała

skromną, grzeczną fryzurę. Przynajmniej bezpretensjonalną. Nie lubiła tych wszystkich damskich sztuczek. Falbaneczek, loczków. To nie był jej styl. Lubiała, jak mówiono o niej Anka. Tak się zwykle przedstawiała: Anka, nie Ania. Przez chwilę zastanawiała się nad makijażem. Czy może podkreślić oczy? Jej matka zawsze podkreślała. Robiła kreskę na dolnej powiece. Doklejała sztuczne rzęsy. „To dla głębokości spojrzenia” -zapewniała. Rzeczywiście, miała upiorne spojrzenie. Zwłaszcza gdy rozmazał się jej tusz, czyli prawie zawsze. Trudno powiedzieć, czy to za sprawą tuszu, czy potu, w każdym razie matka Anki mogła służyć za przykład tego, jak się nie malować.

Więc wykonała delikatny *make-up* i była już gotowa do wyjścia. Trochę się bała. Może znowu trafi na zły humor? Nie będzie się odzywał. Będzie się złościł nie wiadomo o co. W efekcie nic nie wyjdzie z ich spotkania. Zależało jej, żeby wyszło, chyba nawet za bardzo. To był jej największy problem. Nie można czegoś chcieć za bardzo. Zwłaszcza w tej dziedzinie.

Rzeczywiście czekał na nią przy recepcji. Wyglądał młodziej niż wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy. Był opalony. Pewnie przyjechał na pogrzeb ojca wprost z jakichś egzotycznych wojaży. Patrzyła na niego z zachwytem. Nie wiedziała, jak się przywitać. Czy to powinno być czułe powitanie, czy jednak należy zachować dystans? Na szczęście on wiedział, że to musi być uścisk. Mocno ją do siebie przycisnął. Lody zostały przełamane.

- Nie chce ci się pić? - zapytał.

- Chce - przytaknęła skwapliwie, bo zaschło jej w gardle. „To z emocji” - pomyślała. Dibelius najwyraźniej nie był zadowolony z jej odpowiedzi. Nie miał ochoty na te wszystkie ceregiele. Picie kawy lub herbaty. Patrzenie w oczy. Kiedyś już to przerabiali. Poza tym był już na to za stary. Tak mu się wydawało. Skoro kobieta wyraziła chęć na spotkanie, to powinni przystąpić do rzeczy. Od razu. Bez ociągania się. Usiedli w hotelowej restauracji. Zamówiła wodę mineralną. -Ale bez gazu - poprosiła.

- To może pójdziemy na górę?

W pierwszej chwili Anka chciała powiedzieć, że nie, bo ogarnęła ją lekka panika. Za szybko to szło. Przypomniała sobie jednak tamten wieczór u niego w domu. Potem żałowała, że zachowała się jak grzeczna dziewczynka. I przegrała. Teraz miała drugą szansę i nie mogła jej zmarnować. Więc zamiast odmówić albo udawać wahanie, potakująco kiwnęła głową. Od razu poczuła ulgę. Już wiedziała, że tym razem wszystko pójdzie dobrze. Miała jeszcze ochotę na kawę. Nie dopiła swojej porannej, tak się spieszyła, żeby zdążyć na czas do hotelu, i teraz miała ochotę na jeszcze jedną. Żeby się nie spóźnić, bo od tego spotkania wiele zależało. Wcale nie chodziło o to, żeby zemścić się na wiarołomnym mężu. Cały czas była jednak spięta. Bała się, że powie lub zrobi coś takiego, co wszystko zaprzepaści. Że znowu go rozgniewa. A tego nie chciała. Postanowiła, że będzie cicho. Mniej znaczy więcej. Im mniej słów, tym większa szansa, że tego przedpołudnia wszystko skończy się dobrze.

Długo czekała, ale żadna odpowiedź z Oskarshamn nie nadeszła. Poszła pod prysznic, żeby zmyć z siebie szpitalny brud, a potem do sypialni. Zimnej i pustej. Długo nie mogła zasnąć. Było cicho. Padał śnieg. Wiatr nieco osłabł.

ZGNIŁE KOMPROMISY

Obudziło ją popiskiwanie komórki. Pomyślała, że to Sinobrody. Dzień w sam raz dla niego. Wczoraj szalał orkan, naprószyło śniegu, zawiąło. Wszędzie zasy. Strach wyjść z domu. Miała nadzieję, że jednak odpisał. Niestety, to był tylko Wiesiek. Cholera, a ten czego znowu chce? Spotkać się. Żeby porozmawiać. Wiadomo o czym. O konkretnych, jak sam zaznaczył. A konkretnie o tym, że byłoby miło, gdyby Anka poszukała sobie czegoś na mieście jeszcze przed rozwodem, jak najszybciej. Jasne, o niczym innym tak nie marzyła, jak o spotkaniu z mężem. Więc nie odpisała. Jednak Wiesiek nie dawał za wygraną. Jeszcze raz napisał. A potem zadzwonił. Dwa razy. Postanowiła, że za trzecim razem odbierze. Wiedziała, że się nie odczepi. Ale niech trochę poczeka.

Ciekawe, skąd wiedział, że wyszła ze szpitala? Pewnie ktoś mu doniósł. Może ta starucha, która leżała z nią w sali. Roma Herbst. Cały czas łypała na nią tym swoim starczym, złym okiem. Przewiercała

ją wzrokiem. Bazyliuszka cholerna! Wgapiła się w nią z ciekawością. Z taką babską zawiścią. Ze Anka jest jeszcze młoda, że jeszcze wiele może, że chociaż już nie wszystko przed nią, to jeszcze coś w jej życiu może się zdarzyć. Nie tylko złego, ale i dobrego. Bo do niektórych ludzi szczęście przychodzi szybko, do innych później, a jeszcze do innych wcale. A taka osiemdziesięcioletnia starucha mogła się szykować najwyżej do trumny. Roma rzeczywiście zastanawiała się, do której grupy należy Anka. Czy jeszcze czeka na coś, czy już ma wszystko za sobą? Z zaciekawieniem patrzyła, jak owija łysą głowę chustką. Bardzo ładną chustką. W niezapominajki. Roma też kiedyś lubiła takie łączki.

- Ładna ta chustka - rzuciła z uśmiechem. Wyraźnie miała ochotę nawiązać z Anką jakąś konwersację. Właśnie tak - nie rozmowę, ale konwersację. Dwie wykształcone, inteligentne kobiety konwersują na różne tematy. Roma też kiedyś konwersowała. To było dawno temu. Chodziła na lekcje francuskiego i uczyła się sztuki konwersacji. Szkoda, że przerwała. I już nie wróciła do konwersowania po francusku. Dziś pewnie byłaby biegła we francuskim. I w konwersacji. Niestety, Anka nie miała ochoty nawet na krótką rozmowę, na *smali talk*. Na nic.

- Dziękuję - ucięła krótko. Z jej tonu wynikało, że na tym kończy się dialog ze starszą panią. Ze dalszego ciągu nie będzie.

Roma jednak nadal patrzyła na Ankę z dużym zainteresowaniem. Pożerała ją wzrokiem. Dobrze wiedziała, że to gapienie się ją drażni, ale nie mogła się

powstrzymać. Obserwowała, jak starannie składa swoje ubrania, jak układa je w małej, zwykłej walizeczce. Wszystko wokół tej kobiety pachniało świeżością pomimo wszechobecnego szpitalnego smrodu. Roma zawsze chciała taka być. Świeża jak niezapominajka. Czysta. Niestety, była zbrukana. Właściwie od samego początku. Właśnie dlatego patrzyła na Ankę z takim zachwytem. Nie mogła oderwać od niej wzroku. Zignorowała nawet to, że młoda kobieta, nie mogąc znieść tego jej gapienia się, wysyczała w końcu:

- Niech pani tak na mnie nie patrzy, niech pani nie patrzy!

Roma zupełnie nie rozumiała, o co chodzi. Przecież w szpitalnej sali wszyscy na wszystkich patrzą i wszystko widzą, i słyszą też wszystko. Nawet pracę cudzych jelit i wypróżnianie. Tu nie ma miejsca na intymność, na bycie sobą. Więc dlaczego Anka tak się ciska? Poza tym nie tylko Roma na nią patrzyła. Pozostałe dwie pacjentki również. Więc o co chodziło?

- Pani jest przewrażliwiona - stwierdziła autorytatywnym tonem księgowa, która leżała z lewej strony pod oknem i też patrzyła się na Ankę z zaciekawieniem równie bezceremonialnym i nachalnym jak zaciekawienie Romy. W końcu Anna była najmłodsza i z całą pewnością najładniejsza ze wszystkich czterech kobiet leżących w tej sali. Nic więc dziwnego, że pozostałe trzy na nią patrzyły. Z zainteresowaniem. Obserwowały, jak starannie układała swoje rzeczy. Jak pakowała kosmetyki. Nawet jej kosmetyczka miała niebieski kolor, co też budziło ciekawość pozostałych pacjentek, których

rzeczy były przeważnie w szaroburych, smutnych barwach. Kosmetyczka Anki, jej walizka, jej ubrania i nawet chustka na głowie przykuwały uwagę. Co w tym złego lub dziwnego? Poza tym Anka właśnie wychodziła ze szpitala i to już było wystarczającym powodem, żeby się na nią gapić. Żeby jej zazdrościć. W końcu wychodziła na wolność. Tak jakby. Nie do końca i nie na zawsze. Ale wychodziła.

- Nikt po panią nie przyjedzie? - zagadnęła podejrzliwie księgowa. To miało być pytanie, ale takich pytań raczej nie zadaje się obcej osobie. W dodatku chorej. Roma poczuła niesmak. Natomiast Anka po swojemu nic nie powiedziała. Było jasne, że żaden mężczyzna po nią nie przyjdzie i że zapewne wracała do pustego domu. Nie miała nikogo. Nawet dzieci. Więc nic nie mówiła o dzieciach. O niczym, prawdę mówiąc, nie mówiła. Tylko pisała jakieś esemesy. Pik, pik, pik - skrzeczała jej komórka, a konkretnie smartfon, który ciągle musiała ładować. Jeśli gdzieś zapodziała się jej ładowarka, stawała się bardzo niespokojna. Ponieważ nie mogła korzystać z tego urządzenia, które najwyraźniej miało dla niej duże znaczenie. Nie mogła pikać. Wystukiwać takim małym rysikiem różnych krótkich komunikatów, które potem do kogoś wysyłała. Roma zastanawiała się, czy do mężczyzny, czy do kobiety. Wolała myśleć, że do mężczyzny. Kiedy miała tyle lat, co Anka, to zawsze pisała lub dzwoniła do mężczyzny, a często nawet do kilku mężczyzn naraz. Wtedy jeszcze nie można było pikać. Piku, piku. I po krzyku. Ale nie było pewne,

czy Anna miała jakiegoś mężczyznę. W każdym razie nie miała żadnego na co dzień. Przecież by przychodził. Tu, do szpitala. Więc może pikała do takiego, co był daleko. Lepiej do takiego niż do żadnego. Tak jak Roma. Nie miała do kogo pikać. Mogła najwyżej napisać list. Ale nie chciała pisać ręcznie, bo zawsze miała paskudny charakter pisma. Zakonnice, u których pobierała nauki, twierdziły, że charakter pisma odzwierciedla charakter człowieka. Roma miała zły charakter, więc pisała brzydko. Z kaligrafii zawsze miała trzy na szynach. Więc musiała z pisaniem poczekać, aż wróci do domu, gdzie czekała na nią maszyna do pisania. Najwierniejsza towarzyszka jej życia. Ale nawet tu, w szpitalu, nie była tak samotna jak Anka, bo przynajmniej odwiedzała ją synowa. Właściwie to była synowa. Rozwiodła się z Jakubem w zeszłym roku. Ale ciągle miały wiele wspólnych spraw. Chociaż Roma nie lubiła Gosi. Od samego początku uważała ją za chciwą, bezwzględną prostytutkę. Zupełnie nieodpowiednią partię dla syna. Ale tak się złożyło, że teraz mogła liczyć wyłącznie na nią. Tylko ona odwiedzała Romę w szpitalu. Przynosiła jej różne potrzebne rzeczy. Na syna liczyć nie mogła, bo wszystkie pieniądze wydawał na alkohol. Pewnie teraz leżał na kanapie, u niej w salonie, i opróżniał kolejną puszkę z piwem. Kupioną w dodatku za jej pieniądze. Roma miała nadzieję, że pieniądze, które mu zostawiła, jeszcze się nie skończyły, bo strach pomyśleć, co będzie, jak zabraknie mu na alkohol. Zacznie wnosić rzeczy z jej mieszkania. Do lombardu. Roma ogromnie się tego bała.

Próbowała nawet dodzwonić się do syna, ale niestety bez powodzenia. Kuba wyłączył telefon. A może zastawił go w lombardzie? Gosia jednak nie zaniebysowała swoich obowiązków, które przecież nie do końca były jej obowiązkami. Dbanie o matkę eksmęża nie było jej powinnością. Ale skoro Kuba nie potrafił zaopiekować się Romą, więc musiała to za niego robić Gosia. Odwiedzała ją zatem w szpitalu.

Raz nawet przysłała z jakimś facetem: obleśnym, świńskim blondynem. Od razu było widać, że to następca Jakuba. Ze sobie nowego chłopca przygruchała. Zresztą Gosia nie trzymała tego w tajemnicy. Powiedziała Romie na ucho, że to narzeczony. W końcu nie może spędzić reszty życia jako rozwódka. Tego nie chciałyby zapewne żadna rozsądna kobieta. Chyba żeby musiała. Ten facet to podobno jeszcze jej znajomy z czasów szkolnych. Gosia robiła wrażenie zakochanej bez pamięci. Tak przynajmniej szepnęła Romie do ucha. Ze jest zakochana i dobrze jej z tym. Tere-fere! Z tym łysiejącym knurem. Akurat! To nie jest żadna wielka miłość, żadna tam *big love*, jak to mówią młodzi, ale jakiś układ. Ponieważ w tym wieku możliwe są jedynie układy. Roma zmierzyła Wieśka podejrzliwym spojrzeniem. „Pantoflarz - pomyślała. - Taki zupełnie bez wyrazu. W sam raz dla Gosi”.

Nie uszło jej uwadze, że podczas tej wizyty Anka dziwnie się zachowywała. Nie było jej w sali, gdy weszli goście. Wyszła gdzieś. Może do toalety? Ale potem wróciła, weszła do sali i gdy zobaczyła gości Romy, natychmiast wybiegła. Jak jakaś wariatka. Potem

długo nie wracała. Goście już dawno sobie poszli, lecz Anna nie wracała. W końcu księżowa się zaniepokoiła. Ostatecznie dziewczyna wróciła dopiero wieczorem. Swoim zwyczajem nie odpowiadała na żadne pytania. Naciągnęła kołdrę na głowę i udawała, że śpi. Robiła wrażenie obrażonej. Ale o co? Czy o to, że do Romy przyszła synowa z narzeczonym? Przecież to normalna rzecz, że pacjentki w szpitalu przyjmują gości. Chociaż nie ma warunków. Zwłaszcza jak na sali są tak zwane pacjentki leżące, którym trzeba zmieniać pampersy. Oczywiście podczas wizyt nie zmieniają. Ale śmierdzi gównem i siuškami. Roma nie znosiła tego smrodu. Sama też nie lubiła być taka nieogarnięta. Bez makijażu i w koszuli nocnej. Ale już się pogodziła z tym, jak to jest w szpitalu. Dlatego się zdziwiła, że Anka, która wszystko znosiła tak spokojnie, można powiedzieć, że ze stoickim spokojem znosiła szpital, nagle gdzieś uciekła na widok Gosi i jej gacha, a potem naciągnęła kołdrę na głowę. Jak jakaś histeryczka.

Roma od początku podejrzewała, że Anna chyba po prostu znała Małgoškę. Gosia bowiem ją znała i rozpoznała. Potem wypytywała Romę o Ankę. Co jej jest? Czy poważnie chora? Czy miała jakąś operację? Chemię? I co, dobrze się czuje? Nie? Wymiotuje? Nie może jeść? A kiedy wychodzi ze szpitala? Nic nie wiadomo? Szkoda. Akurat to najbardziej interesowało Gosię. Nie wiedzieć czemu. Więc gdy Anka miała wyjść ze szpitala, Roma lojalnie powiadomiła o tym swoją synową. Telefonicznie. Chciała wiedzieć, to się dowiedziała. W końcu Roma musiała jej się jakoś odwdzięczyć za

opiekę. Zatem zadzwoniła. Uprzedziła, że Anka wychodzi następnego dnia przed południem.

Więc gdy Anka opuszczała już szpital, a za oknami szalał Ksawery, Roma wyszła na chwilę z sali, tak dyskretnie i po cichu, żeby uprzedzić Gośkę. Anka się spieszyła. Nic dziwnego, szpital to nie jest miłe miejsce. „Wielka szkoda” - pomyślała Roma. Lubiła na nią patrzeć. Ale niestety, Anka już szła korytarzem w tej niebieskiej chustce, a za nią toczyła się jej walizeczka na kółkach. W niebieskie kwiatuszki. Uroczą, śliczną, świeżutką. Właścicielką, bo walizeczka ładna, ale bez przesady. Tamtego dnia Anka wyglądała pięknie. Jeszcze całkiem młodo. Roma też długo wyglądała młodo. Nawet bardzo długo. Za długo. To było jej przekleństwo. Ale przecież to minęło. Już się postarzała. Bezpowrotnie. Już do końca będzie stara, coraz starsza. Dlatego właśnie patrzyła na Ankę z zazdrością. Bo ona jeszcze była w miarę młoda i coś mogło się zdarzyć w jej życiu. Mogła sobie coś wypikać, wyklikać. Może nawet kogoś. Roma patrzyła, jak wychodzi ze szpitala. Jak jej koleżanka bierze od niej walizeczkę, jak idą razem. Oddalają się.

Ale ona jeszcze tu wróci. Tak przynajmniej powiedziała księgowa, ta wścibska baba spod okna. Taka, co lubiła zadawać konkretne pytania i uzyskiwać precyzyjne odpowiedzi. Więc podobno Anka jej powiedziała, że za miesiąc znowu ma się zgłosić. Z piżamą. Roma będzie tu na nią czekała, księgową zaś pewnie wypiszą na święta. Anka, wychodząc, powiedziała ogólne „do widzenia” i obróciła się na pięcie. Nawet nie spojrziała

na Romę, która tak dalece była nią zainteresowana. Prawie tak jak Gosia, ale z zupełnie innego powodu. Była synowa Romy też należała do osób konkretnych. Tak jak księgowa. I zależało jej na tym, żeby Ankę jak najszybciej usunąć. Z życia pewnego mężczyzny. Dlatego musiała wiedzieć, kiedy Anna wyjdzie z tego szpitala. Wtedy będzie można załatwić sprawę rozwodu i domu. Zacząć normalnie żyć. Właśnie to zawsze było jej celem. Normalne, spokojne życie.

Po wyjściu Anki ze szpitala Gosia przystąpiła do dzieła. Całą noc kładła Wieškowi do głowy, co ma zrobić, że ma do niej zadzwonić, napisać. Nawet spotkać się z tą kobietą. Z żoną, znaczy się, i wreszcie skończyć z podwójnym życiem.

- Masz to załatwić! - krzyczała, po prostu darła się na cały głos. A Wiesiek siedział na kanapie w salonie ze spuszczoną głową. Nic nie mówił. Potem wstał i powiedział, że idzie do łóżka. A ona, że nie. Że to nie jest takie łatwe. Żeby iść do łóżka i o wszystkim zapomnieć. Że nie można w nieskończoność unikać rozmowy i konkretów. Chować głowy w piasek, a właściwie w pierze. To nie może tak być, to musi się skończyć wreszcie! Nie można ciągle ulegać tej kobiecie. Jej kaprysom.

Wiesiek jednak nie słuchał. Prawdę mówiąc, miał już dosyć jazgotu swojej nowej partnerki. W końcu nie po to wyprowadził się z domu, żeby wysłuchiwać wrzasków baby w średnim wieku i nie takiej znowu pięknej. Właściwie starszej i brzydszej od jego żony. Znajdował się tu, o dwie ulice dalej od swojego domu, bo miało

być pięknie. Tak jak podczas pierwszych miesięcy, kiedy tu przychodził, zamiast wracać po pracy do domu, i Gosia witała go w cienkim, koronkowym szlafrocisku, pod którym nic nie miała. To był szczyt jego marzeń. Ten półprzezroczysty, koronkowy szlafrocisk albo gorsecik. Nigdy nie zwierzył się żadnej ze swoich kobiet, że chciałby właśnie tak. Żeby drzwi otwierało mu zjawisko w przejrzystym peniuarku. Małgorzata sama to odgadła. Nic nie musiał jej mówić o swoich fantazjach. Ona po prostu go wyczuwała. Wiedziała, czego pragnie. Chociaż Wiesiek jej o tym nie mówił. Nikomu nie mówił. Tak się wstydził tych wszystkich świństw, które chodziły mu po głowie. Zresztą nie umiał mówić o tych sprawach. Gdy był młodym chłopakiem, matka biła go po łapach, jeśli trzymał je pod kołdrą, i kazała się spowiadać z nieczystych myśli. Z pierwszą żoną bał się rozmawiać o swoich potrzebach, bo była młoda i on też, a druga okazała się tak nadwrażliwa i delikatna, że się po prostu nie dało. Natomiast Gosi mógł powiedzieć wszystko, ale nie musiał, bo ona mówiła za niego. Odgadywała nawet to, czego jeszcze nie zdążył pomyśleć. Właśnie dlatego z nią był. Ale nie po to, żeby wysłuchiwać pretensji i wrzasków. Co to, to nie! Może i był typem pantoflarza, ale nie masochistą.

Spojrzał więc znacząco na Małgorzatę, która zamiast włożyć na siebie coś przezroczystego i pończoszki, miotła się po kuchni w dżinsach i w paskudnym, poplamionym, szaroburym golfie. Zupełnie asekualnym. Naprawdę nie tego od niej oczekiwał. Powinna to zrozumieć. W swoim własnym interesie. W końcu

w każdej chwili mógł wrócić do żony. To ledwie dwie ulice stąd. Mógł wrócić. Pokajać się, przeprosić. Ona przynajmniej nie wrzeszczy i nie awanturuje się. Zdradę Wieśka też przyjęła całkiem spokojnie.

- Zimna ryba - tak skomentowała to Gosia. Ryba, nie baba. Pokryta rybią łuską. Taką niebieską. Ciągłe to powtarzała, żeby mu obrzydzić żonę. Anka rzeczywiście lubiła niebieski kolor. Ale to akurat Wieškowi nie przeszkadzało, bo jego matka też lubiła niebieski. Dlatego że maryjny i kaszubski. Dwa w jednym. Jakże by inaczej? Dlatego Wiesiek też lubił niebieski. Uważał, że to ładny kolor. A jeśli Gosia dalej będzie się ciskać, to Wiesiek zawsze może się rozmyślić i zamiast do sypialni pójdzie do żony. Po prostu. Wtedy Gosia znowu zostanie sama. Czarna wdowa. Jednego męża już się pozbyła. Zresztą kto to wie, może to on pozbył się Gosi? Nikt przecież nie wie, jak naprawdę było. Więc powinna się mieć na baczności. Odwrócił się do niej plecami. Liczył na to, że jak zwykle się domyśli.

Gosia rzeczywiście natychmiast umilkła. Jak nic poczuła pismo nosem. Wiesiek to była cenna zdobycz. Z rozwodem czy bez - miał swoją wartość. Dlatego zamiast dalej wrzeszczeć i besztać go za uległość wobec Anki, poszła do łazienki. Wiedziała, że musi się przygotować. Wiesiek nie lubił byle jak. Dla niego równie ważne jak jej tyłek były te nieszczęsne koronkowe gacie. Mają fantazję ci faceci! Gosia nie miała aż takiej fantazji, ale przecież zależało jej na Wieśku. Samotna kobieta pod pięćdziesiątkę nic nie znaczy. Nie jest nigdzie zapraszana. Koleżanki się boją, że zacznie się

przystawiać do ich mężów. Zatem się starała jak nigdy dotąd. Nawet chciała powiększyć piersi, bo się przyznał, że lubi duże. Gosia zaś takich niestety nie miała. Na razie. Nadrabiała bielizną. Przezroczystą, koronkową. Dobrze, że Agnieszka się wyprowadziła do swojego chłopaka, bo nie mieliby tak znacznej swobody. Nie mogłaby tak paradować półnaga po domu. Dorastająca córka to najgorsza recenzentka. Najsurowsza. Poza tym nigdy nie mogła się dogadać z Agnieszką. Te jej ciągle fochy i chimery! Plus muchy w nosie. Miała to po ojcu, niewątpliwie. Więc dobrze, że się wyprowadziła. Szkoda, że nie potrafiła znaleźć sobie kogoś ciekawego. Zakręcić się koło jakiegoś bogatego faceta. Zamiast tego związała się z gówniarzem, w dodatku niezbyt ciekawym. Ale jak Agnieszce się podoba, to niech będzie. Dzięki temu Małgorzata mogła sobie teraz ułożyć życie. Z Wieskiem. Tylko nie może na niego się wydzierać, bo jeszcze naprawdę gotów wrócić do żony. To byłaby katastrofa. Tak więc bielizna i wszystko, co lubi Wiesiek. Żeby mu się przypodobać. Żeby się przestał boczyć. No i najważniejsze - żeby mu nie przyszły do głowy jakieś głupie pomysły. Licho nie śpi. Zwłaszcza że Anna Formela znowu zasypia i budzi się niedaleko stąd. To było nawet wygodne w czasach, gdy podrywała Wieśka. Zapraszała go niby to na herbatę albo na wodę mineralną, tak jak po raz pierwszy. Jedynie na chwilę. Żeby się odprężył po pracy, zanim wróci do domu. To znaczy do żony. Początkowo unikała tego tematu. Nie chciała go drażnić, tym bardziej że nie była pewna swego. Bała się, że rozmowy o żonie, o tym, jaka

jest zimna i nieczuła, mogą zaszkodzić. Wiesiek nie lubił tego tematu. Zbywał Gośkę półsłówkami. A najczęściej uparcie milczał, gdy chciała się dowiedzieć czegoś o Ance. Wiele o niej myślała. Była od niej sporo młodsza i to stanowiło wystarczający powód, żeby jej nie lubić i się jej obawiać. Młodsza, niebrzydka i niegłupia. Takie rywalki są najgorsze! Wyjątkowo podłe, wredne babsko. Wie, jak zmiękczyć serce Wieśka. Pewnie teraz, po wyjściu ze szpitala, będzie próbowała. Ale wyglądała mizernie i nie miała już włosów. Więc chyba nie było się czego obawiać. Nie zagrozi Gosi. Wystarczy powściągliwość i odpowiednia bielizna. Koronkowa, półprzezroczysta.

Za oknem śnieg, ale dobrze, że już tak nie wiało okrutnie jak wczoraj. Nareszcie była u siebie. Patrzyła na dębową ramę łóżka, którą nie tak dawno pomalowała na odcień *parisgrey*. Wiesiek pukał się w czoło.

- Co ty jakąś dekoratorką wewnątrz jesteś, odbija ci? Więc dalej robiła swoje. Stary, zniszczony sekretarzyk, przy którym tak lubiła pracować, na odcień *Provence*. Jak Wiesiek to zobaczył, już nawet nie pukał się w czoło, lecz głośno grzmiał:

- Wąchasz te śmierdzące farby. Jakieś cholerne lakiery, a potem się dziwisz, że cię głowa boli!

Jeszcze nigdy na nią tak nie krzyczał. Nie rozumiała, co się działo między nimi. Skąd ta nagła agresja? Przecież wiedział, że jego żona lubi odnawiać stare meble

i wszystko malować na różne odcienie niebieskiego. Dotąd mu to nie przeszkadzało. Anka nie przejmowała się rosnącą dezaprobatą męża. Kupiła jeszcze krzesło na targu staroci i pomalowała je na odcień *louis bleu*. Wiesiek już tego nie zdążył skomentować, bo się wyprowadził. Anka zaś dalej upiększała mieszkanie. Teraz z satysfakcją patrzyła na swoje małe dzieła. Dobrze się tu czuła.

Nawet zgłodniała trochę i miała ochotę na prawdziwe śniadanie. Takie z jajkiem na miękko w kieliszku. Do tego kawa z mlekiem i może grzanki. Zapamiętała to z dzieciństwa. Z tej jego lepszej części, gdy mieszkała u Marysi Wichury, bo matka była w objeździe i nie miała już ani głowy, ani warunków do tego, żeby zajmować się dzieckiem. Zresztą ona nigdy nie miała czasu na nic. Dlatego przez pierwsze lata życia Ania mieszkała u Marysi Wichury, która była ciotką jej matki. Natomiast matka Anki nie robiła nikomu śniadań. A zwłaszcza córce. Za to Marysia uważała, że śniadanie jest ważne i że musi być ładnie podane. Anka do dziś pamiętała swój niebieski kubeczek, w którym dostawała kakao albo kawę zbożową z mlekiem. Nie lubiła mleka, tłustego, z kożuchami, ale z tego kubeczka chętnie piła wszystko, co jej Marysia podawała.

Zeszła do kuchni, którą kiedyś urządziła z pasją. Szukała po sklepach płytek z holenderskimi wzorami i odpowiedniej porcelany. Jak zwykle wszystko w jej domu lśniło czystością. Chyba pod jej nieobecność ktoś dokładnie sprzątnął kuchnię i cały dom. Może Wiesiek wynajął sprzątaczkę? Sam nigdy tu nie sprzątał.

A może to już tamta kobieta zaczęła swoje urzędowanie? Może piła z jej filiżanek, spała w jej pościeli, czytała jej książki? Kąpała się w jej wannie? Anka aż się wzdrygnęła na samą myśl, że mogło się tak dziać. Niestety, to było całkiem prawdopodobne. W końcu dom należał do Wieśka. A tamta kobieta była teraz jego kobietą. Zacisnęła zęby w bezsilnej złości. Natychmiast się zawstydziała. Bardziej bolało ją to, że Gosia używała jej rzeczy, a mniej, że sypiała z jej mężem.

Mimo wszystko chciała celebrować to swoje pierwsze śniadanie po powrocie ze szpitala. Przez cały czas, który tam spędziła, marzyła o tym, że zasiądzie w swojej wysmakowanej, stylowej kuchni i weźmie do ręki ulubioną filiżankę z angielskiej porcelany ze świeżo zaparzoną kawą. Nikt nie będzie się na nią gapił. Ani księgowa, ani Roma Herbst. W szpitalu nie sposób było uniknąć jej wzroku. A potem okazało się, że ta baba jest teściową Gosi. Pewnie to ona kazała Romie ją obserwować. Ale dzisiaj już żadne złe oko nie patrzyło na Ankę, bo wreszcie była u siebie. Jak długo ten dom będzie jej? Wiesiek nie dawał jej spokoju od rana. Czyżby nagle zaczęło go obchodzić, jak się czuje jego żona? Dotąd zupełnie nie interesował się jej stanem zdrowia. Nie dbał o to, że leży w szpitalu. Udawał, że jej nie poznaje, jak przyszli z Gosią odwiedzić Romę. Wtedy na pewno udawał. Musiał udawać. Choć to trwało zaledwie chwilę, bo Anka wybiegła z sali, jak tylko zobaczyła Gosię i Wieśka razem. W gruncie rzeczy to była komiczna scenka, ale po wyjściu tych dwojga nie mogła powstrzymać łez, które same płynęły jej z oczu.

W dodatku ta cholerna starucha cały czas bacznie ją obserwowała. Nic nie pomogło naciąganie kołdry na głowę. Starucha widziała wszystko. Jej złe oko przenikało nawet przez kołdrę. Nie można było się przed nim ukryć. Nigdzie. Tak jej się przynajmniej wydawało. Całe szczęście, że teraz wreszcie była daleko od tej dziwnej i mrocznej kobiety. Niestety, Wiesiek nie dawał za wygraną. Nie chciała z nim rozmawiać przez telefon, więc postanowił tu przyjść. Stał właśnie w drzwiach. Wyglądał jak bałwan ze śniegu.

- Jak się czujesz, Anulko? - wydusił z siebie banał, bo nie wiedział, co powiedzieć. Chyba nie przyszło mu to łatwo, był wyraźnie skrępowany. Znakomite pytanie troskliwego męża, który niedawno udawał, że nie poznał własnej żony w szpitalu.

- Może być. - Jakie pytanie, taka odpowiedź. Anka nawet nie wstała od stołu. Celebrowała jedzenie jajka. Skupiała się na posiłku, więc przyście Wieśka nie miało większego znaczenia. Był u siebie w domu i mógł robić, co chciał. Mógł nawet nanieść błota i śniegu z zewnątrz i właśnie to zrobił. Nie zamierzała tego komentować.

- Napiłbym się kawy, Anuś - rzucił nieśmiało, używając zdrobnienia, którego nie znosiła. Drażniły ją wszystkie zdrobnienia jej imienia, których używał Wiesiek. Anuś, Anulka, czasem nawet Andzia. Irytowały ją wprawdzie, ale nie dawała tego po sobie poznać. Była ponad tym wszystkim. Zdażyła się przyzwyczaić do różnych głupich zdrobnień. Uważała, że nie warto się nimi przejmować.

Choć zwykle starała się być uprzejma i pomocna, tym razem jednak postanowiła zignorować pytanie męża. Zamiast wstać i zaparzyć kawę, wysypała cukier na blat. Zaczęła pisać. Palcem po blacie. Swoje imię i nazwisko. Ale nie to po mężu, lecz własne. Po ojcu. Anna Baumann. Tak podpisywała swoje pierwsze artykuły. Tak samo chciała podpisać doktorat, ale niestety musiała sygnować go swoim oficjalnym nazwiskiem. Tym z dowodu osobistego. Formalnie ciągle nazywała się Anna Formela. Kaszubskie nazwisko jej kaszubskiego męża kiedyś jej się podobało. Ze względu na swoje pochodzenie. Bo Kaszuby były wspaniałe. Takie niebieskie. A do tego ci ludzie - od wieków tu wrośnięci, w ziemię i w powietrze, nawet w wodę. Tacy z głęboko zapuszczonymi korzeniami. Bez względu na wszystko. Wojny, zawieruchy. Nikt i nic nie zdołało ich stąd wymieść. Nie to co ona - przelotny ptak. Córka cyrków-ki. Bez stałego adresu i solidnego zawodu. Dlatego właśnie zmieniła nazwisko. Myślała, że też zapuści tu korzenie. Ze wreszcie gdzieś będzie u siebie. To jednak okazało się złudzeniem. Nie udało się. Więc teraz przyszedł czas powrotu do siebie. Dlatego właśnie rozsypała cukier i napisała swoje imię i nazwisko. „Trzeba będzie do niego wrócić także w wersji oficjalnej, czas najwyższy” - pomyślała.

Wiesiek stał w progu i nie wiedział, co ma powiedzieć. Anka najwyraźniej go ignorowała, a on tu przyszedł poważnie porozmawiać. O przyszłości. I o domu. Długo odkładał rozmowę ze względu na chorobę żony, ale nie mógł już dłużej czekać. Gosia nie dawała mu

spokoju i chciał już mieć za sobą ten nieprzyjemny moment.

- Czy mógłbym dostać filiżankę kawy? - zagadnął ponownie, trochę już zniecierpliwiony. Od czegoś przecież musiał zacząć. Kawa wydawała mu się najlepszym pretekstem do tego, żeby usiąść i rozpocząć długo odkładaną rozmowę.

- Oczywiście, zrób sobie. Jesteś u siebie w domu.

No właśnie, był u siebie i ten dom stanowił wyłącznie jego własność. Anka tu tylko mieszkała. Jeśli się rozwiodą, będzie musiała się stąd wyprowadzić. Jego matka zadbała, żeby przed ślubem spisali intercyzę. Żeby ta przybłęda, ta córuchna panny lekkiego prowadzenia, jak mówiła o swojej synowej stara Formelowa, w razie czego nie dostała krwawicy jej syna. Gdy się rozwiodą, dom pozostanie jego własnością wraz z całym wyposażeniem. Dzięki temu ta stara kwoka - matka Wieśka - mogła spać spokojnie w swoim ciasnym, ale własnym M-3 na Stogach. Intercyza - to słowo podpowiedziała jej sąsiadka. Niech syn spisz intercyzę. To nigdy nie zaszkodzi. Zwłaszcza że pierwsza żona oskubała Wieśka ze wszystkiego i przez pewien czas musiał nawet mieszkać u matki. Dopóki się nie odkuł i nie kupił tego domu w Starej Oliwie. Przy ulicy Polanki, dawniej Pelonkerweg. To było naprawdę coś: stara, ponemiecka willa do remontu. Co prawda zaniedbana. Wszystko do wymiany. Stara stolarka okienna i stare podłogi. Niemniej na remontach Wiesiek się znał jak mało kto. Więc zrobił z tej willi cacuszko. Wyremontował dębową posadzkę i stolarkę okienną wymienił

na drewnianą. Załatwił sobie wszystkie pozwolenia, żeby móc ją nieco przebudować. Żeby stała się bardziej funkcjonalna. Matka była dumna z syna i nie pozwoliła mu tego zaprzepaścić, kiedy postanowił się ożenić po raz drugi. Znowu z jakąś mimozową mądrą, zamiast sobie wziąć młodą i zdrową dziewczynę, która będzie rodzić dzieci, a nie jakieś tam fiu-bździu - doktoraty-srąty. Teraz, dzięki zapobiegliwości swojej rodzicielki, Wiesiek znajdował się w komfortowej sytuacji. Tak się przynajmniej wydawało starej Formelowej. O wyrzucaniu Anki przed rozwodem nie mogło być mowy, nie tylko ze względów humanitarnych, ale i prawnych. Wiesiek dobrze o tym wiedział. Dlatego irytowały go jego matka i Gosia, które ciągle powtarzały, że trzeba wyrzucić Ankę z willi.

Mimo wszystko Wiesiek, nie bacząc na to, że jego ubłocone buty zostawiają mokre ślady na podłodze, podszedł do ekspresu. Miał ochotę się trochę rozgrzać, bo zmarzł po drodze. Przyszedł piechotą. To był błąd. Anka zdawała się nie zwracać uwagi na jego poczynania. Popijała kawę i patrzyła w okno. Na jej wychudzonej twarzy malowała się obojętność. Wiesiek zerkał na nią ukradkiem. Wyglądała bardzo źle. Zdecydowanie gorzej z bliska niż z daleka. Była przeraźliwie blada, a na głowie miała chustkę w niebieskie kwiatki. „Zamiast włosów” - pomyślał ze zgrozą Wiesiek. Był przyzwyczajony do pięknych, jasnych włosów żony. Może jednak nie powinien zaczynać tej rozmowy? Ona powinna teraz wypoczywać, zamiast się denerwować. To nie jest właściwy moment. Trzeba poczekać, aż wyzdrowieje.

Ale co powie Gosi? W końcu nie musi się jej tłumaczyć. Nikomu nie musi. Może jedynie mamusi. Ale od niej trzymał się jak najdalej. Nie znosił jej zrzędzenia. Anka zaś wyglądała jak siedem nieszczęść, więc postanowił przełożyć tę rozmowę na jakąś nieokreśloną i chyba odległą przyszłość.

- Ale wiało wczoraj - znowu próbował jakoś zagaic.

- Uhm.

- Zmarzałaś? -A jak myślisz?

- Bardzo schudłaś. Martwię się o ciebie. „Hipokryta” - pomyślała. Postanowiła nie ułatwiać

mu tej rozmowy. Najlepiej nie podejmować żadnego wątku. Nie odzywać się już wcale. Jeśli tu przyszedł, żeby gadać o rozwodzie, to nie zamierza mu pomagać. Najważniejsze, że jajko na miękko smakowało jak jajko na miękko, a nie jak trucizna, którą karmili ją w szpitalu przez ostatnie tygodnie. Kawa też smakowała jak kawa. A za oknem miała zimowy pejzaż. Swoją ulubioną. Zimowy widok z okna swojego wymarzonego domu, który, co prawda, nie był jej własnością, ale czuła się tu u siebie. To zapewne przeszkadzało Wieskowi. Dlatego tu przyszedł. Żeby się upomnieć o swoją własność.

Wiesiek nie umiał sobie poradzić z ekspresem do kawy. Przecież to zawsze żona parzyła mu kawę, a teraz robi to Gosia. W pracy do niedawna miał sekretarkę, która, prawdę mówiąc, oprócz parzenia mu kawy miała jeszcze kilka odmiennych zajęć. Więc nic dziwnego, że nie umiał obsłużyć ekspresu. Nie potrafił również powiedzieć swojej żonie, że chce się z nią rozwieść.

Ostatecznie czuł się już tak skołowany, że nie wiedział, czy chce, czy nie chce. O tym, że ma się rozwieść z żoną, zdecydowała Gosia. To była jej decyzja, a nie jego. Wiesiek nigdy nie lubił podejmować decyzji. Zawsze robiła to za niego jakaś kobieta. Natomiast teraz chyba nie do końca był z tej decyzji zadowolony. Rozwód z Anką to zdecydowanie zbyt gwałtowny krok. Nie w jego stylu. Nie potrafił wyrzucić tej kruchej, schorowanej kobiety ze swojego domu. Wprawdzie Gosi niezmiernie na tym zależało, ale co z tego? Jak można być tak gruboskórnym człowiekiem? Nie współczuć chorej kobiecie? Wiesiek nie potrafił tego zrozumieć. To prawda, że przeprowadził się do Gosi. Bo tak chciała. Zażądała tego od niego. Ugiął się. Był z Gosią, zamiast opiekować się chorą żoną. Niemniej znosił to fatalnie. Myślał o pójściu do spowiedzi. Przecież miał wspierać Anulkę w zdrowiu i w chorobie. Aż do śmierci. Wprawdzie nie przysięgał przed ołtarzem, bo tam przysięgał pierwszej żonie, z którą się przecież rozwiódł. Jednak nawet ślub cywilny do czegoś zobowiązywał. Poza tym jakkolwiek by patrzeć, Wiesiek był katolikiem. Wierzącym, lecz ostatnio praktykującym jakby nieco rzadziej. Nie lubił zwłaszcza spowiedzi. Opowiadania jakiemuś obcemu gościowi o tym, ile razy to robił i z kim. O tym, że zdradza żonę. A robił to od ładnych paru lat. Ale co z tego? To była czysta fizjologia. Zaspokajał swoje potrzeby. A księża to co, święci są? Poza tym nie znosił się wywnętrzać. Nie lubił gadać, lecz działać. Więc to całe łązenie do kościoła jakoś mu nie pasowało. Po prostu wyrósł z tego. Ale z innych rzeczy to jeszcze nie.

Oj, nie! Ten cholerny kryzys wieku średniego dopadł go jak nic! Tak to sobie tłumaczył. Tę swoją słabość. Sam nie wiedział do czego. Gosia nie była nawet cudzą żoną. Była rozwódką, w dodatku jego rówieśnicą. Żadną tam młodą dupeczką. Poza tym nie była jego ideałem pod względem urody, chociaż lubił jej rozłożyste biodra i to, jak nimi kołysała. Zawsze marzył o dorodnej, zdrowej kobiecie, wyraźnie zaokrąglonej tam gdzie trzeba. Kołyszącej tymi krągłościami. Taka kobieta mu się marzyła. Ale jak na złość wszystkie jego dotychczasowe partnerki okazywały się jakieś mikre. Obie jego żony były drobnej budowy. Sam się sobie dziwił, że takie wybrał. Wcale mu się nie podobały, chociaż obie wyróżniały się urodą oraz inteligencją. Zwłaszcza jego druga żona. Był z niej dumny. Obroniła doktorat. To było coś. Lubiał pokazywać się w jej towarzystwie, bo dobrze się prezentowała. Ładnie wyglądała w obcisłych dzinsach i w kostiumach kąpielowych. W wieczorowych sukienkach też. Ale niestety po zdjęciu tych wszystkich drogich fatałaszków niewiele dla niego zostawało. A on przecież potrzebował kobiety. Obfitej i z temperamentem. Gosia spełniała obydwa kryteria, chociaż tej obfitości, zwłaszcza w górnych partiach, nieco brakowało. Dlatego wciąż się rozglądał. Skoro usprawiedliwiał go kryzys wieku średniego, to mógł wreszcie zrealizować swoje pragnienia. Jego nowa sekretarka, którą zatrudnił tydzień temu, też miała ładny biust. Tylko czekała, aż Wiesiek rozepnie jej grzeczny guziczek pod szyją, a potem następny i zechce zakosztować tego, co jest pod spodem. Trzeba przyznać, że

było tego niemało. Takie doświadczenia miał już z jej poprzedniczką, która od niego odeszła. A ta nowa była młodsza i najwyraźniej chętna. Więc z coraz większym trudem opierał się pokusie.

Niemniej teraz stał bezradny i nie wiedział, jak powiedzieć żonie, żeby mu jednak zaparzyła kawy. Mogłaby się domyślić, że potrzebuje jej pomocy, ale ona wolała gapić się w okno. To prawda, zawinił wobec niej. Ale w końcu ona też nie była idealną żoną. Nie starała się zupełnie. Zwłaszcza ostatnio, gdy tak dalece pochłaniał ją ten nieszczęsny doktorat. Jakieś nagrobki. Był dumny z tego, że zrobiła doktorat, ale jego temat uznawał za zupełne wariactwo. W tym punkcie zgadzał się ze swoją matką.

- To zrób mi tej kawy - wykrztusił wreszcie.

Bez słowa wstała, żeby zaparzyć kawę. Wszystko robiła automatycznie, starannie unikając spojrzenia męża. Wiedziała, że się jej przygląda z zainteresowaniem. Gapił się na nią już w szpitalu, ale wtedy wybiegła z sali. Teraz mógł jej się dokładnie przyjrzeć. Pewnie intrygowało go to, co jest pod chustką. A niech się gapi. Byleby nie chciał gadać. Nie miała ochoty na poważne rozmowy. Nie miała dziś ochoty na żadne rozmowy z Wieśkiem. Nie tylko dziś. Ale chyba nie da się tego uniknąć. Skoro poprosił o kawę, to znaczy, że zanosilo się na dłuższe posiedzenie, więc rozmowy też nie da się uniknąć. Koniecznie musiał jej zepsuć to pierwsze śniadanie. Teraz powie o rozwodzie i o tym, że ona ma się po nim wyprowadzić. Dokąd? To już Wieśka nie obchodziło. Tak samo jak nie obchodziła go

choroba żony. Nawet to, że była poważna i mogła okazać się śmiertelna. Pewnie nic go teraz nie obchodziło oprócz wielkiego tyłka tej wrednej suki. Żałowała, że nie może dodać jakiejś trucizny do tej kawy. Postawiła filiżankę przed Wieskiem i odwróciła wzrok. Nie mogła patrzeć na jego nalaną twarz świńskiego blondyna, który okazał się prawdziwą świnią. Kiedyś jej się nawet podobał, ale teraz miała go dość. Wolała zimowy widoczek za oknem. Całkiem ładny.

- Widzę, że nie masz ochoty na rozmowę. Nawet na mnie nie spojrzysz. - Wiesiek wciąż nie był pewien, czy ma przystąpić do rzeczy, czy jednak darować sobie przykrą rozmowę i zaniechać tego, z czym tu przyszedł, a na co tak nalegała Gosia. Kawa parzyła go w język i zupełnie mu nie smakowała, chociaż dawniej uwielbiał właśnie tę, z domowego ekspresu, parzoną przez Ankę.

- Nie martw się, zaraz sobie pójdę i nie będę ci przeszkadzał. Nie musisz się o nic martwić. Naprawdę. Nie jestem taki, jak myślisz. - Mówiąc to, Wiesiek wstał i zaczął szykować się do wyjścia.

Anka poczuła ulgę, gdy Wiesiek wreszcie zamknął za sobą drzwi. Teraz miała cały dzień dla siebie. W tym domu. W ciszy i w spokoju. Nie musiała z nikim rozmawiać ani obawiać się wścibskich spojrzeń, które ją ścigały podczas kilku ostatnich tygodni spędzonych w szpitalu. Spokojna sobota, z dala od ludzi i trudnych spraw, była tym, o czym marzyła od dawna. Chyba wreszcie to marzenie się spełniło. Tak jej się przynajmniej wydawało.

Zerknęła na wyświetlacz telefonu. Pojawiła się mała kopertka. **Masz jedną wiadomość głosową.** Ciekawe kto to. Może Wiesiek się nagrał albo ta jego baba? Zastanawiała się, czy odsłuchać wiadomość. Jeśli to któreś z nich, to nie warto psuć sobie dnia. Ale może to jednak coś ważnego? Może to S.? Więc chyba trzeba odsłuchać. Skrzeczący, mocno przepalony, damski głos obwieścił: „Tata nie żyje. Zmarł przedwczoraj. Pogrzeb w środę”. Jak można w ten sposób przekazać wiadomość o śmierci bliskiej osoby? Widać można. Pani Bożenka nie miała żadnych oporów. Nigdy nie miała. Wszak była kulturalną i wykształconą kobietą. Pielęgniarką, w dodatku dyplomowaną. Po studiach. Obdarzoną specjalnym rodzajem wrażliwości. Więc nie pozostawało nic innego, jak tylko wybrać numer Bożenki i czekać, aż łaskawie odbierze telefon. Przez całe popołudnie próbowała dozwonić się do ostatniej kobiety swojego ojca. W końcu, za szóstym razem i po nie wiadomo którym sygnale, usłyszała w słuchawce znajome chrząknięcie.

- Halo! Ach, to ty. Nagrałam ci się na poczcie głosowej, bo nie odbierałaś telefonu. Zle się poczuł już w środę. Dlatego pojechaliśmy do urzędu stanu cywilnego, żeby wziąć ślub. Dzieci tak chciały, rozumiesz. Od dawna było jasne, że to już długo nie potrwa. Nie wiedziałaś? Nic ci nie mówił? Trzeba było ze mną porozmawiać. Ale teraz już za późno. Płaczesz? Nie myślałam, że cię to zmartwi. Wydawało mi się, że jest ci obojętny. Pogrzeb jest w środę. Dzieci zdecydowały, że będzie kremacja i że będzie pochowany na Powązkach. W rodzinnym grobie. Chociaż ja wolałabym w Otwocku.

Mój pierwszy mąż został pochowany w Otwocku. Ale dzieci uparły się na Powązki. Powiedziały, że to tradycja. Nie wiedziałam, że oni są tak przywiązani do tradycji. Aha, zapomniałabym. Odczytanie testamentu będzie w piątek. Ma się rozumieć, znam testament. -Bożena chrząknęła znacząco na pożegnanie.

Oczywiście, że Bożena zna testament ojca. Pewnie sama go napisała albo przynajmniej autoryzowała. Nie na darmo poślubił ją tuż przed śmiercią. Może już nie był do końca świadomy tego, co robi? Ożenił się z Bożenką, bo dzieci tego chciały. Dobrze sobie! Te dzieci miały już dobrze po czterdziestce. Mańka właściwie pod pięćdziesiątkę. Ale ciągle jednak dzieci. Siostrzyczka i braciszek. Jaś i Marianna. Brakuje jeszcze piernikowego domku. Przecież pani Bożena z powodzeniem mogła robić za Babę-Jagę. Ale to nie Bożena jest rodzinną czarną owcą, lecz Anka - nieślubna córka ich wiarołomnego ojca. Wstydliva sprawa. Mówią o niej bękart. Jej istnienie jest tematem tabu w rodzinie Baumannów. Cholerny bękart, którego nie chciał nikt na świecie.

PIĘKNA MADONNA GDAŃSKA

Jednak wypisali ją ze szpitala. Skubańcy. Cholerni lekarze! Konowały przekłete. A liczyła, że spędzi tu święta i może nawet przywita Nowy Rok. Właśnie w szpitalu czuła się najbezpieczniej i marzyła, żeby tu spędzić resztę życia i wreszcie nie być sama. Albo z synem, co gorsza. Miała nadzieję, że może nawet uda jej się przezimować. Dotrzeć do wiosny, chociaż wiosny to pewnie i tak nie doczeka, ale przynajmniej mogłaby tu spędzić zimę. Wśród ludzi. Niestety, jej lekarz prowadząca, nadęta trzydziestoletnia dziunia, uznała, że nie ma potrzeby trzymać Romy na oddziale, bo tak naprawdę nic jej przecież nie dolega, oprócz starości. Więc lepiej, żeby wróciła do domu. Wycięli jej, co mieli wyciąć. Nic więcej nie da się zrobić. A wiadomo, że dla pacjenta najlepsze są domowe warunki. Spokój, cisza. Własne cztery kąty, jakkolwiek by było. To zawsze pomaga. Łatwiej dojść do siebie. Więc pani doktor wypisała Romę do domu. A duszności, pani

doktor? Co z dusznościami? Może należałoby to zbadać? Ależ zbadaliśmy! Przebadaliśmy panią dokładnie. Duszności są na tle nerwowym. Być może atmosfera szpitala tak na panią działa. Najlepiej będzie w domu. No jasne! W cholerę. Na zmarnowanie. Najlepiej, żeby już tu nie wracała, bo przecież nie opłaca się leczyć starego truchła. Tak z kolei powiedziała o niej jedna z salowych. Ta wstrętna prostaczka zapewne myślała, że nikt nie słyszy tego, co tam sobie mamrocze pod nosem, ale Roma, mimo osiemdziesiątki na karku, miała znakomity słuch. Nawet zastanawiała się, czy nie poskarżyć się lekarce. Ale co by to dało? Salowa mówiła to, co myśleli lekarze. Zresztą sama myślała podobnie, co nie zmieniało faktu, że wolałaby umierać w szpitalu. Pod opieką. A nie w domu, z synem alkoholikiem za ścianą. Ale lekarze nie widzieli sensu dalszego leczenia. Mówili, że nie ma potrzeby, żeby leżała w szpitalu. Może hospicjum? pytała Roma z niepokojem. Lekarka przecząco kręciła głową. Po co pani hospicjum? Wystarczy domowa opieka. Regularne posiłki. Rodzinne ciepło. Ale Roma upierała się przy hospicjum. Przecież jest ich niemało i na pewno znalazłoby się miejsce. Po znajomości, rzecz jasna. Gosia umiała się zakręcić. Roma jednak nie chciała jej o nic prosić. Ani jej, ani Agnieszki. Sama wróci do domu, skoro jej tu nie chcą. Nikogo nie należy zawiadamiać. Żeby wyjść ze szpitala, wystarczy się ubrać, wziąć torebkę i sprawdzić, czy są w niej klucze od mieszkania i pieniądze oczywiście. Potem można zamówić taksówkę. Podróż tramwajem już rzeczywiście nie jest

na jej siły. Z Akademii Medycznej na Jańskową Dolinę nie jest tak daleko. Ale taksówki są drogie. Rozsądniej by było poprosić o pomoc Małgoškę. Pewnie od razu zaczęłaby szukać tego hospicjum. Wystarczyłoby ją o to poprosić i sprawa zostałaby załatwiona po myśli Romy. Ale czy naprawdę chciała wylądować w hospicjum? Czy była gotowa na umieranie? Wbrew temu, co twierdziła ta zarozumiała pani doktor, Roma była śmiertelnie chora. No jasne, że była! Tylko patrzeć, jak się przeniesie na łono Abrahama. Tak jest, Abrahama. I jeszcze Izaaka, Jakuba. I innych. Tak mówił jej ojciec o umieraniu. Ze to są przenosiny na inne łono. Roma teraz tak właśnie myślała o tym, co ją czekało w najbliższej przyszłości. Ze tam czekają na nią prorocy i dawni kochankowie, a tych ostatnich było wielu. Wszyscy, jednym słowem, już tam na nią czekają, a ona się guzdrze. Żal jej rozstawać się z drobnymi przyjemnościami. Z perfumami, ze szminką i, ma się rozumieć, z ciastkiem z bitą śmietaną. A tak, z ekierką! Zawsze lubiła ekierki. Jeszcze w dzieciństwie, we Lwowie, chodziła z matką do cukierni. Tam wcinała ciastka z bitą śmietaną, a potem musiała zlizywać białe, śmietanowe wąsy znad górnej wargi. Uwielbiała tamte słodkie chwile.

Roma postanowiła, że nawet jeśli Gosia załatwi jej to hospicjum, to i tak przed Nowym Rokiem będzie w domu. Musi uporządkować swoje papiery. I myśli

też. W końcu to ostatnia okazja. Jeszcze zostało jej na to trochę siły. Poza tym czekała na nią korespondencja, która od pewnego czasu była najważniejszą sprawą w jej życiu. Ciekawe, czy podczas jej pobytu w szpitalu przyszedł list. Czy Kuba go nie przechwycił, zwłaszcza jak zobaczył nazwisko nadawcy? Powinna się także wypowiadać, ale to trudna sprawa. Nie była u spowiedzi od śmierci Artura. Kiedy to było? Chyba ze trzydzieści lat temu. No nie, jeszcze nie trzydzieści. Dwadzieścia osiem. Ale to już nieważne. Nie ma go. Za to wciąż miała syna. Ze względu na niego powinna żyć. Jeśli umrze, Kuba wszystko roztrwoni. Przepije mieszkanie i wyląduje na ulicy. Jeżeli zaś przepisze mieszkanie na wnuczkę, to on i tak się stoczy. Będzie spał na dworcu, jak inni menele. Jej jedyny syn. Od kiedy się urodził, odmierzała czas latami, których mu przybywało. Świeczkami na jego urodzinowych tortach. Szkolnymi świadectwami, zaliczeniami w indeksie, artykułami, które pisał do gazet. Niestety to się urwało. Nie było już sensu odliczać dalszych lat, odkąd zaczął pić na umór. Już nie było Kuby, z którego mogła być dumna. Zastąpił go ktoś całkiem inny, kogo można było się wyłącznie wstydzić. Jeszcze jedno nieszczęście. Powód do zmartwienia. Wiecznej udręki. Może gdyby pojednała się z Bogiem, syn przestałby pić? Może to jej wina? Od lat żyła bez Boga. Nie przyszło jej do głowy, że powinna się wypowiadać i przystąpić do komunii. Tak zrobiłaby jej matka, ale Roma była przecież nowoczesną kobietą. Taką, co nie wierzy w gusła i zabobony i stosuje antykoncepcję. Pożal się Boże antykoncepcję.

Wkładkę dopochwową, ale zawsze to lepsze niż kalendarzyk małżeński. Dzięki temu nigdy nie miała żadnej wpadki ani skrobanki. No może nie tylko dzięki temu. Ale to nie zmienia faktu, że musiałyby się wypowiadać z tych wkładek. A przecież to idiotyczne! Żenujące. Gadać klechom do ucha o wkładce dopochwowej albo o prezerwatywie. Poza tym jako rozwódka i tak nie mogłaby przystępować do komunii. Chociaż dla Kościoła nie była nawet rozwódką, ale panną z dzieckiem. Przecież z Leonem mieli jedynie ślub cywilny. Więc po co miałyby się spowiadać? Ale teraz chciałyby dokonać jakiegoś zamknięcia, także w tej dziedzinie. Chciałyby się pojednać ze Stwórcą. Może niekoniecznie za pośrednictwem księdza. Może gorąca, żarliwa modlitwa w ulubionym kościele, w kaplicy Jedenastu Tysięcy Dziewic, gdzie przed laty się modliła, prosząc o opiekę wszystkie dziewice z orszaku świętej Urszuli, coś by dała? Więc zamiast na Jańskową Dolinę taksówkarz zawiezie ją na Świętego Ducha albo na Piwną, żeby nie musiała za dużo chodzić. Chodzenie piekielnie ją męczyło. Ale tak czy inaczej, będzie musiała zrobić parę kroków. Sam kościół jest ogromny, to największa gotycka ceglana świątynia na świecie. Kaplica zaś znajduje się dość daleko, prawie pod samym ołtarzem. Trudno będzie tam dojść, a potem wrócić. Ale to ważne, żeby się pomodlić.

- A pani kochana to tak sama ze szpitala wychodzi? Córka po panią nie przyjedzie? - Księżowa spod okna była wyraźnie podekscytowana tym, że Roma wychodzi ze szpitala.

- Nie córka, a synowa. I nie przyjedzie, bo jest zajęta - wyjaśniła sucho Roma. Rzuciła jeszcze jakieś „do widzenia” na pożegnanie, tak na odczepnego. Chociaż przecież nie spotkają się z księgową już nigdy. I dobrze! Romie nie będzie brakowało szpitalnego towarzystwa. Ani księgowej, ani nawet Anny Formeli. Zony Wieśka, z którym od pewnego czasu mieszkała Gosia, jej była synowa. Ku zgorszeniu Agnieszki, która nie była lepsza od matki, skoro sama żyła na kocią łapę z jakimś chłopakiem. W dodatku zamieszkała u niego. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Nawet takie zielone jabłuszko jak Agnieszka. Nie całkiem jeszcze dojrzałe. Widocznie już czuje wolę bożą. Tak to się mówiło w czasach młodości Romy. Żeby nie powiedzieć chuć - swoją drogą, to też słowo z minionej epoki. Dziś mówi się o tym w jeszcze wulgarniejszy sposób. Roma długo nie czuła woli bożej. Miała ku temu ważne powody. Poczwała ją dość późno, już jako mężatka. Pewnie więc należało się z tego spowiadać. Ale nigdy tego nie robiła. Może jednak teraz powinna? Jeśli chce wykupić sobie wygodną miejscówkę w zaświaty. Taką pewną. Ale to by oznaczało rewolucję w jej życiu. Musiałaby powiedzieć całą prawdę. I to komu? Jakiemuś obcemu mężczyźnie. Zapewne znacznie od niej młodszemu. Naprawdę nie miała ochoty dzielić się z obcymi ludźmi tym, co nawet sama przed sobą ukrywała. „Nie ma mowy - pomyślała, wsiadając do taksówki. - Żadnego spowiadania się! Nikomu. Ale pomodlić się można. Właśnie tam”. Kaplicę Jedenastu Tysięcy Dziewic upodobała sobie jeszcze jako młoda dziewczyna, zaraz

gdy przyjechała do Gdańska, chociaż wówczas ta kaplica nie była tak reprezentacyjna. Niemniej dziś to tam znajduje się najświetniejsze z gdańskich wyobrażeń Męki Pańskiej.

Roma nieźle znała historię swojej ulubionej kaplicy, położonej w południowej części transeptu, pomiędzy kaplicami Ferberów i Świętego Jakuba. Wiedziała, że ufundował ją burmistrz Gdańska Gert van der Becke i że właśnie w tej kaplicy pochował swoją żonę Demuth von Ummen, a jej epitafium jest najstarsze w całym kościele. Romę przyciągało zwłaszcza odniesienie do świętej Urszuli, która była jej patronką, bo na chrzcie otrzymała imię Urszula, chociaż od czasów studiów używała drugiego imienia, oraz sama nazwa kaplicy zawierająca magiczne słowo „dziewica”, tak dla niej ważne, a równocześnie bolesne. Wszystko, co złe w jej życiu, zaczęło się, gdy miała trzynaście lat. Matka leżała w połogu. Mieszkali w małej wiosce pod Wałbrzychem. Przesiedleńcy ze Wschodu. Wtedy pijany ojciec - bohater wojenny, oficer Armii Krajowej, uwielbiany przez jej matkę - wytrząsnął z niej całą radość życia, miłość i czułość. Tak właśnie było - najpierw chwycił ją za ramiona i potrząsał, a potem... Potem nie kochała już nikogo: ani matki, która nie chciała o niczym wiedzieć, ani brata, który był przyczyną tego, co się Romie przydarzyło w Wigilię Bożego Narodzenia tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku.

Ale teraz nie będzie o tym myśleć, rozpamiętywać bolesnej przeszłości. Może w Wigilię albo w Boże Narodzenie. Ale nie dziś. Do nielubianych przez nią

świąt zostało jeszcze sporo czasu. Dziś chciała się tylko pomodlić przed powrotem do domu. Bała się tego powrotu. Trudno było przewidzieć, co zastanie. Gzy Kuba nie zdemolował jej mieszkania w przypiływie swoich deliryczno-histerycznych nastrojów? Albo czy nie sprzedał jej biżuterii lub drogocennych filiżanek, które zbierała przez całe życie? Mógł sprzedać któryś z obrazów. Czekał na jej śmierć, wtedy będzie mógł przepić wszystko. Nie same filiżanki.

Taksówkarz zatrzymał się przy Piwnej. Miał na nią poczekać, ale niestety nie kwapił się, żeby pomóc starszej pani wysiąść z taksówki ani żeby odprowadzić ją do kościoła, przejść z nią pod rękę te kilkadziesiąt metrów do bramy świątyni. Zamiast tego patrzył z politowaniem na starą kobietę, która próbowała się wygramolić z taksówki o własnych siłach. Pewnie uważał ją za jakiegoś mohera, chociaż Roma miała na głowie gustowny kapelusik. Ale dla taksówkarza była moherem z racji wieku. Tego nie dało się ukryć pod kapeluszem. Nic nie pomagały płaszczyk w pepitkę, zapach perfum Chanel no. 5 ani starannie ułożone włosy i lekko uszminkowane usta. Nawet to, że była szczupła i zachowała kształną, kobiecą figurę z wcięciem w pasie - to wszystko nie miało już najmniejszego znaczenia. Z powodu wieku nikt już nie potrafił postrzegać jej jako kobiety. Była po prostu staruszką. Właśnie zmierzała w kierunku kościoła. Kierunek jak najwłaściwszy dla osoby w jej wieku. Więc budziła jednoznaczne skojarzenia. Zdawała sobie z tego sprawę. Mimo to postanowiła wejść do środka i się pomodlić. Przynajmniej

spróbować, bo od dawna tego nie robiła. Ale modlitwy się nie zapomina. Słów, których nauczyła ją matka.

Szła bardzo wolno. Stąpała uważnie, żeby się nie przewrócić. Sama się sobie dziwiła, że nie miała siły, że po tym pobycie w szpitalu była taka słaba. Może nie należało wysiadać z taksówki, ale pojechać prosto do domu, do Wrzeszcza? Weszła do kościoła i zrozumiała, że nie dojdzie do kaplicy Jedenastu Tysięcy Dziewic, bo ta jest położona zbyt daleko. Ale może jakoś doczłapie do figury Pięknej Madonny. Krucyfiks w kaplicy Jedenastu Tysięcy Dziewic i Piękną Madonnę wyrzeźbił ten sam anonimowy artysta. Więc też ją lubiła, chociaż ta rzeźba była zbyt anielska jak na gust Romy. Spowita w niebieskie szaty, z porcelanową cerą i wysokim, wypukłym czołem. Znadto gotycka. Piękna kobieta. Rocznik tysiąc czterysta dwudziesty. Ale przecież z kamienia. Miękkiego, wapiennego, ale jednak z kamienia. Ponadto miała w sobie cichą radość. Radość młodej matki. Roma nigdy nie odczuwała radości z macierzyństwa. Wyłącznie brzemię. Ale w tamtych odległych czasach, gdy urodziła swojego jedynaka, też była piękna. W dodatku była kobietą z krwi i kości, a nie z kamienia. Miała brzoskwiniową cerę i lekko zadarty, mały nosecek. Taki uwodzicielski, a do tego to szelmowskie spojrzenie. Plus zgrabne nogi. Lubiała buty na niewielkim obcasie. Kiedyś wystukiwała tymi obcasami swoje emocje. O posadzkę kościoła z płyt nagrobnych gdańskich patrycjuszów. Wszystkich tych sukienników i piwowarów. Aż się ludzie oglądali. Bo stukała głośno. Taka była energiczna i pełna wigoru. Teraz stukanie nie

wchodziło w rachubę, chyba że laską albo kulą. Powoli, noga za nogą, człapała, a właściwie szurała stopami po posadzce. Niepewnie, nie dowierzając samej sobie. „Przydałaby się trzecia noga - pomyślała. - A raczej kula albo nawet balkonik. Nieodłączne atrybuty starszej pani”. Dlaczego ich nie miała? Bo ciągle ta szminka na ustach i chęć podobania się światu, nawet wtedy, gdy to już nie miało żadnego znaczenia. Staruszki, również te najbardziej odpicowane, nikomu nie mogą się podobać. Roma jednak ciągle walczyła. Sama już nie wiedziała o co. Była to bowiem walka z góry skazana na porażkę. Zakrywała dawno zwiędłą szyję fantazyjnie udrapowanymi apaszkami. Miała ich przecież całą kolekcję. Było w czym wybierać. A na pomarszczoną szyję i dekolt, które tak ją zdobiły w młodości, po prostu nie mogła patrzeć. Więc się okręcała. Jak mumia. Szalikami, apaszkami. Nawet w szpitalu, ku zdziwieniu i zniecierpliwieniu personelu, okręcała się swoją konfekcją. Pielęgniarki pukały się w czoło, naśmiewały się z niej. Stara kokietka - szeptały. W najlepszym wypadku, bo częściej jednak padało „dzidzia piernik” albo „stare próchno”. Określenie kokietka bynajmniej nie uwłaczało Romie. Przez większość życia była biegła w tej sztuce. Nawet teraz próbowała jeszcze coś ugrać w ten sposób. Ale się nie dawało. Niestety.

Chyba jednak nie dojdzie nawet do Pięknej Madonny. A co dopiero do Dziewic. Dziewice pozostawały zdecydowanie poza jej zasięgiem. To nie był dobry pomysł, żeby tu przychodzić. Więc teraz w tył zwrot. Niemniej to nie przyjdzie jej zbyt łatwo. Nagłe

zwroty w jej wieku nigdy nie wychodzą na dobre. Tak naprawdę powinna zadzwonić po Malgoškę. Żeby tu po nią przyjechała, bo taksówkarz już pewnie nie czekał, a ona po prostu nie da rady sama wyjść z kościoła. Prędeż zostanie tu i umrze. Bez modlitwy, spowiedzi i bez ostatniego namaszczenia. Więc nie pozostawało nic innego, jak znaleźć numer w telefonie. To też nie okazało się łatwe, zwłaszcza bez okularów do czytania. Nie znosiła tych okularów. Nie były twarzowe, a do tego miały grube szkła. Zdecydowanie ją postarzały. Ale przezornie włożyła je do torebki razem z komórką, więc teraz mogła wystukać numer Małgorzaty. Chociaż w telefonie miała jeszcze kilka innych ważnych numerów. Niektóre od pewnego czasu były już nieczynne, bo abonenci przenieśli się tam, gdzie telefonia komórkowa nie miała jeszcze zasięgu. Ale mimo braku nadziei na jakikolwiek odzew ze strony tych starych przyjaciół i dawnych kochanków nie kasowała ich numerów. Chciała, żeby te nazwiska były z nią do końca. Zawsze trochę raźniej. Jakby oni też ciągle byli pod ręką. W jej zasięgu. Roma lubiła stare telefony. Z tarczą. Czarne, ebonitowe. Wykręcała numer, a po chwili w słuchawce odzywał się niski, męski głos. I już mogła liczyć na spotkanie. U niego w pracowni na Długiej. Jak zwykle. To dwa kroki stąd. Wiele razy po takim spotkaniu przychodziła pomodlić się właśnie tu, w Mariackim. Ze spuszczoną głową biła się w piersi. Obiecywała sobie, że nie będzie następnego spotkania, a właściwie schadzki. Prosiła świętą Urszulę, swoją patronkę, o opiekę i wsparcie. Znowu nagrzeszyła, cudzołożyła,

i to przy niedzieli. Zamiast pójść na sumę, pobiegła do niego. W wiadomym celu. Już nie mogła wytrzymać. Potem w kościele musiała to z siebie wyrzucić. Poczucie winy. Za każdym razem biła się w piersi, wyznawała grzechy, a potem, pokrzepiona swoją własną skrucą, wracała do domu, do Wrzeszcza. Do męża, którego przecież i tak nie było w domu. Partia stawiała przed nim kolejne zadania. Nie mogła się obyć bez towarzysza Leona Herbsta. Do czasu oczywiście.

Ale teraz nie miała siły zrobić kroku. Musiała więc zadzwonić do Gosi. Żeby ją stąd zabrała. Jak najszybciej. Sama zwyczajnie nie da rady, nie zdoła opuścić tej świątyni o własnych siłach. Nie dojdzie do kaplicy Jedenastu Tysięcy Dziewic. Zostanie tu, pośrodku olbrzymiej świątyni. Wrośnięta w posadzkę. Jak żona Lota. Zamieni się w słupek. Niekoniecznie solny. Może tak byłoby najlepiej? Piękny koniec niepięknego życia. Ale niestety, jeszcze nie teraz. Teraz należało się stąd ewakuować. Dlatego wyjęła telefon i mimo obaw wybrała numer byłej synowej. Małgośka była wściekła i nie umiała tego ukryć.

- To nie mogłaś mnie zawiadomić wcześniej?! Dopiero teraz mówisz mi o tym, że cię wypisali? Ja mam właśnie pilną sprawę do załatwienia. Czekam w kolejce do lekarza. Mam umówioną wizytę. - Gosia rzeczywiście czekała na wizytę u chirurga plastycznego. Sama sprawa była dużej wagi, gdyż dotyczyła jej piersi. Ale przecież nie mogła zostawić Romy samej. Więc wizyta przepadnie, o ile nie da się jej przełożyć na inny termin. Ta starucha zawsze namiesza. We wszystkim

będzie przeszkadzać. Do samego końca. Nieznośna hipochondryczka, oby ją wreszcie szlag trafił! Najpierw ten szpital, a teraz kościół! A może ma alzheimera i będą z nią jeszcze większe kłopoty? Ale trzeba było jej pomóc, zawieźć do domu. Podać herbatę. Potem niech babcią opiekuje się Agnieszka. W końcu to jej powinno być. Szkoda, że Gosia od dwóch dni nie mogła dodzwonić się do córki.

Roma nie była w stanie już zrobić kroku. Czuła, jakby coś ją zablokowało. Była całkowicie unieruchomiona. Czekala na ratunek. Ale ten wciąż nie nadchodził. Powoli ogarniała ją panika. Atak hipochondrii, jak mówiła o jej dolegliwościach Gosia. Ale to nie była żadna hipochondria, lecz zwyczajna starcza niemoc. A jak już wreszcie ktoś nadejdzie, będzie to jej wiecznie zrządzająca była synowa. Wyłącznie na nią mogła liczyć, niestety. Chociaż jej nie lubiła. Zapewne z wzajemnością. Niemniej życie ułożyło się tak, że była teraz na nią skazana.

- Ki diabeł cię podkusił, żeby tu przyjechać? Po jaką cholere? Trzeba teraz zapłacić taksówkarzowi, bo cały czas czekał na ciebie. Wiesz, ile to będzie kosztowało? Taka religijna jesteś? Ze do kościoła pojechałaś zamiast do domu? Koń by się uśmieł z tej twojej religijności, wiesz?! - zawołała z oburzeniem Gosia.

Ta stara sklerotyczka, jej była teściowa, żyła w swoim świecie. Zawsze na cudzy rachunek. Ale już niedługo starsza pani będzie musiała wrócić na ziemię. O tym, że tam, w domu, czeka na nią syn w swoim pijanym barłogu, Gosia już wołała nie mówić, bo to był

drażliwy temat. Odstawi Romę pod same drzwi, ale do mieszkania nie wejdzie. Nie ma ochoty tam zaglądać. Nie jest ciekawa widoku swojego byłego męża. Teraz już naprawdę jej nie obchodził. Nic a nic. Musiała jak najszybciej zająć się swoim biustem, bo Wiesiek jakoś tak dziwnie na nią patrzył. Ale przed świętami chyba się nie uda. Zostało niewiele czasu. Trzeba będzie odłożyć to na potem. Już po Nowym Roku. Żeby na wiosnę mieć ten *new look*. Wreszcie podobać się Wieškowi. Wtedy na pewno się rozwiedzie.

-Więc jak? Jedziemy na Jańskową Dolinę? Czy mam zrobić ci jakieś zakupy?

- Nie, dziękuję - bąknęła Roma. Zakupy by się przydały, bo w lodówce znajdowało się zapewne wyłącznie piwo. Kuba niczego innego nie potrzebował. Piwo było jedyną rzeczą, na której mu zależało. Gdy miał w lodówce odpowiedni zapas, spał spokojnie. Ale gdy go brakowało, wpadał w szał. Wrzeszczał. Groził, że się zabije. Ze bez lufy ani rusz. Ze tylko to jedno mu w życiu pozostało. Pić. Na umór.

-Ale jakbyś mi kupiła trochę twarogu, tobym ci była wdzięczna.

- Dobra, podwiozę cię, a potem przywiozę zakupy.

- Oczywiście zwrócę ci pieniądze.

- Oczywiście.

W mieszkaniu Romy panowały półmrok i zaduch. Kuba chyba nie wietrzył przez trzy tygodnie jej pobytu w szpitalu. I nie podnosił żaluzji. Śmieci też nie wyrzucał. Zresztą chyba nawet nie było go w mieszkaniu. Gdzieś wyszedł. Pewnie zabrakło mu piwa. Albo fajek.

Roma poczuła, że jest potwornie głodna i zmęczona. Postanowiła się umyć i położyć jak najszybciej. Może zje jeszcze trochę twarogu, który przyniesie Gosia.

Nie należy chwalić dnia przed zachodem słońca, ale ganić go chyba też nie należy. Gosia była gotowa zrezygnować z operacji przed świętami. Niezmiernie ją to gryzło, bo wierzyła, że nowy biust to przepustka do nowego życia. Marzyła, że jeszcze będzie pięknie i namiętnie. Tak jak było na początku. Choć już od pewnego czasu ta namiętność znacznie osłabła. Wiesiek narzekał, że jest zmęczony, i po załatwieniu swojej potrzeby odwracał się i zaczynał chrapać. Więc, rada nierada, musiała spać w dawnym pokoju Agnieszki. Inaczej się nie dało. Wiesiek chrapał strasznie głośno. Jak stary dziad. Poza tym przejrzała połączenia w jego komórce. Robiła to regularnie, ponieważ wyznawała zasadę, że trzeba ufać i sprawdzać. Niestety, jej obawy potwierdziły się - Wiesiek pisał do żony. Cholerny zdrajca. W dodatku do niej dzwonił. Coraz częściej. A ona chyba nawet nie raczyła mu odpowiadać. Zawsze była pewna siebie i cwana. Niby to małe i niepozorne. Ale jadowite. I to jeszcze jak! Ale niedoczekanie! Wiesiek nie wróci do żonusi. Nie ma mowy. Właśnie dlatego sprawa powiększenia piersi stała się sprawą gardłową. Na szczęście przyszedł jej z pomocą chirurg plastyczny Jacek L. Zgodził się przyjąć ją jutro i przeprowadzić operację jeszcze przed świętami. Miała

przecież już wszystkie potrzebne badania. Była gotowa do zabiegu. Gosia odetchnęła z ulgą. Wszystko będzie dobrze. Musi być.

KASZUBERIA

Umówiły się w „Duszkę”. To była ulubiona knajpa Moniki, Anka natomiast jej nie znosiła. Bynajmniej nie wyłącznie z powodu panującego tam obscurnego rozgardiaszu i smrodu. Nie lubiła „Duszka”, ale coś za coś. Chciała z kimś porozmawiać. O czymkolwiek. Byle wyjść z domu i nie myśleć o tym, co ją czekało. Spośród jej znajomych jedynie Monika miała czas. Inni byli zajęci. Jak zwykle.

Monika wparowała do knajpy spóźniona. Cała zdyszana i mocno spocona. Tego roku grudzień był ciepły. Śnieg przyniesiony przez orkan o nazwie Ksawery szybko zaczął znikać, a telewizyjni zapowiadacze i przepowiadacze pogody od rana zaczęli litanię do śniegu. Żeby wreszcie spadł. Przecież nie ma to jak białe święta. Prawdziwe i polskie. Białe święta, jak wiadomo, są narodową świętością. Marzeniem wszystkich dzieci, dużych i małych. Rodziców, dziadków, babć. Plus oczywiście narciarzy oraz dybiących na ceprowe dudki górali. Białe święta z kilkustopniowym mrozem

znakomicie komponują się z rodzinnym ciepłem. Z tą wyjątkową atmosferą. Z zapachem grzybów i barszczu i oczywiście maku oraz choinki. Więc od rana zaczynały się telewizyjne i radiowe narzekania na pogodę. Ze nie taka. Ze śniegu nie widać ani nie chwyta mróz. Nawet na mapach pogodowych. Ale zawsze pozostawało mieć nadzieję. Ze jednak coś spadnie z nieba i ściśnie malutki mroźnik, taki *last minute*. W końcu niebiosa dadzą się wysłuchać i w samą Wigilię napada mnóstwo białego puchu, co wynagrodzi wszystkim długie dni oczekiwania.

Monika wybiegła z domu w zimowym płaszczu. Dlatego była zziębnięta i spocona. Żeby się trochę ochłodzić, zamówiła piwo. Mówiła, że dobre, bo naturalne. W przeciwieństwie do Anki okazała się niezmiernie rozmowna. Chyba miała nastrój do żartów i drwin. Z kogo się dało. Czasu było niewiele, bo miała jeszcze wpaść do swojej koleżanki z nowej pracy, która właśnie urządzała mieszkanie. Monikę ciekawiło, jak urządziła się jej koleżanka. Czy gustownie, czy jednak badziewnie. Trochę jej pomagała w wyborze niektórych dodatków, więc miała prawo obejrzeć, jak wygląda całość aranżacji.

- Bo to są kościelni. Oni to ani gumki, ani niczego. Mają pięcioro dzieci. Wiesz, w mojej nowej pracy jest nowa koleżanka. Ma na imię Honorata. Trochę jej pomagam urządzić nowe mieszkanie. Swoją drogą, straszne imię. Prawda? Ona tam na Górkę chodzi, do dominikanów. Jeszcze od czasu studiów. Oni na tej Górcie, no wiesz, to na gitarach bla, bla, bla. Słyszysz się czasem

to trala-lala, jak się tamtędy przechodzi wieczorami. Koło tego kościoła. Ja tobym z nudów umarła z tymi kościelnymi. Za to Honorata bez przerwy chodzi na pielgrzymki. Do Częstochowy albo innych świętych miejsc. Zamiast tego powinna pojechać w góry z jakimś facetem, a nie ze swoją kościelną przyjaciółką. Jedną czy drugą. Swoją drogą, ty też wreszcie mogłabyś sobie kogoś poszukać. Chyba że już masz. No przyznaj się! Powiedz mi prawdę. O tobie i wiesz o kim.

Anka nie miała ochoty się zwierzać. Woląла słuchać monicznej paplaniny. Bawiło ją to. Zmniejszyło stres. Ten miesiąc bez szpitala i bez chemii miał być czasem odpoczynku. Tymczasem jeszcze dziś powinna pojechać do Warszawy. Na pogrzeb.

-Wiesz, te kościelne kobiety są brzydkie i grzeczne. Jak ta Honorata. Baba ma ze cztery dychy, a do niedawna mieszkała z matką. W falowcu. To ja ją namówiłam na TBS. Dostała. Od ręki, bo miała pieniądze. Uskładała znaczy się. Dzięki temu niedawno się przeprowadziła. Ma dwa pokoje i kuchnię. Sama pomagałam jej urządzać mieszkanie. Nawet nieźle to wygląda. Namawiam ją, żeby już nie chodziła do tych kościelnych. Bo tam nie znajdzie faceta. Tam przychodzą sami żonaci. Zaobrączkowani. A ona, ta Honorata, jak tylko zaczynam gadać coś na Kościół albo na księży, robi się cała czerwona. Na szyi i na dekolcie. Wszystko się w niej gotuje. Ale nic nie powie. Nie chce się ze mną spierać. Chociaż jej się wydaje, że ona jest lepsza ode mnie. Od wszystkich. Kościelni tak mają. Mówią, że nie mogą tego i owego, bo im religia nie pozwala. Dlatego patrzą

na nas z wyższością. To się nazywa pycha. A to grzech. Nie pamiętam, który w tym kościelnym spisie grzechów, ale pamiętam, że na pewno grzech. Oni właśnie są tacy pyszni. Jak ta Honorata. Ciągłe chodzą na te spotkania. Żeby porozmawiać. O Bogu. Zamiast pójść na imprezę albo do knajpy, idą do kościoła. Myślą, że są lepsi od nas. To znaczy od takich ludzi jak ja. Pijących i nieunikających różnych innych przyjemności. A jakby taką Honoratę ktoś rzucił w wir życia, toby się zesrała. Spaczyli ją na tej Górcie, zrobili z niej sekciarę. To pewnie wina matki, bo ona też z tych świętojebliwych. Mówię ci, żal dupę ściska. A babka by mogła być fajna. Jest taka bardziej przy kości, ale niższa ode mnie. I z dużym biustem. Mogłaby się podobać. Całe szczęście, że ma to mieszkanie z TBS-u, to może w końcu kogoś sobie przygrucha. Bo chyba ciągle jeszcze jest dziewicą. Albo coś koło tego, bo jak zaczynam świntuszyć, to się cała czerwieni. Ty też powinnaś sobie przygruchać. Inaczej zwiędniez sama w tej swojej pięknej willi.

- Ona wcale nie jest moja, ale Wieśka!

- Więc tym bardziej. Ten twój Sinobrody, czy jak mu tam, to chyba ma gdzie mieszkać, co? Mówiłaś, że ma duży dom.

- Żaden mój.

- Jak to nie twój? Widziałam, jak cię uścisnął na pogrzebie profesora.

- Przesadzasz.

- Nie przesadzam. Ale tak swoją drogą, to on jest chyba dla ciebie trochę za stary. Już chyba ma na karku pięćdziesiątkę, nawet taką z małym okładem.

- Nie wiem, ile ma lat. - Anka się zaczerwieniła. Nie chciała rozmawiać z Moniką ani na temat Sinobrodego, ani na żaden inny, trudny i bolesny dla niej temat. Z zasady nie zwierzała się nikomu. I nie zamierzała łamać tej zasady. Przecież to miała być rozmowa o czymkolwiek. O błahostkach.

- Po pięćdziesiątce. Zdecydowanie po. Na tyle wygląda. - Monika przypuszczała, że Sinobrody może być starszy od Wieśka Formeli, który miał pięćdziesiąt dwa lata. Anka najwyraźniej miała kompleks ojca i stąd jej upodobanie do partnerów starszych od niej o kilkanaście lat. Pewnie nie miała ojca. Matki chyba też nie. Nigdy nie wspominała o rodzicach. O żadnej rodzinie. Może wychowała się w bidulu i teraz ma kompleksy z tego powodu? Pewnie dlatego nawet nie wspomina o rodzinie. Wstydzi się. Kto by się nie wstydził?

- Lubisz starszych facetów. Takich starych dziadów. - Monika nie chciała odpuścić rozmowy na swój ulubiony temat. O związkach. Oczywiście nieformalnych. Bo swojego formalnego miała serdecznie dosyć. Zresztą kto by nie miał dosyć Waldusia pasożyta, który tylko czatował, aż Monika wreszcie wróci do domu? Pani Monika, bo tak o niej mówili kupcy w Hali. Pani Monika to, pani Monika tamto. Zawsze taka elegancka. Umalowana, na obcasach. Do każdego zagada i nawet się uśmiechnie. A potem z siatką pełną zakupów wraca do domu. Do dziewczynek. I do Waldusia. Jemu to nawet przyniesie papierosy. Bo mąż Moniki był namiętym palaczem. Tak o sobie mówił, nie kryjąc dumy: „Jestem namiętym palaczem”. Gdy Monika poprawiała

go, że nie namiętym, bo wszelkie namiętności między nimi już dawno wygasły, ale nałogowym, wtedy Walduś gwałtownie protestował. Monika zaś musiała iść do Hali, żeby ponegocjować z kaszubicą. Może sprzeda taniej mielone, kto wie? Czasem ma gest. Dla pani Moniki, bo dla innych klientów to niekoniecznie.

Waldemar Dopierała wolał owijać w bawełnę niewygodne sprawy. Dlatego mówił o sobie, że jest chwilowo bez pracy, chociaż tak na dobrą sprawę od kilkunastu lat był na utrzymaniu żony. Jednak określenia „bezrobotny” albo nawet „na długotrwałym bezrobociu” nie podobały mu się. Podobnie jak nazywanie nałogiem jego słabości do papierosów i wódeczki.

- Daj spokój. Jadę na pogrzeb.
- Jaki znowu pogrzeb?
- Mojego ojca.
- Aha. Nic mi nie mówiłaś, że masz ojca. A dokąd jedziesz?
- Do Warszawy. Może byś pojechała ze mną? Jestem trochę słaba.
- Nie mogę. Naprawdę bym chciała pojechać do Warszawy, ale sama rozumiesz. Muszę pilnować Waldusia. Żeby nie zrobił jakiegoś głupstwa. Bo wystarczy, że wyjadę za roгатki, a zaraz dzieje się coś złego. Ten typ tak ma. O, właśnie dzwoni. Pewnie znowu jakaś pierdoła. Czy ma obrać ziemniaki, czy może ugotować kaszę. A jak nie kaszę, to może ryż. Albo makaron. A tak naprawdę chodzi o to, czy już kupiłam mu papierosy. Dla niego te fajki są najważniejsze. Nie może bez nich żyć. Zaprzedałby i duszę, i ciało

za paczkę papierosów. Taki to jest człowiek. Marny i niebezpieczny. Monika nie chciała jednak mówić za wiele o Waldusiu. Wszyscy dookoła i tak wiedzieli, co się święci. Anka nie miała też ochoty opowiadać o swojej rodzinie.

O tym, że siostra nie chce jej znać. Za to siostrę może oglądać w telewizji. Go tydzień, bo Mańka ma cykliczny program. A matka? Matka to matka. Więc zamiast rozmawiać, milczały. Anka już dawno dopiła herbatę, a na następną nie miała ochoty. W każdym razie nie w tej obskurnej norze, która zdaniem Moniki była miejscem kultowym. To znaczy takim, gdzie przychodzą różni ciekawi ludzie. Na pierogi. Na wódkę. Na piwo. Żeby się trochę ogrzać. Porozmawiać z kimkolwiek. Z dala od domu i od samotności, która tam czyhała. Właśnie dlatego Anka przedłużała to dopijanie herbaty, jak tylko się dało. Monika zaś wyraźnie się spieszyła, lecz wcale nie było jej śpieszno do Waldusia, ale do Honoraty. Do tej kościelnej. Więc Anka zapłaciła rachunek za herbatę

I za piwo i wyszły. Monika szybkim krokiem ruszyła w kierunku miasta. Na Ankę czekała taksówka. Musiała się przygotować do podróży. Do Warszawy wybierała się następnego dnia rano. Jakoś jej się tam nie spieszyło. Na spotkanie z rodziną, której tak naprawdę nie miała.

Mieszkanko Honoraty było trochę jak jego właścicielka. Gildiowate. To było ulubione określenie Moniki: „gildiowatość”. Zaraz po wejściu do nowego lokum

Honoraty pomyślała, że to gildia. Czyli chińska tandeta i totalne bezguście. Nie spodziewała się, że będzie aż tak źle. Kiedyś w „Gildii” zaopatrywały się miejscowe elegantki. Takie z niższej półki. Miłośniczki butów ze skóry ekologicznej i kostiumików wyprodukowanych z różnych ślicznych, sztucznych materialików. Honorata też chyba lubiła „Gildię”. Pewnie żałowała, że ją zlikwidowali, gdy się zaczęła budowa nowego centrum handlowego. W szafie Honoraty zapewne można było znaleźć wiele śladów „Gildii”. W mieszkaniu niestety też. Monika rozsiadła się w fotelu i westchnęła. Już chciała powiedzieć, że jak patrzy na te żółcie i brązy, to jej własna, osobista żółć podchodzi jej do gardła. Kanarek na ścianach, a kupa na fotelach i kanapach. Kilimek z papieżem na ścianie. Kwiatki paprotki w doniczkach na wszystkich parapetach w malutkich koszyczkach. Plastikowa koneweczka do podlewania tych kwiatuszków. Prześlicznie. Przytulnie i tak swojsko. Do tego herbatka minutka zaparzona w szklanym dzbanuszk. Obowiązkowo delicje na szklanym talerzyku. Żyć nie umierać. Cała ta estetyka została najpewniej przeniesiona z mieszkania mamusi na Przymorzu. Z falowca, o którym Honoratka tak ochoczo opowiadała. Była nawet meblościanka. Na wysoki połysk, mahoń. Brakowało tylko kryształów za szkłem. Podobno zostały w mieszkaniu mamusi. Nie chciała ich oddać. Wszak były jej dumą. Większą niż córka. Niezbyt urodziwa, prawdę mówiąc. W przeciwieństwie do błyszczących kryształów. Więc mieszkanie Honoraty było już urządzone. Kompletnie i nieodwołalnie. Chyba nic nie da

się tu poprawić. Może być tylko gorzej. Monika zastanawiała się, czy powiedzieć prawdę, czy jednak trzymać swój język na wodzy. Zeby nie zrobić przykrości biednej, poczciwej Honoracie, która w dodatku tak się starała. Chyba sama malowała ściany, tyle było niedoróbek. Nierówności. A jeśli nawet nie ona tak szpetnie wypacykowała całe mieszkanie, to z pewnością wybrała ten jakże paskudny odcień żółtego. Monice kojarzył się ze szkolną stołówką. Pomalowaną na ten sam kolor, tyle że na dole była lamperia wykonana farbą olejną. Zeby jej dzieciaki nie zapaćkały brudnymi łapskami. Cholerne bachory. Woźna je przeganiała. Zeby nie niszczyły, nie dewastowały. Dlatego w stołówce znalazła się ta żółta lamperia. Zeby było ładnie. Zupełnie tak ładnie, jak w mieszkaniu Honoraty.

- Nie podoba ci się, prawda?
- Skąd wiesz, że nie?
- Bo widzę.
- No nie bardzo.
- Ale co ci się nie podoba? Co konkretnie?
- Ten kolor ścian.
- Aha. Ale co, miałam białe zostawić?
- Pewnie, że tak.
- Ale jakoś tak głupio mieć białe ściany.
- Wcale nie głupio, tylko w dobrym guście. Honorata usiadła naprzeciwko Moniki i patrzyła na nią jak smutne ciele.
- To co mam zrobić? Przemalować?
- Na początek zdejmij ten kilimek z papieżem. -Ale to z Częstochowy, z pielgrzymki.

- Domyślam się, ale zdejmij. Od tego zaczniemy. Przemalować też trzeba. Pomogę ci, nie martw się. Trzeba coś z tym zrobić. Z tobą też.

Monika lubiła czuć, że ma misję do spełnienia. A mieszkanie Honoraty było dla niej wielkim wyzwaniem. Należy więc przemalować. Kanapę i fotele przykryć jakimiś fajnymi pokrowcami, a starą meblościankę, pamiętającą zapewne czasy wczesnego Jaru-zelskiego, trzeba wywalić na śmietnik. Na gruzach tej gildiowości Monika stworzy nową jakość. Nowoczesne wnętrze. Nową Honoratę. Pewną siebie. W nowym biustonoszu, robionym na zamówienie u gorseciarki. Z wcięciem w talii zamiast wystającego brzuszka. Honoratę trzymającą się z dala od Górki i od falowca.

- Musisz pochodzić po sklepach, rozejrzeć się za nowymi ciuchami. Powiem ci, co masz kupować, a czego nie. Niestety, nie mam czasu, żeby połączyć z tobą. Obowiązki rodzinne, sama rozumiesz!

- Rozumiem.

- Więc musisz sobie radzić sama, ale dam ci wskazówki. Musisz też pójść do dietetyka. Jest tu jeden taki. Właśnie na twoim osiedlu. Pójdź koniecznie. I musisz ćwiczyć. Ja codziennie jeżdżę na rowerze. Stacjonarnym, oczywiście. To bardzo wygodne. Możesz się wybrać na wczasy odchudzające. To też jest sposób. Ale zacznij od tego, że wyrzucisz z szafy te wszystkie stare szmaty. Błagam.

-Wiem, to gildia.

- No właśnie, gildia. Jak chcesz sobie kogoś przygruchać do tego gniazdka, to musisz zmienić styl.

- Muszę.

Honorata wiedziała, że to dla niej ostatni dzwonek. Ze może już nawet za późno na to, żeby zrealizować jej chytry plan. Niemniej miała nadzieję, że może się uda, zwłaszcza że kilka dni temu kogoś spotkała. Zupełnie przypadkowo. Znajomego sprzed lat. To był ważny bodziec, żeby o sobie zadbać. Dotychczas rzeczywiście nie dbała. Myła tylko buzię wodą z mydłem i smarowała kremem Nivea. Rano i wieczorem, na co dzień i od święta. I od dawna nie wchodziła na wagę.

NA GIBALAKU

Nie lubiła tych nieznośnie długich podróży do Warszawy. Brudny pociąg włókł się prawie sześć godzin. Pasażerka siedząca naprzeciwko zjadała bułkę z pasztetową i uważnie przyglądała się chustce, którą Anka miała na głowie. Usiłowała nawiązać rozmowę. Kolejna wścibska baba. Anka nie reagowała na jej spojrzenia ani uśmiechy. Chrząknięcia też ignorowała. Zastanawiała się, czy się nie przesiąść. Ale nie miała siły. W dodatku zaczęła ją boleć głowa. A to był zły znak. Jeśli boli, to znaczy, że rośnie ciśnienie śródczaszkowe, a jeśli tak, to wiadomo co... Więc postanowiła zostać na swoim miejscu. W innym przedziale też będą się na nią gapić. W końcu trzeba się przyzwycząić do nachalnych spojrzeń, szczególnie że niedługo stanie oko w oko z własną matką. A ta zapewne zacznie się nie tylko wgapiać, ale również pytać. Będzie zadawać mnóstwo niedyskretnych pytań, chociaż tak naprawdę córka nic a nic jej nie obchodzi. Ale pytać zawsze można, a nawet należy. Przede wszystkim będzie więc pytać ją o Wieśka.

I o włosy. Gzy wszystkie wypadły, czy może część? I dlaczego nie nosi peruki, ale tę nieszczęsną chustkę? Pewnie nie oszczędzi córce komentarza, że się postarzała przez tę chorobę i że jeśli Wiesiek naprawdę ją zostawi, to nie będzie miała z czego żyć. Chyba że Anka wygra sprawę o alimenty. Wtedy Wiesiek będzie musiał jej płacić.

Alimenty - to było ulubione słowo jej matki. Dobrze zapamiętała je z dzieciństwa. Matka zawsze jej wypominała, że Robert Baumann, człowiek majątny i ustosunkowany, płaci na nią tak niskie alimenty. Jakby to była wina małej dziewczynki, że jej tatuś okazał się niezwykle oszczędnym człowiekiem i na swoją nieślubną córkę płacił śmieszne grosze, w dodatku nieregularnie, bo często zapominał o swoim obowiązku. Matka zawsze się wściekała, że alimenty jeszcze nie przyszły, a było już po pierwszym. Miał płacić właśnie tego dnia. Skoro płaci tak mało, to przynajmniej powinien dotrzymywać terminu. Ale prawie nigdy nie dotrzymywał. Dlatego musiała co miesiąc wysłuchać tej litanii do alimentów. Ze tatuś nie chce płacić na bachora, chociaż go zrobił. A bachor dzień i noc woła o jedzenie. Jak jasna cholera. Nie miało znaczenia, że mała Ania była niejadkiem. Za to obrywało jej się przy innych okazjach. Ale gdy poruszano temat alimentów, matka zawsze przypisywała córce wilczy apetyt.

Zastanawiała się, czy w ogóle odwiedzić matkę. Dotąd zawsze to robiła, gdy była w Warszawie. Siłą rozpędu. Z poczucia obowiązku. Bo matka to matka. Nawet taka niekochająca i wiecznie niezadowolona z jedynej

córki. Na samą myśl, że wkrótce zobaczy swoją rodzicielkę, ścisnęła ją w żołądku. Bała się jej zapuszczonego, brudnego mieszkania, gdzie zostawiła wszystkie swoje dziecięce lęki i fobie. Do tego dochodził jeszcze ten papierosowy smród, który od zawsze ciągnął się za matką. Za starym Wichurą też. Wiedziała, że po raz kolejny usłyszy od matki te same cierpkie słowa pod swoim adresem. Ze nie umiała się zakręcić. Zdaniem Grażyny Wichury kobieta powinna umieć się w życiu zakręcić. To było jej najważniejsze zadanie. Ważniejsze nawet od misji rodzicielskiej. Zakręcić się, póki czas, tak żeby się ustawić. Żeby pomóc matce na starość. Zwłaszcza jeśli ta matka była samotna i niezamożna. Jak Grażyna. Dobra i mądra córka jest obrotna i śmiało wchodzi w niejeden życiowy zakręt. Kręci się i obraca, że aż miło popatrzeć. Jak primabalerina. Grażynie niewiele zabrakło do bycia primabaleriną. Wszystko stało przed nią otworem. Ale niestety przyplątał się ten cholerny literat, ojciec Anki. Poeta i lingwista. Poliglota. Piewca należących do Grażyny, najdłuższych nóg w Warszawie. Właśnie przez niego długonoga Grażyna zamiast primabaleriną została cyrkówką.

Anka to niestety dupa straszna jest, bo nigdy nie umiała się zakręcić. Dlatego dziś Grażyna klepie biedę, chociaż co miesiąc dostaje przekaz od córki. Ale to nie są żadne pieniądze. Połowa uniwersyteckiej pensji Anki. Marne drobniaki, które matce ledwo starczą na papierosy i na kawę. Grażyna zaś dziennie wypala przynajmniej dwie paczki, a czasem nawet więcej, musi też pić dużo kawy, bo ma ciśnienie trupa, osiemdziesiąt

na sześćdziesiąt. Odkąd wywalili ją z cyrku, cały swój nikomu niepotrzebny czas puszczała z dymem. Papierosowym. Poza tym kawa i papierosy były niezbędnym paliwem, dzięki któremu tak dobrze szło jej stawianie pasjansów i wróżenie z kart sąsiadkom, spragnionym dobrych wieści o tym, że ktoś je kocha, lubi lub przynajmniej szanuje. A jeśli nawet lekceważy, bije i pluje w twarz, to nieważne, bo następna karta może przynieść nowego mężczyznę. Jakiegoś waleta albo nawet asa kier. Sąsiadki nie pozostawały Grażynie dłużne. Częściej jednak płaciły w naturze, przynosząc płody rolne z działeczki, ale czasem, zwłaszcza po pierwszym, zdarzało im się nawet sypnąć groszem. Dzięki temu matka Anki jakoś wiązała koniec z końcem, chociaż niezupełnie. A wszystko dlatego, że jej córeczka jedynaczka była oszczędna. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Anulka wdała się w ojca. Blondyneczka. Zawsze z kwaśną minką. Patrzy na matkę spode łba i nie chce z nią gadać. Nawet przez telefon. Do tego jest strasznie skąpa, po prostu kutwa. Po tatusiu nie odziedziczyła jedynie głowy do interesów. A on ją miał. I to jaką! Poza tym miał w sobie to coś, co sprawiało, że kobiety do niego lgnęły. Dla odmiany Anulka chyba nie przyciąga mężczyzn, zwłaszcza że niedługo stuknie jej czterdziątka. A to dla kobiety wiek niezbyt komfortowy, delikatnie mówiąc. Zresztą dla kobiety żaden wiek nie jest komfortowy. Sześćdziesiątka, do której zbliżała się Grażyna, była przecież zdecydowanie gorsza od czterdziątki. Ale o tym sza! Grażyna Wichura była kobietą wyjątkową. Miała

w sobie to coś. Mimo zmarszczek, zniszczonej od papierosów cery i pożółkłych zębów mężczyźni wciąż jeszcze się za nią oglądali. Na ulicy. Głównie staruchy i menele, ale zawsze coś. Wprost nie mogli oderwać oczu od jej najzgrabniejszych na świecie nóg i od talii osy, i zawsze rozwichrzonych, kręconych włosów, ufarbowanych na rudo. Czasem z odrostami, ale rzadko. A to dzięki temu, że jedna z sąsiadek, której Grażyna stawiała karty, była fryzjerką. Więc miała za darmo i farbowanie, i czesanie. W efekcie wcale nie wyglądała na swój wiek. Zwłaszcza gdy założyła ciemne okulary. Zmarszczki wokół oczu zawsze ją bowiem zdradzały. Więc polubiła ciemne okulary muchy, bardzo twarzowe, trzeba przyznać. Zupełnie takie same jak te, które nosiła Małgorzata Braunek w *Polowaniu na muchy*. Nigdy natomiast nie zdołała polubić córki.

Mieszkanie matki było jak zawsze zapuszczone i zadymione. Grażyna nie uznawała bowiem wietrzenia, bo jak twierdziła, od tego łapie się przeziębienie i zapalenie korzonków. Szczególnie bała się tego drugiego, sprawiało bowiem ból, jej zdaniem, porównywalny wyłącznie z bólami porodowymi. Więc w jej domu panował nieznośny zaduch. Niemniej świetnie się czuła w tym swoim mikroklimacie. W mikrokosmosie zresztą też. Jedyne, co jej przeszkadzało, to wrzaski bachorów na podwórku. Była zima i już wczesnym popołudniem robiło się ciemno, a te szczeniaki ciągle piszczały, a właściwie wyły. Więc nic dziwnego, że Grażyna nie mogła się skupić na ważnym pasjansie. Jeśli ten pasjans wyjdzie, to będzie oznaczało, że jej córka

dostanie pieniądze po ojcu. Więc ona jako matka, bądź co bądź, też coś uzyska. Ale niestety pasjans nie wychodził. Skubany! To przez wrzaski obrzydliwych bachorów. „Wilczęta z czarnego podwórza” - pomyślała.

Nigdy nie lubiła dzieciaków. Kiedy lekarz jej obwieścił, że jest w ciąży, wpadła we wściekłość. Najbardziej się bała, że po urodzeniu dziecka się roztyje. Ze na jej nogach pojawią się żylaki. To drugie niestety się sprawdziło. Zaraz po urodzeniu córki pod kolanem zrobił jej się żylak. Ale najgorszy okazał się nie żylak i nawet nie poród, straszny, kleszczowy, ale to małe, wrzeszczące zawiniątko, z którym nie było wiadomo, co robić. Koleżanki jej radziły, żeby oddała dziecko do adopcji albo do domu dziecka. Jednak się zawzięła i wychowała tę małą niewdzięcznicę. Zupełnie niepodobną do matki ani do nikogo z jej rodziny Wichurów. Wyrodziła się ta córka. Cholerna, mała pchła. Nie urodziłaby jej, gdyby nie Marysia Wichura, rodzona siostra starego Wichury - ojca Grażyny. Też miała nieślubnego syna i jeszcze wychowała jakąś sierotę wojenną. Więc kiedy Marysia się dowiedziała, że Grażynka, jej chrześnica i jednocześnie bratanica, też zaciążyła, a tatuś wypiera się dziecka, to wzięła sprawy w swoje ręce. Przeprowadziła Grażynę przez ciążę, a potem przez sprawę sądową o uznanie ojcostwa. To dzięki ciotce Marysce Grażyna tak się zawzięła. Dopięła swego, bo jej córka dostała nazwisko po ojcu, a ona alimenty na dziecko. Odtąd Ania Wichura nazywała się Baumann. Wcale nie było jej z tym łatwo. Zwłaszcza w szkole. Nauczycielka nie mogła się nadziwić,

dłaczego mamusia Ani Baumann nazywa się Wichura. Więc Anna była zła na siebie, a jeszcze bardziej na mamusię. Dzieciaki dziwnie się na nią gapiły, a potem szeptały po kątach, że Ania chyba jest adoptowana, bo ma inne nazwisko niż jej mama. Jest też zupełnie niepodobna do mamy. W dodatku ma takie niepolskie nazwisko. To ostatnie nawet trochę imponowało koleżankom Ani. Bo niepolskie oznaczało lepsze. Z peweksu albo z baltony. Pachnące, kolorowe, drogie. Za dolary albo przynajmniej za bony. Zagraniczne džinsy, ładnie układające się na pupie, lalka Barbie i nutella na śniadanie zamiast dżemu truskawkowego. Niestety, Ania nie miała nawet kolorowych gumek do włosów. Ojciec pojawiał się w jej życiu rzadko, od wielkiego dzwonu. Wtedy było kolorowo, ale jedynie przez chwilę, bo Grażyna szybko spieniężała prezenty dla córki w komisie albo na bazarze. A na co dzień marzeniem Ani były chińskie gumki z okrągłaka przy Okopowej. Ciuchy też nosiła zawsze gorsze niż jej koleżanki, szarobure i sprane, chyba z darów kościelnych, więc obco brzmiące nazwisko niewiele jej pomagało. Wręcz przeciwnie. Bardziej szkodziło, niż pomagało. Dlatego Ania go nie lubiła. Chociaż w jeszcze większym stopniu nie lubiła nazwiska Wichura, które kojarzyło jej się z wiecznie poirytowaną czymś matką. Albo, co gorsza, ze starym Wichurą, jegomościem z czarnymi zębami.

Grażynę ogarniała narastająca frustracja, ponieważ nie wychodził jej pasjans, w dodatku zostały jej ostatnie dwie fajki. Po nowe trzeba będzie iść do kiosku, co oznaczało, że będzie musiała się ubrać. A przecież nie

miała ochoty podnosić się z fotela. Jeśli Anka przyjedzie, tak jak zapowiadała - wczesnym popołudniem, to może pójdzie po papierosy dla matki. Chociaż tyle niech dla niej zrobi. Grażyna wiedziała, że tego nie lubi, ale rodzicielce nie odmawia się i już. Bez papierosów pasjans nie wyjdzie. A jeśli nie wyjdzie, to Anka nie dostanie pieniędzy po ojcu. Pieniądze zaś tak naprawdę są potrzebne nie Ance, lecz Grażynie. Tak jak kiedyś alimenty. Prawie nigdy nie dostawała ich w terminie. Ale zawsze mogła mieć pretensje do córki. Więc teraz, po śmierci Baumanna, gdy już w każdej gazecie można było znaleźć jego nekrolog - Polaka, ojca i nawet dziadka - może jej córka, której nikt nie wymieniał w nekrologach, dostanie to, co się jej należy. Byle nie uniosła się honorem i nie wróciła do tego swojego Gdańska z pustymi rękami.

Przywitała swoją jedynaczkę w szlafroku i na bosaka. Anka zwróciła uwagę na jej wrastające paznokcie u stóp. „Takie same jak moje” - pomyślała. Ale Grażyna wcale nie dbała o stopy. Anka natomiast regularnie chodziła do pedikiurzystki, która stosowała różne zabiegi, nieco poprawiające stan jej paznokci. Natomiast pazury u nóg jej matki były zaniedbane i powykręcane. To zapewne bolało. Trudno było dobrać wygodne buty. Prawdę mówiąc, najwygodniejszą opcją pozostawało właśnie chodzenie na bosaka.

- A gdzie masz walizkę, tak bez niczego przyjechałaś? - zaczęła mówić Grażyna agresywnym tonem. Jak zawsze była niezadowolona z córki i od progu ją strofowała.

- Zostawiłam w hotelu. - Ta krótka odpowiedź rozwścieczyła Grażynę do tego stopnia, że puściły jej hamulce:

- W hotelu, srelu, burdelu! Bo u matki to jaśnie pani śmierdzi i kibel brudny! A brudny, brudny, bo kto miał go umyć?! Córeczka wyniosła się do mężusia, do jakiegoś tam Gdańska, i w niczym nie pomoże matce! A może by tak trochę więcej pieniążków przysłała? To i na sprzątaczkę by starczyło, i może nawet na czynsz, bo już od trzech miesięcy zalegam z opłatami i niedługo wyłączą mi prąd. Gaz pewnie też wyłączą, to nawet wody na herbatę nie będę sobie mogła zagrzać. Mogłabyś się zainteresować matką, a ty nawet nie zadzwonisz, a jak przyjedziesz, to mieszkasz w hotelu. Jaśnie pani cholerna! Jak tatulek, zupełnie jak on! Ale ten twój jasny tatuś kopyta podobno wyciągnął, he? Wyłącznie dlatego tu przyjechałaś. Nie do matki, lecz na jego pogrzeb. Ale ja też wiem, że umarł. Wiem z gazety, bo widziałam nekrologi. Nic ci pewnie nie zapisał. Nie masz na co liczyć. Jak umiesz liczyć, to na niego nie licz. Bo na matkę też przecież liczyć nie możesz. Co ty masz na łbie? To jakaś nowa moda czy co? Zrób matce herbaty! Przyjeżdżasz raz na sto lat, to chociażbyś podała szklankę herbaty albo wody! I zdejmij z głowy tę cholerną szmatę. Co? Nie chcesz zdjąć? Nie masz włosów? Lepsza łysa głaca niż szmata na łbie! Zupełnie jakbyś była jakąś muzułmanką.

Anka cały czas stała w przedpokoju ze spuszczoneym wzrokiem. Zastanawiała się, czy wyjść, czy jednak zostać na chwilę u matki. Ta rozczochrana, ruda

wiewiórka była jej matką, niestety. Dlatego Anka uważała, że musi tu zostać chociaż na pół godziny. Zaparzy herbaty, zrobi coś do jedzenia. Wtedy będzie mogła wyjść. Ale teraz musi słuchać tego potoku bezładnie wypowiedzianych słów.

- No powiedz wreszcie, na co jesteś chora! Nie rób z tego tajemnicy. W końcu matce możesz powiedzieć, nawet powinnaś! Co z ciebie za córka, że nie uznajesz matki?

- Nic, po prostu miałam chemioterapię. - Anka nie zamierzała zwierzać się tej kobiecie. Sama się sobie dziwiła, że w ogóle tu przyszła. Powinna zrezygnować z tej kurtuazyjnej wizyty. Weszła do kuchni, która nic się nie zmieniła od czasów, kiedy Anka miała chyba z sześć lat i po raz pierwszy, właśnie tu, zobaczyła swojego ojca - Roberta Baumanna. Dotąd widywała go tylko na zdjęciach i raz w telewizji. Prawdę mówiąc, nie wierzyła, że ktoś taki może być jej ojcem. Ten obcy człowiek, który z opóźnieniem przysyłał alimenty. Zawsze jej się za to dostawało. Jakby była winna niefrasobliwości i dezynwoltury własnego ojca. Wtedy nie знаła jeszcze tych dziwnych słów. Znała tylko słowo „alimenty”. I nienawidziła go. A ten pachnący drogą wodą po goleniu, wysoki mężczyzna uosabiał jej niezawinioną winę. To przez niego co miesiąc musiała wysłuchiwać wiązańki żalów matki pod swoim adresem. Więc z początku czuła do niego żal i niechęć. Mimo tej niechęci spojrzała mu prosto w oczy i wyciągnęła rękę w powitalnym geście. Tak jak uczyła ją Marysia Wichura. Patrz prosto w oczy, mówiła. I podawaj

rękę na powitanie. To pierwsze spotkanie wypadło w jej urodziny, szóstego grudnia. Grażyna zabrała ją od Marysi do siebie. Żeby nie miał wątpliwości, kto wychowuje małą. Stary Wichura miał chyba kolejny atak podagry i wylądował w szpitalu. Dlatego go nie było. Więc mogli spotkać się na Gibalskiego. Zapamiętała, że ojciec przyniósł jej w prezencie dużą lalkę i oczywiście jakieś książki. Jak to on. Jego kosztowne i eleganckie prezenty nie pasowały do otoczenia. Do brudnego, zakurzonego mieszkania, gdzie każdy przedmiot przypominał o przeszłości, o której nikt nie chciał pamiętać.

Stali tak przez dłuższą chwilę w tej obskurnej kuchni, która mimo upływu wielu lat nic się nie zmieniła. Zlew wtedy i teraz wypełniony był brudnymi naczyniami i wodą, bo widocznie resztki jedzenia zatkały odpływ. Trzeba to będzie pozmywać. Zrobić porządek. Tak łatwo i szybko nie da się uciec ze znienawidzonego mieszkania matki. Poza tym ona chyba nic nie jadła, bo w zlewie pływały jedynie kubki po kawie, a sam zlew był zatkany. Więc pierwsze, co należało zrobić, to go odetkać. Jak za dawnych lat. Od tego zawsze Anka zaczynała sprzątanie kuchni.

- Jadłaś coś? - zapytała. Powinna dodać „mamo”. Ale to pełne znaczeń słowo jakoś nie chciało jej przejść przez gardło. O swojej matce myślała zwykle: „ona”, a zwracała się do niej bezosobowo. A właściwie bez-uczuciowo. Ale zawsze grzecznie i z szacunkiem.

- Nie jadłam, bo nie mam apetytu. Poza tym nie chcę się roztyć.

- Może mam upiec kurczaka? Będziesz miała na dwa dni.
- Nie chcę kurczaka, chcę papierosy. Kup mi karton. Albo dwa. I kawę, bo się kończy, a ja bez kawy mam ciśnienie trupa. Bez kawy jestem jak trup i nie mogę pracować.
- Masz pracę? - Anka próbowała zmienić temat rozmowy.
- Pewnie, że mam! -Jaka?
- Jaka, jaką?! Pracuję tutaj, w domu. Mam mnóstwo pracy. Pomagam ludziom. A ty się nie śmiejesz. Do jasnej cholery! Tak, wróżę z kart. To jest ważniejsze i lepsze od tego twojego liczenia nagrobków i trupów. Ja się zajmuję żywymi ludźmi, a nie jakimiś kościotrupami z pradziejów. I co, skończyłaś ten swój doktorat? Tfu, nie doktorat, habilitację. Doktorat to już chyba zrobiłaś w zeszłym roku. Będziesz panią profesor od rzeczy niepotrzebnych i szkodliwych. Kompletnie nieważnych i nieprzydatnych. A żadnych pieniędzy z tego jak nie było, tak nie ma. Szkoda twojego czasu na te bzdury. Po co ci to?

Anka postanowiła przygotować herbatę i coś na ciepło do jedzenia. Może kurczaka, którego kupiła? Potem jakoś ładnie to podać. Najlepiej na półmisku. Zapamiętała pewien półmisek z dzieciństwa. Ze szczupakiem. Z ogromną rybą, pokrytą łuską. Srebrną. Do tego były jeszcze talerzyki i głębokie talerze. A także duże, obiadowe. Te talerze kojarzyły jej się z ojcem, bo w czasie ich pierwszego spotkania, miała wtedy około

sześciu lat, właśnie z tych talerzy z rybą jedli w kuchni rosół z makaronem. Nikt nic nie mówił, a ona bała się spojrzeć na ojca, który tylko udawał, że je. Bo rosół był byle jaki: z kostki rosołowej. Za to Grażyna cały czas mówiła i siorbała, ponieważ inaczej nie umiała jeść. Nie miała się gdzie nauczyć. Stary Wichura też siorbał. U Wichurów siorbali wszyscy. Od pokoleń. Robert Baumann musiał o tym wiedzieć, ponieważ spędził u nich, w Otwocku, prawie dwa lata. Był małym chłopcem, ale wszystko dobrze zapamiętał. To, że siorbali, że trzymali łokcie na stole, że chodzili do wygodki, a on się bał, więc musieli dla niego skombinować nocnik. W zimie spało się u nich pod pierzyną. To było fantastyczne. Ta pierzyna.

Rosół z kostki z kupnym makaronem, przyprawiony maggi, z całą pewnością nie stanowił dla ojca Anki żadnej atrakcji kulinarnej. Wręcz przeciwnie - jego smak mógł go napawać obrzydzeniem, podobnie jak jedzenie przy stole przykrytym ceratą. Podczas tej kuchennej sceny Baumann ukradkiem spoglądał na córkę i zastanawiał się, do kogo tak naprawdę jest podobna. Czy do kogoś z jego rodziny? Raczej nie. Chyba że do jego matki Beli. Kiedy była dziewczynką, też miała takie jasne kędziorki. A może jednak do Wichurów? Skądże! Mała robiła znacznie lepsze wrażenie niż jej matka, chociaż było widać, że jest trochę zaniedbana. Obgryzała paznokcie i najwyraźniej miała awitaminozę. Nic dziwnego, skoro matka karmiła ją zupami z kostki.

Ania czuła się skrępowana, chociaż była jeszcze za mała, żeby rozumieć, że ojciec ocenia jej wygląd, to, jak

je i jak mówi, a właściwie jak milczy. Bowiem podczas tego pierwszego spotkania z nim chyba nie powiedziała nic. Wstydziła się. Za to matka gadała bez przerwy. Jak to miała w zwyczaju. Opowiadała o tym, że Ania ładnie rysuje i może nawet zostanie jakąś malarką, jakąś artystką. Dobrze, że nie kazała jej przynosić rysunków do pokazania, żeby się pochwalić, jaką ma utalentowaną córeczkę. Ale to gadanie o zostawaniu artystką złościło Anię. Za żadne skarby nie chciała być artystką! Wystarczyło, że jej matka była artystką. I to jaką! Przez całą szkolną edukację, ilekroć zadawano jej pytanie, gdzie pracuje jej matka, odpowiadała zgodnie z prawdą, że w cyrku, a wtedy zawsze ktoś parskał śmiechem albo miał zdziwioną minę.

Tyle zapamiętała z tamtego spotkania. Swoje zawstydzenie i ten rosół na talerzu z rybą. Zapamiętała też, że ojciec nawet nie starał się podtrzymać rozmowy. Tak przez grzeczność. Nie starał się też nawiązać żadnego dialogu ze swoją córką, którą wtedy widział po raz pierwszy. Ale przed wyjściem ją przytulił. Serdecznie. Prawie tak jak to robiła Marysia. Grażyna bowiem nie przytulała jej nigdy.

Kilka starych talerzy ze szczupakami uchowało się aż do dziś. Plus ten duży półmisek. Anka go lubiła, więc postanowiła, że poda obiad właśnie na tej zastawie. To było wspomnienie o jej pierwszym spotkaniu z ojcem. Grażyna nie pamiętała tamtego spotkania ani rosółu z makaronem, ani tamtej ceraty z powypalanymi od papierosów dziurkami. Zupełnie nie rozumiała nabożeństwa, z jakim jej córka traktowała stary półmisek.

- Aż dziwne, że te talerze się nie stłukły - westchnęła Anka.

- Nie stłukły się, bo ich nie używam. Po jaką cholere mi taki duży półmisek i głębokie talerze! Ja nie jadam zup. - Grażyna nie jadła ani zup, ani drugich dań. Prawie nic nie jadła. Dlatego była taka wychudzona. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Talerze zaś stały w kredensie i się kurzyły. Nikomu niepotrzebne. Jak większość zastawy w tym domu. Teraz też chciała zaprotestować, głośno wykrzyknąć córce, że nie będzie jeść. Chce tylko papierosów. Cały karton albo nawet dwa. Poza tym niczego nie potrzebuje od córki. Musi wracać do pasjansa. To nadzwyczaj ważny pasjans. Wiele od niego zależy.

- Daj mi spokój z tym jedzeniem! - wrzasnęła na córkę niespodziewanie. Równocześnie twarz Grażyny wykrzywiła się w dobrze znanym Ance grymasie. Zawsze bała się tej miny. Bała się matki, tego, że była taka, jaka była. I zawsze była na nie. Wszystko w niej wołało „nie” i było na nie. Niechlujne, niesforne, nieopanowane, nieuprzejme, nieobliczalne. Nie do zaakceptowania dla Anki. Może dlatego, że była przeciwieństwem Grażyny. Zawsze opanowana. Małomówna. Uprzejma, schludna, w niektórych sprawach wręcz pedantyczna. Chłodna i wycofana w relacjach z ludźmi. „Zimna ryba” - tak właśnie myśleli o niej matka i mąż. Ojciec też niezbyt interesował się swoją nieślubną córką, której z początku nie chciał uznać, i trzeba się było wyklócać przed sądem o nazwisko i alimenty. Potem, po paru latach, gdy ją poznał i stopniowo zaczął w niej dostrzegać podobieństwo

do siebie, a jeszcze większe do swojej matki, też nie zawsze umiał okazywać jej uczuć. Chociaż był cieplejszy i serdeczniejszy niż Grażyna, a do tego hojny. Zawsze wciskał małej pieniądze, które natychmiast po jego wyjściu zabierała jej matka. Grażyna twierdziła jednak, że Baumann też był zimną rybą i że Anka swój paskudny charakter odziedziczyła po tatulku. Po tych cholernych Baumannach, co to ich diabli nadali, jak twierdził stary Wichura. Ten z czarnymi zębami. Dziadek Anki.

- Ale ja jestem głodna. Pozwolisz, że zrobię kurczaka z jarzynami? - Anka starała się, żeby jej głos zabrzmiał jak najbardziej naturalnie i przyjaźnie. Ostatnia rzecz, której chciała, to awantura z matką.

- Ciekawe, skąd wytrzaśniesz tego kurczaka i jarzyny?

- Kupiłam.

Grażyna najwyraźniej nie zauważyła ciężkiej siatki z zakupami, którą z niemałym poświęceniem przy táchała jej córka. „Zawsze taka akuratna i praktyczna -pomyślała o Ance z niechęcią. - Pewnie zaraz zaczniesz tu sprzątać albo wietrzyć nie daj Boże. Już zabrała się za wyrzucanie petów z popielniczek i zmywanie brudnych talerzy i garów. Cholerna pani porządnicka! Diabli ją nadali!”

- A pójdziesz wreszcie po papierosy?

- Pójdę.

- To może idź zaraz, bo mam już ostatniego.

- Dobrze, tylko wstawię kurczaka.

- Nie! Żadnego kurczaka sraka, tylko idź po papierosy!

Anka postanowiła nie reagować na wrzaski matki. Zawsze tak się zachowywała, gdy brakowało jej papierosów, a nie miała ochoty się ubrać, żeby zejść na dół do kiosku. Więc się niecierpliwiła, gdy córka ociągała się z wyjściem. Celebrowała zapinanie płaszcza i sznurowanie butów. Albo się wykręcała, że ma dużo lekcji i nie może spełnić prośby matki. Anka nie lubiła kioskarza, który zawsze w nieprzyjemny sposób komentował to, że matka wysyła dziecko po papierosy. „Zaniedbuje cię -słyszała często. - Mogłaby ci kupić nowe buty, zamiast kurzyć fajki”. Ano mogłaby. Doskonale wiedziała, że matka ją zaniedbuje. Ale robiła wszystko, a w każdym razie wiele, żeby nikt inny się o tym nie dowiedział. Nie znosiła bowiem podszytych fałszem komentarzy, jakim to jest biednym dzieckiem. Zaniedbanym przez wyrodną matkę. Nawet jeśli to była prawda, należało ją przemilczeć. To była sprawa między nią a matką.

Stary kioskarz już pewnie dawno gryzł ziemię, tu, niedaleko, na Powązkach, albo gdzieś na Bródnie. Nie było więc powodu, żeby nie iść do kiosku po papierosy. Ale Anka się ociągała. Z lubością celebrowała przygotowywanie obiadu na swojej ulubionej zastawie ze szczupakiem. Postanowiła zrobić jeszcze sałatę w sosie winegret. Niestety nie mogła znaleźć żadnej salaterki. Polerowała stare sztuce z monogramem Baumannów. Ciężkie, posrebrzane łyżki, widelce i noże towarzyszyły jej od dzieciństwa. Początkowo ich nie lubiła, bo były nieporęczne, ale dziś chciałyby zabrać je z tego domu do siebie, bo przecież należały do rodziny jej ojca. Jak wiele innych cennych przedmiotów, które bezmyślnie

spieniężył Henryk Wichura. Sztućce ocalały, bo Grażyna w porę schowała je u Marysi. Teraz powinny przypaść w udziale Ance. Jako pamiątka po ojcu, a właściwie po jego rodzinie. Grażyna nie umiała o nie zadbać. To był dodatkowy argument. Ale na szczęście ich nie sprzedała, żeby kupić kawę i papierosy. Anka doceniała tę troskliwość Grażyny. Może nie przehandlowała ich ze względu na nią, na niekochaną córkę? Łyżki, widelce, noże, łyżeczki, widelczyki. Leżały w szufladzie starego kredensu. Ten kredens był po Marysi Wichurze, której Anka zawdzięczała to, że zdołała przyjść na świat.

- Cholera, co się tak guzdrzesz z tym ptakiem?! I tak nikt go nie będzie jadł! Idź wreszcie do kiosku!

Grażyna miała rację. Przecież ani ona, ani Anka nie potrafiły zjeść normalnego obiadu. Z drugiej strony Anka łaknęła normalności. Czepiała się najmniejszego śladu normalnego, spokojnego życia. Posrebrzanych sztućców, talerzy ze szczupakiem. Dobrze przyrządzonego kurczaka, sałaty w sosie winegret. Wszystkiego tego, czego zabrakło w jej rodzinnym domu, a co czasami udało jej się podpatrzeć. Gdzie indziej. W domu ojca na przykład.

Stojąc w kuchni, rzucała ukradkowe spojrzenia w stronę starej szafy w stylu *art déco*. Zajmowała znaczną część dużego pokoju. Była piękna, choć zaniedbana. Przydałaby się jej renowacja. Ale Anka, chociaż uwielbiała stare meble, nie chciała by jej mieć u siebie w domu. Bo jej się źle kojarzyła. Jak prawie wszystkie sprzęty w tym domu. Pewnie tam, w środku, zalegał ten sam zapach, który zapamiętała z dzieciństwa. Zapach jej strachu. I były ślady krwi.

- Słuchaj, muszę mieć te papierosy już! Teraz, zaraz! Rozumiesz?

- Pójdę po obiedzie.

- W takim razie ja sama pójdę!

Grażyna była oburzona na córkę, ale rozumiała, że to już nie dawne czasy i nie może jej rozkazywać. Musiała więc naciągnąć dziurawe rajstopy, które w dodatku tak okropnie się wykręcały. Jak to rajstopy. Może lepiej włoży pończochy samonośne? Przynajmniej nie będą się wykręcały, tyle że poleciało oczko. Ale w rajstopach też. W takim razie pończochy są lepsze. Chyba trzeba też założyć sukienkę. Czerwoną, bo czarna jest cała w plamach. Od stearyny. To z andrzejek u sąsiadki. Chyba trzeba będzie ją wyrzucić. A to była całkiem fajna mała czarna. Czerwona też niezła. Do tego czarny płaszcz. Kapelusz z dużym rondem w stylu lat siedemdziesiątych. Rondo przyda się zamiast okularów. Tylko trzeba spiąć włosy.

- To ty sobie rób te kurczaki, a ja skoczę po fajki!

„Skacz sobie, skacz. Dobrze, że wreszcie na to wpadłaś” - pomyślała Anka. Ale jak zwykle nic nie powiedziała. Zamiast gadać, postanowiła wyprasować obrus. Niebieski, oczywiście. Kupiła go matce na Gwiazdkę dwa lata temu. Niezbyt pasował do tych zielonkawych szczupaków. Trudno, trzeba będzie na to przymknąć oko. Jak na wiele innych rzeczy. Najważniejsze, żeby usiadły razem do wieczerzy. Matka i córka. Bo kto wie, czy nie będzie to ich ostatnia wspólna wieczerza?

ANIA CZY MANIA?

— Jeszcze tylko go spalimy i będzie pozamiatane, rozumiecie? Nareszcie będzie po sprawie.

A co tu było do rozumienia? Wszyscy wszystko rozumieli. Bez zbędnego gadania. Sprawy należy zamknąć szybko i elegancko. Pogrzeb, odczytanie testamentu, którego treść i tak jest znana wszystkim zainteresowanym. No, może nie wszystkim. Ale w każdym razie wszystkim godnym zaufania i uwagi. Potem trzeba uporządkować jego rzeczy. To znaczy wyrzucić, co się da. Szkoda, że nie da się usunąć wszystkiego, co po sobie zostawił. Całej tej cholernej, nikomu niepotrzebnej spuścizny.

- On spisywał ostatnio jakieś memuary, wiedzieliście o tym? Jeszcze z czasów wojny i okresu powojennego. Zebrało mu się na wspomnienia, a ja po prostu nie miałam czasu, żeby tego słuchać, bo przecież pracuję. Zawodowo. Pracuję, bo lubię. Nie dlatego, że muszę. Więc pisał bez żadnej kontroli z mojej strony. Tam znalazło się wiele pikantnych szczegółów na temat

waszej rodziny. Powinniście to przeczytać. Zwłaszcza ty, Maniu. Tam jest dużo o tobie. O tym, jak się urodziłaś. Stare dzieje.

Marianna Baumann nie znosiła przytyków pod swoim adresem. Bożenka na każdym kroku lubiła podkreślać, jak niewielka różnica wieku dzieliła ją i starszą córkę jej męża, która kilka dni temu skończyła pięćdziesiąt lat. Jednak nikomu się tym nie chwaliła. Bo czym tu się chwalić? Bożenka, jako jedna z nielicznych osób, wiedziała o tej bolesnej rocznicy urodzin i przysłała pasierbicy śliczny upominek. Mały, gustowny prezencik w eleganckim opakowaniu z okazji okrągłej rocznicy urodzin. Może półokrągłej. Sto lat, Marianno! Sto lat. W zdrowiu, szczęściu. I miłości. Zwłaszcza tej rodzinnej. Bo masz wspaniałą rodzinę, nieprawdaż? Taką kochającą się. Mania nawet nie rozpakowała zawiniątka. Nie była ciekawa, co jest w środku. Wyrzuciła prezent do kosza. Laurkę też. Odetchnęła z ulgą, gdy minął ten straszny dzień urodzin. Jej urodziny, śmierć ojca. To wszystko wytrąciło ją z równowagi. Czekał ją jeszcze pogrzeb. A potem święta. Cały czas będzie musiała robić dobrą minę. Udawać, że wszystko jest pod kontrolą. Panować nad swoją górną wargą, która drżała, ilekroć pomyślała o ojcu. W rzeczywistości zaś kontrolowanie wszystkiego i wszystkich, stanowiące dotychczas treść jej życia, coraz bardziej ją męczyło. Ale nie mogła poddać się tak łatwo ani pozwolić głupiej Bożence, żeby grała jej na nosie. Wyciągała jakieś przedśmiertne zapiski ojca. W dodatku niezmiernie osobiste.

- Tam jest też dużo o wojnie - mówiła dalej Bożenka. - O tym, jak mieszkał u tego tam Wichury. W każdym razie w Otwocku. Najwięcej jest o tym Wichurze. Te jego wspomnienia są nawet ciekawe. Miał lekkie pióro. Gdyby pisał powieści, zapewne odnosiłby sukcesy. I to duże!

- A może lepiej, żebyśmy to spalili? - Marianna, nazywana w rodzinie Manią albo Mańką, nie zamierzała tracić czasu na lekturę przedśmiertnych rojeń ojca. Miała ważniejsze sprawy na głowie.

- Jak to? Nie chcesz wiedzieć, co napisał nasz ojciec? - zapytał jej brat.

- Oj, Jasiu, przecież wiesz, że ostatnio nie był w najlepszej formie. Nie ma sensu wracać do żadnych jego bredni. Pomieszało mu się w głowie i tyle. Dobrze, żeśmy go przypilnowali z testamentem, bo jeszcze mielibyśmy problem.

- Ja w każdym razie chcę mieć te notatki. I nie ma mowy o paleniu czegokolwiek. Zagalopowałaś się, siostrzyczko.

- Jak chcesz, ale to głupota! - zachnęła się Mania. Miała dość nieodpowiedzialności ojca i brata. Brały się z tego same kłopoty. Może jeszcze ktoś zechce opublikować to przedśmiertne, autobiograficzne dzieło Roberta Baumanna? Niech się wszyscy dowiedzą o Wichurze. I o bękarcie! O cholernej bękarcicy. Pewnie pojawi się na pogrzebie. Bożena wysłała wiadomość. Mówiła, że nie mogła inaczej. Ze to jednak wypada: zawiadomić o śmierci i o pogrzebie. Więc pewnie bękart przyjedzie i trzeba będzie jakoś to przeżyć. Nie patrzeć

w jej stronę. Ignorować. Jak zawsze. Ta osoba nie istnieje dla Marianny. Nigdy nie istniała. Nawet wtedy, gdy ojciec zapomniał schować jej fotografię przed wizytą swojej prawowitej progenitury. Na jego biurku, obok podobizn Mańki i Jaśka, można było zobaczyć zdjęcie drobnej blondynki z podkrążonymi oczami. Mania zawsze w takich sytuacjach udawała, że nie widzi zdjęcia, a nawet nie słyszy tego, co ojciec usiłował jej powiedzieć na temat tej fotografii.

- Nie odwracaj wzroku, córeczko. Tak nie można. No nie bądź dzieckiem. Lepiej by było, żebyś zaakceptowała rzeczy takimi, jakimi są. Przecież już jesteś dorosła. Mam was dwie: Manię i Anię. Mam dwie córki. Pamiętasz taką książkę z dzieciństwa? O dwóch siostrach bliźniaczkach? Czytałaś ją z wypiekami na twarzy, podobała ci się. Więc dlaczego nie chcesz zaakceptować siostry?

Ojciec lubił wygadywać głodne kawałki. Lubiał wszystko przyklepywać. Żeby było cacy, a nie be. Mania zaś odwrotnie. Szukała dziury w całym. W tym przypadku nawet nie musiała szukać. Dziura była ogromna i nie do załatania. Dziura w sercu Marianny. W końcu pochodziła z dobrego domu. Wszystko w jej życiu powinno toczyć się tak, jak należy. *Comme Ufaut*, znaczy się. Elegancko i bez żadnych półcieni. To, że jej ojciec był niewiernym mężem, nic ją nie obchodziło. Ale że się obnosił z tym, że ma nieślubną córkę! Że spłodził ją z jakąś lafiryndą podejrzanego konduity! Tego już było za wiele. O pewnych sprawach nie mówi się głośno. Bo mogą to wykorzystać różni wrogowie.

Czasem nawet nie warto wiedzieć o takich rzeczach. Taka wiedza może jedynie pogorszyć samopoczucie. Prawdę w rodzinie należy odmierzać ostrożnie. Najlepiej pipetą, jak w laboratorium. Zeby czegoś nie zepsuć tak, że potem nie da się naprawić. Co wtedy? Właśnie dlatego Mańka nigdy nie pytała męża, gdzie był i z kim, gdy wracał do domu spóźniony o kilka godzin albo nawet o kilka dni. To nie była jej sprawa. Każdy ma prawo do własnego życia. Do swojej fantazji. Byleby zachowywał pozory. Ojciec zaś w tej jednej sprawie nie zachowywał. Wydawało mu się, że jest w porządku. Ze ma prawo mieć nieślubną córkę. Jakby mu ta ślubna, dorodna Marianna - metr osiemdziesiąt wzrostu - nie wystarczała. Potrzebował jeszcze tego cholernego kurdupła. Ania i Mania, też coś!

Juliusz, mąż Mani, owszem, miał swoje życie. Pełne mrocznych tajemnic. W końcu Juliusz był artystą. Więc miał prawo do swoich fascynacji. Ale umiał zachować dyskrecję. Na święta zawsze zjawiał się w domu. Chyba że był na jakimś tournée. Ale podczas rodzinnych Wigilii i wielkanocnych śniadań Juliusz celebrował rolę małżonka. Niestety, coraz rzadziej robił to w sypialni, co akurat Mani nie przeszkadzało. Bo ile można się poświęcać? W imię nierozluźniania świętego węzła małżeńskiego. Niech się inne poświęcają! Frajerki. Te wszystkie młode dupy, jak je nazywała matka Marianny. Dosadnie, trzeba przyznać. Mania wołała wtedy do matki: „Ja nic o tym nie wiem i wiedzieć nie chcę!”. A matka na to, że ludzie zaczynają gadać. O jej mężu. Straszne rzeczy o nim mówią. Takie, że lepiej tego nie

powtarzać. Że trzeba coś z tym zrobić. Głowy w piasek chować niepodobna. Wtedy to wszystko się skończy fatalnie. Taka kompromitacja. „Tylko nie to, tylko nie to, Maniu” - powtarzała matka. Mania zaś nie wiedziała, co z tym począć. Nie chciała wiedzieć o tych strasznych rzeczach, chociaż może powinna. W końcu każdy ma prawo do swojej prywatności. Do intymności też. Tego uczył ją ojciec.

- A róbcie sobie, co chcecie, z tymi szpargałami. Ja nie mam siły w tym wszystkim grzebać! - Marianna postanowiła zrezygnować, a właściwie pozornie skapitulować. Wiedziała, że jej brat Jasiek nie zada sobie trudu, żeby czytać wspomnienia ojca. Gorzej z Bożeną, która gotowa była jeszcze wynieść to wszystko z domu i sprzedać jakiemuś wydawcy. Pewnie by tak zrobiła, ale się nie ośmieli. Bała się Mani jak ognia. I słusznie. Wszyscy w rodzinie bali się jej zajadłego gniewu. Tylko jej własny mąż nie bał się jej nic a nic. Dlatego jej imponował i wciąż był jej mężem.

- No to jedziemy na kremację, jesteście gotowi? - W głosie Bożeny wyczuwało się zniecierpliwienie.

Byli gotowi. To znaczy stosownie ubrani. Na czarno. Bożena nawet sprawiła sobie toczek z woalką. W końcu była wdową. W dodatku świeżo poślubioną. Marianna nie lubiła kapeluszy, woalek, pantofli na wysokich obcasach. Tych wszystkich kobiecych fatałaszków. To dobre dla Bożenki pielęgniareczki. Loczki, fioczki, toczki. Tandeta i bezguście. Mania ceniła prostotę. Gładko zaczesane włosy. Ascetyczna, czarna garsonka. Ale znakomicie skrojona. Z lekkiej wełenki. Na jedwabnej

podszewce. Trzeba będzie też założyć czarny płaszcz. Bo zima. Jutro będzie pogrzeb. Ten dla publiczności. Dla szerokiej widowni. Dla widzów jej programu i dla tabloidów. Dziś wszystko odbędzie się w ścisłym rodzinnym gronie. Za to jutro zlecą się te wszystkie wrony. Druga córka jej ojca też nie odpuści takiej okazji. Podobno choruje. To dobrze. Obrzydliwy bękart.

Anka długo nie mogła zasnąć. Ciągłe nachodziły ją wspomnienia. Natrętne, niechciane obrazy, które już dawno wyparła z pamięci. Tak jej się wydawało, ale to nie była prawda. Wizyta w mieszkaniu przy Gibalskiego przywróciła jej pamięć. Powinna wspominać ojca, bo to jego mieli jutro pochować. Ale to nie ojciec stawał jej przed oczami, lecz zupełnie ktoś inny. Ktoś, o kim miała zapomnieć. Wyrzucić go z pamięci na zawsze. Jednak się nie udało. Przewracała się z boku na bok. Sen nie przychodził. Próbowwała myśleć o ojcu. Przypominać sobie wszystkie najważniejsze spędzone z nim chwile. Jego twarz. Prezenty, które zawsze przynosił jej w dniu Świętego Mikołaja. To, jak odgarniał włosy na bok. I ten jego półuśmiech, gdy mu dziękowała, całując go w szorstki policzek. Czerwienił się wtedy, jakby się trochę wstydził, że był szczęśliwy. Ona też była. Ale to były krótkie chwile. W dzieciństwie. Jak przychodził na Pańską. Jak jeszcze mieszkała u Marysi Wichury. Potem na Gibalskiego. Chociaż ojciec nie lubił tam przychodzić. Nawet jak stary Wichura już tam nie

mieszkał. Jak go wreszcie stamtąd wywiało, o co przez lata modliła się Grażyna. Żeby go jasna cholera i wszyscy diabli wzięli. Ania słyszała to wiele razy. Dziesiątki razy. Niemniej długo nie mogła tego zrozumieć. Ponieważ mieszkała u Marysi. Tam się nie mówiło o diabłach i cholerach. To wszystko przynosiła do domu Grażyna. Jak się pojawiała. Od czasu do czasu i na szczęście na krótko. Między jednym a drugim cyrkowym objazdem. Wraz z nią do skromnego, jednopokojowego mieszkania w starej kamienicy przy ulicy Pańskiej wdzierала się chmura dymu papierosowego, która z każdą godziną pobytu Grażyny u Marysi nadymała się coraz bardziej, aż w końcu wszystko śmierdziało tytoniem. Po wyjściu Grażyny zawsze trzeba było długo wietrzyć i prać firanki, żeby pozbyć się nieznośnego fetoru sportów albo klubowych. Czasem jednak Grażyna przychodziła, żeby zabrać małą na kilka dni. Żeby ją powychowywać, jak mówiła. Wtedy brała Anię do siebie. Właściwie do mieszkania starego Wichury przy ulicy Gibalskiego. Tam, przy kuchennym stole, siedział zwykle Wichura. Na głowie miał myckę. Jarmułkę taką, jaką noszą Żydzi. Chociaż wszyscy wiedzieli, że Wichura miał niewiele wspólnego z Żydami. Chyba że za okupacji. Wtedy to tak. Ale potem już wcale. Siedział tak godzinami przy kuchennym stole. Zawsze miał bose stopy. Powykręcane paznokcie u stóp były pierwszym szczegółem jego wyglądu, który rzucał się w oczy.

Rozgrywał mecz szachowy. Sam ze sobą. Szachownica była ułożona na ceracie. Patrzył na małą spode łba. Wrogo. Bała się tego spojrzenia. Bała się Wichury.

Nie lubiła tego nazwiska. Chociaż Marysia też miała na nazwisko Wichura. To było jej panięńskie nazwisko. Jedyne, jakie miała. Nigdy nie wyszła za mąż. Przed wojną podpisywała się Wichurzanka, zdradzając swój stan cywilny. Później jednak mówiła o sobie: Maria Wichura. Już bez tej zabawnej końcówki. Takiej niedzisiejszej. Niepasującej do brutalnych czasów. Upodobniła się tym samym do brata. Ale tylko w pisowni nazwiska. Bo w życiu była jego przeciwieństwem.

Dochodziła już druga w nocy, gdy Anka włączyła światło. Nie mogła spać i to jej doskwierało coraz mocniej, bo przecież jutro miała ważny i trudny dzień. Taki, na który się nie czeka, a mimo to on przychodzi. Ona zaś nie zdoła zebrać dość sił, by wstać i ubrać się. Była jeszcze taka słaba. Jeszcze trudniej będzie stawić czoła Mańce, która zechce ją upokorzyć. Miała jednak nadzieję, że to będzie ich pierwsze i ostatnie spotkanie. Ze już się więcej nie zobaczą. Tego była właściwie pewna. Więc tym bardziej powinna znaleźć siłę, żeby dobrze wypaść. Chociaż w obecnej sytuacji nie miała chyba szans zrobić dobrego wrażenia. Nawet na pogrzebie. Nigdzie.

Po włączeniu światła stawał jej przed oczami Wichura. Jakby ciągle jeszcze żył. Wciąż był obecny w tym ponurym, zaniedbanym mieszkaniu, które dziś odwiedziła. Wszystko tam kojarzyło jej się ze strachem. Czowała zapach swojego dziecięcego strachu. Chociaż tak naprawdę nie pamiętała, czego się bała. Wiedziała, że było to coś związanego z Wichurą. Ze to wszystko zaczynało się od tego jednego obrazu, jak siedział na

krześle. Bose stopy trzymał pod stołem. Starym stołem, przywiezionym jeszcze z Otwocka. Kupionym być może na Kercelaku, czyli tam, gdzie prowadziły wszystkie drogi młodego Heńka Wichury. Jego okupacyjne ścieżki i wykroty. I powojenne. Gdy miasto dźwigało się z upadku, a każdy mebel, nawet najtoporniejszy i najpokraczniejszy, był w cenie. Wichura uważał ten stół za wybitne osiągnięcie sztuki stolarskiej i dopóki żył, nie pozwolił go wyrzucić. A gdy już nie było Wichury, Grażyna odgrażała się, że wywali na śmietnik tę pokrakę, a potem miała to coś wywieźć do komisur przy Burakowskiej. Ale wraz z nadejściem nowych czasów komisur został zlikwidowany, a stół pozostał. Anka przyjrzała mu się dokładnie podczas wczorajszej wizyty u matki i znowu jego właściciel stanął jej przed oczami. Siedział, tym razem trzymając nogi na tym stole, i mierzył ją nieprzyjaznym wzrokiem.

- Przyszła koza do woza - chyba właśnie tak ją przywitał w swoim mieszkaniu przy Gibalskiego, a może zupełnie inaczej. Lubił powiedzonko o tej kozie, więc może rzeczywiście to były pierwsze słowa, które od niego usłyszała. Lubił frazy ze zwierzętami w tle. O psie i kielbasie, o kraczących wronach i o posłusznym cielęciu. Wszystkie porównania miały pokazywać małej Ani, jaką postawę życiową powinna przyjąć, żeby nie popaść w niełaskę. Ale ulubionym powiedzeniem Wichury było to o Tomku i wolności w swoim domku. Zawsze podkreślał, że mieszkanie jest jego własnością. I stół też. I dziurawa cerata na stole. Tak samo szachy. Rechet Wichury też stanowił jego własność. Niemniej najbardziej

osobistą wśród wszystkich jego własności był rząd czarnych, przegniłych zębów, które pokazywał za każdym razem, gdy się śmiał, budząc zgrozę małej Ani. Miała wtedy dziewięć lat i po raz pierwszy zamieszkała w tym domu dłużej. Przyproceedziła ją matka.

- Ja nie mam czasu, żeby się tobą zająć. Zostaniesz z nim. Teraz jadę w objazd i nie mogę cię ze sobą zabrać. A twój ojciec jeszcze nie zapłacił alimentów, więc nawet nie mam za co kupić ci zeszytów. Może poprosisz kogoś w szkole, to ci kupi. Nauczycielka albo ktoś taki. On na pewno ci nic nie kupi, mnie też nigdy nie kupował. Zawsze musiałam załatwiać wszystko sama. Siedź cicho, bo jak zaczniesz się stawiać, to cię zleje tak, że przez tydzień nie usiądziesz na tyłku, albo cię tak zamaluje w pysk, że długo nie będziesz mogła pokazać się ludziom. Więc z dwojga złego lepiej, żeby cię lał w tyłek.

Mała Anulka nie do końca rozumiała, o czym mówi jej matka. Dotąd najbardziej bała się właśnie niedzielnych i świątecznych spacerków z mamusią, a także krótkich wizyt w mieszkaniu dziadka. Pytała Marysię, czy na pewno musi iść z matką do tej kawiarni albo do parku. Dobrze wiedziała, że mamusia najpierw będzie się do niej uśmiechać, a potem nastrój jej się zmieni, właściwie bez żadnego powodu. Wtedy zacznie się to, czego się bała. Będzie na nią krzyczeć i ciągnąć ją za rękę, żeby szybciej szła.

- No co się tak wleciesz na tych swoich krótkich nóżkach? Trzeba mieć długie nogi jak ja! W kogo ty się wdałaś? Bo na pewno nie we mnie. Masz z wuefu trójczynę. Wstyd!

Potem pójda jeszcze tam. „Tam” w języku małej Ani oznaczało na Gibalskiego. Do tego ich mieszkania. Gdzie był stół, stara cerata i ten brzydki, stary mężczyzna, który trzymał nogi na stole. Albo pod stołem. Zawsze bosa.

Na szczęście spacer i krem sułtański w kawiarni na Nowym Mieście nie zdarzały się często. Matka nie miała dla niej czasu. Ciągłe bycie w objeździe, a nawet jak nie była, to dopadała ją jakaś *big love* i nie miała czasu na nic innego. Zgarniała tylko alimenty i kupowała sobie nową torbę albo jakieś fajne ubranie w Modzie Polskiej, a czasem na ciuchach. W końcu musiała jakoś wyglądać. Była młoda. Jej kariera zależała od dobrej prezencji. A Marysia Wichura, ta szlachetna Marysia, rodzinny anioł, zawsze jakoś dawała radę wyżywić i ubrać swoją małą pupilkę, nawet bez żadnej pomocy ze strony Grażyny. Więc przez te wszystkie lata Ania rzadko widywała matkę. Czasem zaledwie z daleka, bo Grażyna najczęściej nie miała głowy, żeby małą gdzieś zabrać i trochę powychowywać.

- Rozpieszczasz ją za bardzo, Marysiu - rzucała tylko z dezaprobatą. - Nie da sobie rady w życiu, jak wszystko będziesz podstawiać jej pod nos.

Kiedy Marysia zachorowała i wzięli ją do szpitala, tego samego, w którym od lat pracowała jako położna, Grażyna powiedziała córce, że teraz czeka ją prawdziwa szkoła życia.

-Już nie będzie jajeczka na miękko na śniadanie ani kanapeczek do szkoły. Będziesz musiała radzić sobie sama. Ja spróbuję załatwić ci darmowe obiady w szkole,

żebyś nie umarła z głodu. Bo on na pewno nie da ci jeść. Na to się przygotuj. Ze będziesz chodziła głodna. Tak jak ja chodziłam. Zanim zaczęłam pracować. Na szczęście dostałam się do cyrku i nie muszę się o nic martwić. O ciebie też nie będę się martwić. Przyda ci się taka szkoła życia, ty francuski piesku. - Tak do niej mówiła, że jest francuskim pieskiem. Też lubiła porównywać swoją córkę do zwierząt. Zupełnie jak jej stary.

Ania z przerażeniem słuchała wywodów matki. Wiele razy słyszała, jak różni jej dalsi krewni, znajomi, a nawet sama matka powtarzali ze zgrozą, że Wichura to albo tamto. Ze za okupacji handlował, czym się dało, starzyzną najczęściej. Na Kercelaku i nie tylko. Ale najczęściej właśnie tam, na Woli. „Czarne przegrywa, czerwone wygrywa”. Umiał wyciągać pieniądze od naiwnych. „Daj pan rączkę i zabaw się bączkiem”. Jeszcze jako starzec powtarzał swoje stare zaklęcia z Kercelaka. To były jego złote czasy - okupacja, handel starzyzną, lotne szulernie. Zajmował się jednak nie tylko handlem starzyzną. Zdarzało mu się też zahandlować ludźmi. Ludzkim życiem. Handel na wielkie kwoty. Podniecało go to jak jasna cholera. Po wojnie wszystko się skończyło. Kercelak definitywnie, bo zaczęli budować Trasę W-Z. Na Różycu były już inne klimaty niż na Kercelaku. Ale i tak zawsze miał skłonność do wypitki i do wybitki. Dla wszystkich ludzi miał twardą rękę. Także dla tych najmniejszych, których karał ze szczególnym upodobaniem.

Henryk Wichura liczył sobie sześćdziesiąt dziewięć lat, gdy Ania miała zostać w mieszkaniu na Gibalskiego

na dłużej. Już nie po to, żeby nie wypić popołudniowej herbatki z brudnej musztardówki. Tym razem miała spędzić tam kilka tygodni i lepiej przyjrzeć się staremu. Owszem, kilka razy wcześniej widziała go tu, w mieszkaniu, jak siorbał herbatę. Ale prawdę mówiąc, nie zdążyła mu się dobrze przypatrzeć. Zawsze uciekała jak najdalej od kuchennego stołu, przy którym zazwyczaj siedział. Kojarzył się jej z rodzinnymi uroczystościami, zwłaszcza z pogrzebami, na których zwykle pojawiał się spóźniony, żeby mieć dobre wejście. Zawsze w czarnym garniturze i w czarnym kapeluszu bor-salino albo w jarmułce. Ale na szczęście nigdy się nie zjawiał u Marysi na Pańskiej, bo nie rozmawiali ze sobą chyba od czasów wojny. Chociaż byli rodzeństwem. Teraz, gdy Marysia była w szpitalu i w każdej chwili mogła umrzeć, co Grażyna podkreślała wiele razy, żeby pognać małą jeszcze bardziej, nie było innego wyjścia. Ania musiała zamieszkać przy ulicy Gibalskiego, u swojego dziadka.

- Nic ci nie będzie, ale poznasz życie. Módl się, żeby twoja Marysia wyzdrowiała, bo ja muszę jechać w ten objazd, chociaż może powinnam zostać z tobą, ale jak teraz nie pojedę, to mogą mnie wywalić z tego cyrku.

Anka chciała wyrzucić z pamięci obmierzłą twarz starego. I jego głos. Ale za każdym razem, gdy odwiedzała mieszkanie na Gibalskiego, niechciane wspomnienia wracały. Stary Wichura tam po prostu był. W starym kredensie, w krzesłach, w topornym stole, w serwantce. A zwłaszcza w starej szafie, gdzie mała

Ania chowała się przed starym sadystą. To były jego meble i jego zapachy. Nawet smród papierosów Grażyny nie zdołał zniweczyć tego smrodu, który uruchamiał w dorosłej Ance wszystkie lęki.

POLONIA RESTITUIA

Obudziła się o świcie. Miała jeszcze sporo czasu. Na leżenie w łóżku i na rozmyślania. Lubiła ten hotel przy Muranowskiej. Nie był zbyt elegancki, taki w sam raz dla niej. Położenie wiele rekompensowało. Była tu trochę u siebie, w swoim dawnym świecie. Na Muranowie i na Starówce. Właśnie tu niedaleko znajdowała się kiedyś ta kawiarnia na Nowym Mieście, gdzie chodziła z matką na krem sułtański. Za nic nie mogła go przełknąć. A Grażyna potrząsała swoimi rudymi, wyfiokowanymi włosami w geście głębokiej dezaprobaty. Potem ciągnęła ją za rękę, wędrując przez Ogród Krasińskich, cały czas wściekła. Rozgoryczona, że córka jest taką niewdzięcznicą. Nie docenia dobroci matki. Tego słodkiego kremu. Przepysznego.

Teraz na dodatek ten mężczyzna, który nie dzwonił. Nie odpowiadał na esemesy. Nie chciał piknąć nawet słówka. To dlatego, że wreszcie się przyznała. Wtedy zamilkł. Bo wcześniej odpowiadał. Przeważnie od razu. Ale od pewnego czasu ani słowa. Ponieważ napisała mu

prawdę. W przyprawie radości. Właśnie miała wyjść ze szpitala. A on tylko zapytał: „Na co jesteś chora?”. Gdy odpowiedziała, nie dostała już żadnej wiadomości. Przestał pikać. No tak, pochował dwie żony. Więc nie miał ochoty na trzecią, w dodatku chorą. To zrozumiałe. Trudno mieć o coś takiego żal. Więc koniec pikania. Miał takie ciepłe dłonie. Jej zawsze były zimne. Chciałaby dotknąć tej jego ciepłej dłoni. Chociaż raz. Ale wypikała jeszcze kilka zdań. Pewnie i tak tego nie przeczyta. Zaprosiła go do siebie na święta. Niech przyjedzie. To nic, że dom nie był jej własnością i że w każdej chwili mógł tam wtargnąć Wiesiek z tą swoją babą. Ale co tam. Niech sobie przychodzi z całą drużyną kochanek. Przynajmniej nie będzie sama w święta. Bo to nic przyjemnego.

Ostatnio go widziała, kiedy jeszcze miała włosy na głowie. To było całkiem niedawno. Jesienią. Ale jakby w innym życiu. W tamtym poprzednim. Przed pójściem do szpitala. Wtedy też odebrał ją z bazy promowej. Jesienne słońce znowu bezlitośnie oświetlało jego twarz. Ale Anka już wiedziała, że nie należy się na niego gapić, bo go to zwyczajnie peszy. Peszy i irytuje. Wprawia w zły humor. Więc nie można. Poza tym nie należy go o nic pytać. Bo wszystko jest zbyt osobiste. Za to on lubi zadawać różne pytania. Również te, których nie powinien zadawać. Kiedy więc ona nie kwapiła się z odpowiedzią, bo była przecież tak samo skryta

jak on, a może nawet bardziej, wtedy wycofywał się rakiem, mówiąc:
- Ja tylko tak. Nie musisz odpowiadać. Jak nie chcesz.

No jasne, że nie musiała. Opowiadać o tym, kiedy, z kim i ile razy. Ale gdy dojechali do domu, między nimi nie było już żadnych nieporozumień. Zachowywali się jak stare małżeństwo, które ma swoje utarte rytuały, powtarzane przez lata. Ona parzyła herbatę w czajniczku, a on wstawił do piekarnika pieczeń wołową. Potem jedli w milczeniu, które było zwyczajne, codzienne. Nie przypominało tej niechęci do rozmowy, jaką odczuwała w towarzystwie Wieśka. Z Sinobrodym milczało się spokojnie. To było codzienne milczenie ludzi, którzy nie lubią za dużo mówić, ale potrafią sobie okazywać uczucia w inny sposób. Właściwie tylko w jeden sposób. Nie wchodziło już w rachubę, żeby spała w pokoju gościnnym, gdzie znajdowało się to niewygodne łóżko. Łóżko w jego sypialni było wygodne. Ale niestety ostatniego dnia wszystko się wydało. Bo bolała ją głowa.

Zanim wyjechała, zobaczyła w jego domu coś, co ją zdziwiło. Może nawet wywołało w niej lekki szok. W końcu korytarza znajdował się pewien pokój. Zamknięty cały czas, ale tamtego dnia klucz był w zamku.

- Tam się nie wchodzi - poinformował ją gospodarz jeszcze podczas pierwszej wizyty w Oskarshamn.

Podczas swojego drugiego pobytu w jego domu nie wchodziła tam. Z początku. Ale chyba po kilku dniach, gdy był w pracy, postanowiła wejść, właśnie dlatego, że

klucz tkwił w zamku. Poza tym chciała złamać zakaz, który wydawał jej się absurdalny. Nie do końca wierzyła, że to był zakaz. Więc przekręciła klucz w zamku i weszła do środka. Zobaczyła ten pokój godny Sinobrodego. Brakowało w nim tylko trupa jego żony. Za to było jej duże zdjęcie, pod którym paliło się światelko. Pomyślała, że to mauzoleum. Może gdzieś tu jest urna z jej prochami? Długo przyglądała się twarzy kobiety na czarno-białej fotografii. Zbyt wystylizowanej, prawdę mówiąc. Kobieta na zdjęciu była do niej podobna. W dość oczywisty sposób. Krótkie blond włosy, kształt twarzy. Podkrążone oczy. Teraz już wiedziała, dlaczego się nią zainteresował. I to od razu w taki sposób. Dombrowski też nie bez powodu zaaranżował ich spotkanie. Wtedy, gdy jechała do Lund. Chciał pocieszyć syna po śmierci ukochanej żony. To nie było w porządku. Wobec Anki. Wobec syna też chyba nie do końca. Jak ona się nazywała, ta żona? Jakieś szwedzkie imię. Lisa? Chyba inaczej. Chciała szybko wyjść z pokoju, zamknąć drzwi na klucz i spokojnie pomyśleć. Zastanowić się nad tym, czy na pewno powinna tu być. Sypiać z człowiekiem, który traktował ją jak zastępczą kopię swojej zmarłej żony. Jak kukłę albo rekwizyt. Lalkę, dzięki której doznawał chwilowej ulgi. Zamiast wyjść natychmiast, usiadła na krześle i przypatrywała się fotografii. Chyba chciała, żeby ją zastał w tym pokoju. Nie wyszła nawet wtedy, gdy usłyszała jego samochód na podjeździe, ani potem, kiedy szukał jej po całym domu. Zwłaszcza że już wszedł do pokoju zmarłej żony. - Prosiłem, żebyś tu nie wchodziła.

- Przepraszam, nie mogłam się pohamować.
- To hamuj czasem i nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy.
- To była twoja żona, tak? -Tak.
- Jak miała na imię?
- Frida.
- Kiedy umarła?
- Niecałe dwa lata temu. Ale nie wypytuj mnie o to więcej.
- Dobrze, nie będę.

Gdy wyszła z pokoju - mauzoleum Fridy, Sinobrody zamknął drzwi na klucz, a potem poszedł do swojego gabinetu. Zatrzasnął się tam i do wieczora nie wychodził. Zrozumiała, że uznał jej wejście do pokoju, gdzie były pamiątki po jego zmarłej żonie, za naruszenie jakiegoś tabu. Nigdy nie rozmawiali o tej kobiecie, a właściwie o żadnej z dwóch jego nieżyjących żon. Może właśnie dlatego Anka zaczęła szukać śladów tego, co się wydarzyło w domu Sinobrodego. Dlatego weszła do zakazanego pokoju. Złamała tabu i pewnie się na nią obraził. Pomyślała, że powinien sobie postawić w ogrodzie latarnię umarłych, żeby było wiadomo, że jego dom to cmentarz, teren, gdzie ciągle obecna jest śmierć. Taka latarnia niezmiernie by się przydała, żeby ostrzegać wszystkie przychodzące tu kobiety, że w tym miejscu rządzi śmierć. Ze dla żywych nie ma tu miejsca. Nie warto więc zatrzymywać się tu na dłużej. Latarnie umarłych stawiano właśnie w pobliżu średniowiecznych szpitali, leprozoriów czy cmentarzy, żeby

ostrzegać przed niebezpieczeństwem zakażenia albo informować, że w tym miejscu właśnie ziemia styka się z niebem. A także aby rozświetlić mrok, w którym mogły się kryć pokutujące dusze i upiory.

- Obraziłeś się? - zapytała przy kolacji.

- Ja się nie obrażam. Go ty z tym obrażaniem? Poza tym zachowywał się zupełnie normalnie. Po

kolacji poszedł od razu do sypialni. Czekał tam na nią podobnie jak w poprzednie dni. Anka nie umiała znaleźć sobie miejsca. Już zrozumiała, dlaczego z nią sypia: bo przypominała mu zmarłą żonę. Dlatego tak ochoczo kładł się z nią do łóżka. „To jest chore” - pomyślała.

- Ale ja nie jestem Fridą - powiedziała, kładąc się obok niego. Nawet tego nie skomentował. Bez słowa przystąpił do tego, co już było ich codziennym rytuałem. Gdy już zakończył, odpowiedział:

- Wiem, że nią nie jesteś.

Tylko tyle. Żadnego tłumaczenia. Ani zapewnień, że teraz to ona - Anna - jest mu droga. Tego oczekiwała. Niestety, Sven zamiast mówienia czułych słów, odwrócił się i natychmiast zasnął. Tamtej nocy chrapał zupełnie jak Wiesiek. Nie mogła zasnąć. Była rozdrażniona jego chrapaniem. Nie znosiła chrapania w żadnym wykonaniu. Poczula ten znajomy świdrujący ból nad prawym okiem. Wiedziała, że się zaczyna. Już po chwili była w łazience i wymiotowała. Starła się zachowywać jak najciszej. Na ile się dało. Ale on miał bardzo czujny sen. Niestety przyłapał ją w łazience i zaczął wypytywać:

- Co się dzieje? Jesteś chora?

-Tak.

- Ale co to jest? Co to za choroba?

- Jeszcze nie wiem, ale muszę iść do szpitala.

- Aha. To fatalnie.

Wyszedł z łazienki i już więcej nie pytał o jej chorobę. Nie chciał nic wiedzieć na ten temat. Pomyślała, że się wystraszył. Zupełnie jak Wiesiek, który zareagował tak samo. Uciekł. Sven nie musiał uciekać, bo to ona miała bilet powrotny. Po prostu odwiózł ją do Karlskrony. Nawet nie pocałował jej w policzek. Ani nie zapewniał, że będą w kontakcie. Swoim zwyczajem coś tam burknął pod nosem. A jej zachciało się płakać. Ale nie mogła się skompromitować. *Keep calm and carry on.* Żadnych łez. Ani nawet drżącej górnej wargi. Nie powinna tu przyjeżdżać. Ale tak usilnie ją zapraszał i jakoś nie umiała mu odmówić. Jemu i sobie też. Poza tym chciała na chwilę zapomnieć, że jest chora. To był błąd. Wiedziała to w dniu wyjazdu i bardzo się pilnowała, żeby nie dać po sobie poznać, jak jest jej przykro. Żeby nie dać mu satysfakcji. Należało skupić się na tym, żeby wyzdrowieć. Mieć jeszcze jedną szansę. Na drugie życie. Niekoniecznie z Sinobrodym.

Od rana znowu o nim myślała. Ze wtedy zachował się okropnie. Potem też, kiedy leżała w szpitalu. Po jej wyjściu również. Więc już nie powinna myśleć o tym cholernym Sinobrodym. Ale to nie było takie łatwe. Powinna raczej wspominać zmarłego ojca, zwłaszcza

że to był dzień jego pogrzebu. Mogłaby też pomyśleć o matce. Wczoraj znowu ją rozgniewała. Bo nie poszła po papierosy. Przypomniały jej się dawne czasy. Jak się buntowała i nie chciała chodzić po papierosy do kiosku. Zrobiło się późno. Pozostawało tylko założyć czarną sukienkę, czarne pończochy, czarny płaszcz. I czapkę na głowę zamiast chustki. Tak będzie wygodniej i cieplej. Jakoś trzeba przetrwać do końca ten cholerny dzień. Nie będzie łatwo. Powązki znajdowały się całkiem niedaleko. Mogła pójść piechotą. Tylko czy zdąży? Może jednak lepiej zamówić taksówkę?

W hotelowej łazience było duże lustro. Zdecydowanie za duże. Nie mogła uniknąć spojrzenia na swoje odbicie. Wyglądała obco. Zupełnie inaczej niż w jej domowym, oswojonym zwierciadelku. Kobieta, którą zobaczyła w hotelowym lustrze, była stara i szara. Strasznie chuda. Nie powinna się nikomu pokazywać. Ale niestety musiała. Rodzinie. Chociaż to była rodzina na opak. Łże-rodzina. Tak naprawdę to byli jej najwięksi wrogowie. Jeszcze raz zerknęła w lustro i utwierdziła się w przekonaniu, że to dobrze, że Sven milczy. Nie ma sensu, żeby ją oglądał w takim stanie. Dobrze, że nie odpikał. Chociaż nie, wcale nie dobrze. Bo tym razem w swojej naiwności liczyła na nie wiadomo co. Ze coś z tego będzie naprawdę. Ale się przeliczyła. Jak zwykle. Szkoda gadać.

Grażyna zastanawiała się, czy jednak nie pojechać na ten pogrzeb. W końcu to był ktoś ważny. Ale musiałyby

się ubrać. Zupełnie nie miała na to ochoty. W szlafroku było jej najwygodniej. Poza tym miała coś ważnego do zrobienia. Już drugi dzień siedziała w kuchni nad pasjansem. Anka nie dostanie żadnego spadku. Nic nie dostanie. Tak wynikało nie tylko z układu kart, ale przede wszystkim z układu sił. Szanowna rodzinka już się o to postara. Więc może należałoby jakoś zadziałać? W końcu dziewczynie należy się forsa. Jak psu buda. Grażynie też coś się należało. Za złamaną karierę i za zmarnowane życie. Powinien jej zapłacić. On i te jego cholerne dzieci. Przekłeta córuchna. Wielka pani z telewizji. Zapowiadaczka. Prezenterka. Była z niej już stara baba. Niewiele młodsza od Grażyny. Tylko zastrzyki z botoksu i wszystkie kuracje w spa sprawiały, że jeszcze wyglądała jako tako. Ale oboje - Mańka i Jasiek - żyją sobie dostatnio. W swoich willach w Konstancinie. Głównie za pieniądze ojca. Przynajmniej Jasiek. Bo on, zdaje się, nie lubi pracować. Zresztą kto lubi? Grażyna może i lubiłaby, ale wylali ją z cyrku. Była za stara i nie miało znaczenia, że tak znakomicie rozciągnięta i że jak przypudrowała twarz, to z daleka nikt nawet się nie domyślał, ile ma lat. Dyrektor cyrku i tak wziął jakąś młódkę na jej miejsce.

Pasjans nie wyszedł, więc trzeba się będzie pofatygować na Powązki. To całkiem niedaleko. Pogoda była sprzyjająca. Trzeba zobaczyć ten cały cyrk na własne oczy. Pewnie najedzie tam co niemiara różnych tuzów. Wszystkich uroczych pań i panów, którzy przyjdą tam jedynie po to, żeby się prężyć.

Kiedyś prężyli się przed nią. W „Kameralnej” przy Foksal. Lubiała tam przesiadywać z Robertem. Wszyscy

jego funfle przychodzili do ich stolika. Udawali, że chcą pogadać, ale przecież chodziło o nią, a nie o pogadanie. Chcieli ją poderwać. Wyrwać, jak to się mówiło i chyba nadal mówi. Jej długie nogi śniły im się po nocach. Więc dobrze było siedzieć tak przy stoliku i palić papierosy. Jednego za drugim. To były carmeny. Eleganckie, z filtrem. Takie papierosy paliło się od święta. Jeśli ktoś zafundował. Na co dzień kurzyła sporty, jak jej stary. Były śmierdzące i bez filtra. Ale się je paliło. Co było robić? Carmeny zaś kupował jej Baumann. Chociaż było z niego straszne skapiradło. Kutwa po prostu. Ale w czasach „Kameralnej” jej stawiał, bo mu się podobała. Mówił, że podobają mu się jej nogi. Nie ona, ale jej nogi. Trochę to było upokarzające. Nawet nie trochę, tylko bardzo. Bo żaden z chłopaków z Woli, z Gibalaka, nie ośmieliłby się tak powiedzieć. Ze Grażyna ma fajne jedynie nogi. Resztę już nie. A on nie dość, że bez przerwy mówił o jej nogach, to jeszcze pisał o nich wiersze. Erotyki. Cholerny drań. Napisał erotyki o jej nogach, ale nic jej nie zapłacił. Chociaż jemu zapłacili za te wierszydła. I to dobrze. Jeszcze dostał jakąś nagrodę. A dla niej nic. Tylko papierosy w „Kameralnej”. Wódki nigdy nie piła. Kawę to i owszem.

Dzieciak wyskoczył im tak jakoś, przypadkiem. Baumann chciał, żeby się skrobała. Grażyna też z początku chciała skrobanki. Wtedy można było to zrobić bez pieniędzy. Normalnie, w szpitalu. Nie to co teraz! Bała się przyznać staremu, że zaciążyła. W dodatku z kim? Z żonatym i dzieciatym facetem. Starszym od niej o dwadzieścia lat. Przede wszystkim:

z największym wrogiem Henryka Wichury. Z synalkiem Beli Baumann, którą przechowywał za okupacji. Za fri-ko. Nic na tym nie zarobił. Jeszcze potem miał kłopoty. Więc zrobił to, co musiał zrobić, i Bela trafiła do obozu. Ale wtedy Grażyna nic nie wiedziała o tym wszystkim. Pewnie Anki nie byłoby na świecie, gdyby Marysia Wichura, ta anielica przenajświętsza, nie powiedziała na to swojego „nie”. Nie rób tego. Musisz urodzić, a ja ci pomogę. I pomagała, dopóki żyła. Może dlatego, że Grażyna poznała Roberta właśnie u Marysi? Dlatego jej matka chrzestna czuła się odpowiedzialna za to, co się stało. Od czasu do czasu Baumann odwiedzał Marysię. Przywoził różne zagraniczne frykasy ananasy. Szynkę w puszcze na przykład albo salami. Kawę do zmielenia oraz czekolady. Kupił jej nawet elektryczny młynek do kawy. Marysi nie skąpił niczego, bo ją wielił. On, a wcześniej jego matka. Podobno Marysia uratowała im życie. Na pewno małemu Robertowi. Więc nic dziwnego, że chcieli się odwdzińczyć. Ale ona nie chciała niczego przyjąć.

- Żadnych pieniędzy - mówiła, gdy Baumann próbował jednak wcisnąć jej kilka banknotów.

Trzeba przyznać, że ciężka frajerka była z tej Marysi. Tak czy owak, właśnie u niej Baumann poznał Grażynę. Przyszła do chrzestnej po kołnierzyk zrobiony na szydełku. Grażyna potrzebowała go na zaliczenie do szkoły zawodowej, gdzie miała się wyuczyć na krawcówką. Tak przynajmniej chciał jej stary. Żeby miała fach w rękę. Przecież nigdy nic nie wiadomo. Ale ona miała go w nogach. Stary Wichura jednak nie chciał nawet

o tym słyszeć. Więc się męczyła w tej krawieckiej szkole. Zamiast niej wszystko na zaliczenia musiała szyć Marysia. Grażyna chodziła często do matki chrzestnej. Pewnego razu trafiła tam na Baumanna. Wtedy to się zaczęło. Ten ich romans. Może po prostu Baumann chciał się zemścić na starym? Za matkę? Dlatego wyrwał jego córkę? Wtedy jeszcze nastoletnią szczeniarkę. Prowadzał się z nią po kawiarniach i różnych spelunach. Aż się okazało, że Grażyna jest w ciąży. Wtedy Baumann, zamiast poczuwać się do odpowiedzialności, wyjechał do jakiegoś domu pracy twórczej. Na pewien czas urwał się z nim kontakt. Grażyna urodziła małą w szpitalu na Kasprzaka. Chociaż byłoby lepiej, jakby nie urodziła. Ale się stało. Potem to już był kłopot Marysi. Choć ona mówiła, że szczęście. Ze każde dziecko to jest wielkie szczęście. Może gadała tak dlatego, że z zawodu była położną. Trzeba przyznać, że przykładała się do wychowania Anki, ale ją rozpuściła. Jak dziadowski bicz. Potem zmarła, biedactwo. Stosunkowo młodo. Jak wszystkie kobiety w rodzinie Wichurów. Taka karma, że nie dożywają starości. Anka też choruje. Zostało jej jeszcze trochę do czterdziestki, a wygląda tak, jakby się wybierała na tamten świat. Zawsze była chorowita. Trafiła jej się niewydarzona córeczka, nie ma co. Grażynie nic się nie udało w życiu, a córunia to już najmniej.

Postanowiła pójść na pogrzeb. A niech tam! Anka nie będzie zachwycona. Przecież zawsze wstydziła się matki cyrkówki. Nie, nie mówiła o tym, ale to się dało wyczuć. Grażyna potrafiła wyczuć takie rzeczy. Była kobietą mocno czującą, choć nieczułą. Przynajmniej

jako matka. Nie miała serca do tego dzieciaka, bo go nie chciała. Co w tym dziwnego? Czy do niej ktoś miał serce? Chciał ją? Była pólsierotą. Właściwie nie pamiętała swojej matki. A ojciec taki, że szkoda gadać. Dzieciaka oddała Maryśce. Może dlatego ta Anulka jest taka podobna do matki chrzestnej Grażyny. Przynajmniej w obyciu. Taka ugrzecznioma i szlachetna, chociaż nie do tego stopnia, co Marysia, ma się rozumieć. Nikt nie był tak szlachetny jak Marysia. W każdym razie nikt z rodziny. Anka natomiast była przede wszystkim cholernie skryta. Właśnie to najbardziej irytowało Grażynę. Dlatego nie lubiła córki.

Teraz, na pogrzebie, pewnie nikt jej nie pozna. Na wszelki wypadek postanowiła założyć ciemne okulary, a włosy spiąć w kok, żeby nie rozpoznali jej po rudych lokach. Jej ruda czupryna też pojawiała się w wierszach Roberta. Nie tylko nogi. Więc włosy pod kapeluszem. Może uda się jej jakoś przemknąć tak incognito. Nawet nie musi siedzieć obok córki. Skoro Anka się wstydzi? Niestety, jak zwykle nie miała ani jednej całej pary rajstop. To był największy problem. Nękał ją przez całe życie. Wszystkie pary podarte. Nie wiadomo, jak to się działo, że w nowych rajstopach zawsze jej leciało oczko albo nawet dwa naraz. Pończochy z kolei miała nie do pary. Ale na szczęście był sezon zimowy i kozaki rozwiążą sprawę. Założy te czarne, lakierowane, na obcasach. Będzie git! Ciekawe, czy nieboszczyk z góry będzie się przyglądał tej szopce? Ze zrobią z pogrzebu szopkę, tego była pewna. Ludzie sławni i bogaci wszystko muszą robić z pompą. Zwłaszcza pogrzeby. Nawet nekrologów

naprodukowali co niemiara. Anka też powinna dać nekrolog. Ale nie chciała. Mówiła, że nie chce ranić uczuć tamtej rodziny. Więc nekrologu od niej nie ma. Ale na pogrzeb pójdzie. Usiądzie skromnie w ostatniej ławce, żeby nikomu nie wadzić. Nie rzucać się w oczy. Jak to Anka. Grażyna natomiast jeszcze nie wiedziała, gdzie usiądzie. Ale na pewno nie w ostatniej ławce. Prędniej w pierwszej. W Grażynie chęć pozostania incognito walczyła z chęcią pokazania się przed tą bandą bufonów i zarozumialców. W końcu była artystką. Cyrkową.

- No i gdzie jest mój czarny krawat?
- Ale po co ci czarny, Juleńku, wystarczy granatowy. Nie przesadzajmy z tą żałobą. To w końcu był mój ojciec, a nie twój.
- Dobrze, jak wolisz. Ty tu wydajesz rozkazy, moja droga.
- Akurat. To ty robisz zawsze po swojemu. Wszystko zależy od twojego widzimisię. I nigdy nie ma cię w domu. A jak już jesteś, to jakby cię wcale nie było.
- Oj, nie przesadzaj, nie przesadzaj. Powiedz tylko, czy na pewno chcesz, żebym to ja.
- Co ty?
- Żebym to ja wygłaszał tę mowę pogrzebową. No wiesz, w imieniu rodziny.
- Tak, ty masz wygłosić. Jaśkowi będzie drżał głos albo się popłacze. On jest taki histeryk. A tobie to przecież wszystko jedno.

- Zawiąż mi krawat. Granatowy. Chociaż wolałbym czarny.
- Sam sobie zawiąż.

Marianna wyszła z garderoby. Miała dość rozmów z mężem. Zamknęła drzwi do łazienki. Na klucz. Potrzebowała chwili intymności. Sam na sam ze swoją twarzą. Już pięćdziesięcioletnią. Pomyślała, że to straszny wiek dla kobiety. Wszystko w rozsypce. Nerwy, ciało i buzia niestety też. Jej twarz była już boleśnie naznaczona starością. Jeszcze niedawno wyglądała inaczej, miała w sobie ten dziewczęcy rys delikatności. Ale go straciła. Sprawka hormonów. Więc trzeba będzie coś z tym zrobić. Skalpel, botoks. Od pewnego czasu zaczęła korzystać z tego. Jednak niewiele jej to pomagało. Starzała się w zastraszającym tempie. Wiedziała, że chociaż ma w odwodzie cały arsenał różnych idiotycznych zabiegów, to i tak nie przywróca jej młodego wyglądu. Ale będzie coraz częściej z nich korzystać. Chociaż to niewiele pomoże. Zwłaszcza przed kamerą trudno było ukryć to, że młodość miała już za sobą. Dzisiaj jej twarz w lustrze wyglądała jeszcze gorzej niż zwykle. Płakała przez całą noc. Nie mogła spać po tej kremacji. Po prostu nie mogła znaleźć sobie miejsca. Chodziła po domu z kąta w kąt i popłakiwała. Dobrze, że Juliusz pojawił się dopiero dziś rano i nie widział tego, co się z nią działo w nocy. Nie przypuszczała, że tak będzie przeżywała śmierć ojca. A jednak. Na razie musi jakoś przykryć makijażem zmęczenie i rozpacz, jakie malowały się na jej twarzy. Koniecznie. Na pogrzebie wszyscy będą na nią się gapić. Będą robić

zdjęcia. Przyjedzie telewizja. Wiadomo! Więc trzeba popracować nad makijażem, i to poważnie. Żeby nie wyszedł za mocny, a jednocześnie zatuszował jak najwięcej. Koniecznie trzeba pamiętać o żelaznych prawach dobrego makijażu, które są jak list żelazny, wyzwalający na krótką chwilę z oków starzenia się. Tego nieubłaganego opadania, sflaczania, obwisania. Marianna choć na moment chciała się uwolnić od wszystkiego, co zatruwało ją już od dawna. Od hormonów, które nie pozwalały jej już być młodą, spychały w jakąś otchłań. Bycia starą, niepotrzebną kobietą, na którą nie patrzy się bez potrzeby. Bo jej wygląd już nikomu nie sprawiał przyjemności. Chociaż przez chwilę, przez jedno przedpołudnie, chciała wyglądać inaczej. Tak jak dawniej. Bo przyjedzie telewizja. Będą robić zdjęcia rodzinie. Będą patrzeć. Różni nieżyczliwi ludzie.

Więc do roboty. Przypominała sobie zasady dobrego makijażu dla pań w średnim wieku. W żadnym wypadku nie można zapomnieć, że zaznaczona dolna powieka postarza. Żadnej kreski na dole. A kysz! Precz ze starym nawykiem, który postarza. Podobnie jak źle wydepilowane brwi. Wyostrzają rysy, które i tak, z racji przemian hormonalnych, są wystarczająco wyostrzone. Na szczęście nie depilowała brwi od pewnego czasu, więc górna część jej twarzy wyglądała jako tako. Trzeba też pamiętać o tym, że zbyt intensywny róż może ją zdradzić. A przecież tak bardzo lubiła mieć różowe policzki. No i ostrożnie z pudrem, bo za gruba warstwa i źle dobrany podkład też mogą zaszkodzić. Podkład miała na szczęście pierwsza klasa. Zostają jeszcze

ciemne cienie w wewnętrznych kąciach oczu i nosa. Tu konieczny będzie korektor rozświetlający. Ale nie za dużo pudru. To najważniejsze. Żeby twarz nie wyglądała jak maska. Bo i bez niego tak wyglądała. Niestety.

Kościół pod wezwaniem Świętego Karola Boromeusza był prawie pusty. Może Bożena się pomyliła? Albo celowo wprowadziła Ankę w błąd? To do niej podobne. Powinna od razu się zorientować, że coś jest nie tak. Ojciec był niewierzący, więc dlaczego w ogóle msza w kościele? Chyba by sobie tego nie życzył. Zawsze podkreślał, że nie należy do żadnego Kościoła. Że jest obcy. Nawet w ostatnich wywiadach, tuż przed śmiercią, mówił o swojej niewierze. Że w nic nie wierzy i nigdy nie wierzył, i że zawsze był obcy. „!Więc ta msza w kościele to jednak dysonans” - pomyślała Anka, ale w tej samej chwili spostrzegła przyklejoną przy wejściu do kościoła klepsydrę. Jednak Marianna była osobistością telewizyjną, a jej mąż znanym artystą, więc pewnie uznali, że w kościele i z pompą będzie lepiej. W gruncie rzeczy Mańka była ograniczoną mieszczką. Ojciec, gdy rozzłościł się na swoją starszą córkę, tak właśnie mówił. Że jest z niej mieszcзка. Po prostu głupia mieszcзка o ciasnych horyzontach. Anka miała powody, by przypuszczać, że poglądy, jego wiara, a właściwie jej brak, nie miały dla Marianny większego znaczenia. Bo były niewygodne. Uwierały.

Po kilkunastu minutach spędzonych w pustej świątyni chciała wyjść, ale wtedy właśnie zrobił się ruch.

Przyjechała telewizja i jakieś osoby, których nie znała. Przed kościołem raz po raz zatrzymywały się eleganckie auta i wysiadali z nich ludzie, których nie widuje się na co dzień na ulicach. Potem wchodzili do świątyni. Wlewali się strumieniami. Albo wstępowali parami lub pojedynczo. Z wiązkami i bez. Panie w kapeluszach lub w toczkach. Starannie ufryzowane. Przeważnie niemłode. Ale zrobione na znacznie młodsze, niż były w rzeczywistości. Ufarbowane, umalowane. W lisach, sobolach, drogich wełnach. Czy były wśród nich jego dawne kobiety? A jeśli tak, to które z nich przewinęły się przez jego łóżko? Kadzidlany zapach kościoła przykryła ciężka woń perfum. Dominowała nuta piżma.

Wreszcie przyjechali. Mańka wyglądała znacznie gorzej niż w telewizji. Jaśka natomiast poznała z trudem, bo jego zdjęcie na biurku ojca było mocno przeterminowane. Sprawiał wrażenie wypłowiałego, niewyraźnego. Był zupełnie niepodobny do ojca. Dużo niższy i drobniejszy. Taki jakiś nieudany. Dość wcześnie posiwiiał. Nie było mu do twarzy z siwizną. Siostrzyczka i brat. Jego nie poznałaby na ulicy. Jasiek pewnie też by jej nie poznał. Nawet z daleka było widać, że Marianna bardzo się starała, żeby wyglądać młodziej. Ale nic z tego nie wyszło. Puder tylko podkreślał zmarszczki, a surowa, nieprzystępna mina ją postarzała i ostatecznie odbierała jej resztki urody. Za to Bożenka chyba podpisała jakiś pakt z diabłem. Ale z pewnością nie z tym, który ubierał się u Prądy. Falbanki nie dodawały jej wdzięku. Dopiero co owdowiała, a już wdzięczyła się, jak tylko mogła i do kogo mogła. Rozdawała uśmiechy na prawo

i lewo. Jakby była na wybiegu, a nie na pogrzebie. Gdy zauważyła Ankę, jej sztuczny uśmiech zgasł na chwilę. Marianna zaś nawet nie raczyła spojrzeć na swoją przyrodnią siostrę. Wydawało się, że przez chwilę wyraz jej twarzy zrobił się jeszcze bardziej zacięty. To był sygnał, że ją poznała. Mimo wszystko. Znała swoją przyrodnią siostrę wyłącznie ze zdjęć, których nie sprzątnął w porę z biurka, bo zapomniał. Nie spotkały się nigdy twarzą w twarz. Mimo to od razu wiedziała, że to Anka. Strasznie wychudzona i w jakiejś okropnej czapce na głowie. Ale podobna do tej ze zdjęć. Właściwie jeszcze do kogoś. Do babci Beli. Też miała duże, szare oczy. Wiecznie podkrążone. Ponadto szczupłą twarz i jasną karnację. Niemniej babcia Bela miała jeszcze burzę blond loków. Przynajmniej przed wojną, co widać na ogromnym portrecie, który wisi w domu ojca w Otwocku. Bela była rzeczywiście piękną kobietą. W czasach młodości. Po wojnie jej uroda dramatycznie przygasła. Pewnie dlatego, że była w obozie. W Oświęcimiu, a potem w Ravensbruck. Miała wytatuowany numer na przedramieniu. Mańka pamiętała ten szczegół, chociaż babka zmarła, gdy ona miała zaledwie siedem lat. Ale numer obozowy babci Beli wrył jej się w pamięć. A także to, że trafiła tam przez tego Wichurę. Wszyscy w domu o tym opowiadali. O szmalcowniku Wichurze. I babcia Bela, i dziadek Tadeusz, który tak naprawdę nie był dziadkiem Mani, lecz drugim mężem Beli Baumannowej, tym powojennym. Nawet matka Mani opowiadała o Wichurze, chociaż nie mogła go pamiętać, ponieważ pochodziła z Krakowa. Na szczęście,

podobnie jak Mania, nigdy nie poznała tego człowieka. A jednak powtarzała historię zasłyszaną od teściowej. Ze ten knajacki gnojek wydał ją za pieniądze. Ze na tym właśnie zarabiał. Na denuncjowaniu. Na szantażowaniu ludzi. Przez Wichurę Mania nienawidziła bękarta jeszcze mocniej. Za krzywdę swojej babki. To naprawdę był złośliwy chichot historii, że w pogrzebie syna Beli Baumannowej bierze udział wnuczka tego Wichury, która jest jednocześnie wnuczką Beli. W dodatku to ona, ten nikomu niepotrzebny bękart, jest bardziej podobna do babki niż jej prawowita wnuczka Marianna.

Mimo wymizerowania twarz Anki była jeszcze młoda i miała w sobie to hormonalne coś, co Mańka właśnie utraciła z racji wieku. Dlatego poczuła podwójne ukłucie zawiści. Jej przyrodnia siostra była dużo młodsza i to niestety dało się zauważyć. Oczywiście też miała prawo zjawić się na pogrzebie ojca i przeżywać po nim żałobę. O ile w ogóle była zdolna do przeżywania żałoby. Mania miała co do tego duże wątpliwości. Jej zdaniem pokrewieństwo z Wichurą wykluczało posiadanie uczuć wyższych przez jej przyrodnią siostrę. Bo przypadkowe dzieci nie powinny się rodzić. Nie powinny istnieć. W końcu był na to jeden radykalny sposób. Zwłaszcza w tamtych czasach. Teraz to bardziej skomplikowane. Mania, w przeciwieństwie do ojca, była mocno wierząca i praktykująca. Oczywiście nie pochwałała aborcji. Ale nie pochwałała też zdrady małżeńskiej. Ani dzieci poczętych w grzechu cudzołóstwa.

Anka przeoczyła moment, gdy na postumencie ustawiono urnę. Tylko tyle zostało z jej ojca. Garść prochu w urnie. Już nie było go nigdzie. Nie zobaczy już jego biurka ani wielkiego olejnego portretu babci Beli. Do domu ojca już pewnie jej nie wpuszczą. Już nigdy nie nakryje go na tym, jak wyjmuje z szuflady jej zdjęcie i stawia na biurku. Z takim zawstydzonym uśmiechem. Ciągle musiał chować to zdjęcie, żeby nie zobaczyła go Mańka. Wtedy zaczynało się piekło. Mańka darła się i trzaskała drzwiami, a potem nie chciała gadać z ojcem przez tydzień albo nawet dwa. Raz zdarzyło się, że przez miesiąc nie odbierała telefonu. Ale od czasu gdy nastąpiła Bożena, stosunki Mani z ojcem się poprawiły, i to nawet znacząco. Zdjęcie Anki zaś zniknęło z szuflady Roberta Baumanna. Gdzieś wcięło tę fotografię i gdy ojciec o nią pytał, Bożena mówiła, że wcięło i tyle. Nie ma nigdzie. Diabeł ogonem nakrył albo co. Cholera wie. Zdjęcie zaginęło. Ktoś przypadkiem usunął też z telefonu ojca numer Anki. Kiedy więc Robert chciał do niej zadzwonić, to nie było jak.

- Nie da się - mówiła Bożena, która chyba zapomniała, że numer telefonu młodszej córki Roberta znajdował się jeszcze w jej komórce. Ale zapomniała. Zawsze miała słabą pamięć. A z wiekiem, jak wiadomo, pamięć się nie poprawia.

Nic się nie poprawia z wiekiem, chociaż Bożena poprawiła sobie urodę już ze dwa razy. Może nawet trzy. Zawsze na koszt swojego partnera. Sama miała skromne zarobki. Kiedy więc Mańka zatrudniła ją do ojca jako fachową siłę, od razu wzięła się za siebie. Żeby jakoś

wyglądać. Lepiej. Jak Mańka. Nie była od niej dużo starsza. Jakieś pięć lat. To niewiele. W tym wieku to nie ma dużego znaczenia. Bożena chciała być jak te wszystkie panie z Konstancina. Jak Mańka. Elegancka i pachnąca. Więc trzeba było trochę popracować nad sobą. Żeby dołączyć do towarzystwa. Zapisła się nawet na angielski. Do metodystów. Zawsze chciała się uczyć. Nie tylko angielskiego. Teraz oto siedziała w pierwszym rzędzie obok Mańki. Jako jej macocha. Koń by się uśmieł. I cha, cha, cha! Siedziała więc wygodnie, rozparta w pierwszej ławce. Taka godna i żałobna. Czarny toczek z woalką dodawał jej powagi. Wyglądała jak prawdziwa wdowa. Taka, która rozpacza po śmierci męża. Chociaż Bożenka wcale nie rozpaczała. Ona, zwykła pielęgniarka - Bożena z domu Gumoś, po mężu Baumann. To było całkiem świeże nazwisko. Bożenka była wszak świeżo upieczoną mężatką i jeszcze bardziej świeżą wdową. Nie byle kim. Należała do towarzystwa i miała przed sobą znakomite perspektywy.

Self-made woman

Grażyna weszła do kościoła podczas podniesienia. Przeliczyła się z czasem. Poza tym długo nie mogła znaleźć drugiej pończochy, bo się gdzieś zawieruszyła w tym bałaganie. Już chciała odpuścić i zostać w domu, ale wtedy właśnie pończocha się znalazła. Zaplątała się gdzieś w pościeli. Potem jeszcze uciekł jej tramwaj. Nie zdołała dobiec. Bo to już nie te lata. Kiedyś biegła jak sarenka. A teraz szkoda gadać! Ale w końcu dotarła na miejsce, tyle że mocno spóźniona. Wszyscy klęczeli. Może nie wszyscy, bo niektórzy, a może nawet

większość kuciała. Żeby nie zabrudzić drogich, wyjściowych spodni. Albo nie podrzeć rajstop. Ale nie chcieli stać, woleli kucnąć, żeby to jakoś wyglądało. Zachować pozory. O to chodziło. Poza tym klęczenie źle im się kojarzyło. Było to równocześnie chłopskie i teatralne. Go tu kryć?

Nagle wtargnięcie Grażyny do kościoła, a właściwie stukanie jej obcasów o posadzkę, wyrwało z odrętwienia większość rozmodlonych żałobników. Wszyscy jak na komendę odwrócili się w jej stronę. Przez dłuższą chwilę wielu nie mogło oderwać od niej wzroku, bo wyglądała poniekąd zjawiskowo. Z całą pewnością inaczej niż reszta zgromadzonego towarzystwa. Ten kapelusz z dużym rondem a la Maryla Rodowicz w czasach gdy śpiewała *Malgośkę* i lakierowane botki na niebotycznych obcasach, przywodzące na myśl kostiumy dziewczyn z zespołu Abba, musiały zrobić wrażenie. Całości tej stylizacji dopełniała karmazynowa róża na długiej łodydze, którą wyhodowała szwagierka sąsiadki Ireny -tej z naprzeciwka. Ta szwagierka hodowała róże pod szkłem. Z tego żyła. Tę najpiękniejszą i najwyższą nazwała Polonia Restituta. Bo miała być ścięta na jedenastego listopada i złożona pod pomnikiem marszałka Piłsudskiego. Szwagierka sąsiadki Grażyny była wielką patriotką. Jedenastego listopada zawsze składała pod pomnikiem swoją najpiękniejszą różę. Od dwudziestu lat z hakiem. Odkąd hodowała róże pod szkłem. Jedna zawsze miała być dla tej odrodzonej, najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Jasne, że tamtej przedwojennej, którą uosabiał marszałek, a nie tej byle jakiej,

okrągłostołowej. W końcu dziadek szwagierki walczył o tamtą. Był bojowcem od Piłsudskiego. Należał do Organizacji Bojowej PPS-u. Siedział nawet w rosyjskim więzieniu. Tu, niedaleko, przy Spokojnej. Potem, już po wojnie, za Stalina, to go ruscy rozwalili. **Podstienku** i trrach. W więzieniu na Mokotowie. Ojca szwagierki, również patriotę i akowca, też rozwalili. Ale gdzie i kiedy, tego nikt dokładnie nie wiedział. Wiadomo było tyle, że to ruscy. Dlatego szwagierka sąsiadki tę najpiękniejszą różę, która nazywała się Polonia Restituta, zawsze nosiła pod pomnik Piłsudskiego. Na pamiątkę ojca i dziadka. I tamtej Rzeczypospolitej Piłsudskiego. Ale w tym roku nie zaniósła róży marszałkowi, bo jedenastego listopada była chora. Więc róża trafiła do wazonu szwagierki Ireny, która mieszkała przy Gibalskiego, drzwi w drzwi z Grażyną Wichurą. Ponieważ Irena nie miała się czym odwdzięczyć sąsiadce za wrózenie, podarowała Grażynie ten piękny kwiat. Rano Grażyna, niewiele myśląc, wyciągnęła Polonię Restitutę z wazonu i postanowiła złożyć ją na grobie ojca swojej córki. Żeby było pięknie. Polonia Restituta na grobie artysty. I łajdaka. Bo Baumann był łajdakiem, jak oni wszyscy. Wszyscy faceci w życiu Grażyny. I nie tylko w życiu Grażyny. Wszyscy faceci są łajdakami! Nawet ci najbardziej świętojebliwi i bogoojczyźniani.

Anka na sam widok matki w kościele skurczyła się w sobie. Chciała zniknąć. Rozpłynąć się. Pamiętała to uczucie z dzieciństwa. Dopadało ją zawsze wtedy, gdy jej rodzicielka nieoczekiwanie pojawiała się na szkolnym lub nawet jej towarzyskim horyzoncie w którejś

ze swoich niecodziennych stylizacji i w adekwatnym humorze. Tym razem jednak przeszła samą siebie. Z tą karmazynową różą wyglądała groteskowo.

Grażyna szukała wzrokiem córki. Ale nie dostrzegła jej nigdzie. Pewnie się schowała za filarem. Jak to ona. Chowa się w tłumie, żeby nikomu nie wadzić. Grażyna miała na odwrót. Zawsze szukała zwady. Z każdym, kto się nawinął. A zwłaszcza z takim nadętym towarzyszem jak to, które się zebrało w kościele Świętego Karola Boromeusza, żeby się pokazać na pogrzebie znanego literata. Poszpanować futerkiem albo nową furką. Pogapić się na rodzinę w żałobie. A nuż zdarzy się jakiś mały skandalik i będzie o czym poplotkować? Więc się zdarzy. Już się zdarzył, bo wszyscy patrzyli na Grażynę Wichurę, a nie na księdza. Nie wspominając o urnie z prochami Roberta Baumanna, która nie wzbudzała niczyjzego zainteresowania. Była cyrkówka i dawna kochanka skradła zmarłemu poecie zainteresowanie i uwagę publiki. Wszyscy szeptali, niektóre panie nawet prychały, zapominając o dobrych manierach. Grażyna tymczasem parła do przodu przez środek kościoła. Z karmazynową różą w dłoni. Trzeba przyznać, że róża znakomicie pasowała do koloru paznokci Grażyny. Wprawdzie mięśnie już jej zwiotczały i nie mogła występować na scenie w kostiumie z cekinami, ale mogła jeszcze zadawać szyku na ulicy Gibalskiego. W szlafroku. Bo czasem zdarzało jej się wyskoczyć po papierosy w szlafroku, na który narzucała prochowiec. Dla przyzwoitości. A tutaj, na tym kościelnym wybiegu, paradowała w ukochanym kapeluszu, zakupionym jeszcze

w nieodżałowanym Hofflandzie. I w czarnych, lakierowanych kozaczkach. Ach, jakich pięknych! Aż wszyscy patrzyli na nią z zazdrością, że jest tak piękna i tak zgrabna. Nawet ksiądz się wpatrywał. Dziesiątki par oczu śledziły każdy jej ruch, najmniejszy gest. Wszyscy zastanawiali się, gdzie powinna położyć tę płomienną różę. Grażyna uważała, że róża powinna spocząć nie na grobie, jak pierwotnie planowała, lecz w grobie. Razem ze zmarłym. A właściwie z jego prochami. Po kilku dobrych minutach Grażyna zakończyła swój triumfalny pochód przez kościół. Zajęła miejsce w pierwszej ławce. Obok Bożenki. Właśnie tak, obok fałszywie zbolełej wdowy o urodzie świnki Piggy, w idiotycznym toczku, siedziała piękna, dojrzała kobieta w stylowym kapeluszu. A jakże! Grażyna czuła pełną satysfakcję. Natomiast jej córka, która kuliła się gdzieś tam, na szarym końcu, postanowiła wyjść z kościoła jak najszybciej, jeszcze przed końcem mszy. Potem jak najdalej uciec od nich wszystkich. Zwłaszcza od tej siostry nie siostry, co siedziała w pierwszym rzędzie. Obok swojego męża. Wysokiego i przystojnego. Całkiem *comme il faut*. Wyprężonego jak struna, która lada chwila pęknie. I może nieco zniewieściałego.

213.

ALL GOOD THINGS

Roma leżała w łóżku. Już nie miała siły się podnieść. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek wstanie. Gzy usiądzie przy biurku i odpisze wreszcie na ten list, który czekał na nią po powrocie ze szpitala? Czy pójdzie do sklepu? Albo do kościoła? Do Mariackiego, oczywiście. Czy będzie jeszcze normalnie? Chyba już nie. Doigrała się, nie ma co. Oto ziściło się to, czym straszyla ją matka - była stara i niedołężna i nie miał jej kto zaparzyć herbaty. Jej matka, prosta kobieta, która skończyła zaledwie kilka klas powszechniaka i którą Roma lekceważyła - odkąd przestała być bogobojną Urszulką Olczakówną z jasnymi warkoczami - zawsze powtarzała, że kobieta powinna mieć więcej dzieci niż jedno albo dwoje. Ze powinna mieć całą gromadkę. Jeśli nie dzieci, to kto jej poda herbatę, gdy będzie stara i chora? Właśnie dlatego Roma chciała zostać w szpitalu. Żeby uniknąć takiej sytuacji. Tego, że była sama i nie mogła liczyć na niczyją pomoc. Jej jedyny syn Kuba chrapał na kanapie w salonie. Śnił swoje

zarzygane, pijackie sny. Cały dywan w salonie był zarzucony butelkami i puszkami po piwie. Wszędzie unosił się kwaśny zapach przetrawionego alkoholu. Roma zaś nie miała siły wstać z łóżka, żeby posprzątać w mieszkaniu. Trzeba będzie poczekać do jutra. Ma przyjść Ukrainka. Ostatni raz przed świętami, bo kończy się jej wiza. Gosia ją poleciła. Podobno nie kradnie. Roma początkowo miała opory. Bała się Ukraińców jak ognia. Urodzona na Wschodzie, dobrze zapamiętała, co tam się działo pod koniec wojny. Więc trochę z początku protestowała. Tłumaczyła Gosi, że każdy, byle nie Ukrainka. Bo do Ukraińców to zupełnie nie ma zaufania. Banderowcy wyprawiali z Polakami takie rzeczy, że nawet dziś strach o tym pomyśleć. Ale musiała wpuścić tę Lenę czy Oksanę do domu, bo bałagan był nie do opanowania. Dziś jednak nie mogła liczyć na niczyją pomoc. Nawet na szklanekę wody. Więc wodę musi przynieść sobie sama. Może została jeszcze jakaś butelka jej ulubionego perriera? Może Kuba nie wypił wszystkiego? Roma marzyła o łyku wody z bąbelkami, a jeszcze bardziej o filiżance dobrej angielskiej herbaty. Herbaty jednak już sama nie zaparzy, przynajmniej na razie. Poprosi Ukrainkę. Jutro. Na szczęście jej filiżanki wciąż jeszcze stały w serwantce. Chyba w komplecie. Więc jutro będzie dobra herbata, a dziś zadowoli się wodą. Byle Kuba się nie obudził i nie zaczął wrzeszczeć. Był nieobliczalny. Bała się go.

Kiedyś był słodkim chłopczykiem. Miał długie rzęsy. Zawsze starała się go gustownie ubierać. Z klasą. Wyróżniał się we wszystkich przedszkolach i szkołach,

do których chodził. Więc koledzy go bili i mu dokuczali. Kuba płakał. Straszny był z niego beksa. Romę zawsze złościła ta beksowatość syna, bo sama rzadko płakała. W końcu była córką oficera. To do czegoś zobowiązywało. Żeby trzymać fason i się nie mazgać. Zachowała się jak należy nawet wtedy, w grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku, gdy miała trzynaście lat i wydarzyło się tamto. Gdy podpity ojciec wytrząsnął z niej w szopie koło domu całą wiarę, nadzieję i miłość, powtarzała w myślach: *keep a stiff up-perlip*. Właśnie tak! Nauczył ją tego wujek Rysiek, brat matki, który walczył w dywizji Maczka, a potem wrócił do Polski. Zdołał nauczyć ją zaledwie kilku zdań po angielsku, bo zgarnęło go UB i przesiedział dziesięć lat we Wronkach. Roma - wówczas jeszcze Urszulka Olczakówna - nie uroniła ani jednej łzy, nawet wtedy, gdy matka zbeształa ją za to, że miała zakrwawione majtki. To było tamtego pamiętnego dnia. W Wigilię. Usłyszała wtedy od swojej rodzicielki, że teraz będzie tak już co miesiąc i sama musi o siebie zadbać. To znaczy o higienę i o czystość. Bo czystość to najważniejsza sprawa w życiu dziewczynki. Żeby ją zachować, dorastająca panienka musi dobrze się prowadzić i dbać o higienę osobistą. Więc zakrwawione majtki, i to przy Wigilii, są niedopuszczalne. Dlatego matka dała jej w pysk. Żeby zapamiętała to sobie raz na zawsze. Mimo to Roma się nie rozplakała. Pocięła majtki na strzępki nożycami krawieckimi. Przy okazji obcięła dwa warkocze, które były dumą jej matki. Pani Olczakowa piała z zachwyty, że warkocze jej córeczki Urszulki są tak złote i grube.

Że ma tak śliczną córkę. Ojciec też był dumny z warkoczy, więc tym bardziej należało je obciąć. Potem nadstawić drugi policzek, żeby matka mogła jeszcze raz dać upust swoim emocjom, gdy już zobaczyła, co się stało z włosami Urszulki. Wrzeszczała jak wariatka. Jakby warkocze były ważniejsze od córki. Dla matki -chyba były.

Ojciec za to był jakiś nieswój po tym, co zrobił w Wigilię. Wyszedł z domu i wrócił dopiero w drugie święto, z dwudniowym zarostem i kompletnie pijany. Roma dokładnie to zapamiętała. Tamten wigilijny wieczór. I to, że wszyscy krzyczeli. Tylko ona milczała. Nie jak trusia, bo już nigdy odtąd nie była trusią. Jej milczenie było wyzywające. Grała im na nerwach: matce i ojcu. Tym swoim nicniemówieniem. Wiedziała, że stało się coś nieodwracalnego i że już nigdy nie będzie taka jak przedtem. Że nigdy nikomu nie zaufa. To był ważny moment. Tamtego wieczoru w swoim pokoju, na żelaznym łóżku, jak jaszczurka zrzuciła z siebie skórę niewinnego podlotka. Wkrótce potem oddano ją do szkoły prowadzonej przez zakonnice. Żeby jej przykręcić śrubę i zamknąć usta. Żeby nie gadała bzdur na temat ojca. Po milczącej Wigilii przyszedł bowiem czas na rozgadany Nowy Rok. Roma postanowiła powiedzieć wszystko matce. W końcu matka to matka i ma się ją jedną na całe życie. Niestety, jej matka nie chciała słuchać o tym, co wydarzyło się w szopie w wigilijne popołudnie. Ojciec tym bardziej nie chciał słuchać ani oglądać córki, więc poszukano dla niej odpowiedniego zakładu wychowawczego. Żeby wyprostować ten

trudny charakter. No i żeby znowu miała warkocze. Jak przystało na panienkę z dobrego, bogobojnego domu. Roma patrzyła na swoje zdjęcia z tamtych czasów. Z krótkimi włosami i w marynarskim kołnierzu. Bez uśmiechu. Wszystkie jej koleżanki, których imion już nie pamiętała, były roześmiane. Tylko ona jedna taka smutna. Już nie dziecko, nie podłotek. Jakieś nie wiadomo co!

Po maturze uciekła do Warszawy na studia. Zamieszkała w akademiku i zapisała się do ZMP. Żeby dopiec ojcu akowcowi, a przy okazji bogobojnej matce. Z dumą nosiła czerwoną chustę i krzyczała na całe gardło: „Bierut, Stalin!”. Na masówkach i na pochodach. Aż kiedyś zachrypla i nie mogła już drzeć się najgłośniejszemu ze wszystkich zetempowskich aktywistek. Wtedy właśnie ktoś przedstawił ją przyszlęmu mężowi. Leon Herbst był sporo od niej starszy. Nic szczególnego jako mężczyzna. Niewysoki, lekko łysiejący. W dodatku nosił okulary z grubymi szklami. Ale woził ją służbowym autem z kierowcą. Zapraszał do drogich restauracji. Bywali na przykład w MDM-ie. Błyskawicznie poczuła pęd do pieniędzy i władzy. Do czegoś, czego dotąd nie miała. Dobrze wiedziała, że nie dokrzyczy się tego na żadnej masówce ani wiecu. Domu z gosposią, służbowego auta i możliwości robienia zakupów w sklepach za złotymi firankami. Więc nie zastanawiała się długo, gdy Leon zaproponował jej ślub. W urzędzie stanu cywilnego, ma się rozumieć, ale to jej akurat zupełnie nie przeszkadzało. Nawet się cieszyła, że bez księdza i bez sukni z białym welonem. W końcu nie

była dziewicą. Od dawna. Gdy po październiku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku przesunięto Leona Herbsta na prowincję, nie zawahała się opuścić stolicy i podążyć za mężem do Gdańska. Skoro taka była wola partii, należało jej się podporządkować.

Roma pokochała Gdańsk. Tu poznała prawdziwą miłość. Stało się to w młodzieżowym klubie, gdzie jako słomiana wdowa, ubrana w czarny półgolf i czarną spódnicę, lubiła przesiadywać, sącząc oranżadę. Zgrabna, wiotka i młoda. Dziś patrząc na stare fotografie, nie mogła uwierzyć, że była taka śliczna. Najładniejsza dziewczyna w mieście, gdzie było tyle pięknych młodych kobiet. Miasto po prostu zakwitowało tymi dziewczętami każdej spóźnionej wiosny. Nic dziwnego, że Artur od razu zwrócił na nią uwagę. Przecież nie mogło być inaczej.

Herbst rozpaczał wtedy nad Joanną Millerówną, swoją frontową miłością, która zaczęła gnić za życia i ogromnie cierpiała za wszystkie grzechy swojej młodości, a Leon razem z nią. Może nawet bardziej niż ona - bo to przecież on zdradził. Porzucił i zawiódł. Wybrał młodszą partnerkę, która mogła rodzić. Chciał mieć potomka. Może nawet niejednego. Pewnie Millerówną zachorowała przez Herbsta. Rozczarowana, odeszła z partii, zabrali jej asystenturę na uniwersytecie, zesłali do jakiegoś archiwum i stało się. Leon do końca życia nie mógł tego przeboleć. Gdy zmarła, przestał spędzać długie tygodnie w Warszawie - na dobre wrócił do żony, której tak naprawdę nie kochał, choć była taka ładniutka. Właśnie: ładniutka i głupiutka.

Nie znosił jej chichotania, tej paplaniny, uśmieszków, ondulacji, owulacji i innych babskich fiksacji. Żeby nie wspomnieć o jej wszystkich fatałaszkiach, pantofelkach na szpilce, apaszkach, koralikach, broszkach. Nie lubił nawet jej pięknego ciała - niezwykle kształtnej pupy i obfitych, kształtnych piersi.

Joanna zawsze była chuda, tak mało kobieca, ale Leonowi wystarczał blask jej czarnych oczu, tak podobnych do oczu jego matki. I niekończące się z nią rozmowy... Współżyjąc z Romą, czuł, że zdradza samego siebie. Przecież robił to właśnie dla siebie i dla swojej rodziny, z której nikt oprócz niego nie przeżył wojny. Robił to także dla Joanny, zwłaszcza dla niej. Nie bez powodu Jakub, jego syn, miał spojrzenie Joanny. Zupełnie jakby to ona była jego matką. Gdy Leon to zobaczył, było tak, jakby ujrzał Boga. Tego prawdziwego - Boga swoich przodków. Tego, którego wyparł się jego ojciec, by mieszkać w dobrej dzielnicy pośród szacownego, polskiego kołtuństwa. Kształcić się na polskim uniwersytecie. Walczyć w legionach Piłsudskiego. Odnieść ranę pod Łowczówkiem w grudniu tysiąc dziewięćset czternastego roku. Trafić do rosyjskiej, a potem bolszewickiej niewoli. Wrócić do kraju, do tej ciemnookiej dziewczyny, chorowitej córki bławatnego kupca z Zagłębia. Wziąć ślub w katolickim kościele, spłodzić syna i nadać mu na chrzcie świętym imiona Leon i Józef. Zostać szanowanym obywatelem, patriotą, Polakiem, chociaż nie katolikiem, lecz protestantem. By potem znaleźć się w getcie wraz z innymi, którzy się Boga - tego jedyne i prawdziwego - nie

wyparli, i zginąć w Chełmnie nad Nerem, nie mając nigdzie nawet grobu.

Wtedy, wiosną tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku, Roma siedziała przy stoliku i sączyła oranżadę. Przez słomkę. Zupełnie jakby była tamtą niewinną nastolatką z długimi warkoczami i ciągle jeszcze miała wszystko przed sobą. Czekwała na coś, a może na kogoś. Jej mąż, wbrew nakazom partii, więcej czasu spędzał w Warszawie niż w Gdańsku, bo opiekował się umierającą marksistką. Roma nie miała o to żalu. Taki układ jej nawet pasował. Miała męża i jednocześnie była całkowicie wolna. Po raz pierwszy w życiu mogła być sobą. Więc gdy usłyszała niski męski głos i to banalne pytanie „Czy mogę się przysiąc?”, pomyślała, że właśnie teraz w jej życiu zaczyna się coś ważnego. Właściciel niskiego głosu był smukły, jasnowłosy, niezbyt wysoki. Robił wrażenie wiecznego młodzieńca, choć dość głębokie bruzdy na jego twarzy zdradzały, że dawno przekroczył trzydziestkę. Roma swoim wysokim głosem wyszczebiotała:

- Ależ tak, proszę bardzo, niech pan siada.

Była zachwycona. Mężczyzna usiadł i długo patrzył jej w oczy, potem zerknął na złotą obrączkę na jej palcu i zapytał, od jak dawna jest mężatką. A ona, nie czekając na dalsze pytania, zaczęła mu o sobie opowiadać. Słuchał cierpliwie, zawieszając wzrok na poszczególnych partiach jej ciała. Roma gadała i gadała, nie wiedząc nawet, z kim ma przyjemność. Po godzinie mężczyzna spojrział nerwowo na zegarek i przeprosił Romę, tłumacząc się, że ma pilne spotkanie. Na

marmurowym blacie stolika zostawił białą wizytówkę. Roma ze zdumieniem przeczytała: „Artur Hofman, literat”. Dalej widniały adres i telefon.

- Proszę do mnie zadzwonić, jak będzie pani miała czas - rzucił na pożegnanie.

Z zachwytem patrzyła, jak sprężystym, wojskowym krokiem oddalał się w kierunku wyjścia. „To jest mężczyzna mojego życia” - pomyślała. Zakochała się. Od pierwszego wejrzenia, a właściwie na pierwszy dźwięk jego głosu. Nareszcie! Jeszcze niedawno myślała, że to nigdy się nie wydarzy, że ojciec, że to, co z nią robił, że to wszystko... W dodatku ten niekochany mąż, który zamiast dbać o młodą żonę, niańczył umierającą kochankę. Wówczas nie miała wobec niego żadnych skrupułów. Nie liczyło się to, że mieszkała w jego domu, otoczona meblami, książkami i bibelotami, które kupił jej za swoje wysokie pobory. Nie przywiązywała też wagi do faktu, że nosiła jego nazwisko, bo zmieniając nazwisko, zmieniła również imię, ani że był znanym człowiekiem, a jego przyjazd do miasta został odnotowany przez lokalną prasę partyjną. Tak jest, pisali o nim w gazetach, a w „Głosie Wybrzeża” była wzmianka nawet o Romie. Jako o żonie towarzysza sekretarza KW A ona przecież nie pragnęła rozgłosu. Chciała być wolna i nigdy więcej się nie bać. Żeby żaden mężczyzna jej nie poniżał, żeby nie robił z nią tego, co ojciec. Pragnęła tylko tego. Teraz więc pojawił się Artur Hofman - literat. Pewnie napisał jakieś książki. Wstąpiła do księgarni przy ulicy Długiej. Rozejrzała się po półkach, ale nie było tam książek Artura

Hofmana. Sprzedawczyni wytłumaczyła jej, że nakład jego ostatniej powieści został dawno wyczerpany, więc niech idzie do czytelnicy, może tam mają coś jego autorstwa.

Był wiosenny, jasny dzień, powietrze jakieś takie aksamitne. Czując, że ta wiosna i to niespodziewane uczucie ją uskrzydla. Lekkim krokiem, delikatnie kołysząc biodrami, powędrowała do biblioteki Polskiej Akademii Nauk, gdzie w katalogu wyszukała aż trzy pozycje Artura Hofmana. Wszystkie wydane niedawno. W czytelnicy okazało się, że dostępna jest tylko jedna książka tego autora. „Dobre i to” - pomyślała. Usiadła w ponurej czytelnicy głównej. Tu zupełnie nie było czuć wiosny. Pomyślała o studiach, których nie skończyła, bo tak się jej spieszyło do zamążpójścia. Otworzyła książkę. Pogładziła swoimi cienkimi i niezwykle delikatnymi palcami nazwisko autora na obwolucie i zaczęła czytać. To była trudna, męska książka, w sam raz dla starego Herbsty. Jemu pewnie od razu przypadłaby do gustu, ale dla Romy lektura okazała się niełatwym zadaniem.

Ostatecznie dała radę. Najpierw gładziła nazwisko na obwolucie, by dodać sobie odwagi, a potem rytm zdań poniósł ją w odległe krainy, których istnienia nawet nie podejrzewała. Była zachwycona nie tyle treścią książki, co jej rytmem - wspaniałym brzmieniem twardych, męskich zdań bez żadnych ozdób. To przypominało maszerujące wojska, które tak dobrze pamiętała z dzieciństwa. Z całą pewnością nie były to śpiewne i żądne łupu oddziały Armii Czerwonej,

pustoszące jak szarańcza nawet najuboższe wsie, ani też wygłodniałe oddziały partyzanckie, podkradające się po cichu do domu jej babki. Ten rytm przypominał zdobywczy krok wojsk niemieckich, tych z początku wojny. Ale słowa i zdania z książki, którą Roma z takim przejęciem czytała w wiosenne dni tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku, najbardziej przypominały sprężysty krok Artura Hofmana, gdy wychodził z klubu.

Wizyty w czytelnicy zastępowały jej spotkania z obcym mężczyzną, który zdawał się bardziej znajomy niż jej wiarołomny mąż. Miała jego wizytówkę i numer telefonu. W każdej chwili mogła zadzwonić. Leon był daleko i chyba zupełnie o niej zapomniał. Jej rodzice udawali obrażonych, niby dlatego, że nie przedstawiła im narzeczonego i ślub nie odbył się w kościele. W rzeczywistości niezmiernie się cieszyli, że się jej pozbyli, każde z siebie tylko znanych powodów. Roma nie miała przyjaciółek. Była zupełnie sama w obcym mieście, które z uporem dźwigało się z ruin i lizało rany. Jednak zamiast opatrywać i cierpliwie leczyć niektóre z tych ran, zasypywano je lub zalewano betonem, by o nich nie pamiętać. Bo miasto miało być polskie, od wieków. Towarzysz Leon Herbst miał zaś pilnować tego, żeby odbudowa szła jak najszybciej i żeby świadczyła o żywotności narodu polskiego i polskości Ziemi Odzyskanych. Żeby to dawne, mieszczańskie, niemieckie miasto stało się polskie i robotnicze. Żeby było piękne jak nigdy dotąd. Nieskażone tym cholernym pruskim błękitem albo, co gorsza, pruskim murem.

Kwaterunek przydzielił działaczowi partyjnemu duże, czteropokojowe mieszkanie w starej kamienicy, położonej kilka kilometrów od willi przy Pelonkerweg, gdzie Sowieci zamordowali nieszczęsną Brigitte. Samotna Roma każdego wieczoru wracała z czytelniami do pustego mieszkania tramwajem numer sześć. Wracała jak najpóźniej, marząc, że kiedyś jeszcze spotka Artura Hofmana, do którego nie miała odwagi zatelefonować.

Jednak z jego białą wizytówką nie potrafiła się rozstać. Nosiła ją przy sobie i od czasu do czasu wyjmowała z torebki, żeby ponownie się jej przyjrzeć. By dać szansę swoim cichym marzeniom, dwa razy poszła nawet do klubu, gdzie po raz pierwszy spotkała Hofmana, ale niestety nie było go tam. Czowała coraz większy niepokój, coraz bardziej się bała, że gdzieś zniknął i już go więcej nie zobaczy. Przypomniała sobie, że na wizytówce oprócz numeru telefonu, który znała już na pamięć, widniał również jego adres. Ulica Polanki. Pojechała tramwajem, potem szła piechotą. Wreszcie znalazła to miejsce. Zatrzymała się. Tak, to była jedna z tych starych, poniemieckich willi. To tutaj mieszkał Artur Hofman - literat, którego Roma Herbst pokochała swoją pierwszą i jedyną w życiu miłością. Jednak nie zdecydowała się wejść do budynku. Przecież to nie wypada, żeby odwiedzała obcego mężczyznę. Spędziła pod domem prawie cały dzień. Dopiero pod wieczór nadjechała taksówka i wysiadł z niej Hofman w towarzystwie jeszcze jednego mężczyzny, nieznacznie pociągającego nogą, i kobiety - pięknej i niezwyklej. Roma starała się, żeby nikt z tej grupy jej nie dostrzegł,

a zwłaszcza Hofman. Niemniej Artur, choć nie całkiem trzeźwy, wypatrzył ją bez trudu i jowialnie zaprosił do towarzystwa.

- Romo, chodź do nas, poznasz Cecylię Piotrowską! No chodź, nie obawiaj się, my jesteśmy dżentelmenami. Kobiety szanujemy jak nasze matki!

W tym momencie drugi mężczyzna, ten z lekka pociągający nogą, dostrzegł ją i natychmiast ruszył w jej stronę. Podał jej ramię i poprowadził w kierunku Artura i Cecylii. Roma nie miała siły, żeby odmówić. Była poruszona tym, że Hofman poznał ją natychmiast, w dodatku zapamiętał jej imię. Przecież widzieli się tylko raz.

Weszli do willi. Na piętrze mieszkała Cecylia z mężem, profesorem szkoły muzycznej, i ośmioletnią córką Ewą, która codziennie grała na fortepianie, przyprawiając Artura, znużonego nocnymi rejsami po mieście, o ból głowy. Na parterze było królestwo Artura, czyli Camelot, jak nazywali to miejsce stali bywalcy, zasiadający przy okrągłym stole w salonie, gdzie odbywały się wielogodzinne debaty na tematy literackie i polityczne. Bo dla Artura literatura była sprawą polityczną. A polityka łatwo zamieniała się w literaturę.

- Musisz wiedzieć, Romo, że niechętnie widzimy kobiety przy tym stole. Pod stołem to co innego. Tam niech króluje Dionizos!

Artur był bardziej pijany, niż przypuszczała. Mimo to patrzyła na niego z uwielbieniem, co nie uszło uwadze pozostałych gości. Cecylię bawiła ta zakochana kołtunka w egzystencjalistycznym entourage'u,

zapatrzona w Artura, który od lat był tu królem, a ona panią jego serca. Ten trzeci - poeta z Warszawy, Tadeusz, też chciał wejść w rolę Lancelota - jak się wydawało. Roma zaś, ta mieszczańska żonka, z pewnością pochodziła z innej opowieści.

- A skąd to śliczne imię, Romo? - zapytała zaczepnie Cecylia.

- Nie wiem, mamie się podobało - bąknęła zdeprymowana Roma. Na chrzcie dali jej przecież Urszula, to drugie imię nadano jej na życzenie matki, a ona po pamiętnej Wigilii sprzed dziesięciu lat postanowiła zmienić imię i wybrała to, które było najbliższe. Na drugim miejscu.

- *Roma locuta, causafinita* \ Co, nie rozumiesz, moja mała? Dziewczynka nie uczyła się łaciny? Oj, szkoda, wielka szkoda!

Roma czuła się podle, że przerwała historię sztuki, nie zaliczywszy drugiego roku, a teraz ta wykształcona muza jej ukochanego Artura najzwyczajniej w świecie egzaminowała ją z wiedzy ogólnej niczym Joanna Millerówna z marksizmu.

- No, droga Romo, u mnie z łaciny masz niedostateczny - wycedziła boska Cecylia przez długie jak u królika białe zęby.

Zasiedli przy stole. Artur otworzył węgierskie wino - egri bikaver - i wznosił toast za krew braci Madziarów, zamordowanych i zesłanych na Sybir. Roma nigdy nie piła alkoholu. Ten kieliszek węgierskiej „byczej krwi” był chyba pierwszy w jej życiu. Zaszumiało jej w głowie. Zapomniała, gdzie jest, kim jest i że w ogóle

jest. W końcu stało się: rano obudziła się na szerokiej kanapie w salonie, a obok niej pochrapywał niezwykle obiecujący poeta z Warszawy. A więc zdradziła męża. I to z kim? Ten kuternoga nie budził nawet jej współczucia, tylko pogardę. Postanowiła wymknąć się niepostrzeżenie. Prawie jej się udało. Artur dopadł ją przy samych drzwiach.

- Romo, tyś jest prawdziwa *madame* Bovary - westchnął. Chciała się wyrwać. Wykręcił jej rękę. - Musimy się spotkać, ale nie tu. Może u ciebie?

- W każdej chwili mąż może wrócić z Warszawy. -W jej głosie można było wyczuć lekką panikę.

- To takie ekscytujące! Więc będę u ciebie dziś wieczorem. Podaj mi tylko dokładny adres. Tutaj nie ma warunków. Cecylia jest bardzo zazdrosna, a Tadeusz od trzech tygodni wyjeżdża do Warszawy. Sama widzisz, z jakim skutkiem.

-Widzę, że to jakiś dom rozpusty - odparła pogardliwym tonem.

- Nie przesadzaj, wczoraj byłaś bardziej skłonna do integracji. Posapując pod Tadeuszem, wołałaś „Arturze!”. To mnie wzruszyło. Dlatego muszę cię odwiedzić. Pamiętaj, Romo -*all good things to those who want*. To takie angielskie powiedzenie dla zgłodniałych i niecierpliwych. Więc czekaj na mnie, Romo.

Roma znała po angielsku zaledwie kilka zdań, których nauczył ją wuj Rysiek. To było kolejnym do jej małej kolekcji. Postanowiła, że zacznie się uczyć tego języka. Potem wybiegła z willi. Czuła niesmak do samej siebie. To miała być jej wielka, romantyczna

miłość! Ta wizytówka i książki, które czytała w bibliotece, zapowiadały, że w jej życiu pojawił się mężczyzna jak z romansów. Inny niż ojciec, dominujący w stadzie samiec, który na wszelki wypadek musi posiadać każdą samicę, nawet tę niezupełnie dojrzałą, własną córkę, inny niż jej żaloszny, podstarzały mąż, zakochany w innej kobiecie. Okazało się, że również ten wspaniały mężczyzna to pospolity pijak i rozpustnik. Gorszy niż ojciec, gorszy niż mąż. Gdy zdyszana wsiadła wreszcie do tramwaju, poczuła, że jej górna warga drży wbrew zasadzie, którą tak skutecznie wpoił jej wuj. Chyba się nie rozplacze. Przecież nic takiego się nie stało.

Po raz pierwszy od czasu gdy zamieszkała w starej kamienicy we Wrzeszczu, mieszkanie, które partia przydzieliła Leonowi, wydało się jej sympatyczne, prawie przytulne. Nawet sypialnia i stojące obok siebie dwa toporne małżeńskie łóża. Poszła do łazienki, napełniła starą, żeliwną wannę gorącą wodą i zanurzyła w niej swoje drobne ciało aż po szyję. Miała nadzieję, że kąpiel oczyści ją po ekscesach ostatniej nocy, które zdarzyły się wbrew jej woli. Artur nie pojawił się ani tego, ani żadnego z następných wiosenných dni. Kilka kolejnych miesięcy przeżyła w samotności i odrętwieniu.

Leon Herbst wrócił na dobre do żony dopiero jesienią, po śmierci Millerówny. Wrócił do Romy, a właściwie do miasta, które na życzenie partii miał trzymać w garści. Żeby zawsze było polskie i socjalistyczne. A przede wszystkim robotnicze. Jednak zamiast koncentrować się na robocie i wziąć za mordę wszystkich

lokalnych kacyków, Leon wziął się wreszcie do dzieła. Trzeszczały stare, mahoniowe łoża, a Roma nie stawiała oporu - leżała jak kłoda, szeroko rozchylając uda, lub wypinała tyłek. Robiła wszystko, czego zażądał mąż -beznamiętnie, bezwolnie, bezradnie. Jak szmaciana lalka, z którą można było uczynić niemal wszystko. To zaczęło bawić Leona. Poczłł do niej jakiś dziwny rodzaj czułości. Miał ochotę zbliżyć się do tej młodej kobiety. Chciał, żeby poczuła się bezpiecznie u jego boku, żeby w ogóle jakoś się poczuła. Ale ona zachowywała się tak, jakby nie odczuwała nic. Wreszcie wczesną wiosną odezwała się do męża przy kolacji:

- Nie będę piła wina, jestem w ciąży. Jestem w ciąży z tobą, Leo.

Leon zastanawiał się, dlaczego podkreśliła, że akurat z nim jest w ciąży. Przecież to oczywiste - był jej mężem każdej nocy, a czasem nawet rano, zanim wyszedł do pracy. Nic jednak nie powiedział. Wstał od stołu. Podeszedł do krzesła, na którym siedziała. Położył jej dłonie na ramionach. Nawet nie drgnęła. Nie przerwała jedzenia, jakby nic się nie stało. Bo też nic się wtedy nie stało.

Stało się dopiero pewnego sierpniowego dnia, gdy wędrowała ulicą Długą. Była już w zaawansowanej ciąży. Szła, spocona, ociężała, zrezygnowana. W dłoni trzymała ciężką siatkę. Nagle poczuła, że ktoś na nią patrzy. Podniosła wzrok. Zobaczyła znajomą sylwetkę Artura Hofmana. Stał kilka kroków przed nią, trzymał za rękę jakąś dziewczynkę. To była chyba córka Cecylii Piotrowskiej. Ta dziewczynka, która uprzykrzała

życie Hofmanowi graniem na fortepianie. Uśmiechał się. Tyle czasu na niego czekała. Właściwie przez cały czas, począwszy od tamtej nocy spędzonej w willi przy ulicy Polanki, gdzie tak ją upokorzył. Przypomniła sobie Cecylię i jej długie, białe zęby. Jeszcze szyderczy śmiech tamtej kobiety. Jego kobiety. A właściwie jednej z wielu jego kobiet. Zakręciło jej się w głowie. Straciła przytomność. Na drugi dzień Leon Herbst dowiedział się, że ma syna, który urodził się przedwcześnie. Lekarze powiedzieli mu, że jego żona najprawdopodobniej nie będzie mogła mieć więcej dzieci.

Roma długo leżała w szpitalu. Początkowo nie chciała widzieć męża. Gdy odwiedził ją Artur, starała się przedłużyć wizytę tak długo, jak się dało. Potem wszystko było już czekaniem na niego. Wreszcie Herbst zabrał ją do domu. Postanowiła w tajemnicy przed mężem ochrzcić małego Jakuba w starym kościele w Kartuzach, którego czarno-złoty, barokowy wystrój bardziej pasował do ceremonii pogrzebowych niż chrzcielnych. Pomysł z chrztem należał do Romy. Dotąd w rodzinie Olczaków nie spotykało się niechrzczonych dzieci. Więc Jakub, choć był synem zatwardziałego komunisty, też musiał przyjąć ten sakrament. Chrzest był potajemny i ojciec chrzestny też. Hofman miał znajomości na Kaszubach. Wszystko załatwił z księdzem proboszczem. Chłopiec został ochrzczony na początku listopada. Proboszcz nie robił trudności, mimo że Roma i Leon nie mieli kościelnego ślubu. Mąż Romy długo nie wiedział, że jego syn został ochrzczony. Artur potrafił wszystko załatwić.

Zimą, gdy Leon wyjechał na jakąś partyjną kurso-konferencję, Hofman wreszcie przyszedł ją odwiedzić. To było wieczorem. Gdy otwierała drzwi, drżały jej ręce, nogi też, cała się trzęsła. Nareszcie przyszedł. Nawet nie próbowali rozmawiać. Czuła skrępowanie. Nie zgasił światła, chociaż prosiła. Rozebrał ją bez pośpiechu - spokojnie, metodycznie, cały czas w skupieniu studiując jej ciało. Swoim zwyczajem Roma nie stawiała oporu. Posadził ją na kolanach.

- Ty mnie kochasz, Romo - powiedział, rozbawiony.

To była prawda. Kochała go mimo doznanych upokorzeń. Chciała jak najdłużej zatrzymać go w sobie lub chociaż przy sobie. Tej pierwszej nocy myślała, że jest ostatnia, że więcej jej nie odwiedzi. Pomyliła się jednak. Przez cały tydzień odwiedzał ją pilnie. Nie tracili czasu na zbędne rozmowy, od razu przystępował do dzieła.

Gdy wrócił Leon, Hofman zaproponował, żeby odtąd Roma przychodziła do jego pracowni. Miał przy Długiej, w samym sercu Głównego Miasta, duży pokój z wnęką kuchenną. Kawalerkę na poddaszu. Roma miała go tam odwiedzać. Wychodziła z domu, mówiąc, że idzie do kościoła. Ze musi się pomodlić. Leon wiedział, że po urodzeniu syna jego żona zrobiła się nadmiernie religijna. „Pewnie to depresja poporodowa, niektóre kobiety na to cierpią” - myślał Herbst. Rzeczywiście, zawsze po wizycie w pracowni Hofmana Roma szła do kościoła Mariackiego. Żeby się bić w piersi i przepraszać wszystkie zamordowane przez Hunów dziewice i świętą Urszulę z Kolonii, swoją prawdziwą patronkę,

za to, co przed chwilą robiła w pracowni Artura Hofmana. Modliła się żarliwie, myśląc o wszystkich zgwałconych dziewczicach, o niedziewicach też. Ona to przecież także przeżyła. Jeszcze jako Urszulka - ukochana córeczka tatusia. Po tym, co zdarzyło się w zimnej szopie, postanowiła zatrzeć wszystkie ślady po tamtej nieszczęsnej dziewczynce, której codziennie rano matka zaplatała warkocze. W dniu Bożego Ciała zaś szła w procesji w białej sukience i sypała kwiaty. Po tym, co zrobił jej ojciec, postanowiła wszystko zmienić. Zaczęła używać drugiego imienia. Tego, które wybrała dla niej matka. Bez żalu pożegnała Urszulkę Olczakówą - ukochaną córeczkę tatusia. Jednak zostało w niej coś z tamtej skrzywdzonej dziewczynki. To coś domagało się, żeby po każdej sesji u Hofmana szła do kościoła i modliła się do swojej patronki.

Hofman nie zaniedbywał swoich obowiązków. W niedzielę zjawiał się w swojej pracowni już o dziewiątej rano. Wyjmował maszynę do pisania, parzył kawę i rozpoczynał pracę. Czasem tak energicznie uderzał w klawisze maszyny, że nie słyszał nerwowego pukania do drzwi. Roma nie lubiła stać pod tymi drzwiami. Bała się, że ktoś ją zauważy, rozpozna i że jej zdrada się wyda. A przecież to była wyłącznie jej sprawa. Może jeszcze świętej Urszuli i jej orszaku, składającego się według tradycji z jedenastu tysięcy dziewic, którym zawierzyła swoją grzeszną duszę. Wizyty w pracowni Artura były konieczne. Tak samo konieczne jak to, że po każdej z nich musiała się oczyścić w kościele. Dzięki temu miała siłę wrócić do domu i dalej ciągnąć to wszystko.

Bez niedzielnych spotkań nie dałaby rady. Tak więc coraz bardziej zaniedbywała męża, syna zresztą też. Ale przecież się starała. Dzięki temu w domu zawsze panował porządek. Bo umiała dopilnować gosposi. Tej leniwej chłopki, jak myślała o Anieli, która pracowała u nich, odkąd przenieśli się do Gdańska. Zawsze były kwiaty w wazonie. I domowe ciasto.

Ale wyczekiwanie na niedzielę stawało się coraz bardziej nieznośne. Zawsze czekała na ten dzień z rosnącym niepokojem. Bała się, że kiedyś zapuka do drzwi na poddaszu, lecz nikt jej nie otworzy. To będzie oznaczało koniec. Woląла nawet te niedziele, gdy nie mogła przyjść, bo chorowała albo wyjeżdżała na wakacje z mężem i synem. Wówczas uprzedzała kochanka telefonicznie o tym, że nie przyjdzie, i przez cały następny tydzień była spokojna i szczęśliwa. Najtrudniejszy okazywał się moment, gdy wchodziła, a właściwie wbiegała po schodach na ostatnie piętro kamienicy. Wtedy dopadało ją to nieznośne uczucie, graniczące z paniką. Z trudem nad nim panowała. Z każdą minutą było coraz gorzej. Gdy wreszcie Hofman otwierał jej drzwi, cała się trzęsła z niepokojem, który zabijał w niej nawet pożądanie. Dopiero po pierwszym razie stawała się nieco spokojniejsza. Artur śmiał się z jej dygotania. To mu schlebiało. Świetnie się bawił. Jeszcze nigdy żadna kobieta nie drżała na jego widok. Lubił ją uspokajać, patrzeć, jak nie mogąc złapać tchu pod jego ciężarem, staje się radosna i odprężona.

Po powrocie z kościoła Roma sama przygotowywała kolację, bo gosposia w niedzielę miała wychodne

i jechała do swojej Paszczenicy na Kaszubach. Po kolacji Roma zamieniała się w czułą matkę. Uspokajała syna. Jakub ciągle płakał. Od dziecka miał histeryczne usposobienie. Jednak coraz trudniej było jej znieść to, że zamiast kochać się z Arturem, kładła się do łóżka obok swojego męża. Którejś nocy nie wytrzymała i poprosiła Leona, by się położył na kanapie w gabinecie, bo jest zmęczona. Odtąd prawie zawsze była zmęczona, gdyż dotkliwie męczyło ją czekanie, aż wreszcie nastanie niedziela i znowu pójdzie do kościoła pomodlić się do swojej patronki i opiekunki dawno utraconego dziewictwa. Leon, chociaż religijność żony kłóciła się z jego poglądami, uważał niedzielne wypadki Romy do kościoła za nieszkodliwe dziwactwo. Do czasu.

235.

KTO TY JESTEŚ?

Nareszcie z powrotem w domu. W dodatku sama. To dobrze, bo po szpitalu Anka cierpiała na chroniczny i postępujący ludostręt. Tutaj, w swoim błękitnym domku, czuła się bezpieczna. Żadne złe oko nie miało tu do niej dostępu. Mogła dojść do siebie. Zamiast zimy wciąż była dość pogodna jesień, co irytowało opinię publiczną, coraz bardziej rozsierdzoną brakiem śniegu i mrozu. Ale dla Anki ta przedłużająca się jesień była powodem do zadowolenia. Powinna się teraz wziąć za ten artykuł do księgi pamiątkowej. Zobowiązała się, że napisze o Dombrowskim. O jego życiu. Ciągle nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Właściwie powinna zacząć od początku. Czyli od nazwiska. Ale to nie było takie proste. Niby już zebrała wszystkie potrzebne materiały. Nawet kilka starych fotografii, które wydawały jej się ważne. Ale brakowało w tym wszystkim tego czegoś. Żywego człowieka. A zwłaszcza rozmowy, którą powinna przeprowadzić, zanim weźmie się do pisania.

Rozmówca w zasadzie był pod ręką. Mieszkał kilka kilometrów od jej domu. Mogła tam pojechać tramwajem albo może taksówką, zważywszy na to, że wciąż nie doszła do pełni sił. Poza tym mimo wszystko było dość chłodno i wilgotno, a ona powinna unikać przeziębień. W jej stanie każda infekcja mogła okazać się niebezpieczna. Więc może lepiej jednak nigdzie nie jechać? Nie rozmawiać z tym dziwnym, podejrzanym facetem, którego po raz pierwszy zobaczyła na pogrzebie profesora Dombrowskiego? Nosił kapelusz z szerokim rondem. Trochę w stylu Indiany Jonesa. W kolorze brązowym. Odznaczał się swoistą, prawdę mówiąc, nieco dziwaczną elegancją. Może nonszalancją? Podobno nie miał grosza przy duszy, bo wszystko przepił i przehulał. W karty? W ruletkę gdzieś w Monako? Diabli wiedzą. W Hali Targowej w Gdańsku mówili o nim Budda. Ze względu na jego nieco wybrzuszoną sylwetkę. Tyle o nim wiedziała. O tym dzisiejszym. Teraźniejszym. O tym z przeszłości można było najwyżej snuć domysły. Zanim został Buddą z gdańskiej Hali Targowej, miał kilka innych wcieleń. Które z nich było prawdziwe? Czy choć jedno pasowało do historii, którą Anka zamierzała opowiedzieć w swoim artykule poświęconym profesorowi Janowi Dombrowskiemu? Trochę się bała rozmowy z tym człowiekiem, chociaż wiedziała, że portret profesora będzie niepełny, jeśli jej nie przeprowadzi. A z drugiej strony syn profesora, chłodny i zdystansowany Sven Dibelius, byłby zapewne niezadowolony, gdyby wykorzystała informacje pochodzące od Buddy w swoim artykule. Niemniej

Sven nie dawał znaku życia, odkąd dowiedział się o jej chorobie. Więc może nie warto przejmować się tym, co by powiedział, gdyby przeczytał jej artykuł poświęcony profesorowi. Rzetelność wymagała, żeby jednak porozmawiać z Buddą. Nawet jeśli materiał zdobyty dzięki tej rozmowie nie okaże się przydatny albo nie będzie się nadawał do wykorzystania w artykule, który miał służyć upamiętnieniu wybitnego uczonego, badacza dziejów Gdańska. Tak się przynajmniej wyraził profesor Z., który zlecił Ance przygotowanie artykułu. „Rozmowa z Buddą niekoniecznie wniesie coś wartościowego” - pomyślała. W końcu to szemrana postać. Tak przynajmniej uważał profesor Z. Gdyby jej stosunki ze Svenem Dibeliusem były inne, jego też by zapytała, czy powinna porozmawiać z tym człowiekiem, ale skoro się nie odzywał, to trudno.

- Niech pani nie szuka tego typka, niech się pani skupi na materiałach, które pani przekazałem - mówił Z. - Poza tym doskonale znała pani profesora i zdaje się, że udało się pani poznać również jego starszego syna. Tak przynajmniej powiedział mi pan profesor. Ze zaaranżował wasze spotkanie. Podobno jego syn zajmuje się energetyką jądrową?

- Tak, pracuje w Oskarshamn. W elektrowni atomowej - powiedziała to odruchowo. Od razu pożałowała. Nie powinna zdradzać żadnych szczegółów dotyczących swojej wiedzy o Dibeliuse. Profesor Z. nie należał do taktownych i dyskretnych ludzi. Lubił poplotkować. Taką opinię miał w instytucie. Niemniej Anka doceniała, że to właśnie jej powierzył napisanie artykułu

o Dombrowskim. Spotkało ją nie lada wyróżnienie. Chciała sprostać wymaganiom Z., który był kapryśny i nieobliczalny. Mimo wszystko uważała, że rzetelność polega również na tym, by nie ignorować dostępnych źródeł informacji. Poza tym jej artykuł nie powinien być panegirycznym. Ma realistycznie opowiadać o człowieku, którego biografia w ciągu kilkudziesięciu ostatnich lat meandrowała podobnie jak historia miasta, które ukochał i z którego się wywodził. Można powiedzieć, że wszystkie zawirowania biografii Dombrowskiego odpowiadały gwałtownym zwrotom ostatnich kilkudziesięciu lat historii Gdańska. Postanowiła, że na razie nie pojedzie szukać Buddy w Hali Targowej. Zamiast tego wykorzysta źródła, które miała w domu.

Zacząła uderzać w klawiaturę. Ale jakoś jej nie szło. Zdania były jak drewniane klocki. Nic sensownego nie dało się z nich zbudować. Brakowało im lekkości. Brakowało polotu. Co najważniejsze - dojrzałości. Niestety. Więc przerwała pisanie i poszła do sypialni. Na szybie zamiast śniegu widoczne były kropelki deszczu. Położyła się wygodnie na wielkim, małżeńskim łóżu i zaczęła w myślach układać fragment artykułu poświęcony dzieciństwu i wczesnej młodości profesora. To był najmniej znany okres jego biografii, więc należało wszystko dobrze przemyśleć. Przetrawić.

Profesor Jan Dombrowski przyszedł na świat jako Johannes Dibelius 16 stycznia 1933 roku w Gdańsku. To pierwsze zdanie może być. Ale co z resztą? Wiedziała, że matka profesora była obywatelką Wolnego Miasta Gdańska. Była prawdziwą danzigerką, luteranką. Nigdy nie

myślała o sobie, że jest Polką, chociaż miała polsko brzmiące nazwisko. Erika Dorothee Dombrowski - tak brzmiało jej panieńskie nazwisko. Żeby lepiej wyglądało i nie kojarzyło się z polskością, podpisywała się gotykiem. Słowiańskość uwierała pannę Erikę jak kamień w bucie (drugiego imienia, które z czasem miało stać się pierwszym, wtedy nie używała, bo też jej nie pasowało), więc była niezmiernie rada, gdy wreszcie nadarzyła się okazja, żeby się pozbyć tego niewygodnego nazwiska, wchodząc do rodziny hanzeatyckich kupców. Miała nadzieję, że na zawsze rozstała się z tym, co budziło wątpliwości sąsiadek z Kassubischer Markt, ale także jej samej.

Swego czasu Anka poprosiła Dombrowskiego o jej zdjęcie. Żeby jej pokazał, jak wyglądała jego matka. Ale odpowiedział, że nie ma. Ze żadne się nie zachowało. Trochę ją to zdziwiło, bo wiedziała, że matka profesora zmarła na początku lat siedemdziesiątych, więc powinien mieć jakieś zdjęcie. Przynajmniej powojenne. W jego mieszkaniu w Oliwie było mało rodzinnych pamiątek, ale za to dużo książek i kurzu. Profesor zwykle sadzał ją w swoim ulubionym fotelu uszaku i proponował herbatę, którą serwował w białych, porcelanowych filiżankach. Nie lubił rozmów na temat swojej rodziny. Wolał jej pokazywać nadbitki swoich artykułów, odnoszących się do czasów najdawniejszych, w których czuł się najlepiej. Gdy pytała o gdańską przeszłość jego rodziny, natychmiast zmieniał temat.

Ojciec profesora miał na imię Gottlieb. Chyba, ponieważ w papierach, już powojennych, wpisano Bogumił.

Wiadomo o nim tyle, że był zegarmistrzem. To na pewno. Profesor wiele razy mówił o ojcu. Był synem chorowitego zegarmistrza, a nie jakiegoś esesmana czy oficera Wehrmachtu. Ciche, spokojne zajęcie. Wymagające precyzji i cierpliwości. Gottlieb Dibelius był prawdopodobnie milczącym i powściągliwym mężczyzną. Mówił tak mało jak jego wnuk Sven. Kto wie, czy właśnie Sven nie jest do niego podobny, także z wyglądu? W ojca nie wdał się wcale, więc może w dziadka? Ale niestety nigdzie nie zachowało się żadne jego zdjęcie, bo wszystkie poszły z dymem. Tak twierdził Dombrowski. Ze wszystko, co mieli, spłonęło. Wtedy, gdy stanęły w ogniu kościoły z czerwonej cegły, gdy pękały serca dzwonów. I serca kobiet masowo gwałconych przez zdziczałych zdobywców. Polowali na zegarki i na kobiece łona.

Anna nie zamierzała pisać o tym wszystkim. Opisywano to już wielokrotnie. Masowe gwałty na Niemkach, Kaszubkach. Na Polkach zresztą też. Sowiecką przemoc wobec bezbronych kobiet zaplanowano jako instrument polityki, mającej na celu eliminację żywiołu niemieckiego z terenów zajmowanych przez Armię Czerwoną, którą to eliminację przeprowadzono w tym mieście z całą bezwzględnością. Ale wtedy było to po prostu zdobywanie miasta. Żeby Gdańsk mógł wrócić do macierzy. Na medalach wręczanych sowieckim żołnierzom pisano: *Wzjańjgoroda Gdańska*. Czyli za zdobycie Gdańska. W każdym znaczeniu tego słowa. Potem nastąpiło jeszcze wysiedlenie ludności niemieckiej.

Zwycięzcom chodziło też o złamanie dumy niemieckich kobiet. Tych wszystkich znienawidzonych

grubych i chudych Bert, różnych tam Ilschen, Hannelore, Gretchen i Brunhild. Z zakręconymi w fale blond włosami. Przepasanych jedwabnymi pasami do pończoch. Pończoch ze szwami. To wszystko musiało pobudzać wyobraźnię mężczyzn. Chociaż w przypadku sowieckich wojaków to niekoniecznie działało w ten sposób. Chyba nie byli aż tak czuli na pikanterię ówczesnej damskiej garderoby. Brakowało im obycia, więc wszystkie muślinowe wstążeczki i guziczki z perłowej masy nie działały na ich świadomość. Ale z pewnością podobały im się po prostu kobiety drobniejsze i szczuplejsze od znanych im matroszek. Rumianych żołnierek, co to z każdym i wszędzie. Markietanek tańczących i grających na harmoniszce. Tak czy inaczej, matki, żony i siostry żołnierzy Wehrmachtu były traktowane jako zdobycz wojenna. Stanowiły nie lada pokusę dla prymitywnych i nieokrzęsanych mężczyzn pozbawionych kobiet. Z karabinami na sznurkach, w kufajkach i w łapciach zamiast porządnych, skórzanych butów.

„To są schematy - pomyślała. - Nie warto ich powielać". Jak było naprawdę, można się dowiedzieć od ostatnich żyjących świadków. Albo od takich ludzi jak Budda, którzy choć z racji późniejszego urodzenia nie mogą być świadkami, to jednak noszą w sobie świadectwo tamtego czasu. Tamtych marcowych i kwietniowych dni tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

Erika Dibelius zapewne widziała w kinie kronikę *Die Deutsche Wochenschau*. Okropne zdjęcia. Widziało je wiele kobiet. Po nocach pewnie śniły jej się martwe ciała

zgwalconych i pomordowanych kobiet z Nemmersdorf. Ich zastygłe w bólu twarze. Wykrzywione wargi, martwe, wytrzeszczone źrenice, obnażone krocza. Były wśród nich także małe dziewczynki. Nawet ośmioletnie. Żadnej nie darowali. Nie ona jedna po obejrzeniu tej kroniki po raz pierwszy w życiu mogła poczuć satysfakcję, że nie miała córki. Tak jak wiele innych kobiet pewnie zaczęła się bać. Mniej więcej w tym samym czasie gruchnęła wieść o zatopieniu „Wilhelma Gustloffa”. Sześć i pół tysiąca ludzi poszło na dno. Niejaki Marinesko, sowiecki *komandir*, storpedował statek pełen uchodźców z Prus Wschodnich i z Pomorza. Dobrze, że Erika nie wpadła na pomysł, żeby ewakuować się na pokładzie „Wilhelma Gustloffa”. Pewnie dzięki temu ona i jej syn Johannes przeżyli.

Nie zatonęli, ale znaleźli się w potrzasku. Nie wiadomo, co było gorsze. Pewnie wtedy Erika zaczęła się bać jeszcze bardziej. Poczula się jak mała, bezbronna dziewczynka. Myślała o wyjeździe albo o innym rodzaju ucieczki. Wszyscy dookoła mówili, że „Rusy zbliżają się”. To oznaczało śmierć albo hańbę. Często jedno i drugie. Dlatego rozważała nawet samobójstwo, ale ostatecznie wybrała życie. Podobno Erika za nic nie chciała opuszczać miasta. Tak twierdził Dombrowski. Że jego matka nie chciała zostawiać grobu ojca i rodzinnego domu pełnego pamiątek. Że była przywiązana do tej ziemi i do ludzi. Miała być przywiązana do gdańskości. Chyba raczej do jakiejś dancygierskości, mówiącej i myślącej po niemiecku. Poza tym bała się o syna. Tak przynajmniej twierdził profesor. Że matka

bała się o niego, a nie o siebie. Podobno Erika była niezwykle odważną kobietą. Jeśli tak, zapewne znajdowała się na granicy paniki i euforii i wierzyła, że nie może jej się stać nic złego. Była tego pewna. Czowała w sobie wielką moc. Nie mogła przecież porzucić wszystkich cennych rzeczy. I grobów. Dziedzictwa Dibeliusów. Patrzyła z niepokojem na biedermeierowski kredens zastawiony saską porcelaną. Na stojące i wiszące zegary, które wypełniały pracownię jej męża. Niektóre z nich tykały, odmierzając czas, jaki pozostał jeszcze do zagłady miasta. Inne w milczeniu oczekiwały na to, co nieuchronne. Trzeba będzie wynieść do piwnicy, co się da, i tam schować albo nawet zakopać, zdecydowała. Bo rozkradną. Rusy przeklęte.

Nie zdołała ukryć wszystkiego, ale udało jej się wywieźć syna. Do Krokowej, do kuzynki. Zabroniła mu się odzywać. Do kogokolwiek.

- Udawaj niemowę - powtarzała do znudzenia. - Nic nie mów, dopóki cię stąd nie zabiorę. Do tego czasu masz milczeć. Masz na mnie czekać. Teraz też o nic mnie nie pytaj.

Profesor po latach przywoływał słowa swojej matki, które głęboko wryły mu się w pamięć. „Muszę wrócić do miasta” - tak miała powiedzieć Erika Dibelius do syna.

Anka zastanawiała się, po co pchała się w sam środek piekła. Nie mogła tego zrozumieć. Dla kilku skorup, nawet nie wiadomo jak cennych, i dla prochów męża, złożonych na cmentarzu? To brzmiało mało wiarygodnie. Jednak trzeba się chyba wybrać do Hali

Targowej, gdzie można spotkać Buddę. Chociaż on nie mieszka w Hali, bo to przecież niemożliwe, lecz obok, w jakimś sklepie. Na zapleczu. Czy ten sklep należy do niego? To jest podobno solarium, a właściwie było, bo od dawna nikt tam nie przychodzi, właśnie w obawie przed Buddą. Obok jest kwiaciarnia, gdzie jego dawna kobieta, właścicielka solarium i kwiaciarni, sprzedaje głównie wieńce i wiązanki pogrzebowe. Czasem nawet Budda je sprzedaje. Ale wtedy utarg maleje, więc właścicielka, kiedy tylko może, zajmuje się kwiaciarnią sama. Anka dowiedziała się od Moniki, który to sklep, i postanowiła, że pojedzie tam następnego dnia. Taksówką, oczywiście. Na jazdę tramwajem nie miała siły. Musiała wreszcie porozmawiać z tym dziwnym człowiekiem. Żeby się dowiedzieć, jak to właściwie było z profesorem Dombrowskim i jego matką. Wtedy, w najbardziej dramatycznym momencie. Kiedy wszystko się paliło. Kiedy w ciągu kilku dni przestało istnieć miasto, które budowano przez stulecia. A tu szast-prast i nic nie ma. Rosjanie potrafią działać szybko i skutecznie, gdy przychodzi do niszczenia. Stary Gdańsk zmiotli z powierzchni ziemi w kilka dni. Pozostały resztki. Wypalone, poprzetręcane. Podobnie jak ludzie, a zwłaszcza kobiety. Takie jak Erika.

-Ale czy ona naprawdę musiała tam wracać? - zapytała. Postanowiła zacząć rozmowę, od razu zmierzając do celu. Nie miała ochoty na długie wstępy. Chciała

w jak najkrótszym czasie wyciągnąć z niego jak najwięcej informacji. Potem zwać. W tym człowieku było coś niepokojącego. Bała się go od początku, ale ciekawość zwyciężyła. Nie czuła się komfortowo w jego towarzystwie. Ani w tej kwiaciarni. Budda z pozoru był rumianym sześćdziesięcioletkiem, o szerokiej, uśmiechniętej twarzy. Chociaż tak naprawdę dobiegał już siedemdziesiątki. Ale wyglądał jeszcze całkiem nieźle. Może dlatego, że był bardzo wysoki. I potężnie zbudowany. Z dużą, mocno zaczerwienioną twarzą. Do tego miał skośnawe oczy. Najważniejsze jednak, że zastała go trzeźwego, ponieważ podobno za kołnierz nie wylewał. Tak przynajmniej twierdziła Monika, która Buddę знаła od lat. Kiedyś był marynarzem. W młodości pływał na okrętach podwodnych. „Jak Marinesko” - pomyślała Anka. To było luźne skojarzenie, ale wydawało jej się trafne. Dostrzegła pewne podobieństwo między sowieckim komandorem, który wydał rozkaz storpedowania „Wilhelma Gustloff’a”, a Buddą - sprzedawcą w gdańskiej kwiaciarni. Uśmiechała się na samą myśl o tym. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Człowiek ma pewne rzeczy w genach. Na przykład bycie żołnierzem. Prawie każdy może nim być. Strzelać do ludzi, często niewinnych. Każdy może też gwałcić. Nie potrzeba do tego szczególnych uzdolnień. Chociaż niektórzy ludzie je mają. Właśnie Budda wydawał się takim człowiekiem. Dlatego się bała. Bo kogoś jej przypominał.

- Ależ tak, musiała - odparł Budda po chwili wahania. - Musiała, bo w piwnicy ich cholernej, burżujskiej chałupy ukryła niezwykle cenne talerze i jakieś

zabytkowe graty oraz pościel, taką z haftami. No i zegary, *ciasy* znaczy się. Po rusku, pani wie. Bo po szwabsku to *Uhren* zdaje się. Jej ślubny je naprawiał, był zegarmistrzem. Poza tym miała jeszcze zdjęcia. Podobno rodzinne albumy. Tak przynajmniej gadała, jak już była na wykończeniu. Ledwo mogła unieść głowę z poduszki. A włosy z tyłu głowy całkowicie wytarte miała. Miała też odleżyny, niestety. Bezzębna była, bo w tym zakładzie zamiast leczyć zęby, wrywali je. Żeby nie robić sobie kłopotu. Rach-ciach i po sprawie. Tak ją zapamiętałem. Gadała tylko po szwabsku. Polskiego chyba zapomniała, jak jej się w głowie pomieszało. Biedaczka, nie chciała zostawić truchła swojego męża bez opieki. Dlatego właśnie została. Jej mąż został pochowany na cmentarzu parafialnym Świętej Katarzyny, przy Grosse Allee. Tak mówiła. Grosse Allee zamiast Grunwaldzka. Cholerna niemra. Tamtego cmentarza, jak pewno pani wie, już od dawna nie ma. Po wojnie został zrównany z ziemią. Przez Polaków. Dobrych katolików, a nie jakichś tam komuchów. Nieważne. To był przecież luterski cmentarz, więc należało szwabom dopierdolić.

Tu wszyscy byli zgodni - i komuchy, i lud Boży. W końcu należało się tym faszystowskim gadom. Choćby nawet szwabskim kościom, skoro po ręką były jedynie kościotrupy. Parszywe truchła takich safandulów jak ten Dibelius. Pani chyba wie - ciągnął Budda - że ten jej cały Gottlieb, czy jak mu tam, wyciągnął kopyta w czterdziestym trzecim. Atak serca. Chyba. Po prostu nie obudził się rano. Biedna Erika, gdy załapała, że jej mąż już jest *kaputt*, to chciała głośno wrzeszczeć. Taka

była przerażona. Ale się pohamowała, żeby nie obudzić syna, który spał w sąsiednim pokoju. Potem, gdy ją ruskie tentego, pani wie, to też się pewnie powstrzymywała, żeby mordercy nie drzeć, chociaż synek był daleko i przecież nie mógł usłyszeć. To była powściągliwa kobieta. Prawdziwa dama. Dziś już takich nie ma. Nawet jak już kompletnie jej odwaliło, taka pozostała. Mało co mówiła, a żeby wrzeszczeć - to już nigdy. Taka piczka zasadniczka z niej była. W dodatku niemra. Więc po tym, co jej zrobili, chciała się powiesić. Cała Grosse Allee była usiana wisielcami. Najpierw wieszano defetystów i dezerterów, a potem esesmanów. Mogła się więc do tego zbiorowego dyndania przyłączyć. Albo podciąć sobie żyły. Pani zegarmistrzowej bardziej by to pasowało, co nie? Kobiety zgwałcone wielokrotnie, niektóre na przykład przez całe zastępy wojska, już nie chciały żyć. Same szukały śmierci. A miasto krwawiło. Zgniatane oponami *gruzawików*, wojskowymi buciarzami i końskimi kopytami. Rozmiękle na deszczu cegły barwiły wszystko na czerwono.

- Ale czy coś wiadomo, no wie pan, o tym, kto to zrobił?

- Chodzi pani o to, ilu i ile razy? A kto to, kuźwa, może wiedzieć. Akurat ona wielkie szczęście miała. Podobno wpadła w oko takiemu jednemu *komandirowi*. Była z niej ładniutka bestyjka. I wtedy jeszcze całkiem niestara. Zgrabniutka, cieniutka w pasie wdówka. Cycuski też miała jak się patrzy. Więc w czasie kiedy ruskie wyzwalały Danzig od Niemców, to musiała być niczego sobie. Łasy kąsek. Kąseczek. Upatrzył ją sobie

niejaki Lońka Cwietkow. To znaczy *komandtr* Leonid Władimirowicz Cwietkow. Mam tu nawet jego fotkę - taką byle jaką, z gazety, ale zawsze. Mogę ją pani zaraz pokazać, bo mieszkam chwilowo tu niedaleko, w solarium. - Anka nie miała ochoty na żadne wizyty w solarium. Budda był tym nieco zawiedziony, ale ciągnął dalej swoją opowieść: - Ten Lońka też był niczego sobie. Nosił wąsy. Miał niezbyt wysokie czoło. Jak ona mu wpadła oko, to potem cały czas z nią tentego, a inni to chyba nie mieli do niej dostępu, a właściwie to cholera wie. Jak pani chce się ode mnie więcej dowiedzieć, to musi pani postawić dwuseteczkę albo nawet dwie. Bo, kurna, w gardle mi zaschło, a nie mam już żadnej kasiorki, żeby pójść na Halę i ustrzelić sobie jakąś małpeczkę. Taką malutką, maniunią, ale zawsze. Czasem to mi za darmochę dają jedną, ale nie zawsze. A ja nie mogę nadużywać życzliwości kolegów kupców. Więc jak będzie z tą dwuseteczką?

Nie miała wyjścia, postawiła Buddzie dwuseteczkę, a potem drugą i nawet trzecią, byleby dalej opowiadał, co miał do opowiedzenia. A było tego sporo, chociaż gadał coraz bardziej nieskładnie i bełkotliwie. Po swoich małpeczkach maniunich. Ważne, że język mu się rozwiązał.

- Bo wie pani, to wszystko długo nie trwało, może kilka dni, może z tydzień, dwa, jak oni tu siedzieli. A potem ruszyli dalej, a ona została. Sama, samiuteńka.

- Ze swoją hańbą - wtrąciła Anna.

- A bo ja wiem, czy z hańbą? Cwana była i instynkt przetrwania miała. Oj, miała! Każdy go ma. Tylko nie

zawsze o tym wie. Zresztą nie musi. Ja na ten przykład układam wiązanki pogrzebowe, a kiedyś tu niedaleko miałem knajpę i dwa sklepy na Podwalu, panisko ze mnie było, że hej! Ale diabli wzięli to wszystko. Ona też miała swoją hańbę, jak pani to nazywa. Strasznie górnolotnie. Ona nie była głupia i wiedziała, że o tym, co było, jak wkroczyli ruscy, o tym to sza. Ani słowa. Nikomu. Bo to jedyny sposób, żeby przeżyć. Zapomnieć. Wyrzucić z pamięci. Z głowy.

- Ale ciało też ma swoją pamięć, o tym pan chyba wie - wtrąciła znowu Anka. - Zapisuje wszystko. Jak leci. Dotyk. Smak. Zapach. Ból także zapisuje. I różne kody. Koduje, żeby przetrwać. Jak nie w tej, to w innej postaci. Byleby trwać. Właśnie to jest najgorsza właściwość ciała. Nie daje zapomnieć i przeminąć bez śladu.

- Ho, ho, ale się pani mądrować lubi, a ja bez następnej dwuseteczki już nie dam rady. Kroku pani w tym mądrowaniu nie dotrzymam. Bo nie pokończyłem żadnych szkół. Samouk jestem tak naprawdę. A wódeczka to mi zawsze na myślenie dobrze robiła. I na mówienie też.

Robiło się ciemno i nie miała już ochoty patrzeć na to, jak Budda wychyla kolejne dwuseteczki. Poza tym trochę się go bała. Nawet bardziej niż trochę. To był wciąż rosły, silny mężczyzna mimo niespełna siedemdziesiątki na karku. A kark miał tłusty. Więc zamiast słuchać dalej opowieści o tym, co przydarzyło się Erice Dorothee Dombrowski alias Dibelius, postanowiła wrócić jak najszybciej do domu i tam, wśród ulubionych

pruskich błękitów, napisać kilka zdań prawdy o wczesnej młodości profesora Dombrowskiego.

Chodził jej po głowie opis ucieczki Marion von Dönhoff z Prus Wschodnich zimą tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, który kiedyś przeczytała. Uciekała konno. Koń nazywał się Alaryk. To była historyczna ucieczka, tak samo jak imię konia. Po siedmiuset latach parcia na Wschód odwrócono bieg tego strumienia. Już chyba nieodwracalnie. Pruscy arystokraci spożywali wspólnie ostatni posiłek, a potem zostawiali wszystko, nie sprzątajac nawet ze stołu. Co było niezgodne z ich obyczajami. Bo czystość i schludność i ta cholerna *Gemütlichkeit* zawsze były tu w cenie. Tak więc po ostatnich wieczerzach odchodzili od stołu, na którym zostawała porcelana i resztki jedzenia. Zostawiali za sobą otwarte drzwi. Dla przybyszów. A Marion, piękna hrabianka von Dönhoff, również wyruszyła na Zachód. Byle dalej od domu. Wiedziała, co robi. Jej koń nosił imię króla Wizygotów, który podbił Rzym. Von Dönhoff wiedziała, że już nie wróci do Prus Wschodnich. Był mróz, śnieżne zasy. Za plecami front i to, co nieuchronne. Patrzyła na prostych ludzi, którzy nie mieli dokąd uciec. Ona miała. Była uprzywilejowana. Samotnie przeprowiała się przez most nad Nogatem. Pod Marienburgiem, czyli Malborkiem. Symboliczna przeprawa z Prus Wschodnich, które wydawały się już bezpowrotnie stracone, do Prus Zachodnich, które miały być stracone niebawem. Wtedy, nad Nogatem, była blisko Gdańska. Blisko wszystkich kobiet, które czekały tam na swój los. Wśród nich była matka profesora Dombrowskiego. Miała trzydzieści dwa

lata, dwunastoletniego syna i była wdową. Wiedziała, co ją czeka. Dlaczego nie uciekła?

Gdy znowu znalazła się w domu, który jak wszystko na to wskazywało, niebawem miała stracić, myślała o tamtej kobiecie, którą pozbawiono wszystkiego. Straciła dom. Przepadła jej ulubiona porcelana i albumy. Zegary. Wszystko się spaliło. Wypaliło się do cna. W niej pewnie też już nic nie zostało. Tam, w środku. Tak się przynajmniej Ance wydawało. Bo mierzyła ją swoją miarą. Wydawało się jej, że ją rozumie. Ze jest do niej podobna. Chociaż może to Budda był bliższy prawdy, mówiąc o instynkcie przetrwania. Niemniej Anka nie mogła się oderwać od tej swojej wizji, bardziej patetycznej. Niezmałconej buddowym gładzeniem po drugiej i trzeciej dwuseteczce.

Więc gdy umilkły wystrzały i zaczęły dogasać pożary, Erika mogła wreszcie wykonać własnoręcznie wyrok na swoim ciele, które zostało odarte z godności. Chyba nie mogła znieść widoku swojego napęczniałego brzucha i piersi. Nie mogła wytrzymać nieznośnych obrazów i dźwięków, które ciągle wracały. Najczęściej we śnie. Budziła się z krzykiem w środku nocy. Syn musiał ją uspokajać. Robił to zawsze z ogromną cierpliwością. Z czułością i wyrozumiałością, jakiej nie okazywał jej nikt. Oprócz męża, ale jego już nie było. Tak właśnie Anka wyobrażała sobie życie matki profesora Dombrowskiego w pierwszym okresie po zniszczeniu miasta przez

Sowietów. Jednak snucie domysłów nie miało sensu. Więc zatelefonowała do Buddy, a ten, ze śmiechem, powiedział jej, że oto przyszła koza do woza, i zgodził się odpowiadać na jej pytania dotyczące Eriki.

- To przez to jej przywiązanie do materii tak się stało, jak się stało. - Budda był nieubłagany. - Bo ona bardziej ceniła rzeczy niż ludzi. Mieszczka. Wredna burżujka i niemra. Taka właśnie była. Zarozumiała i pewna siebie, jak całe to durnowate miasto. W końcu przyszło jej za to zapłacić. Zupełnie jak innym niemieckim *Frauen*. Mało której udało się uniknąć tego: *Komm Frau*. A co, nie czytała pani książek, nie oglądała pani filmów, że się tak pani pyta, w dodatku starego człowieka, który już słabo widzi na oczy i w gardle mu zaschło? Pyta pani, dlaczego ją to spotkało. To wszystko jest sprawka geografii sakralnej. Słyszała pani o czymś takim? - Anka kiwnęła głową. Nie miała ochoty na ciężkie tematy, więc to musiało wystarczyć za odpowiedź na pytanie Buddy.

- Bo już od dawna trwa wielka walka między Wschodem i Zachodem. Między świętą Rusią a zgniłym Zachodem. My wszyscy - Rosjanie, Serbowie, Tatarzy i tak dalej, i tak dalej. Otóż my jesteśmy barbarzyńcy. Jesteśmy przywiązani do tradycji. Mieszkamy w szałasach albo w solarium, jak ja, nie przymierzając, bijemy w bębny, pijemy wódkę, a przeciw nam nacierają te komputery, smartfony. Ci wszyscy przemądrzali bankowcy i politykierzy.

Anka nie miała ochoty słuchać wielkoruskich rojeń Buddy. Naczytał się idiotyzmów w Internecie i teraz bredził. A swoją drogą, ciekawe, gdzie miał dostęp do Internetu. Może ma sieć w solarium, bo chyba nie tu, w kwiaciarni.

- Ale może wrócimy do tematu.

- Ja cały czas na temat mówię. O tym, że to było nieuchronne. To, co się stało z Eriką. Ze jej się to przytrafiło. Zgubiła ją miłość do rzeczy. Nic innego.

-Ale to już pan mówił mi przed chwilą. - Była nieco zniecierpliwiona tym, że Budda się powtarzał.

- A ja na ten przykład uduchowiony jestem i dlatego mogę wszystko stracić albo zyskać jeszcze więcej i wielkiego znaczenia to dla mnie nie ma. Żadnego halo. Majątek nie jest najważniejszy. A dla niej chyba jednak był. Gdyby nie chciała za wszelką cenę ratować starych gałganów i skorup, może udałoby się uniknąć najgorszego. Ale to najgorsze rosło i rosło. Tam, w środku. Ma pani dzieci, to pani wie, jak to jest, gdy babie rośnie brzuch. Mnie też urósł, ale na szczęście od piwa, a nie od sowieckiego bękarta. Biedaczka, ścisnęła ten znieawidzony bęben gorsetem. Coraz mocniej i mocniej. Tak, że nie dało się oddychać. Cieszyła się, że nie mogła złapać tchu. Bo jak ona nie mogła, to chyba to wszawce, kałmuckie coś, siedzące tam, wewnątrz, tym bardziej. „Niech się udusi - myślała. - Niech szczeźnie i zgnije”. Ale brzuch zamiast zapadać się, rósł i rósł. W końcu już nie sposób było go ukryć. Tego szczeniaka, co tam, w brzuchu, siedział.

-Ale skąd pan wie, że ukrywała ciążę? I przed kim?

- No nic pani nie kuma. Już nie chce mi się tego tłumaczyć. A ktoś tu gadał o hańbie. Mocne słowo. Ja tam swoje wiem i też to wiem, że nikt nie lubi, jak go ludziska biorą na języki. Wszystkie stare baby to pewnie z politowaniem patrzyły na Erikę. Może nawet jej współczuły, cholera wie.

Znowu miała dosyć tego cholernego Buddy i jego gładzenia. Chyba już nic ciekawego nie da się z niego wyciągnąć. Poza tym chciało jej się spać, była mocno osłabiona po chemii. Strach pomyśleć, co będzie po następnej. Podziękowała swojemu rozmówcy za cenne informacje - tak właśnie się wyraziła, a on od razu ją wyśmiał, że używa takich górnolotnych określeń, zamiast gadać po ludzku. Jeszcze zachęcał ją do wspólnego spożycia małpki. Chciał się podzielić z nią swoim łupem. Wypić małpkę pokoju, ale Anka szybko zakończyła rozmowę i wyszła z kwiaciarni.

-Jeszcze skontaktuję się z panem, dobrze? - rzuciła na pożegnanie.

Właściwie to już wszystko wiedziała, ale niewiele informacji uzyskanych od Buddy przyda się jej przy pisaniu artykułu. Profesor powtarzał jej kilka razy, że jego matka od wkroczenia Sowietów, a następnie podążających w ślad za nimi Polaków zaczęła używać swojego panińskiego nazwiska. Imię zaś zmieniła na Dorota. Takie dane podała w urzędzie, twierdząc, że jej dokumenty przepadły gdzieś w wojennej zawierusze. Zapewne syn, którego w końcu musiała odebrać od kuzynki z Kaszub, też patrzył ze zdumieniem na jej zmieniającą się figurę. Profesor w rozmowach z Anką

nigdy nie zająknął się nawet słowem, że miał jakiegoś brata i że ten brat był najprawdopodobniej sowieckim bękartem. A może ten dzieciak urodził się martwy? Pewnie tak. Jednak chyba dla profesora sprawy rodzinne nie istniały. Pozostawała wyłącznie matka, którą się opiekował. Jak przystało na dobrego syna. Ale o bracie nie wspominał ani słowem. Ani mru-mru. Cicho sza. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Jan Dombrowski był równie powściągliwy, jak jego matka. I jak jego starszy syn Szczepan, a właściwie Sven. Wolał milczeć. Zatajał niewygodne szczegóły ze swojej przeszłości. W końcu to nie był żaden powód do dumy. To, co przytrafiło się jego matce.

Ance opowiadał o tym, że nie mógł zrozumieć, dlaczego matka zaczęła mówić do niego po polsku. W dodatku zmieniła nazwisko, a nawet imię. Swoje i jego. Powtarzała, że tak będzie najbezpieczniej. Opowiadał, że matka powtarzała mu do znudzenia: „Pójdiesz do gimnazjum i będziesz się uczył po polsku. Nauczysz się szybko po polsku, a jak będzie trzeba, to i po rusku. Najważniejsze, że tu zostaniemy. Jesteś zdolny, dasz sobie radę”.

Tak, Anna dobrze pamiętała opowieści profesora. Nawet nagrała jego słowa i je spisała. Erika podobno ciągle mu powtarzała: „Ale zapomnij o wszystkim. Zwłaszcza o swoim poprzednim imieniu i nazwisku. Nigdy nie zdradzaj, kim naprawdę jesteś. Przeniesiemy się do Langfuhr, to znaczy do Wrzeszcza. Ja wiem, że to trudna nazwa, że na polskich spółgłoskach można sobie połamać język. Ale jak ja sobie nie połamałam, to

ty też nie połamiesz. Będzie dobrze. Teraz ta dzielnica nazywa się Wrzeszcz. Zapamiętaj. Od wrzosów. Wrzosy są piękne, prawda? Zawsze je lubiłeś. Ja też. A jak zdasz maturę, to pójdziesz na studia do *Technische Hochschule*. Zostaniesz inżynierem. Polskim inżynierem, bo tu teraz będzie Polska. Mój dziadek był Polakiem, a jego brat ożenił się z Kaszubką. Mieszkałeś właśnie u jej córki. A właściwie się ukrywałeś. *Verstecken*. Zapomnij o tym słowie. Zapomnij o wszystkich niemieckich słowach".

Na przekór temu, co powtarzała mu matka, Johannes, który odtąd miał być Janem, a dla niektórych Jankiem albo nawet Jasiem, nigdy nie zapomniał, kim jest naprawdę, a właściwie kim był, zanim wkroczyli ruscy. Mimo to posłuchał rad matki i pilnie uczył się polskiego. W szkole z nikim nie rozmawiał. Na szczęście w jego klasie było kilku uczniów, którzy słabo mówili po polsku, za to płynnie po niemiecku. Więc nie czuł się zbyt samotny.

Ale co się działo z Dorotą i z jej niechcianym dzieckiem? O tym profesor nic nie mówił. W artykule też nie należało o tym wspominać. Niemniej zawodowa dociekliwość zwyciężyła i mimo obaw i wstrętu, jaki czuła do Buddy, postanowiła z nim jeszcze raz porozmawiać. Zamierzała się dowiedzieć, w jakich okolicznościach przyszedł na świat drugi syn Doroty Dombrowskiej. Czy przeżył i jak się wychowywał? A może to była dziewczynka? Chciała też wiedzieć, jak Jan Dombrowski traktował swojego przyrodniego brata lub siostrę. Niestety zmęczenie już brało górę.

Postanowiła odłożyć rozmowę na dzień następny. Tamtego wieczoru nie miała już ochoty na żadne rozmowy, a wciąż bała się telefonów od Wieśka, który na szczęście od pewnego czasu milczał. Niestety, matka nie dawała jej spokoju. Grażyna próbowała się skontaktować z córką, ale Anka odrzucała wszystkie połączenia z telefonu stacjonarnego matki. „Po co się denerwować?” - myślała. Matce zależało jedynie na pieniądzach. Słowo „alimenty” zostało zastąpione słowem „spadek”. Teraz należało walczyć o ten spadek, tak właśnie twierdziła Grażyna. Jednak Anka nie miała na to ani siły, ani ochoty. Przychodziło jej do głowy odmienne słowo - pełnomocnik, adwokat. Niech prawnik tym się zajmie, do licha ciężkiego! Może po Nowym Roku poszuka jakiegoś mecenasa. Od prawa spadkowego. Przydałby się jeszcze jeden - od rozwodów. Teraz miała chęć na kontakt wyłącznie z jedną osobą. Jednak nie było żadnej wiadomości z Oskarshamn. Ale na to Anka nawet nie liczyła. Już się pogodziła z tym, że Sven zwyczajnie spisał ją na straty. Ze ją skreślił. W końcu nie może po raz trzeci zostać wdowcem. Wtedy to już wszyscy ludzie będą go uważali za Sinobrodego. Nawet ci tolerancyjni i pobłażliwie nastawieni Szwedzi. W końcu jeśli facet owdowieje trzy razy z rzędu, to chyba z nim coś nie tak.

Postanowiła się wyspać i następnego dnia rano znowu pojechać do kwiaciarni, by pośród wieńców i wiązanek pogrzebowych kontynuować rozmowę z Buddą. Musiała dowiedzieć się więcej o powojennych losach Doroty. Powodowała nią zwykła ciekawość. W końcu

Dorota była nie tylko matką profesora, o którym pisała artykuł, ale również babką Sinobrodego. A przecież to on najbardziej ją interesował. Wiedziała o nim niewiele. Były to głównie jakieś plotki. Może Budda coś wiedział na jego temat? Warto go wypytać. Tak, żeby się nie zorientował, o co jej naprawdę chodzi. Dorota najprawdopodobniej nigdy nie poznała swojego wnuka, tego z prawowitej, danzigerskiej linii, bo w chwili jego narodzin była już w zakładzie zamkniętym w Kocborowie, ale to zawsze ta sama krew. Szkoda, że nigdzie nie ma jej zdjęcia, bo może udałoby się dostrzec jakieś podobieństwo. Poza tym Anka lubiła stare fotografie. Ale profesor twierdził, że nie ma żadnej, ale to żadnej podobizny matki. Ze wszystko się spaliło. Jeśli nawet to prawda, to co z tymi powojennymi? Gdzie jest jej grób? Właśnie. O tym profesor nigdy nie wspominał.

- Widzę, że pani jest z tych, co to nie odpuszczają. No niech pani popatrzy, jaki dzielny wojak był z tego naszego Lońki. Jaki przystojny! Co? Nie podoba się, bo z wąsem?! Teraz to niemodne, ale wtedy wąs był na topie. *Ten wąsik, ach, ten wąsik.*

Budda przywitał Ankę po swojemu, jowialnie, z przytupem i zaraz podsunął jej zdjęcie *komandira* Lońki Cwietkowa. Tego samego, który miał być rzekomo ojcem dziecka Doroty. Ale przecież tego Lońkę Budda mógł wymyślić na potrzeby swojej gawędy.

- A co pan wie o rodzinie profesora? O jego żonie i synach?
- Nie zbaczajmy z tematu, droga pani. Miałem mówić o Dorocie i opowiem. O rodzinie profesora to może następnym razem. Ale musi mi pani przywieźć trochę paliwa, bo tak o suchym pysku to się nie da. - Anka wręczyła Buddzie jego małpki. - Więc nasza Dorota
- zaczął mówić Budda - nadaremno starała się zapomnieć o tym, co przydarzyło się nieszczęsnej Dorothee.
- Budda z namaszczeniem rozpoczął swoją opowieść.
- Bo to coś w jej brzuchu rosło bez opamiętania. Mimo ściskania i sznurowania rosło i rosło. Wiele kobiet chodziło wtedy z brzuchem. Tuż po wojnie. Rocznik tysiąc dziewięćset czterdziesty szósty jest chyba dość liczny. A tak nawiasem mówiąc, to bardzo dobry rocznik, nie sądzi pani? Inna rzecz, że wiele dzieciaków, co rodziły się zaraz po wojnie, były wypadkami przy pracy. Zdarza się, prawda? - Anka doskonale wiedziała, że się zdarza. Nawet niektórzy rodzice oraz dziadkowie wypominają potem takim dzieciom, że zostały poczęte bez Bożego błogosławieństwa, a choćby i ludzkiego, urzędowego. Anka wiele o tym wiedziała. Nie należała wprawdzie do znakomitego rocznika tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego, bo urodziła się trzydzieści lat później, ale bycie niechcianym dzieckiem stanowiło jeden z głównych tematów jej własnego życia. Ostatnio zresztą sporo czytała o tamtych gwałtach, o tym, jak potem kobiety chorowały, umierały. A inne rodziły dzieci wbrew sobie. Doświadczenie Doroty przypadło w udziale wielu niemieckim kobietom. One również

nosiły niechciane cięższe. - Go tu dużo gadać - kontynuował Budda - pęd ku życiu to był. Trudno się dziwić zdobywcom, że tylu swoich bajstruków pozostawili, maszerując na Berlin, a w samym Berlinie też nie ma. Ale nasza Dorotka zastanawiała się, co zrobić, gdy to coś wreszcie zechce z niej wyjść. - Mówiąc to, Budda dziwnie się uśmiechał. - Mieszkała z synem we Wrzeszczu. To pani chyba wie od pana profesora. Przydzielono im mieszkanie jednopokojowe, z kuchnią. Ciekawe, skąd ta nasza Dorotka miała takie chody, a może to już mały profesorek wyrobił sobie znajomości u nowej władzy? Święty to on nie był, niech sobie pani nie myśli! Tylko takie wrażenie robił. Zawsze wiedział, jak się urządzać. Przy każdej władzy. - Anka wiedziała od profesora, że do pokoju, gdzie mieszkał zaraz po wojnie z matką, wprowadziło się jeszcze młode małżeństwo z małym dzieckiem, które darło się nocami. A potem jakiś samotny mężczyzna zamieszkał w ich kuchni. Repatrianci ze Wschodu. Dorota i tak była zadowolona, że mają dach nad głową. Ze Jan może chodzić do szkoły. - I wie pani, ta kobieta, która zamieszkała z mężem i dzieckiem w ich dużym pokoju, zerknęła na brzuch Doroty i powiedziała ze współczuciem, że to już pewnie niedługo. „Co niedługo?” - zapytała Dorota. „Rozwiązanie” - odpowiedziała tamta, gapiąc się na Dorotę. Chyba się domyślała, co się wydarzyło. Dorota jednak nie dawała za wygraną. Cwana z niej bestia była - mówiłem to pani ze sto razy albo i sto czterdzieści. Więc opowiadała komu się dało bajeczkę o swoim ślubnym, co to rzekomo zginął

podczas bombardowania. Oczywiście był Polakiem. Bogumił Dombrowski miał się nazywać. Inżynier. Z Gdyni. A mało to było polskich inżynierów w Gdyni? Całe mnóstwo. A Bogumiła Dombrowskiego Niemcy nie zamknęli w Stutthofie, bo się ukrywał. U rodziny na Kaszubach. Ale niestety zginął. Na szczęście przed śmiercią udało mu się spłodzić drugiego potomka. Sąsiadka udawała, że wierzy w te bujdy na resorach. W inżyniera Dombrowskiego. I w Gdynię. Dorota to się pewnie modliła, żeby się urodziło martwe. Najpierw gorące kąpiele brała, nawet bardzo gorące. Aż się poparzyła. Ale nic. Żadnych zmian. Więc modliła się jeszcze gorliwiej. Wydawało jej się, że ktoś tam, w niebiosach, w końcu wysłuchał jej błagania, bo nagle przestało się ruszać. Dorota z ulgą odetchnęła. Sznurowała go, głodziła. O mało co sama nie umarła z wy-. cieńczenia i od tych poparzeń. Ale się udało. Przestało się rozpychać. Hańba się skończy wraz z wydaleniem martwego intruza. Tak wyczytała w książce medycznej. Spodziewała się, że jeszcze przed Bożym Narodzeniem wydali bękarta i zapomni o swojej hańbie, o tym, co z nią robili, jak poniżali. Mimo to urodził się zdrowy i żwawy. Taki różowutki. Urodził się w dzień świętego Szczepana. Ale na imię dostał inaczej. W każdym razie nie Szczepan. Syn Doroty i Bogumiła, jakby się ktoś pytał. Dombrowski. A jakże! A potem, jak już poszedł do szkoły, to się uczył wierszyka *Kto ty jesteś?* Zawsze wiedział, że poprawna odpowiedź na to pytanie brzmi: „Polak mały”. To jedyna odpowiedź, jakiej wolno mu było udzielić. - Mówiąc to, Budda miał łzy w oczach,

był wyraźnie wzruszony. Nie dawał sobie przerwać tej tyrady o polskości. Widać ten temat niezmiernie go nurtował. - Wzruszyłem się, przepraszam, napić się muszę - powiedział i wyciągnął małąkę z kieszeni swoich mocno już świecących ze starości spodni, i chciwie przyssał się do malutkiej buteleczki. Potem chrząknął i kontynuował swoją opowieść, która coraz bardziej nużyła Ankę. Słuchała właściwie przez grzeczność.

- A Dorocie to już wtedy całkiem odbiło. Zaczęła bacznie przyglądać się jego oczom. Sprawdziała, czy aby nie są skośne. Trochę były. Tak się Dorocie wydawało. To się w paranoję przerodziło. Wtedy Jan, przyszedł pan profesor znaczy się, zaczął się bać, że matka zrobi małemu coś złego. Ciągle powtarzała, że ten tam, w kołysce, ma fałdę mongolską. Chociaż żadnej fałdy chłopak nie miał. A na pewno nie w miejscu, które Dorota miała na myśli. Ona jednak widziała fałdę. Chciała ją wyciąć. Kuchennym nożem. Żeby się pozbyć piętna, które miał dzieciak. Tak gadała, że ma piętno. Że przez niego oni wszyscy są napiętnowani. Jan Tonię Pokryfkę ugadał. Ona, zdaje się, mieszkała w oficynie. Sąsiadką była po prostu. Również wdową. Jak Dorota. Poprosił ją, żeby bawiła dzieciaka w czasie, kiedy sam chodził do szkoły. Zanim mały do jakiejś freblówki nie pójdzie. Pokryfkowa to po kaszubsku i po niemiecku gadała. Dobra z niej była kobita. Podjęła się zadania i uczciwie je wypełniała. Chyba wyłącznie dzięki niej ten Rysiek, bo tak małemu dali na imię, jakoś się uchował. Ale Dorota nie wiedziała, co ze sobą począć. Chodziła z kąta w kąt. Ale bez noża, bo Jasiak wszystkie noże pochował. Na

szczęście. Tak samo nożyczki. Nawet szydełka i druty. Tak na wszelki wypadek. Gdyby matce odbiło. Sama pani widzi, jaki dobry i troskliwy brat był z tego naszego profesorka. Najlepszy brat pod słońcem. Mało kto ma takiego brata, czyż nie?

- No chyba pan jednak przesadza. Profesor nigdy nie powiedział mi, że miał brata. Nikt w instytucie o tym nie wiedział.

- Ano nie wiedział, bo takie czasy były i są, że lepiej się rodziną nie chwalić. Profesor też był cwaniurek, jak jego mamusia. Miał to we krwi. Nie lubił się narażać. A z jego bratem były tylko same kłopoty. Więc trudno się dziwić, że pan profesor od tych kłopotów trzymał się jak najdalej. Szwabym już tak mają, że zawsze spadają na cztery łapy i nie nadstawiają tyłka za innych. Ale przerwała mi pani i teraz się gubię. Ze jej odbijać zaczęło, to już Jan wiedział od chwili, gdy się pojawiła w Krokowej. Jakaś taka nieogarnięta i z rozwianym włosiem. I dziwnie ubrana w dodatku. Miała na sobie sukienkę w kwiaty, a na to założyła jakiś waciaczek. Włożyła też żołnierskie buty. Takie same jak sowieccy oficerowie nosili. Za duże na nią. Tak ją zapamiętał syn. Tą sukienkę długo trzymała w szafie. Kto wie, czy jej Jan w tej sukience nie pochował, tak nawiasem mówiąc? Wcale bym się nie dziwił. Starą i podartą sukienkę w kwiatki traktowali jak relikwię. A jak jej ten brzuch wyskoczył, to już było wiadomo, o co chodzi. Wszystkie sąsiadki głowami kiwały ze zrozumieniem. I ze współczuciem. Jan też współczuł matce. Bo się w nocy budziła. Z krzykiem. Głośno płakała i waliła pięściami w brzuch.

Anka wyobrażała sobie, jak dawny Johannes, który w dokumentach miał już zmienione imię, próbował pocieszać matkę, ale na wiele się to nie zdało, bo ona chciała pozbyć się ciąży. Przecież brzuch był jej i bez niego nie dało się żyć. Nawet jeśli zawartość była niechciana. Johannes dobrze to rozumiał, bo pewnie ta Tonią Pokryfka albo inne kobiety z sąsiedztwa opowiedziały mu o hańbie. Równie dobrze mogła być przecież ich własną hańbą. Ale o to ich nie pytał. O tym mówiło się szeptem, jeśli w ogóle. Bo jak opowiedzieć o tym, że Sowieci z zaciętą bezwzględnością pozbawiali godności i człowieczeństwa młode dziewczęta, a także kobiety w kwiecie wieku i nawet już całkiem stare i zwiędłe? Wielokrotnie i brutalnie. Bez pardonu. O czymś takim nie dało się opowiadać. Więc pewnie każda z nich dusiła to w sobie do końca. W każdym razie niemłode Kaszubki jakoś potrafiły o tym zapomnieć i nie budzić się po nocach i nie krzyczeć. Może dlatego, że ich mężowie nie wrócili z wojny? Nie było więc obawy, że ktoś zapyta o to, co działo się w Gdańsku po zajęciu miasta przez Sowieców. Nikt nie zapytał Toni Pokryfki, bo jej ślubnego wzięli do Volkssturmu i nie wrócił, jak wielu innych: najmłodszych i najstarszych niemieckich mężczyzn. Potem, po wojnie, Pokryfka prowadziła. Była tramwajarką. Zuch dziewczyna. *Maladiec*. Nie bała się. Jak mało która.

- Czy ktoś z nią rozmawiał na ten temat? O tym, co stało się w Gdańsku? Coś pan wie na ten temat? Mówiło się o tym w domu?

- Pani żartuje? Na takie tematy nie mówi się. Cisza w eterze. Myślę, że Doroty też nikt nie pytał. A ona nie

miała ochoty o niczym opowiadać. Nawet temu młodemu doktorkowi z wariatkowa w Starogardzie, gdzie trafiła po tym, jak o mało co synkowi oczu nie wykłuła. Rysiuniowi, jak go nazywała Tonia Pokryfka. Zabrali ją do szpitala. Związali. Tam, w szpitalu, mówili o niej Brunhilda, że niby Niemka. Właściwie to niemra. Tak o niej mówili. Tak jej się pomieszało w głowie, że po szwabsku gadać zaczęła. A ten doktorek chciał koniecznie wiedzieć, dlaczego to zrobiła. „Dlaczego, dlaczego? - powtarzała pod nosem. - Żeby naprawić to, co natura spaprała”. Geny. Właśnie. Złe geny. Gówniarz złe geny miał i ona wiedziała o tym najlepiej, bo była z nim, a raczej z tymi genami, od samego początku. Skoro nic się nie udało zaradzić na sowieckie geny i mongolską fałdę Rysiunia, którą zdołało wypatrzyć jedynie bystre oko matki, to trudno. Najważniejsze, że się starała. Aż do samego końca. Aż ją zamknęli. W psychiatryku. Ale doktorek za wygraną nie dawał. Próbował wszystkiego. Ale ona ani mru-mru. Nie powiedziała mu słowa o sobie i o Ryśku. Dlaczego chciała naprawić dziecko. Zawsze była porządna. Lubiła dziergać. Równe wzorki lubiła, a nie jakieś koślawe. Skośne. Bo kto to widział? Chciała naprawić życie. Swoje przede wszystkim. A ten cały Rysiek to rzeczywiście ma pofałdowaną naturę. I krzywy los - westchnął Ryszard Pokryfka, zwany Buddą.

HORMONY SZCZĘŚCIA

Roma w końcu dowiedziała się, co to znaczy usychać z tęsknoty. Ze się usycha w sensie dosłownym. Ze to jest takie uczucie, jakby tam wszystko w środku się kurczyło. Jakby to już był koniec. W niedzielę rano ubrała Kubę w marynarskie ubranko. Miała słabość do marynarskich kołnierzy. Do pomieszanych granatów i bieli. Do marynarskiego sznytu, który kojarzył jej się ze szkolnymi czasami. Z tym zakładem dla grzecznych panienek, którą w swoich szkolnych czasach niestety już nie była. Nie z własnej winy. Ale miała nadzieję, że jej jedyny syn będzie grzecznym, dobrze ułożonym chłopczykiem. Okazał się jednak mazgajem i histerykiem. Darł się i piszczął, gdy mamusia, świeża i pachnąca soir de paris, wychodziła do kościoła. W niedzielę. Jego nianie, Hania, a potem Frania, nie dawały rady go uspokoić. Mówiły:

- No sama paniusia widzi, że nie może teraz wyjść, bo Kubuś strasznie płacze i tylko patrzeć, jak rzuci się na podłogę i zacznie wymachiwać nóżkami.

Zwykle Roma lekceważyła ostrzeżenie i mimo wszystko wychodziła z domu. Przecież modlitwa w kaplicy Jedenastu Tysięcy Dziewic była ważniejsza od tego małego grzdyla, którego wraz z Leonem Herbstem tak nierozważnie powołali na świat. Jednak pewnej niedzieli Kubuś darł się jeszcze głośniejszym i jeszcze bardziej zawziętym niż zwykle, tak że w końcu musiała skapitulować. No i raz, a potem drugi i trzeci nie poszła do kościoła. Kiedy w końcu się tam wybrała, nikt jej nie otworzył drzwi. Nie w kościele, lecz tam, dokąd chodziła najpierw. Była pewna, że Hofman był w mieszkaniu, że wchodząc po schodach, słyszała znajomy stukot maszyny do pisania. Więc potem długo jeszcze stała na ulicy Długiej i wpatrywała się w okno. Wydawało jej się, że firanka drgnęła dwa razy. Więc znowu pobiegła na górę. Stukała i pukała. Coraz bardziej nerwowo. Tracąc nadzieję na to, że jeszcze kiedyś będzie na nią czekał. Ze otworzy te cholerne drzwi. Więc stukała coraz mocniej. Ale znowu nic. Dalej więc stała na Długiej, chociaż było jej zimno w stopy i w głowę, bo nie założyła czapki. Zbliżał się już koniec października i coraz wcześniej robiło się ciemno. Ale czapka jakoś nie pasowała jej do płaszcza. A jeszcze bardziej do osobowości. Ani do okoliczności. W końcu walczyła o swoją wielką miłość. Kapelusz byłby tu bardziej na miejscu, ale zwracałby uwagę. Wówczas większość kobiet nosiła na głowach chustki. Zupełnie jak jej matka, która prawie całe życie spędziła na wsi. Więc chociaż Roma miała kilka ładnych kapeluszy, w których wyglądała całkiem, całkiem, nie zakładała ich jednak na

niedzielne spotkania z Arturem. Nie chciała wyróżniać się w tłumie, żeby nikt jej nie zauważył i nie doniósł mężowi. Ale przecież donosiciel zawsze się znajdzie. Prędzej czy później.

Artur nie otwierał. Ale miała pewność, że był w środku. Może nawet nie sam. Tylko z jakąś kobietą. Następczynią Romy. Postanowiła być cierpliwa, bo albo zaraz zapali światło, albo wyjdzie. Ucieknie jak szczur. Ale tak łatwo mu nie pójdzie. Czatowała na niego pod domem. Bo tak nie można. Bez słowa. Po tylu latach. Przecież już od pięciu lat przychodziła do niego prawie w każdą niedzielę. Zamiast na sumę do kościoła Mariackiego trafiała na poddasze pewnej kamienicy na Długiej. Zawsze o tej samej porze. A on czekał. Spędzała tam równo trzy kwadranse. Za dużo ze sobą nie rozmawiali. Ale czasem jednak zdarzało im się zamienić kilka słów. Przed albo po. Niemniej zwykle Roma się spieszyła, a on jej nie zatrzymywał. Jeszcze chciała koniecznie wpaść na chwilę do kościoła. Żeby z siebie te winy wyrzucić, wymodlić. Ale chociaż nie byli przyzwyczajeni do dłuższych rozmów, to Hofman mógł zadzwonić i wyjaśnić, dlaczego jej nie otwierał. Powiedzieć kilka słów. Przecież telefonował do niej parę razy. Na samym początku ich znajomości. Potem już nie było potrzeby, bo ona zawsze przychodziła, a on na nią czekał. Było dobrze. Obojgu. Więc nie mogła zrozumieć, dlaczego to się tak nagle popsuło. Przecież domyśliłaby się, że coś idzie nie tak. Że coś między nimi już się kończy. To wszystko była wina tego małego histeryka, który terroryzował cały dom. Gosposię i Leona.

Ale przede wszystkim ją samą. Był o nią zazdrosny. Ten cholerny szczył! Dlatego się popsuło jej małe szczęście, które w rzeczywistości wcale nie było małe, lecz ogromne. W czasach małej stabilizacji Roma żyła pełnią życia. Między mężem a kochankiem. Wszystko było na swoim miejscu. Wszak była dobrą żoną. Dawała sobie radę z gospodarstwem, spełniała małżeńskie obowiązki. Przynajmniej od czasu do czasu, gdy nie bolała jej głowa. Bez entuzjazmu, ale za to sumiennie. Zdawało jej się, że Herbst był nawet zadowolony. Dostawał to, czego potrzebował. Roma zaś w każdą niedzielę miała dla siebie trzy kwadranse. Dawały jej siłę do życia. Do bycia żoną nudnego, nieciekawego człowieka i matką nieznośnego gówniarza, który niestety rósł. To Leon zapragnął progenitury. Stracił wszystkich swoich bliskich w czasie wojny, więc musiał mieć dziecko. Najlepiej syna. Jakby nie wystarczała mu partia. Więc miał. W końcu ten mały stanął między Romą a jej szczęściem.

Wszystko się popsuło. Przez niechcianego bachora. Pojawił się w jej brzuchu, a potem na świecie, wbrew jej woli. Tak jakoś zniecka. Wyłącznie na życzenie jej męża. Roma nigdy nie czuła powołania do macierzyństwa. Zbyt dobrze pamiętała dom rodzinny. I ojca, cholernego drania. Gdy wreszcie wykrzyczała mu w oczy, co z nią zrobił, gdy miała trzynaście lat, wszystkiemu zaprzeczył.

- Ty zwariowałaś! Poprzewracało ci się we łbie na tych studiach. Bo kto to widział, żeby baba studiowała na uniwersytecie, zamiast wyjść za mąż i rodzić dzieci, jak Pan Bóg przykazał!

- Jak możesz mówić takie rzeczy o ojcu?! - wtórowała mu matka.

Nie było sensu z nimi gadać. Roma spakowała swoją malutką, kartonową walizeczkę i postanowiła nigdy nie wracać w swoje rodzinne strony. Pod żadnym pozorem. A gdy oświadczył jej się Leon Herbst, nie zastanawiała się nawet przez pięć minut. Od razu powiedziała „tak” i cieszyła się, że na zawsze pozostanie ono niesakra-mentalne. Ze ich nigdy nie pobłogosławi żaden ksiądz proboszcz - stary hipokryta. Jak ten Walenty Królak, który przychodził na partyjkę winta do jej ojca. W rzeczywistości obydwu stare capy chciały tylko wypić jak najwięcej domowej nalewki. Może jeszcze jeden kieliszeczek. I jeszcze jeden. I następny. Nie ostatni przecież. Nawet nie przedostatni. W końcu dobrze po północy, gdy już obaj mocno mieli w czubach i nie powinni już nic pić, bo ksiądz musiał jeszcze jakoś wrócić do domu, a ojciec zaprzęgnąć konie, żeby go odwieźć, wypijali strzemiennego.

„Pijcie, pijcie jak najwięcej. I najlepiej zapijcie się na śmierć - tego w myślach życzyła ojcu Roma. - Żeby kiedyś dostał apopleksji od tych naleweczek”.

Kuba był trochę podobny do jej ojca, chociaż miał zupełnie inne oczy i ciemne, kręcone włosy, a jej ojciec, zanim wyłysiał, miał typową polską czuprynę - myszowatą, bez wyraźnej barwy. Jednak to ledwie zauważalne podobieństwo Kuby do jej ojca dodatkowo zniechęcało Romę do syna. „To po nim jest histeryczny, ma słaby, chwiejny charakter i zgubną skłonność do alkoholu” - myślała. Niechciane macierzyństwo było

daniną, którą musiała zapłacić za bycie żoną wpływowego kacyka. Niepracującą i polerującą paznokcie, zamiast je łamać, stukając w jakimś zapleśniałym biurze w klawisze zdezelowanej maszyny do pisania. Mogła czytać książki i dokończyć studia. Miała też jeszcze swoją małą stabilizację uczuciową. Wszystkie niedziele, dzięki którym była naprawdę szczęśliwa. Aż ten mały gnojek rozwalił jej szczęście.

Nie po raz ostatni. Nawet teraz chrapał na kanapie w jej salonie, a jego brudne skarpety rozsiane były po całym domu. Powinna mu w twarz wykrzyknąć: „Ty mnie do grobu wpędzisz, synu!”. Przecież dręczenie starej, schorowanej matki to grzech śmiertelny. Zwłaszcza że właśnie wyszła ze szpitala i pewnie niedługo umrze. Teraz nie ma jej kto herbaty przynieść. Tak jest! Herbaty przez samo h! Smarkacz chyba zapomniał, jak uczyła go reguł polskiej pisowni, z którą zawsze był na bakier. W końcu zapamiętał chociaż tyle, że choć herbatę chętnie piją w Chinach Ludowych, czyli w ChRL, to jednak słowo herbata pisze się przez samo h, a nie przez ch. Wiele innych rzeczy umiał i wiedział wyłącznie dzięki matce. Ale tego nie doceniał. Roma przeglądała swój ulubiony album ze zdjęciami. Myślała o Kubie z najwyższą niechęcią. Ten darmozjad rezydował tu już od ponad roku. Nie robił nic. Był na jej utrzymaniu. Z pracy dawno go wyrzucili. Za pijaństwo. Teraz wychodził już jedynie do sklepu na dole. Po piwo i po papierosy - wiadomo. Matka nic go nie obchodziła. Nawet nie raczył się z nią przywitać po powrocie ze szpitala. Zupełnie nie interesował się jej

chorobą, a właściwie chorobami, i tym, że mogła niedługo umrzeć. Może po prostu znudziło go to, że od lat zapowiadała swoją rychłą śmierć? Więc przestał wierzyć, że to kiedykolwiek nastąpi. Dla niego liczyły się tylko pieniądze. Jej pieniądze. Zawsze się o nie kłócili, bo Kuba uważał, że pieniądze od ojca należą do niego. To jej były mąż ich utrzymywał, a fakt, że przysyłał pieniądze na konto Romy, nie miał dla Jakuba żadnego znaczenia. Kiedyś wreszcie ojciec umrze, a właściwie zdechnie, bo właśnie tak by powiedział o śmierci rodzica Kuba Herbst, i wtedy połowa wszystkiego będzie jego, a po śmierci matki wszystko. Chyba że stara go wydziedziczy na rzecz Agnieszki. To całkiem do niej podobne. Jak najbardziej w stylu tej wrednej hipochondryczki i hipokrytki. Kuba nie ukrywał niechęci do matki. Ojca zaś nie widział już od wielu lat. Od wczesnego dzieciństwa Kubie nie po drodze było z ojcem. A od czasów młodości, gdy pozostawał pod wpływem Artura Hofmana, nie chciał nawet słyszeć o ojcu komuchu.

Wcale nie spał się aż tak, żeby nie zdawać sobie sprawy z obecności matki w domu. Był niezadowolony, że już wróciła ze szpitala, i to w całkiem niezłej formie. Jeszcze będzie tak umierać przez kilka najbliższych lat. Albo kilkanaście. Wtedy ze spadku nici. Jego ojciec mieszkał w Izraelu i Kuba nie wiedział, jak się czuje. Ale z metryki wynikało, że dobijał już dziewięć-dziesiątki, więc nie mogło być dobrze. Nawet w tym dobrobycie życie ma swój kres. Kuba liczył na spadek po ojcu, tak żeby nie musiał się z nikim dzielić.

Większy zastrzyk gotówki byłby wskazany, bo miałby pieniądze na alkohol, i to *skolko ugodno*. Wreszcie nie musiały się handryczyć ze starą, która wydzielała mu każdy grosz z zastrzeżeniem, że to nie na piwo. Żeby kupić sobie coś do jedzenia albo nowe buty, bo od tych starych odkleja się już podeszwa. Zaraz też zaczynała się gadka o tym, że powinien się ogolić i pójść do fryzjera. Że powinien kupić sobie nowy garnitur i wreszcie zacząć szukać pracy. Przynajmniej rozesłać CV No i że koniecznie musi się zaszyć. Ale nie w domu z flaszką, jak to miał w zwyczaju. Tylko wszyć sobie esperal, żeby zacząć trzeźwo myśleć i działać. Coś ze sobą zrobić, ze swoim życiem. A matka to niby co zrobiła? Ze swoim życiem i z jego życiem? Wszystko zmarnowała, bo dla niej się liczył tylko czubek jej własnego nosa. I to żeby zaspokoić swoją chuć z jakimś kolejnym amantem. Coraz młodszym i młodszym. Kompromitowała starego, jego, Kubę, też kompromitowała. Zwłaszcza gdy któryś z kolegów mu donosił, że widział jego matkę w kawiarni z jakimś młodym gościem. Że trzymali się za ręce. Raz nawet sam widział, jak sporo młodszy od matki facet wsuwał jej dłoń pod spódnicę. I to w kawiarni. Przy ludziach. Na szczęście w Warszawie, a nie tutaj. To już było po rozwodzie z ojcem. Przyjeżdżała do Warszawy rzekomo po to, żeby spotkać się z synem, który chodził tam do liceum. Specjalnie umieściła go w Warszawie w szkole z internatem. Żeby był daleko od niej i żeby mogła przyjeżdżać do stolicy pod pretekstem odwiedzin u syna. Przywoziła mu słodycze, świeże koszule i jeszcze różne inne rzeczy. Ale wizyty

były krótkie, a rozmowy zdawkowe. Jak zawsze między nimi. Co słychać w szkole? Masz jakieś nowe stopnie? Czy czegoś ci nie trzeba? Jak mogłabym ci pomóc? Potem tylko całowała go w czoło albo i nie. Wychodziła. Gdzieś się spieszyła. Ciągłe nerwowo zerkąła na zegarek. Przez całą wizytę u syna robiła wrażenie nieobecnej.

Pamiętał zapach jej perfum. Zresztą używała ich do dziś. Chanel no. 5. Nie znosił tego zapachu. Kojarzył mu się z matką. Z jej szafą. Z jej toaletką. Z tymi wszystkimi garsonkami, apaszkami, pantofelkami na kaczuszcze. Z lakierem do paznokci. Takim różowym, perłowym. Z duszącym zapachem, który wydobywał się z każdego kąta jej sypialni. I z każdego innego kąta w tym mieszkaniu. Przez te kilka tygodni jej nieobecności próbował zagłuszyć ten zapach smrodem swojego niemytego ciała, z którego cały czas parował alkohol. Zapachem piwa, którego resztki wylewały się z porzuconych przez niego niedopitych butelek i puszek. Wszędzie rzucał swoje brudne skarpetki i podkoszulki, czego tak nie znosiła jego była żona. W ten sposób znaczył teren. Zaznaczał swoją obecność i prawo do ingerowania w otaczającą go przestrzeń, która przecież należała do niego. Bo to mieszkanie było po ojcu. Więc należało również do niego, chociaż akt notarialny jako właścicielkę wymieniał matkę. Leon Herbst nie ufał synowi, który zawiódł wszystkie jego nadzieje. Wolał przysyłać pieniądze wiarołomnej żonie. Bardziej jej ufał. Wiedział, że przy całym swoim szaleństwie jest praktyczna i umie liczyć. Kuba zaś miał dyskalkulię.

A także dysgrafię i dysleksję. To go dyskwalifikowało. W oczach ojca. W oczach matki też. Nie udał im się ten ich jedyny syn. Nie udało im się małżeństwo. I całe życie. Ale oboje wciąż jeszcze żyli i liczyli swoje srebrniki. Nic więcej im nie pozostało. Tak uważał Kuba.

Więc jeśli teraz pojawi się tu nawet cały szwadron sprzątaczek z Ukrainy, nie da się zatrzeć śladu bytności Jakuba. Tego, że to on jest tu gospodarzem, a nie starsza pani, okręcająca pomarszczoną szyję drogimi, jedwabnymi apaszkami i wylewająca na siebie całe flakony francuskich perfum, żeby zamaskować w ten sposób nieznośny smród starego ciała. Zamiast niego w powietrzu miały się unosić piżmo i drzewo sandałowe, i jeszcze inne korzenne nuty. Byle nie czuć uryny i tego powolnego rozkładu, który przecież już trawił jej trzewia. Tak jej się przynajmniej wydawało.

W czasach gdy Jakub chodził do szkoły w Warszawie, jego matka była jeszcze młoda. W kwiecie wieku. Wystarczyło jej zaledwie kilka kropel perfum, żeby mogła czuć się atrakcyjna. I pożądana przez mężczyzn. Na przykład przez tego gacha, który wkładał jej łapę pod spódnicę. Kuba widział to na własne oczy. Siedzieli przy małym, okrągłym stoliczku w kawiarni „Gwiazdeczka” na Starówce. Roma miała rumieńce na twarzy, a ten mężczyzna wkładał jej dłoń pod spódnicę. Wydawało się, że bardzo jej się to podoba. Ze chciałyby jeszcze więcej. Pewnie dostała więcej, bo potem razem wyszli z kawiarni i odjechali gdzieś taksówką. Kuba zapamiętał, że to był fiat 125p w jasnym kolorze. Wsiedli i odjechali razem. To dlatego zawsze tak się spieszyła,

gdy przyjeżdżała do niego w odwiedzin. Czekwała tylko na to, aż się wizyta skończy i będzie gzić się ze swoim gachem.

Nigdy się nie dowiedział, że wtedy go zauważyła i powiedziała do ucha Marianowi, swojemu ówczesnemu kochankowi, że syn ją śledzi. Mariana to najwyraźniej jeszcze bardziej podkreśliło i zdziwił się, że miała już takiego dorastającego syna. Niemniej Roma przez całe popołudnie, spędzone w garsonierze Mariana, była jakaś nieswoja. Bała się, że Kuba ją śledzi. Tamtego dnia w ogóle straciła ochotę na ekscesy. Już nie spotykała się z Marianem na mieście. Zawsze przyjeżdżała dzień wcześniej i szła prosto do jego garsoniery. Tam nocowała, a następnego dnia szła na spotkanie z synem. Później jechała prosto na dworzec. Jak Pan Bóg przykazał. Kuba śledził ją jeszcze kilka razy, ale potem mu się znudziło. Więc znowu zaczęła umawiać się w „Gwiazdeczce”, bo to było jej ulubione miejsce. Na romantyczne *tête-à-tête*. Ale już nie umawiała się z Marianem, lecz ze Stefanem, a potem z Ryśkiem.

Jednak po raz pierwszy przyprowadził ją tu wiele lat wcześniej Artur Hofman. Zdarzyło się to na początku lat sześćdziesiątych. Roma była wtedy młoda i szczęśliwa. To były najlepsze czasy w jej życiu. Uroda w rozkwicie. A do tego elegancja i styl. Nie mogli się zbyt pokazywać razem, ale mimo to poszli na spacer na Starówkę. Tak trafili do tej „Gwiazdeczki”, zwanej złośliwie dziureczką. Chyba nie bez powodu. Kawiarnia emanowała atmosferą intymności. Malutkie stoliczki. Dyskretny półmrok. Warszawska Starówka była jeszcze

taka świeża. Zupełnie jak Roma. Szła ze swoim ukochanym mężczyzną pod rękę. Lekkim krokiem. Właśnie dlatego zawsze spotykała się ze swoimi warszawskimi amantami w „Gwiazdeczce”. Zawsze zaczynało się romantycznie i elegancko, co potem eleganckie nie było. Ale stanowiło jej pasję, bez której nie umiała żyć, gdy była już dojrzałą kobietą.

Roma długo bała się, że syn będzie jej wypominał tamten dzień, gdy zobaczył ją z Marianem w „Gwiazdeczce”. Ale Kuba na szczęście milczał na ten temat. Milczał, ale był zażenowany. Ze ma taką matkę. Ze jego matka się puszczała. Ze miała taką słabość. Starła się to robić dyskretnie, ale wielokrotnie słyszał, jak się umawia przez telefon. Zdarzało mu się także odbierać głuche telefony. Zawsze wiedział, że to dzwoni któryś z kochanków jego matki. Kiedyś, gdy ją zaskoczył w domu z jednym z tych gachów, bo wrócił wcześniej z obozu, Roma zaczęła się głupio tłumaczyć. Ze to niby znajomy. Znajomy przyjechał z Warszawy. Przywiózł jej książkę, której nie mogła dostać w żadnej bibliotece. Ależ tak! Oczywiście. Kuba domyślał się nawet, co to była za książka - zapewne *Kamasutra*. Powiedział to na głos, bo był w takim wieku, gdy nie oszczędza się matki. Zwłaszcza jeśli źle się prowadzi.

Jeszcze dziś pamiętał tamte minispódniczki i kuse sukieneczki, w których chodziła na randki ze swoimi panami. Pokazywała zgrabne nogi. Kusila. Nienaganną figurą. Ładnym biustem. Nawet na szkolne wywiadówki chodziła tak ubrana. Kuba się wstydził matki. Wiedział, że się podoba wszystkim jego profesorom.

Każdy miał na nią ochotę. Ślinili się do niej. Roma bezczelnie to wykorzystywała. Prosiła nauczycieli o podwyższenie ocen jej synowi. Zwykle prośby były skuteczne. Dzięki temu jakoś przechodził z klasy do klasy. Choć nie bez trudu. To prawda, zawsze mógł liczyć na jej pomoc, ale za jaką cenę? Była to cena wstydu. Upokorzenia. Te komentarze kolegów z klasy. Ich spojrzenia i wulgarne docinki, gdy matka szła korytarzem, kołysząc biodrami. Nie mógł tego znieść. Uciekał do kibla. Wiał, gdzie się dało. Miał ochotę zapaść się pod ziemię. Roma zaś była w swoim żywiole. W centrum uwagi młodych mężczyzn. Jakich mężczyzn? Pyszczatych gówniarzy. Ale jej to najwyraźniej odpowiadało. Zaspokajało jej próżność. Kuba nie miał wyjścia. Musiał podporządkować się matce. Ojciec ich zostawił. Wymigrował. Miał więc tylko matkę. Musiał znosić jej frywolne stroje i nastroje. A także kręcących się wokół niej facetów.

Na szczęście to już była odległa przeszłość. Roma straciła cały swój blask i moc. Stała się bezbronną staruszką. Wprawdzie nadal w kolorowych fatalaskach, uperfumowaną, ale już nikomu niepotrzebną babcią Romcią, jak mówiła o niej Agnieszka. Jednak wciąż trzymała rękę na pieniądzach. Od niej zależało wszystko. Kuba nie mógł tego znieść. Wciąż był małym chłopcem. Zależnym od mamusi.

Więc teraz wołał leżeć na kanapie i udawać, że jest tak pijany, że nie ma siły się podnieść i zaparzyć matce herbaty. Nie chciało mu się z nią gadać. Jak stara wreszcie zaśnie, to pójdzie na miasto. Umówił się

z jedną laską. Głupią jak but, ale co to szkodzi? Może mu da? Może on się do niej przeprowadzi? Miał już dosyć mieszkania z matką. Przed wyjściem musi się jednak umyć i zmienić ciuchy, bo śmierdzą. Zresztą cały śmierdział. Musiał się pozbyć tego smrodu. Laskę znał j-eszcze z czasów, gdy zajmował się w gazecie stażystami. Wtedy była młodą studentką, a teraz pewnie dobiega czterdziechy. Ciekawe, czy dalej jest taka świętoszkowata jak kiedyś. Chyba nie, skoro zaprosiła go do siebie do domu i zapowiedziała, że mieszka sama. Więc wiadomo, o co chodziło. Pomyślał, że warto spróbować. Może coś z tego wyjdzie. Nie była szczytem jego marzeń. Ale nie miał chyba za dużego wyboru. Była brzydka jak noc. Fatalnie się ubierała. Poza tym ostatecznie nie została dziennikarką. Ale mimo to czuł, że była dla niego szansą. Ostatnią deską ratunku. Cholera wie, co dla niego znaczyła. Dobrze, że nie była płaska jak deska. Pewnie chciała, żeby ktoś ją rozruszał. Ale dlaczego wybrała Kubę? Przecież wiedziała, że wlewa w siebie hektolitry alkoholu i że wypieprzyli go z pracy. Już dość dawno. Chyba nie miała złudzeń, że on jest jakąś sensowną partią. A mimo to dzisiaj zaprosiła go do siebie. Więc wziął prysznic i teraz szukał w szafie tego czarnego golfu, w którym tak mu było do twarzy. Chciał dobrze wyglądać. Nie tak jak ostatnio. Jak facet spod budki z piwem.

Kiedy zatrząskiwiał za sobą drzwi, Roma przestała udawać, że śpi. Weszła do salonu i ze smutkiem popatrzyła na pobojuwisko, jakie zostawił po sobie Kuba. W łazience poczuła jednak zapach dobrej wody

po goleniu, zwróciła też uwagę na to, że zabrał swoją szczoteczkę do zębów. Może się wyprowadził? Do jakiejś kobiety? Oby!

Teraz wreszcie miała czas dla siebie. Zdjęła pokrowiec ze starej maszyny do pisania, która towarzyszyła jej niemal przez całe dorosłe życie. Nareszcie mogła napisać kolejny list. To dodawało jej sił. Wystarczy, że wkręci kartkę papieru w maszynę i już zacznie rozmowę z kimś naprawdę bliskim, kto był daleko.

JESTEM BLISKO

Grażyna głowiła się, co ma zrobić. Może powinna pojechać do tego cholernego Gdańska i rozmówić się z córką? Bo to była ważna sprawa. Taka życiowa, gardłowa, a pasjans wciąż nie wychodził. To był zły znak. Bo jak mógł wyjść, skoro jej córunia miała wszystko gdzieś? Nie obchodził jej spadek. W dupie miała wszystkie ważne rzeczy. Jak zwykle uciekła przed życiem. A tu trzeba walczyć z tą hołotą. Z tymi cwaniarami, co chcą wszystko zagarnąć. Grażyna nie miała jednak ochoty na podróż. Forsy też nie miała za wiele. Trzeba zostawić coś na święta. I na fajki, ma się rozumieć. Bilet do Gdańska jednak trochę kosztuje. Na córunię nie mogła liczyć. Zwłaszcza że podobno rozstała się z Wieśkiem. To znaczy pewnie ją rzucił. Teraz, cholera wie, może Anna będzie musiała z nią zamieszkać? Przy Gibalskiego. Więc tym bardziej trzeba walczyć o spadek. To by rozwiązało życiowe problemy Grażyny. A przy okazji jej córki. Postanowiła, że się wreszcie do niej dodzwoni. Przecież jest uparta, zawsze była. W końcu nie można

ignorować własnej matki. Zdarza się, że matka nie jest idealna. Co z tego? Wielkie mecyje. Ale w końcu nawet jeśli to Maryśka Wichura wychowała Ankę, to Grażyna ją urodziła. Nie przyszło jej to łatwo. Zdecydować się na urodzenie tego dzieciaka. Gdyby nie Maryśka, to Grażyna by się nie zdecydowała. W żadnym wypadku. Ale Maryśka tak ją męczyła, tak ją przekonywała, że trzeba urodzić, że nowe życie, że się w końcu złamała i nie poszła na skrobankę. Chociaż Baumann ją namawiał i nawet dał pieniądze. Grażyna podjęła więc heroiczną decyzję i zrujnowała sobie życie. I karierę. Dziewczynce dała na imię Anna, a na drugie Maria, żeby było jasne, że mała zawdzięcza życie Przenajświętszej Paniencie i Marysi Wichurze. Z zawodu położnej. Sam poród też nie należał do łatwych. Grażyna miała stan przedrzucawkowy. Nacierpiała się jak jasna cholera, bo to był poród kleszczowy. Mogła przecież umrzeć. Ten jeden jedyny raz. No może drugi. Po raz pierwszy mogła zginąć od ciosu starego Wichury, gdy ten się dowiedział, że będzie miała nieślubne dziecko. Ale się uchyliła w samą porę. Przydały się cyrkowe umiejętności. Uniknęła śmierci z ręki starego. Przede wszystkim ten dzieciak złamał jej cyrkową karierę. Tego nie mogła darować córce. Od samego początku. Dziś też nie może darować tego cholernego spadku. Jej córka zawsze lekceważyła ważne sprawy. Najbardziej zaś lekceważyła swoją matkę. Ją. Grażynę.

Już trzeci dzień próbowała się dodzwonić do córki. Bez skutku. Właściwie to się trochę zaniepokoiła. Anka chorowała. Chyba naprawdę coś było z nią nie tak.

Wyłysiała, i to całkowicie. Nie ma włosów na głowie, ale także brwi. Bardzo ją to postarza, niestety. A do tego ta chudość. Ciekawe, czy przynajmniej odrosną jej włosy. Czy w ogóle wyzdrowieje? Kolejny powód, by zatroszczyć się o spadek. O pieniądze po ojcu, które jej się należą. Ale ona tego nie rozumie. Pewnie pisze te swoje artykuły albo inne tam wiekopomne dzieła i wszystkie ważne sprawy uważa za nieważne. Jest głupia i naiwna. Ciekawe po kim? Na pewno nie po Grażynie. Tatuś Anki też był chytry, oj, chytrenki. Szkoda gadać. Trzeba będzie tam pojechać. Pieniądze na podróż pożyczycy od sąsiadki. *A conto* wróżenia. A jakże! Grażyna zawsze sobie poradzi. Odwiedzi swoją krnąbrną córeczkę i nią potrząśnie. Pytanie tylko, czy Anka jest w domu, czy może w szpitalu. Trzeba będzie zadzwonić do tego gbura Wieśka. Grażyna nigdy go nie lubiła. Zupełnie nie rozumiała, jak jej córka mogła sobie wybrać na męża człowieka tego rodzaju. Tłuscioch, bez wyrazu, straszny prostak. Do tego brzydka. Świński blondyn o różowej cerze. Anka wyszła za niego chyba dla pieniędzy. Na pewno nie z miłości. Zresztą co to jest miłość? Czy w ogóle jest coś takiego? W życiu liczą się pieniądze, bo można je policzyć. Może jeszcze zdrowie. Ale tego ostatniego Grażynie nigdy nie brakowało. Była silna i zdrowa jak koń. Za to córka to zawsze była zdechlakiem. Może dlatego, że wcześniaczka. Przez ten stan przedrzucawkowy. Grażyna wystukała numer Wieśka, ale drań nie odbierał. Zawsze ją lekceważył. Dlatego że była cyrkówką. Pewnie tak o niej mówił, a już na pewno myślał. Z poczuciem

wyższości. W dodatku niczym nieuzasadnionym. Bo kimże byt ten cały Wiesiek? Okropne imię, nawiasem mówiąc. Pochodził z jakiejś wiochy pod Gdańskiem. Jego ojciec zarobił trochę pieniędzy na saksach i kupił sobie mieszkanie w mieście. Potem jeszcze raz wyjechał, jeszcze raz zarobił i pomógł Wieškowi rozkręcić biznes. Ot i cała filozofia. Ale mamusia Wieśka, ta cała pani Władysława czy Bolesława, to chyba nawet nie skończyła podstawówki. Więc co tak nosa zadzierają - ona i jej synuś? Grażyna postanowiła nie ustąpić. Telefon wreszcie odbierze albo ten dupek Wiesiek, albo Anulka. Albo osobiście pojedzie do tego Gdańska i sobie z nimi pogada. A teraz fru do sąsiadki po pieniądze. Pójdzie do niej w szlafroku. Nie ma ochoty się ubierać. W końcu to tylko piętro niżej. Do Nowakowej. Więc nie ma sensu się pindrzyć. Wypindrzy się potem. Przed wyjazdem. Żeby dobrze się zaprezentować w Gdańsku. Kiedyś była tam z cyrkiem. Jeszcze za komuny. W latach osiemdziesiątych. Trwały tam jakieś demonstracje. „Solidarność”. Stare czasy. Do córki nie jeździła, bo Anka jej nie zapraszała. Zresztą nigdy nie były blisko ze sobą. Nie poszła nawet na jej ślub. Bo co to był za ślub? W urzędzie to żaden ślub. Całe to jej małżeństwo było gównem. Taka jest prawda. Ale to i tak cud, że ktoś się ożenił z tym pokurczem. Chociaż nie było z tego żadnych dzieci. Zresztą Grażynie nie spieszyło się do tego, żeby zostać babcią. Też coś! Babcia Grażyna Wichura. Dobrze sobie! Więc dobrze, że Anusia już mieć nie będzie żadnych dzieci z tym Wieśkiem. Skoro się rozwodzą. Tak czy inaczej, trzeba

będzie tam pojechać. Wreszcie zobaczyć tę chałupę Wieśka, do której jej córka tak się przywiązała. Pewnie bardziej niż do męża. Wyprowadzenie się przysłoby jej z żalem. Poza tym gdzie miałyby się przeprowadzić? Chyba jednak na Gibalskiego. Na wszelki wypadek po powrocie z Gdańska trzeba będzie trochę odgruzować mały pokój. Żeby Anka miała się gdzie podziać w razie czego. Chociaż nigdy nie lubiła tu mieszkać. Zawsze stąd uciekała. To pewnie teraz też długo nie zabawi. Ale zawsze.

Anka nie odbierała telefonów od matki. Wiesiek na szczęście się nie odzywał. Widocznie był zajęty swoją nową panią. Więc milczał jak zaklęty, bo chyba rzuciła na niego jakieś zaklęcie. No i dobrze. Najważniejsze, że mogła spokojnie dokończyć artykuł o Dombrowskim. Oczywiście nie wykorzysta żadnych rewelacji niejakiego Buddy. Ale zawsze dobrze wiedzieć, jak było naprawdę. Jednak prawda Buddy wydawała jej się mało wiarygodna. Skąd mógł wiedzieć, jak to było z jego poczęciem? Wymyślił sobie historyjkę. Ale jedno nie ulegało wątpliwości - profesor Dombrowski z jakiegoś powodu ukrywał przed światem to, że miał brata. O ile Ryszard Pokryfka naprawdę był jego bratem. A jeśli był, to czy to możliwe, żeby Dombrowski się go wyparł? Wstydział się go? To do niego niepodobne. Był prawym człowiekiem. Więc chyba jednak Budda kłamał, zmyślił sobie dziwną historyjkę i tyle. Może warto

dowiedzieć się więcej na jego temat. Co robił, zanim zaczął sprzedawać wieńce pogrzebowe? Może by tak zadzwonić do Moniki? Ona sporo wie o ludziach z Hali Targowej. Monika, owszem, chciała pogadać. Mogłaby nawet przenocować u Anny. Znowu była na gigancie. Ten łobuz, jej mąż, pobił ją po raz kolejny. Więc uciekła z domu i nie miała się gdzie podziać.

- Wiesz, wyszłam z domu i pierdolnęłam drzwiami. Nie mam ochoty tam wracać. Bo nie ma po co. Niech teraz Waldi poopiekuje się Sandrunią i Nicolcią - powiedziała przez telefon.

- To nie wracaj, przyjeźdź do mnie. - Anka wprawdzie nie miała wielkiej ochoty na to, by koleżanka odwiedzała ją w domu, ale musiała jakoś jej pomóc. Wiedziała, że Monika będzie dużo mówić. Dużo za dużo i o niczym. Jak to ona. Chyba że zechce coś powiedzieć o Buddzie. I o profesorze. Bo o Sinobrodym to chyba nie wie nic oprócz tego, co jej już opowiedziała. Poza tym narobi tu bałaganu. Będzie chciała pić i palić. Jak to Monika. Anka zaś tak marzyła o ciszy i spokoju. „Ludzie są nieznośni - pomyślała. - Nie radzą sobie ze swoimi problemami. Kłócą się. Zadają sobie ból". Oni z Wieśkiem potrafili żyć inaczej. Właściwie to się nigdy nie pokłócili. Najczęściej milczeli. Im gorzej się ze sobą czuli, tym ciszej było w domu. Ance to odpowiadało. Nie była pewna, czy Wieśkowi też. Ale się nie uskarżał. Czasem wzdychał. Nic jednak nie mówił. Byli niezwykle zgodni w tym obopólnym milczeniu. W dodatku Wiesiek cierpiał na bezdech i dlatego przeniósł się do gabinetu. Żeby jej nie budzić swoim

chrapaniem. Tak powiedział. Nie wiedziała, czym objawia się bezdech. Podejrzewała, że to zwykły wykręt. Po prostu nie chciał z nią spać. Ona też nie chciała. Więc nie protestowała. Poza tym Wiesiek rzeczywiście chrapał. Anka tego nie znosiła. Od dawna podejrzewała, że ma jakiś lepki romansik na boku ze swoją sekretareczką. Z tą tłustawą tlenioną blondyną. Że ze sobą sypiają. Była tego niemal pewna. „A niech mu będzie” - pomyślała. Najważniejsze, że miała spokój i mogła pracować. Wiesiek jej nie przeszkadzał. Dom robił się coraz piękniejszy i coraz bardziej niebieski. A to jej wystarczało. Właściwie to lubiła towarzystwo Wieśka. Nawet tęskniła za ich milczącym, beznamiętnym byciem razem. Przyzwyczała się do niego. Ale skoro odszedł i chciał rozwodu, to trudno. Tej kobiecie od początku o to chodziło. Pewnie dlatego zapisała się na siłownię. Chciała mieć pretekst do spotkań. Żeby uwodzić jej męża swoim grubym tyłkiem. Wiesiek dał się uwieść. Wychodził wcześniej, wracał późno. Później niż w czasach flirtowania z sekretarką. Ciągłe się gdzieś spieszył. Na nic nie miał czasu. Już nie cmokał żony w policzek. Mówił tylko to swoje „cześć”, tak pod nosem, niewyraźnie. Potem od razu wędrował do gabinetu. Zamykał się tam z laptopem. Nie chciał zjeść nawet obiadu. Wieczorem robił sobie jakieś kanapki. Albo wychodził z domu, bo miał rzekomo coś pilnego do załatwienia. Jakiś interes. Ależ tak, oczywiście. Interes.

- Znowu wychodzisz?

- Tak, mam pilne sprawy. Wrócę późno.

Anka przeczuwała, że Wiesiek kogoś ma. Że to jakaś kobieta. Już nie sekretarka. Ale nie przypuszczała, że to może być Gosia. W końcu podśmiewał się z jej tłustego tyłka, kiedy chodzili na siłownię. Ale cały czas milczeli na ten temat. Na każdy inny zresztą też. Na przykład na temat bezdechu i wieśkowego sypiania w gabinecie. Anka wolała jednak być dyskretna. Tak na wszelki wypadek, żeby nie kusić złego. Żeby nie padły jakieś niepotrzebne słowa. Takie, nad którymi nie będzie można przejść do porządku dziennego. Na co komu awantury, przemoc? To pasowało do domu Wichurów albo do Moniki, a nie do jej niebieskiego królestwa. Do jej serwisu w niezapominajki. I niezapominajek w ogródku. Na wiosnę oczywiście. Do tej błogiej ciszy i spokoju. Wydawało jej się, że Wiesiek też lubi atmosferę tego domu. Ale nie. W końcu zadzwonił do niej ten ktoś „życzliwy” i powiedział całą prawdę.

O Wieśku i o Goście. Że się jej mąż chce z nią rozejść i zamieszkać z Gosią. Nieskładnie, bo nieskładnie, ale powiedział. Ten nie wiadomo kto. Więc tym razem postanowiła zapytać męża wprost:

- Gzy to prawda? Powiedz, proszę.

Wiesiek, zamiast odpowiedzieć, spuścił wzrok. Na drugi dzień spakował swoje rzeczy i wyniósł się do niej. Dwie ulice dalej. Chyba już od dawna naciskała, żeby wreszcie się przeniósł. Zależało jej. Upolowała go i chciała skonsumować. W całości. Mieć zdrowego i majątnego chłopca pod swoim dachem. A nie tak z doskoku. Nawet jeśli te doskoki były częste. Chciała chłopca chrapiącego i rozrzucającego po całym domu

swoje brudne skarpetki. Nie marzyła o niczym innym. Chociaż jeszcze niedawno przeszkadzały jej skarpetki zupełnie innego mężczyzny.

Kiedy Wiesiek wyprowadzał się od żony, nic nie powiedział. Zostawił jedynie karteczkę. Taką malutką. Anka nie dzwoniła do niego, nie płakała. Rozstali się w ciszy. Spokojnie i kulturalnie. Myślała, że to dobrze, że bez awantur i że wszystko odbyło się prawie bezboleśnie. Wiesiek też był jej wdzięczny za to milczenie. Doceniał je, zwłaszcza że jego nowa kobieta ciągle czegoś od niego chciała. Była raczej z tych głośnych bab. Niezbyt mu to pasowało. Lubił ciszę i spokój. Nie znosił awantur. Jego matka ciągle darła się na ojca, co zawsze stresowało Wieśka. Więc od początku przeszkadzały mu wrzaski Gosi. Odstępowały go. Przypominały mu o matce. W takich chwilach zaczynał myśleć o powrocie do domu. Do żony.

Ale Anna nic nie wiedziała na ten temat. Monika natomiast nie miała dokąd pójść. Chyba będzie musiała wrócić do męża, który ją tłukł. Wprawdzie od czasu do czasu, ale za to dotkliwie. Gdy się kłócili o pieniądze, których wiecznie brakowało w domu. Monika od lat go utrzymywała, bo był na bezterminowym bezrobociu. Zmiana stroju zbyt wiele go kosztowała. A praca, taka znojna, fizyczna, była poniżej jego godności. Godność i honor zaś to w życiu mężczyzny sprawy fundamentalne. Więc Monika musiała utrzymywać rodzinę i od czasu do czasu dostawać od swojego ślubnego w ryja za całokształt lub ciałokształt. Uciekała wtedy z domu na kilka dni, a potem wracała. Do męża i do córek. Bo

przecież jakikolwiek by był, to zawsze mąż. A małżeństwo, takie prawdziwe, pobłogosławione w kościele, to nie jakiś tam byle jaki kontrakt zawarty w urzędzie. Kościelne małżeństwo miało wymiar mistyczny. Monika przez dwie godziny tłumaczyła Ance, jakie to ważne, żeby ten wymiar był obecny w życiu. Przy okazji wypłała półtorej butelki wina i poszła spać na górę.

Nie dość, że poniedziałek, to jeszcze ktoś z samego rana dobijał się do drzwi. Monika chrapała na nierozścielonym łóżku w pokoju gościnnym. Jej chrapanie doskonale słychać było na górze w sypialni. Do tego dochodziło jeszcze walenie do drzwi. Pewnie to Wiesiek albo ta jego kochanica. Dlaczego o tej porze? Było jeszcze całkiem ciemno. Poza tym Wiesiek miał klucze. Chyba że zgubił. Schodziła powoli po schodach, zastanawiając się, kto postanowił wyrwać ją ze snu o świcie. Wiesiek by sam otworzył drzwi, a poza tym uprzedziłby ją o swojej wizycie. Zwykle tak właśnie robił.

Oczywiście, że to nie Wiesiek. Za drzwiami stała Grażyna. W kapeluszu z ogromnym rondem i z rozwianym włosom, w długim, skórzanym płaszczu. Wyglądała jak połączenie Maryli Rodowicz albo Zdzisławy Sośnickiej z bolszewickim komisarzem. W dodatku sprawiała wrażenie już mocno zniecierpliwionej tym, że córka kazała jej tak długo czekać.

- Co się tak guzdrzesz? Zmarzłam jak cholera. Już tu chyba z dziesięć minut sterczę pod drzwiami. Jak

głupia. Myślałam, że może gdzieś wyjechałaś i przyjechałam na darmo.

Bez słowa wpuściła matkę do domu. Była zdziwiona tą wizytą. Od razu domyśliła się, o co chodzi. Grażyna nigdy wcześniej nie zaszczyliła córki wizytą w jej domu. W końcu ich relacje od wielu lat ograniczały się do sporadycznych rozmów telefonicznych. Oczywiście ważną rolę odgrywał jeszcze przekaz pieniężny, który Anka wysyłała matce co miesiąc. Musiała wysyłać pieniądze pocztą, bo Grażyna nie chciała założyć sobie konta bankowego. „Niczego nie będę ci ułatwiać” -mówiła do córki, gdy ta prosiła ją, by jednak założyła rachunek bankowy, bo to ułatwi wiele spraw. Ale Grażyna była nieugięta. Lubiła, jak co miesiąc przychodził do niej listonosz z pieniędzmi od córki. Ze względu na sąsiadki, bo widziały, że nie jest sama, że kogoś ma. Poza tym listonosz też był całkiem atrakcyjnym mężczyzną. W efekcie jego wizyta okazywała się czymś, na co czekała przez cały miesiąc. Z córką łączyły ją tylko pieniądze. Od samego początku. Nic poza tym. Ale pieniądze były przecież najważniejszą rzeczą w życiu Grażyny.

-Wyglądasz okropnie. Gorzej niż na pogrzebie. Nie myśl, że cię nie widziałam w kościele. Nie noszę żadnych okularów, bo w przeciwieństwie do ciebie mam sokoli wzrok. Nie potrzebuję się postarzać żadnymi cholernymi okularami. A ty do tych swoich bryłów jeszcze jakąś nieszczęsną czapkę dodałaś. Mogłaś coś lepszego na łeb założyć. Albo kupić sobie perukę. Te wszystkie baby, co się na pogrzeb zleciały jak

czarne wrony, tak się wyfiokowały, a ty nic. Szara myszka. W ostatnim rzedzie. Jak zwykle. Ja tylko udawałam, że nie widzę. Nie chciałam ci psuć humoru. I tak miałaś zepsuty. Bo się mnie wstydzisz, więc jeszcze bardziej bym ci ten nastrój zwarzyła, gdybym do ciebie podeszła. Nie wzdychaj tak. Nie musisz udawać, że się cieszysz z mojej wizyty. Ale skoro nie odbierasz telefonów ode mnie, to musiałam przyjechać. No i jestem.

Anka nic nie mówiła. Wiedziała, że nie warto przerywać słowotoku matki. Grażyna musiała się wygadać za wszystkie czasy. W końcu miała niewiele bliskich osób. Tylko te sąsiadki, którym wróżyła.

- Napijesz się czegoś?

- Nie tylko napiję się, ale zjem coś. Jestem głodna jak wilk. A raczej jak jakaś wilczyca. - Mówiąc to, Grażyna usiadła na krześle w kuchni. Czekala, aż córka ją obsłuży. W końcu od tego ma się córkę. Żeby była podporą na stare lata. Z całą pewnością nie od tego, żeby umierała, zanim matka kopyta wyciągnie. Albo paradowała przed nią jak cień z łysą głową. Mogła chociaż chustkę założyć. A nie tak latać po domu z tą łysą pałą.

- Chcesz kawy czy herbaty?

- Kawy, oczywiście. Ale takiej mocnej. I dużo. W kubku albo w szklance. I zrób mi jajecznicę na boczku. Taką jak lubię. Chyba wiesz, jaką lubię? - W głosie Grażyny wyczuwało się niepokój.

Anka uwijała się jak fryga przy kuchence i ekspresie do kawy. Sama nie wiedziała dlaczego. Z dzieciństwa zapamiętała, że jak matka czegoś od niej chciała, wtedy to coś musiało być gotowe natychmiast. Inaczej jej

rodzicielka wpadała w złość i głośno wrzeszczała. Do dziś bała się tego wrzasku. Na samą myśl o tym, że miałyby jeszcze raz usłyszeć ten jazgot rozwścieczonej Grażyny, przechodziły ją ciarki. Dlatego starała się sprostać stawianym jej wymaganiom. Więc teraz pracowała pod presją. Tak jak wtedy, gdy była małą dziewczynką. *Déjà vu.*

— No i załóż chustkę na ten łysy łeb. Ludzi nie strasz. - Grażyna tym razem chyba przeciągnęła strunę. Anka odwróciła się w jej kierunku i wymownie spojrzała matce prosto w oczy. Potem obróciła się na pięcie i wyszła z kuchni. Po chwili Grażyna poczuła swąd. Bekon się palił. Bezczelna dziewczucha specjalnie zostawiła ten bekon na patelni. Żeby się spalił. Żeby matce dopiec. Jak zwykle. Zawsze była wredna. Grażyna postanowiła uratować bekon. Sama sobie zrobi jajecnicę. Skoro córka niewdzięcznica polazła na górę stroić fochy. Jednak bekon okazał się ważniejszy od córki. W końcu była zmęczona i głodna po długiej podróży. Gdzie są talerze? Wszystko tu pochowane. Wychuchane, wydmuchane, tak że strach się poruszać. Zwłaszcza że ubłocone buty Grażyny zostawiały brudne ślady na doszorowanych posadzkach w domu Anny. Widać, że jej córka nie ma co robić, skoro jej dom jest tak porządnie wysprzątany. Nawet tu ładnie. Ale jakoś tak chłodno. Nieprzytulnie. Wszystkie rzeczy pochowane. Ani śladu życia. Jeśli tak ma wyglądać prawdziwy dom, to Grażyna wolała swoje małe mieszkanko przy Gibalskiego. Żadna normalna kobieta nie ma przecież tak sterylnej kuchni. Tam, gdzie się gotuje, musi być

trochę rozgardiaszu i muszą być zacieki z tłuszczu, tak samo jak brudne naczynia. Przecież to normalne. A tu nic. Wzorowy porządek i czystość. Nic dziwnego, że ten gburowaty Wiesiek Formela wyprowadził się do innej kobiety. Normalniejszej. Takiej, która nie boi się bałaganu. Trochę bałaganu naprawdę nikomu nie zaszkodzi. A tutaj nic. Ani źdźbła.

Monika obudziła się na lekkim kacu. Wczoraj wypijała trochę za dużo. Nie pierwszy raz i nie ostatni. Była na gigancie. Z dala od wiecznej domowej awantury. Więc czuła się szczęśliwa. Może zostanie tu do świąt? Na święta niestety się nie da, bo tradycja żąda ofiary, nie tylko kulinarnej. Święta to jedno wielkie pasmo ofiar i poświęceń, które trzeba złożyć na ołtarzu domowego piekła. Ale teraz nie musiała jeszcze myśleć o koszmarze świąt, na które w dodatku nie miała pieniędzy, więc chyba trzeba będzie wziąć jakąś chwilówkę albo pożyczyć od kogoś. Nie pójdzie łatwo, bo przed Bożym Narodzeniem wszyscy mają wydatki i mało kto ma ochotę pożyczać pieniądze. Ale to były rzeczy, o których nie warto myśleć w takiej chwili w tym ślicznym, czyściutkim domu. Naprawdę nieważne, że jej mąż - ten nieznośny skurczybyk i damski bokser - oraz dwie córki nie dostaną dziś obiadu. Może nawet jutro też nie dostaną, kto wie? Wszak mamusia była na gigancie. Oni i tak poradzą sobie bez niej. Chwila samodzielności dobrze im zrobi. Najwyżej zabraknie im

pieniędzy. Ale to przecież drobiazg. Ten poniedziałek miała wolny, więc mogła jeszcze pospać. Tylko na dole coś się działo. Chyba ktoś przyszedł. Może mąż Anki? Ciekawe, czy przytył? Zawsze wyglądał jak wieprzek. Krótkie nóżki, krótkie rączki, a brzuszysko wielkie. Świński blondyn. Anka naprawdę mogła wybrać lepszą partię. Dobrze, że nie mają dzieci, bo jeszcze by po nim odziedziczyły urodę.

Postanowiła wstać i się ubrać. Chyba jest tu jakaś aspiryna? Przydałaby się. Bo aż buzowało jej pod czachą. Wiadomo, kac.

Zderzyły się na korytarzu. Wtedy Monika zauważyła, że jej koleżanka płacze.

- Co się dzieje? -Nic.

- Jak to nic, skoro płaczesz? Kto tam jest na dole?

- Moja matka.

- To ty masz matkę? -Ano mam.

Monika ogromnie się zdziwiła, gdy zobaczyła Grażynę. Ten kudłaty łeb matką Anki? Wykwintnej panienci z dobrego domu? Schludniutkiej, czyściutkiej. Coś tu nie pasowało. Właściwie to nic nie pasowało. Prawdę mówiąc, to wysztafirowane czupiradło nie wyglądało na niczyją matkę. „Dziwne stworzenie” - pomyślała Monika. Wygląda, jakby była jedną z dziewczyn z Abby. Miała w sobie coś z tej starszej, ciemnowłosej Fridy. Niemniej figurę zachowała dobrą, nawet do teraz, niestety reszta, a zwłaszcza stan jej uzębienia, pozostawiała nieco do życzenia, nie da się ukryć.

- Dzień dobry.

- A dzień dobry, dzień dobry. Choć wcale nie taki dobry, bo się boczek spalił. A gdzie jest nasza Anulka? Gdzie, do jasnej cholery, ją wywiało? Miała śniadanie matce zrobić, ale gównem zrobiła zamiast śniadania. Więc sobie zapalę. Nie będzie pani przeszkadzało, prawda? A nawet jeśli będzie, to trudno, bo ja i tak muszę sobie zapalić. Tak już mam.

Monika, zwykle wygadana i pyskata, nie wiedziała, co ma odpowiedzieć, więc nic się nie odezwała. Wolała milczeć. Ta ruda jędra nie spodobała jej się od pierwszego wejrzenia. Do tego jeszcze ten smród tanich papierosów. Chciała wyjść z kuchni, ale Grażyna nie miała ochoty zostawać sama. Musiała z kimś porozmawiać. Jeśli córka nie miała ochoty na rozmowę, to może chociaż ta korpulentna blondyna będzie bardziej otwarta. Poza tym ona może coś wiedzieć o chorobie Anny. Grażyna nie wiedziała prawie nic. Mimo że powinna wiedzieć wszystko. Jako matka. Bądź co bądź. Chociaż Anna chyba nie uważała jej za prawdziwą matkę. Nie miała do niej zaufania. To było pewne. Nie zwierzała się. Nigdy nie okazywała wylewności. Wręcz przeciwnie, była zamknięta. Zasznurowana. Tak na amen. Chyba nikt nie miał do niej dostępu. Do jej życia. Jej myśli. Ale Grażynie było wszystko jedno. Wisiało jej to - tak sobie myślała. Chociaż to nie do końca odpowiadało prawdzie. W rzeczywistości ten brak więzi z jedyną córką okazał się jej życiowym niepowodzeniem. Jednym z wielu. To prawda. Miała ich od cholery i trochę. Nic jej się nie udało. A teraz ta jej jedyna

córka chciała tak po prostu przenieść się na łono Abrahama, jak ojciec Grażyny. Po cichu. Podstępnie. Zostawić matkę zupełnie samą. Bez żadnych funduszy, co gorsza. A na to Grażyna nie chciała przystać. W końcu urodziła ją nie po to, żeby teraz ot tak sobie umarła. Więc przyjechała do tego cholernego mieściska. Wydała kupę pożyczonych pieniędzy na bilet kolejowy, a potem jeszcze na tramwaj, dużo mniej, ale zawsze. Teraz siedziała w eleganckim domu, który niestety nie należał do jej córki. Anusia zaś chyba znowu się na nią obraziła. Poleciała na górę. Pewnie tam ryczy, bo usłyszała kilka słów prawdy na temat swojego aktualnego wyglądu. Zamiast się gniewać, powinna założyć na łeb tę nieszczęsną chustkę. Byłoby po sprawie. Więc gdy Monika chciała wyjść z kuchni, Grażyna gwałtownie zaprotestowała:

- Niech pani zostanie, bardzo proszę! Musi mi pani wszystko opowiedzieć, bo czuję, że pani coś wie.

- Ja? Ja nic nie wiem. Pani córka choruje. Poważnie choruje, ale to ją pani musi zapytać, co jej dolega. -Monika nie miała zaufania do tej kobiety, która chyba tylko z nazwy była matką jej koleżanki.

Anka postanowiła, że wróci do łóżka. Nie będzie rozmawiać z matką. Dość już tego. Miarka się przebrała. Była potwornie zmęczona. Więc niech się Grażyna sama obsłuży. Jest dużą dziewczynką. Egoistyczną, rozpuszczoną ponad wszelką miarę, ale powinna sobie dać

radę. Z jajkami na bekonie, a nawet z kawą. Oczywiście parzoną w filiżance, bo ekspresu pewnie nie obsłużą. Poza tym jest jeszcze Monika, więc będzie miała towarzystwo.

Żeby zapomnieć o nieprzyjemnej scenie w kuchni, wysłała esemesa do Svena. Wcale nie miała nadziei, że odpowie. Od pewnego czasu uparcie milczał. Podejrzewała, że już się do niej nie odezwie. Ale tym razem komórka zapiknęła już po chwili. To nie była ani Grażyna, ani Wiesiek. Komunikat jak zwykle okazał się krótki: ***Przestań mnie tak kontrolować.*** Jak to kontrolować? To było niewinne pytanie, co słyhać, jak się miewasz. Nic szczególnego doprawdy. On zaś nie odzywał się przez długie tygodnie, a teraz zamiast napisać coś miłego, zazgrzytał. Gbur. Udaje, że nic się nie wydarzyło. Wtedy, w „Scandicu”. Ani potem, gdy po raz drugi była jego gościem w Oskarshamn. Że go to nie obeszło. Nic a nic. Że nie zostawiło śladu. Więc spróbowała raz jeszcze. Może wróci mu pamięć. Znowu zgrzyt: ***Przestań mi wmawiać, że...*** No nie! Dość, dość tego. Natychmiast wyłączyła telefon, żeby nie dowiedzieć się, co takiego chciała mu wmówić. To nieważne. Pomyliła się. Jasna cholera by to wzięła. Niepotrzebnie się angażowała. Liczyła, że tym razem trafiła na właściwego mężczyznę. To banalne i bez sensu. Niepotrzebnie go usprawiedliwiała, tłumacząc sobie, że się przestraszył jej choroby, bo jest wdowcem. W dodatku dwukrotnym. Więc boi się zostać nim po raz trzeci. Na co komu takie tłumaczenia? Przecież tu nie ma czego tłumaczyć. Nawet nie raczył z nią porozmawiać przez telefon. Odkąd wyszła

ze szpitala. Rozmowa telefoniczna to chyba nie jest aż tak wielki wysiłek. Można porozmawiać choć przez kilka minut. Ogromnie tego potrzebowała. Właśnie teraz. Nie miał na to czasu. Ani ochoty. Zwłaszcza tego drugiego. Zwłaszcza że jak nic przygruchał sobie jakąś wesołą, długonogą Szwedkę i tam się zabawiają. W tym cholernym domku Sinobrodego. Na cmentarzu - mauzoleum niejkiej Fridy Dibelius. Ależ skąd, wcale nie była zazdrosna. Miłość bywa zachłanna i przeczy niezależności. Dlatego napisał o kontrolowaniu. Ale najpierw trzeba ją mieć. Miłość, nie kontrolę. A tu nie było o tym mowy. Bo za mało rozmawiali. Właściwie prawie wcale. Sven nie lubił rozmawiać. Nie dopuszczał do rozmowy. Chociaż próbowała. Wiele razy.

Na przykład wtedy, w „Scandicu”, jak po raz pierwszy byli ze sobą, odwrócił się i udawał, że śpi. Nie, nie chrapał jak Wiesiek. Przynajmniej wtedy. Oddychał miarowo, spokojnie. Słysząc było jedynie szum klimatyzacji i jego oddech. Nic poza tym. Jej pytanie, zadane szeptem, zawisło w tej ciszy. Jakie to było pytanie? Już zapomniała. Pamiętała wyłącznie szum klimatyzacji i to, że odwrócił się do niej plecami. A gdy już wstał i poszedł do łazienki, znowu o coś zapytała, chcąc jakoś zacząć rozmowę. Czy to tak trudno zrozumieć? Ze chciała porozmawiać, dowiedzieć się, co z nimi będzie? Wtedy spojrzał na nią z niechęcią i rzucił:

- Och, nie zaczynaj znowu.

Jakie tam znowu?! I skąd ta zmiana nastroju? Przecież dwie godziny wcześniej mówił, że jest mu z nią dobrze. Więc gdy już wszedł do łazienki i usłyszała

szum wody, po prostu się ubrała i wyszła. Wtedy znów dopadł ją ten straszny ból głowy. Jechała taksówką do Oliwy, do domu. Wierzyła, że tam poczuje się lepiej. Ze głowa przestanie ją boleć, jak tylko położy się na poduszce w swojej niebieskiej sypialni. Dobrze, że to zdarzyło się w hotelu. Ze on nie chciał przyjść do niej. Chociaż go zaprosiła. Ale nie chciał. Wolał w hotelu. Pewnie dlatego, że tam jest bardziej bezosobowo. Bez zobowiązań. Zupełnie jakby była dziewczyną na telefon. Bał się właśnie tego - zobowiązań. Rozumiała to świetnie. Dlatego się zgodziła, przystała na jego warunki, bo się bała, że będzie tak jak wtedy, w jego domu w Oskarshamn. Jeśli odrzuci propozycję, żeby się spotkać w hotelu, to więcej się do niej nie odezwie. Bała się tego i dlatego przyjechała do hotelu. Chociaż to zupełnie nie było w jej stylu. Niezmiernie tego żałowała.

Po powrocie do domu męczyła się w łazience. Dopadły ją wymioty, a potem z goryczą w ustach usiłowała się zdrzemnąć, żeby ten cały niesmak i ból jakoś się zatarły. Nawet do niej nie zadzwonił. Nic. Ani słowa. Więc niesmak trwał. Mimo to dalej wierzyła, że z tej znajomości wyniknie coś ważnego. Ze nie wszystko stracone. Przecież nawet w tym hotelu, gdy byli razem po raz pierwszy, czuła to samo, co na przystani promowej, kiedy uścisnął jej dłoń. Wszystko zaczęło się właśnie od tego uścisku dłoni. Potem, gdy się przewracała z boku na bok w koi na promie, to cały czas wracało. Prawdziwe pragnienie, którego nie czuła nigdy przedtem. Obecność Wieśka, jego dotyk nigdy nie wzbudzały w niej tego odczucia. Z Wieśkiem to

było najwyżej spełnianie powinności. Nic więcej. Nie powinna za niego wychodzić. Ale tak pragnęła mieć dom. Gość normalnego w życiu: męża, dom. Może nawet dzieci. Zapach porannej kawy i jajko na miękko na śniadanie. W błękitnym kieliszeczku. Kaszubskie hafty, holenderskie kafle. Miedziane rondle. Starą porcelanę, którą skupowała na pchlich targach. Pachnącą pościel. Piękne jasne deski na podłodze. Proste, ale wykwintne meble. Spokój i pewność jutra. To wszystko oferował jej Wiesiek. I jeszcze poczucie bezpieczeństwa. Złudne, jak się okazało. Ale to była jej wina. W ich związku od początku brakowało tego, o czym oboje wstydzieli się mówić. Więc nie miała do niego pretensji ani o sekretarkę, ani nawet o Gośkę. Nie miała żalu nawet o to, że zostawił ją w najtrudniejszym momencie. Wiedział przecież, że ciągle ją głowa bolała. Żadne proszki na to nie pomagały. Migrena gonila migrenę. Aż w końcu lekarz stwierdził, że to może być guz. Powiedziała o tej diagnozie Wieskowi przy kolacji. Przecież musiała komuś powiedzieć. Ale chciała zrobić to spokojnie. Bez hysterii, tak żeby nawet nie zadrzała jej powieka. Oni zawsze spokojnie rozmawiali o wszystkich trudnych sprawach. Spokojnie i rozsądnie. Jak kulturalni ludzie. Wiesiek zawsze chciał być kulturalnym i dobrze wychowanym mężczyzną. Anka wiedziała o tym, więc zawsze rzeczowym, spokojnym tonem zaczynała poważne rozmowy. Nawet jeśli skręcało ją w środku. Tak jak wtedy, po pierwszej diagnozie.

-1 co mówi lekarz? - zapytał obojętnym tonem, gdy mu powiedziała, że dostała skierowanie na badania.

- To pewnie nic groźnego, ale idź. Zawsze warto sprawdzać takie rzeczy.

- No właśnie - powiedziała. Chciała jeszcze dodać, że się boi, nawet panicznie się boi, bo to może być guz, i to w dodatku złośliwy. To ją napawa takim lękiem, że od kilku dni nie mogła ani jeść, ani spać, ani pracować, ale jak zobaczyła, że Wiesiek jest znudzony i ziewa, zrezygnowała. A on poczłapał do salonu, włączył telewizor i całą swoją uwagę skupił na reklamie środka na potencję.

Grażyna postanowiła wejść na górę do córki. Musiała z nią porozmawiać. To było pilne. Nie mogło czekać. Anulka ma muchy w nosie. Rozpieszczona jak zawsze. Francuski piesek. Stary Wichura miał rację, jak mówił, że Marysia hoduje francuskiego pieska. Tam, u siebie, na Pańskiej. Jaśnie panienkę, córuchnę jaśnie panicza Robercika. Codziennie rano robiła jej kakao z pianką i jajeczko na miękko. Głaskała ją po główce. Grażyna zaś zostawiała tam córkę dla wygody. Marysia była bowiem dobra i uważna. Utrzymywała małą z własnych pieniędzy. Nie brała od Grażyny nic z alimentów, prawie nic. Trzeba przyznać, że Anulka szczęście w życiu ma, cwana gapa z niej jest. W przeciwieństwie do Grażyny, której wiatr zawsze wiał w oczy. Innymi słowy, z deszczu pod rynnę. Taka karma. Nic na to się nie poradzi. Nie ma co, Anka żyła jak milionerka. Miała dom, że ho, ho. Jeszcze mieszkała w nim sama! Jednak

żyłkę do interesów ma. Po tatusiu. A w dzieciństwie zapowiadała się na taką gułę. Grażyna zawsze jej mówiła, że nie umie się zakręcić. A tu niespodzianka -zakręciła się, i to jeszcze jak! Grażyna żałowała, że nie przyjeżdżała tu wcześniej. Mogłaby spędzać tu wakacje i święta. Sąsiadki namawiały ją do tego, a ona zawsze odpowiadała, że woli Gibalaka, że ciasne, ale własne. Teraz zaczęła żałować. Tu było luksusowo. Tyle miejsca, w dodatku sam dom nieźle urządzone. Owszem, niezbyt jej się to podobało. Nie znosiła niebieskiego koloru. Ani porządku doprowadzonego do tego stopnia, że nigdzie nie ma żadnego pyłku. To było chore. Tak wszystko ciągle czyścić i pucować. Ale mimo to dom świetnie się prezentował. Postanowiła, że zostanie tu na święta. Zaraz obwieści to córce. Przynajmniej Anka nie będzie sama w tej chorobie.

- No co się tak boczysz jak mała dziewczynka? -Grażyna wtargnęła do sypialni Anki bez pukania. Córka leżała na zaścielonym łóżku. Z twarzą wtuloną w poduszkę. - Możemy chwilę porozmawiać? Może byś tak odwróciła się w moją stronę i wysłuchała tego, co mam ci do powiedzenia? - Irytacja w głosie Grażyny rosła z każdym wypowiedzianym słowem. Była wściekła na córkę, że ją ignoruje. Nigdy nie traktowała poważnie matki cyrkówki. Grażyna o tym wiedziała. Czowała się głęboko dotknięta zachowaniem córki. Lekceważeniem ukrytym pod politurą dobrych manier i powściągliwości. Tego nicniemówienia, niekomentowania, nieodzywania się miesiącami. Przekaz pieniężny nie załatwiał sprawy. Zobowiązania wobec matki to

coś więcej. Trzeba jeszcze zainteresowanie okazywać. Uczucia. - I co się tak nabzdyczyłaś? Ze ci o tej chustce powiedziałam, żebyś ją założyła, bo straszysz tą łysą pałą? To przecież dla twojego dobra. Jestem twoją matką, a nie jakąś tam ubogą krewną, którą można lekceważyć! Bo ty wszystkich lekceważysz. Pani doktor od spraw nieważnych i nikomu niepotrzebnych! Do tego po ojcu jesteś Żydowicą!

- Wyjdź! Wyjdź z tego domu i więcej się tu nie pojawiaj, rozumiesz?!

- Anka ze złości aż usiadła na łóżku. Nigdy dotąd nie podniosła głosu na Grażynę. Nigdy nie rozmawiała z nią poważnie. Jak z matką. Ale teraz miarka się przebrała. Miała dosyć nieokrzesań i egoizmu Grażyny. I tego, że zawsze chodziło jej o pieniądze. Ze swoje macierzyństwo traktowała jak dobry interes. Pretekst do tego, żeby wyciągać od jej ojca pieniądze, które zamiast na dziecko wydawała na ciuchy i na kosmetyki. Żeby się podobać kolejnym kochasiom. Dlatego przyjechała. Bo się niepokoiła o spadek. O to, co zrobi Mańka. O jej machinacje, żeby wydziedziczyć Ankę. Ten spadek to była emerytura Grażyny. Przecież własnej sobie nie wypracowała. Więc córka musi ją utrzymywać. I oby miała z czego.

- Zostaw mnie w spokoju. I przestań się interesować cudzymi pieniędzmi! To chyba u was rodzinne?

- Myślałby kto?! A ty to może nie należysz do naszej rodziny?

- Nie należę.

- Należysz, należysz. Matki się tak łatwo nie wyprzesz, o nie! Jesteś cwaniarą i oportunistką. Ktoś

wreszcie musiał ci to powiedzieć, moja pani. Dobrze się w życiu ustawiłaś. Zawsze na cudzy koszt. Złapałaś bogatego męża. Oj, umiałaś się zakreć. Naiwna to ty nie jesteś. Teraz symulujesz chorobę, nawet ogoliłaś sobie łeb. A wszystko po to, żeby mąż się zlitował i wrócił do ciebie. Przejrzałam cię.

- Wyjdz! - Anna ryknęła tak głośno, że aż sama się przestraszyła swojego głosu. Nie wiedziała, że ma taką moc w płucach; ona - eteryczna, drobniutka Ania.

Grażyna uznała, że nic tu po niej. Ze już wszystko powiedziała. Przynajmniej wygarnęła córce wszystko, co jej leżało na wątrobie. Od wielu lat. Między nimi nigdy nie było szczerości. Grażyna zaś zawsze ceniła szczerość i otwartość. A nie hipokryzję i kłamstwa, jak lubiły te cholerne Baumanny. Wyszła z sypialni, trzaskając mocno drzwiami. Potem z przytupem zbiegła po drewnianych schodach na dół, gdzie pośrodku salonu stała osłupiała Monika. Była zaszokowana tym, co się wydarzyło. Grażyną przede wszystkim. I tym, że jej koleżanka potrafiła tak się wydrzeć. Ta słaba, delikatna Ania. Naprawdę trudno w to uwierzyć. Może wcale nie była tak ciężko chora?

Grażyna stanęła naprzeciwko osłupiałej Moniki i rzuciła jej w nos:

- I co się tak gapi? Go się gapi? Go tu robi w nie swoim domu?

Potem chwyciła torbę i papierosy, które leżały na stole w kuchni. Zarzuciła na ramiona płaszcz, a na głowę włożyła swój dziwaczny kapelusz z dużym rondem. Wyglądała w nim naprawdę cudacznie.

„Pani

w czarnym kapeluszu" - pomyślała Monika. Była ciekawa, ile lat ma matka Anki. Chociaż zniszczona papierosami i nieuregulowanym, jak się wydawało, trybem życia, wyglądała dosyć młodo. Za młodo, żeby być matką Anki. Może to była jej panińska córka? Jeszcze ze szkolnych czasów. Takie wpadki zdarzają się zawsze. We wszystkich epokach.

Monika nie wiedziała, co powinna zrobić. Czy pójść na górę, czy może jednak wrócić do domu? Na to drugie nie miała jednak najmniejszej ochoty. Zwłaszcza że była na kacu i po wczorajszym jeszcze było od niej czuć alkohol. Waldi zaraz miałby powód, żeby na nią wygadywać. Ze pije. Więc postanowiła czekać, aż Anka się uspokoi i zejdzie na dół. Wtedy się zastanowią, co robić dalej. Anka już się wyplakała. Nawet poszła pod prysznic. Słysząc było, jak lała się woda. Pewnie teraz myśli o tym, co wykrzyczała jej matka. W złości. W nerwach, ale zawsze. Bo to, że Anka była oportunistką, to szczerą prawdą. Przecież powinna unieść się honorem, kiedy zostawił ją mąż i przeniósł się do jakiejś baby. Monika po czymś takim od razu by się wyprowadziła. Złożyłaby w sądzie pozew o rozwód. A Anka co? Siedziała w domu sama. Cicho jak mysz pod miotłą. Nawet nie napisała żadnego pozwu. Ustawiała swoje filiżanki w serwantce, ścierała kurze. Pisała swoje artykuły. Naukowe, oczywiście. Nie ruszało jej wcale, że jej ślubny gził się z inną kobietą, i to dwie ulice dalej. Wszystkie sąsiadki pewnie się z tego śmiały. Z Ani, że jest dupa wołowa. Ze nie umie się postawić. Monika zawsze umiała. Dlatego Walduś ani piśnie, ilekroć ona

nogą tupnie albo podniesie głos. A tutaj zawsze cisza i spokój. Tylko dziś Ania głos podniosła. Na mamusię. Z której jest chyba niezłe ziółko.

Anka długo stała pod prysznicem. Chciała zmyć z siebie tę złość. I wstyd. Za matkę. Zawsze się wstydzila matki. Bała się, że ją skompromituje. Przed kolegami, a potem przed mężem. Całe szczęście, że w jej szkolnych czasach Grażyna ciągle jeździła w objazdy i dlatego nie chodziła do szkoły na wywiadówki. Prawie nigdy. Potem Anka wyjechała na studia do Gdańska. Żeby być jak najdalej od matki. Ale zawsze się obawiała, że Grażyna może się pojawić i ją skompromitować. Właśnie tak się stało. Monika miała wiele zalet, ale nie była dyskretna. Więc wieść o tym, jaką Anka ma matkę, szybko się rozejdzie.

Teraz stała pod prysznicem i myślała, co powiedzieć. Czy w ogóle poruszać ten temat? Lepiej nie. Milczenie zawsze jest złotem. Poza tym zaczęła ją boleć głowa. To z nerwów. Albo to nawrót choroby, ponieważ ból się wzmacniał. Najbardziej jednak zabolalo ją to, że Grażyna oskarżyła ją o oportunizm. Uderzyła celnie. Niestety. Ten dom był dla niej ważniejszy niż wszystko inne. To był jej azyl. Marysia Wichura nauczyła ją tego słowa. Dawno temu, gdy mieszkała u niej w starej kamienicy przy Pańskiej.

Zastanawiał się, czy zabukować bilet na samolot, czy jednak tradycyjnie wybrać prom. Chyba go

wyczuła, bo znowu przysłała esemesa. Nie wytrzymał i znów jej odpowiedział. Chociaż obiecywał sobie, że zakończy tę znajomość. Jednak znowu nie wytrzymał. Był o to wściekły na siebie. Ciągłe nie mógł się zdecydować. Nie wiedział, czy zatrzyma się w Oliwie, czy w jakimś bardziej bezosobowym miejscu. Czyli w hotelu. Może znowu w tamtym hotelu? Jednak chyba tym razem w Oliwie. U ojca. Bo Oliwa to jego dzieciństwo. Spacerzy z rodzicami. W niedzielę. Nie, nie chodzili do kościoła jak przykładowa polska rodzinka. Matka zawsze była niewierząca. Wojująca ateistka i ideowa komunistka. Ojciec chyba też był z tych raczej wątpiących. Chociaż do religii odnosił się z szacunkiem. Zresztą kto by go tam rozgryzł. Stary ze wszystkiego robił tajemnicę. Tak czy inaczej, w niedzielne przedpołudnia państwo Dombrowscy omijali katedrę oliwską szerokim łukiem. Nie chcieli się mieszać z tłumem wiernych. Ale i tak się miesza! Podczas spaceru. Potem jedli obiad w domu. Wtedy pachniało rosołem i pieczonym kurczakiem. A później matka parzyła kawę. Ten aromat lubił najbardziej. Chociaż wolał herbatę. W dodatku umiał ją dobrze parzyć. Kawa jednak kojarzyła mu się z rodzinnym domem i z niedzielą. To były odległe czasy. W każdym razie bał się wracać do Oliwy. Nie był tam od lat. Podczas rzadkich wizyt w Gdańsku zatrzymywał się w hotelu. Ale teraz to mieszkanie ojca stanowiło cel jego przyjazdu. Chociaż pozostawał jeszcze jeden powód. Sam przed sobą nie chciał się przyznać do istnienia tego powodu. Było to niewygodne i niepotrzebne. Nie zamierzał sobie komplikować życia. Niemniej

wiedział, że ona też przecież mieszkała w Oliwie. Więc chciał być blisko. Przez chwilę. Nie dłużej. Przynajmniej tyle. Bo nie mógł zapomnieć. Chciałby na nią popatrzeć. Lubił to. Chciał popatrzeć i na tym poprzestać. Właśnie dlatego postanowił, że tam pojedzie. Ze zatrzyma się w Oliwie. Na kilka dni. Potem wróci na święta do siebie. Żeby mieć święty spokój. Żadnych gości. Napisał już do synów, że w tym roku będzie zajęty w święta i żeby odwołali rezerwacje, jeśli już je zrobili. W święta nie będzie o niej myślał. O tym, że jest chora. Tak jak Frida. Jeśli pojedzie tam na chwilę przed świętami, to potem łatwiej będzie nie myśleć. O niej. Nie przypominać sobie wszystkich złych rzeczy. Zająć się pracą. Bo tylko to było naprawdę ważne w jego życiu.

DO PIERWSZEJ KRWI

Waldek Dopierała był okrutnie wnerwiony. Od wczoraj. Wnerwiony jak jasna cholera. Bo nie miał fajek. Na fajki też nie miał. Nie zostawiła mu ani grosza. A jakże! Cholerna suka. Wyszła z domu, trzasnęła drzwiami i tyle. Przetrzęsnał całą chałupę, ale nie znalazł żadnej kasy. Ani papierosów. Babsztyl, cholerny, wredny babsztyl. Chciało mu się palić jak diabli. A ta jędza wyłączyła komórkę. Pewnie gdzieś się szlaja. Znowu jest na gigancie. Ale przecież wróci. Zawsze wraca. Potem długo jest grzeczna. Chodzi jak w zegarku. Pod linijeczkę chodzi, głupia baba. Wszystko jest na czas. Papierosy i kawa. Pół litra na stole. Jak trzeba. Rachunki też płaci. Przynajmniej niektóre. Bo na wszystko nie starcza. Więc są długi. I rosna. Ale nową lodówkę i tak kupili. I zmywarkę. Na raty, oczywiście. Ona spłaca te raty, bo jak nie, to sprzęt zabiorą. Skurwysyny i złodzieje, co rządzą w tym kraju. Ta cholerna sitwa. Ale w domu musi być porządek i czysto. Żarcie w lodówce też musi być. Żeby był spokój i pewność jutra. Mimo całej niepewności.

Nawet gdy ma się sprawę w sądzie jak Waldek. O groźby karalne wobec policji. Ale wiadomo, że policja to bandziory. Trudno im czasem nie pogrozić. Palcem albo jakimś wihajstrem. Waldek już nie pamiętał, czym groził i jakie przekleństwa miotał. Miał niezłe w czubie. Ładnie powiedziane, prawda? Zamiast mówić, że był nawalony albo narąbany jak worek, wystarczy użyć określenia rodem z Sienkiewicza czy innego tam cholernego autora lektur szkolnych i już cała sprawa ma się inaczej. Waldek nie umiał się obyć bez fajek, więc musiał podnieść się z wyra i zadziałać. Baba nie wróci tak szybko. Zebrało jej się na strojenie fochów. Bo jej powiedział parę słów prawdy, że jest tłustą świnią i do niczego się nie nadaje. Żeby temu kockodanowi się nie wydawało, że jeszcze może zawalczyć, znaleźć sobie jakiegoś gacha albo nawet męża. Zresztą z bliźniaczkami to ona aż tak daleko nie zajędzie. W tej materii przynajmniej. A chciałyby, oj, chciałyby. Bo co to za frajda być Waldusiową żoną? Nie móc związać końca z końcem? Przecież Walduś nie zostanie fizolem. Go to, to nie. Mowy nie ma. To dobre dla proletów. Ale nie dla Waldka Dopierały, który zawsze miał aspiracje jak się patrzy. Wysokie. Lubi czytać gazety. Oglądać telewizję. Dlatego w domu musi wisieć plazma. Na ścianie. Naprzeciwko małżeńskiego łóża. Ekran jest trochę za mały, ale zawsze da się coś obejrzeć. Mecz tenisowy albo futbolowy. Albo kabarety. Do wyboru, do koloru. Dźwięk stereo i obraz HD.

Dziś jednak z powodu wielkiej smuty i posuchy papierosowo-alkoholowej Walduś postanowił wybrać się na mały spacer, żeby pogadać z Buddą. Może on ma

jakieś fajki albo chociaż małpki. Waldek nie raz i nie dwa ratował kumpla w potrzebie, więc teraz przyszedł czas na rewanż. Jakieś fajki muszą się znaleźć dla Waldusia. I gorzałeczka też. Tak czy inaczej, Waldek miał wszystko pod kontrolą. Szkoda, że w lodówce niewiele zostało. Nie będzie z czego zrobić obiadu. A obiad to ważna rzecz. Tak samo jak sprzątanie. Gotowanie. Prowadzenie domu. To była największa pasja Waldka. Wcale nieprawda, że bicie żony i picie. To ona tak gadała. Na prawo i na lewo rozpowiadała. Ze mąż ją bije. Zamiast powiedzieć, że limo pod okiem jest wynikiem zderzenia z szafką w łazience, Monika mówiła każdemu jak leci, że to mąż obił jej pysk. Żadnej dyskrecji i lojalności małżeńskiej. A przecież przysięgała w kościele przed ołtarzem, że do śmierci i tak dalej. W końcu to Waldek był ojcem rodziny. Spełniał więc jedynie swoją patriarchalną powinność. Tak samo jak to robili jego ojciec i dziad. Lubił mieć wszystko pod kontrolą. A zwłaszcza tę marnotrawną żonę - panią Monikę. Dlatego nie raz i nie dwa obił jej ten ryj. Żeby sobie nie myślała, że jej wszystko wolno. Miał jednak żelazną zasadę - bił tylko do pierwszej krwi.

Już nie zastanawiał się, czy powinien tam pojechać. Było kilka ważnych powodów, żeby jechać. Wśród nich jeden najważniejszy. Niemniej nawet nie miał śmiałości o nim myśleć, a co dopiero mówić. Przede wszystkim należało jakoś dogadać się z tym typkiem. Żeby mieć

go z głowy. Raz na zawsze. Ale to był tylko pretekst, żeby jechać. Niezałatwione sprawy po śmierci ojca. Naprawdę chodziło mu o coś innego. O kogoś. Ech, szkoda gadać. Pewnie się zmieniła. Trochę się tego bał. Nie lubił takich zmian. Już to przeżył. Nawet dwa razy. Ze nagle zmieniały się jego kobiety. Nie do poznania. A potem umierały. Nie miał ochoty na ten trzeci raz. Więc tylko się jej przyjrzy. Z daleka. Żeby nie wiedziała, że ją obserwuje. Że o niej myśli. W przeciwnym razie jeszcze zacznie mieć nadzieję i zacznie wysyłać do niego te cholerne esemesy, które tak go drażniły. Albo dzwonić. Ale to wszystko jego wina, bo niepotrzebnie dopuścił do intymności. Odbiło mu wtedy, nie ma co. Pewnie dlatego, że zawsze podobały mu się takie kobiety. To był jego typ. Więc złamał zasadę, żeby już nie wiązać się z nikim. Pod żadnym pozorem. Popęłnił błąd. Ale postanowił, że dalej nie będzie się angażował.

Pojedzie tam mimo wszystko. To już postanowione. W dodatku pogoda była nie najgorsza. Właściwie to sprzyjająca. Żadnego śniegu. Nic z tych rzeczy. Gdyby nie to, że przez większość dnia było ciemno, można by przypuszczać, że to dopiero październik, a nie druga połowa grudnia. Więc teraz, tuż przed świętami, których zresztą nigdy nie obchodził, załatwi swoje sprawy rodzinne. Potem wyjedzie i będzie miał święty spokój. Może jeszcze na nią popatrzy. Z daleka. Lubił na nią patrzeć. Na tę twarz Mii Farrow. Taką delikatną, niewinną. Jego druga żona, Frida, też miała coś z tej aktorki. Chciał ją taką zapamiętać. Niestety, szpitalne obrazy zapisały się zbyt wyraziście. Obrazy przedstawiające

chorą, gasnącą kobietę. Wbity mu się w pamięć i ciągle tam tkwiły. Jak kolce. Nie mógł zapomnieć, jak ją musiał przewijać, jak od niego odchodziła. Rysy jej twarzy zacierały się dzień po dniu, a duże, błękitne oczy zapadały się w oczodołach. Zamiast piękna została sama fizjologia. Więc obiecał sobie, że nigdy więcej. Ze mowy nie ma. Nie będzie się wiązał. W końcu na rozładowanie napięcia istniały inne sposoby. Na samotność nie było żadnego. Ale samotność jest lepsza od wielu innych rzeczy. Zresztą już dawno ją zaakceptował. Mimo wątpliwości zabukował bilety na osiemnastego. To tuż przed świętami. Ralph, nie bacząc na zapowiedzi ojca, że żadnych świąt nie będzie, miał przyjechać dzień przed Bożym Narodzeniem. Z dziewczyną. Żeby spędzić te nieświęte święta razem. Rodzinnie. Dibelius mimo to postanowił, że wybierze się do Gdańska przed świętami. Nieważne, że na przyjęcie syna powinien coś jednak przygotować. Może kupić prezenty. Ale wyjazd okazał się ważniejszy od tego całego przedświątecznego cyrku. Pojedzie na krótko. Na dwa dni. Chociaż w „Scandicu” były wolne miejsca, zrezygnował z hotelu. Lepiej jednak u ojca. Przynajmniej trochę tam posprząta. Poza tym nie należy się przywiązywać do miejsc, a zwłaszcza do ludzi. Ten hotel zaś kojarzył mu się z kobietą, którą w myślach czasem nazywał Farrow.

Budda wcale nie miał ochoty na rozmowę z Waldim. Ale nie było wyjścia. Nie mógł go wyrzucić, skoro już

przylazł do solarium. W końcu Budda nie miał zbyt wielu kumpli. Kiedyś, za swoich złotych czasów, gdy jeszcze miał dwa stoiska w Hali Targowej, wszyscy byli jego kumplami. Wszyscy go znali. Ale od dawna mało kto mówił mu „cześć”. Odkąd wyszedł z pierdła, tylko kilka osób z dawnych znajomków raczyło go poznawać. A Waldi Dopierała, choć od lat bezrobotny, nieraz go poratował. Pożyczał pieniądze. Albo stawiał wódkę. Więc teraz musiał mu się odwdzięczyć. Waldi był na niezłym kacu. Zionęło od niego jak jasna cholera. Nawet zostawił w domu bez opieki swoje córki, Sandrunię i Nicolcię. Bo musiał się napić. I zajarać. Poza tym strasznie pomstował na starą.

Oj, ta pani Monika to kawał atrakcyjnej kobiety. Może się podobać. Wszystkie chłopaki z Hali się za nią oglądają. Ale ona chyba ma wyższe aspiracje. Rzadko się uśmiecha. Buddzie też się podobała. Jak jasna cholera. Zajebista babka. Ale nie miał u niej szans. Nie jego półka. Poza tym był za stary na miłosne podboje. Przede wszystkim nie śmierdział kasą. Chociaż to się może zmienić w najbliższym czasie. Szykuje się spadek. Oj, szykuje się! Wtedy pani Monika może zmienić zdanie. Chociaż to by było trochę nie po koleżeńsku wobec Waldiego. W końcu on tej Moniki potrzebował. W roli żony i jedynej żywicielki. Utrzymującej rodzinę już od dosyć dawna. Więc Budda chyba jednak nie uderzy do Moniki, jak już się odkuje i będzie go stać na kobietę. Taka męska solidarność.

W każdym razie jego obecne narzeczone pójdą w ką. Bo cóż to są za czupiradła! Wyjątkowe.

Kociamorda mieszkała kiedyś na Grodzisku. Za dawnych dobrych czasów. Kiedy jeszcze była zameźna i miała pracę. Nazwał ją Kociamordą, ponieważ miała buzię zupełnie jak koci pysk. O tej drugiej swojej absztyfikantce Budda mówił Ciulała, bo straszna kutwa z niej była. Kiedyś Ciulała była nawet panią kierowniczką w przedszkolu. Kształtna z niej kobitka. Nie ma co. A do tego lubi wypić. Jak przyłazi do kochanego Rysieńka, to przynosi cztery piwa. Jedno dla niego i trzy dla siebie. Wiadomo, Ciulała. Lubi też dłużej posiedzieć. Popatrzeć mu w oczy. Ale Kociamorda nie chce być gorsza i dlatego od czasu do czasu też tu wpada i przynosi mu seteczkę i coś do zjedzenia. Żeby Rysieniek, Rysiaczek nie przymierał głodem wśród tych wieńców pogrzebowych.

- Są psychiczne te baby, no nie? - zagadnął Waldusia po drugim piwku.

-Ano. Jakimś dziadom nierobom noszą chłanie i jedzenie - westchnął Dopierała, delektując się browarkiem.

Nie zanosilo się na taką biesiadę, a tymczasem ponury poranek zamienił się w rozkoszne popołudnie. Do tego Walduś mógł wreszcie pogadać z przyjacielem. Tak od serca. Wyżalić się. Powiedzieć, że ta suka nim poniewiera. Że złość w nim wzbiera jak żółć w chorym na żółtaczkę. Że jak ona przylezie wreszcie do chałupy po tym swoim gigancie, to jej mordę obije jak się patrzy. Do krwi.

- No tak, Kociamorda to by chciała, żebym u niej zamieszkał, ale ja wolę tu. Chciałaby faceta. Ale ja nie

mogę patrzeć na tę mordę kota. Poza tym to ona jest straszną brudaską osobistą.

- Oj, Rychu, nie kłam, musiałeś być kiedyś z Kocią-mordą!

- Musiałem chyba litra wypić - odparł Budda, głośno rechocząc.

- A z Ciulałą nie mógłbyś spróbować? - Waldi był wyraźnie ubawiony opowieściami o życiu uczuciowym Buddy.

- Próbowałem, ale ona jest o mnie zazdrosna. Dorabia sobie do emerytury w Hali i robi mi publiczne awantury. Więc jej wykrzyczałem: „Ja nie jestem twoją własnością! Po co ty dzwonicz do mnie do domu po nocach?!”. Potem napięprzyłem coś po szwabsku. Cała Hala to słyszała. I poszedłem!

Popili, porechotali. Poszli do kwaciarni, bo tego dnia Budda miał dyżur. Ale żaden klient nie chciał zamawiać wieńców. Czyżby pogrzebów było mniej? Może to widok Buddy za ladą tak odstraszał ludzi? Zwłaszcza z małpką w garści albo z puszką piwa. Więc Rysiek trochę się martwi, że mu Violka wymówi. Pracę, a także mieszkanie w solarium. Dokąd on wtedy pójdzie? A niech to jasna cholera weźmie! Trzeba z tym coś zrobić. Postanowił poprosić Waldiego o uprzejmość. W końcu za cztery piwa i piąte na drugą nóżkę coś tam się należy. Niech śmignie na rowerku do Oliwy albo może pojedzie tramwajem, ponieważ po kielichu rowerkiem podobno nie wolno, bo można dostać mandacik, i niech poobserwuje mieszkanie. Czy tam się świeci. Bo jeśli on przyjechał, to już o tej porze może

się świecić. Potem wystarczy, że Waldi zadzwoni. Resztę Budda załatwi już sam. W końcu trenował boks i coś mu z tego trenowania zostało. Złamał niejeden nos i niejedną szczękę. Więc sobie poradzi z tym dupkiem. To co, że jest młodszy od niego o ładnych parę lat? Ale nie trenował. Cholerny jajogłowy. Jak oni wszyscy. Jego tatuś bał się Buddy jak nie wiem co. Od razu wyskakiwał z kasy. Byle Rychu milczał. O tym i o owym. Więc zostawił go w spokoju. To był tchórzliwy, stary szczur. Braciszek cholerny. Co się go wyparł. Dlatego Rysiek trafił do bidula, kiedy w pięćdziesiątym siódmym Tonia Pokryfka wpadła pod samochód. Rysiek miał jedenaście lat, gdy zaczął uczyć się życia. Braciszek się go wyparł. Ot tak, po prostu. Szwab cholerny. Lis farbowany. Matkę zamknął w psychiatryku, a brata się wyparł. Ze to nie jego brat, ale nieślubny syn dawnej sąsiadki. Tak mówił. Ale Rysiek i tak swoje wiedział. Tonia powiedziała mu dużo. A jeszcze więcej inne sąsiadki.

- Co ja ci będę mówił. To sukinsyn jest i trzeba z nim zrobić porządek! - wykrzyknął Budda.

No jasne, trza zamalować w ryj. Jak się patrzy. Tak żeby nie mógł wstać. I niech wyskakuje z kasy albo z tego mieszkania. Bo Ryškowi należało się coś po matce. Jako nieślubnemu. Waldek też uważał, że trzeba walić po mordzie. Tak żeby poleciała krew i przyszło opamiętanie. Lewy sierpowy jak nic podziała na tego inteligencika. Oni nie lubią dostawać po mordzie. Podwinie ogon i ucieknie. Ale czy zapłaci? Tego Waldek nie był pewien. Bo te cholerne lemingi to są straszne kutwy. Wszystko mają. Na kredyt, bo na kredyt. Ale

mają też z czego spłacać. A on nie miał. Więc bał się, że go z mieszkania wyrzucą. Razem z rodziną. Monika pójdzie z dziećmi do swoich starych, a on się znajdzie na ulicy. Jak Budda będzie pomieszkiwał w jakiejś nieogrzewanej psiej budzie albo na dworcu. I zebrał o fajki i o małpki w Hali. Straszna perspektywa. Trzeba temu zaradzić. Może Budda pożyczycy mu na spłatę zaległego czynszu, jak już się odkuje? Tak czy owak, Waldek był gotów do działania. Bo takie przemądrzałe dupki, co wszystko mają i ciągle im mało, wkurzały go niezmiernie. Więc pojedzie do Oliwy na Obrońców Westerplatte i choćby miał tam stać pod oknem nie wiadomo jak długo, to w końcu wypatrzy światło. Wtedy rozprawią się z tym niemrawym wykształciuchem. A sprawiedliwości dziejowej stanie się zadość.

Rejs z Karlskrony jak zwykle mu się dłużył. Lot z Kopenhagi to zaledwie czterdzieści minut, a prom płynie przez całą noc. Ale chciał mieć na miejscu samochód, więc się męczył. W dodatku porządnie huśtało. Kolebało jak jasna cholera. Całą noc chorował. Jak wszyscy. A przecież, jak przystało na wilka morskiego, nie powinien chorować. Więc czuł podwójny dyskomfort. Na domiar złego mieszkanie ojca w Oliwie, gdzie postanowił się zatrzymać, okazało się mocno zakurzone. To przez książki i papierzyska. Wszędzie zajeżdżało stęchlizną i starością. Od śmierci macochy nikt tu chyba nie sprzątał. Pootwierał okna, ale wietrzenie

niewiele pomogło. Prawdę mówiąc, nie pomogło nic a nic. To wszystko trzeba będzie wyrzucić, i to jak najszybciej. A samo mieszkanie sprzedać. Nawet z dużą stratą. Byle nie ciągnąć tego dalej. Jarek, jego przyrodni brat, coraz bardziej pograżał się w swoim szalonym świecie. Już pewnie nigdy nie wyjdzie z zakładu. Trzeba go jakoś zabezpieczyć. Jego matka nie żyje. Więc został mu tylko starszy brat, czyli on. Teraz on będzie odpowiedzialny za brata. Pozostaje jeszcze ten dziwny facet, który twierdzi, że również należy do rodziny. Opowiada niestworzone historie na temat swojego pochodzenia. Ale nie warto się w to zagłębiać. Chyba że ten cwaniaczek ma jakieś dokumenty. Właśnie to trzeba będzie sprawdzić. Ale pewnie nic nie ma. To jakiś oszust. Najważniejsze, żeby wreszcie sprzedać to nieszczęsne mieszkanie. Księgozbiór warto by przekazać bibliotece uniwersyteckiej. Może się nie zmarnuje. Ale należy coś zrobić z dokumentami. Najchętniej wrzuciłby to wszystko do niszcarki. Nie miał czasu na czytanie. A zwłaszcza długich tekstów po polsku. Nie miał do tego cierpliwości. W końcu to nie jego dziedzina. Nie był humanistą jak ojciec. Miał ścisły umysł. Chciał więc jak najszybciej zamknąć te wszystkie sprawy. Właściwie to Anka powinna tu przyjść i uporządkować archiwum jego ojca. Ale przecież jej nie poprosi.

Nie miał też ochoty na rozmowę z tym podejrzanym hochsztaplerem, który i tak zdołał już wyciągnąć spore sumy od starego. Ale musiał odwiedzić brata w szpitalu. Teraz, gdy ojciec nie żył, ten przykry obowiązek spadł na jego barki. Prawdę mówiąc, nie wywiązywał

się z niego zbyt gorliwie. Źle się z tym czuł. Przecież był sumienny i obowiązkowy. Przynajmniej za takiego się uważał. Uważał, że jest odpowiedzialny i zawsze spełnia swoje powinności. Więc postanowił pojechać dziś na Srebrzysko. Powinien też pójść na grób ojca. Chyba nikt tu nie dbał o ten grób. Ale większym zmartwieniem był oczywiście brat. Przyrodni, bo przyrodni, ale powinien mu zapewnić lepszą opiekę. Nie miał zaufania do polskiej psychiatrii. Zresztą nie tylko do psychiatrii. Polska zawsze kojarzyła mu się z czymś nieprzewidywalnym. Wyjechał stąd jako dzieciak. Po rozwodzie rodziców w siedemdziesiątym pierwszym. Matka dostała wizę. Zabrała go ze sobą. A ojciec został w Polsce, bo tak bardzo tę Polskę ukochał. Opowiadał ciągle jakieś brednie o Słowianach. Jacy to byli wspaniali. Odkrywał średniowieczny port i stare miasto. Dokopali się tam z profesorem Z. do najgłębszej warstwy, do calca. Do takiego poziomu, gdzie nie było już nic głębiej. Tylko drewniany krzyżyk. Wojciechowy. Opowiadał synowi o tym, jak biskup praski Wojciech, zwany inaczej Adalbertusem, przybył do Gdańska i chrzcił wielkie rzesze ludzi. Słowian zapewne. Ojciec zawsze opowiadał o Słowianach. I nadał synom słowiańskie imiona: Szczepan i Jarosław. Tymi imionami i tą swoją pracą chciał przykryć prawdę o swoim pochodzeniu, wkupić się w nowe czasy, uwiarygodnić. Pewnie się bał, że będą się go czepiać. Ale i tak się czepiali. Ten rzekomy brat ojca wiedział więcej na ten temat. Matka zaś wiedziała sporo na temat pochodzenia jego ojca i mu to opowiedziała. Kiedy już

wyemigrowali. Wiedziała, jak naprawdę nazywał się jej były mąż i że jego ojciec nie był żadnym polskim inżynierem z Gdyni, lecz zegarmistrzem z miasta Danzig. Ale nie warto roztrząsać przeszłości. Trzeba będzie porozmawiać z bratem. A właściwie z jego lekarzem. Bo bezpośrednio z bratem to chyba się nie da. Powinien przedsięwziąć coś w tej sprawie, bo brat to jednak brat. Nawet przyrodni. W tej rodzinie pozostali sami mężczyźni. On, jego synowie, brat. Plus ten nieszczęsny człowiek, który twierdził, że poniekąd też należy do rodziny. Natomiast kobiety jakoś szybko odchodziły. Umierały przedwcześnie. Tutaj, w tym smutnym, męskim mieszkaniu, które było właściwie jednym wielkim zbiorem papierów i książek, poczuł, że naprawdę potrzebuje kobiety. Tej właściwej.

Nie powinien tam jechać, ale pokusa była wielka. W końcu postanowił, że tylko popatrzy na jej dom i pojedzie w swoją stronę. Chciał się dowiedzieć, czy bardzo się zmieniła, czy już zaczęło się to, co przydarzyło się Fridzie, jego drugiej żonie. Poza tym martwił się o nią. Chociaż przecież nie powinien. Bo nic ich nie łączyło. Ona w żadnym wypadku nie mogła się dowiedzieć, że on tu jest. Całkiem blisko. Lepiej, żeby niczego nie wiedziała. Nie robiła sobie nadziei. Tak będzie dla niej lepiej. Dla niego oczywiście też.

Zaparkował naprzeciwko jej domu. To była ładna, stara willa. Do zmroku zostało jeszcze trochę czasu. Żeby poobserwować. Powinien już być na Srebrzysku. Miał umówione spotkanie z lekarzem, ale musiał, po prostu musiał ją zobaczyć. Może wyjdzie na chwilę?

Pokaże się? Pogoda była niezła. A przed świętami ludzie zazwyczaj się kręcą. Robią zakupy. Gdyby do niej zatelefonował, wybiegłaby. Ale nie zadzwoni, nie ma mowy. Poza tym nie ma gwarancji, że jest tam, w środku. Może przebywa w szpitalu? Albo gdzie indziej? Po godzinie czekania był już trochę zniecierpliwiony. Już chciał odjechać. Wtedy się pojawiła. Wyszła z domu. Ubrana w jakieś błękity. Jak to ona. Właściwie to przydałaby się lornetka, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Zobaczyć worki pod oczami i zmarszczki. Bo schudła. To zauważył już z daleka. Schudła, niestety. A to nie wróżyło dobrze. Jeszcze ta chustka na głowie. Pewnie nie ma włosów po chemii. Tak jak Frida. Już po pierwszej chemii włosy zaczęły jej wychodzić garściami. Pewnie nie miała również brwi ani rzęs. Frida też nie miała. Gdyby obserwował Annę przez lornetkę, dostrzegłby także to, że była nieumalowana. Ale z tej odległości mógł najwyżej wyobrazić sobie, jak wygląda z bliska. Pomyślał, że to pewnie początek tego najgorszego. Jeszcze ma siłę wychodzić z domu, ale to już nie potrwa długo. Zacznie się to, co nieuchronne. Pamiętał dobrze, jak było z jego drugą żoną. Też krzątała się koło domu. Dopóki mogła. Potem już na nic nie miała siły. Z nią będzie pewnie tak samo. Więc powinien stąd odjechać. Jak najszybciej. Zwłaszcza że szwedzka rejestracja mogła zwracać uwagę. A to była ostatnia rzecz, na której zależało Dibeliusowi. Jednak ociągał się z zapaleniem silnika. Zamiast tego uporczywie przypatrywał się tej kobiecie. Mimo wszystko wyglądała ładnie. Tak, podobała mu się. I to bardzo. Od samego początku. Zdał

sobie sprawę, że prawdopodobnie widzi ją po raz ostatni. Miał ochotę wyjść z samochodu i podejść do niej. Teraz, zaraz. I być z nią tak długo, jak tylko się da.

Chociaż było ciepło jak na grudzień, Waldek zmarzł. Dobrze, że Budda dał mu dwie małpki na drogę. Ale teraz przydałaby się trzecia. Potem może nawet czwarta. Postanowił bowiem, że zostanie tu do nocy, obserwując te dwa wielkie okna, które cały czas były czarne. Ale wierzył, że jeszcze pojawi się w nich światło. Wtedy zadzwoni do Buddy. Żeby wiedział, że on jest na miejscu. Że przyjechał. Niech sobie Rychu robi, co chce. Waldek pójdzie do domu i zajmie się dziećmi, które może już wysadziły mieszkanie w powietrze. A niech tam! Nawet jeśli stało się coś złego, to wina Moniki, a nie jego. To ona jest matką i powinna się troszczyć o swoje córki, a nie gdzieś tam sobie hasać. Nie wiadomo z kim. W każdym razie Waldek wróci do domu, jak czegoś się dowie. Jak zobaczy światełko w nadal ciemnych oknach. To były ogromne okna. Na pierwszym piętrze. Waldek nigdy nie był w tym mieszkaniu. Chociaż znał profesora. To znaczy nigdy z nim nie rozmawiał. Ale widział go wiele razy na ulicy, a także w „Duszk”. Raz nawet siedział z nim przy jednym stoliku. Właśnie w „Duszk”. Dombrowski jadł pierogi ruskie. Popijał je wodą z cytryną. To była jego ulubiona duszkowa potrawa. Regularnie przychodził na pierogi. Brał zawsze półtorej porcji i do tego

wodę. Waldek obserwował go znad kufla piwa. Stary jadł i czytał jakąś książkę. Nigdy nie rozmawiał z nikim. Tylko czytał książki. Jak zjadł, od razu wychodził. Szedł na przystanek tramwajowy. Żeby szóstką wrócić do Oliwy. Czasem, przy lepszej pogodzie, szedł do biblioteki PAN-u. Waldek kilka razy poszedł za nim, a stary nawet się nie zorientował, że jest śledzony. Albo zręcznie udawał, że się nie zorientował. Pewnie to drugie, bo na niedoświadczonego nie wyglądał. Za komuny przecież działał w opozycji. Od czasów „Solidarności”. Więc pewnie spostrzegł, że Waldek idzie za nim, ale udawał, że wszystko w porządku, że nic złego się nie dzieje. „Stary, wredny lis” - tak myślał o nim Waldek. Ot tak sobie szedł za staruszką. Dla zabicia czasu. Urządził sobie spacer. Przecież musiał coś robić przez cały dzień.

Teraz jednak nie dla zabicia czasu sterczał pod domem zmarłego profesora. Marzył jak cholera. Robiło się coraz chłodniej. Zerwał się wiatr, a w oknie na pierwszym piętrze wciąż było ciemno. Chyba nie było sensu dalej tu sterczeć. W mieszkaniu nikogo nie ma i nie będzie. Poza tym dzieciaki zostały same w domu i naprawdę coś mogło się stać. Waldek zaczął trzeźwieć. To nie było przyjemne. Czuł, że przemarza na kość. Zaczęło do niego docierać, że zaniedbał swoje obowiązki. Więc może zajrzy tu jutro albo pojutrze, ale dzisiaj już pora iść do domu. Jeszcze tylko dziesięć minut. Ostatnia szansa dla tego zarozumiałego leminga, żeby włączył światło. Pokazał, że jest w domu. O, chyba właśnie coś się zaświeciło. Ale nie żadne duże światło,

lecz jakieś małe, boczne światełko. Więc postanowił zadzwonić do Buddy. Niech przyjdzie, bo ktoś chyba jest w mieszkaniu. To może być on. Zarozumialec.

Budda wydawał się trochę zaskoczony. Trudno mu było uwierzyć, że Waldi tak długo stał na zimnie. Żeby mu pomóc. Najważniejsze, że pomógł! Teraz trzeba szybko tam pojechać. Ale nie tramwajem. Co to, to nie. Na rowerze! Zapukają do drzwi razem z Waldim. Ciekawe, czy otworzy. Stary tchórz. Jasne, że się boi. Ma czego. Dostanie w zęby albo zapłaci. Albo jedno i drugie. Spieszył się bardzo. Aż się spocił. Kondycja już nie ta, co kiedyś. W czasach gdy trenował boks. Nawet w pierdłu miał lepszą formę. Ale to dlatego, że był wtedy młodszy. Teraz zaś stał za ladą w kwaciarni, popijał piwo, więc rósł mu brzuch. Coraz większy i większy. Dlatego się spocił jak mysz, jadąc na rowerze przez pół miasta. Nie powinien wkładać tej skórzanej katany i kapelusza, ale chciał jakoś wyglądać. Musiał wyglądać. Żeby sobie dupek nie myślał, że ma do czynienia z byle kim. Pójdą tam do niego, żeby się rozmówić. A jak będzie trzeba, to dać po ryju. Najważniejsze, że jest, że przyjechał z tej swojej szwedzkiej dziury. Budda wreszcie mógł go dorwać.

Waldi rzeczywiście był zmarznięty. Cały drżał z zimna i chyba także ze zdenerwowania. Teraz to już nie przelewki. Trzeba się policzyć z tym faciem. Chodź, Waldi, przydasz się. Żeby wszystko poszło dobrze. Ten zarozumialec musi dać jakieś pieniądze. Albo klucze do tego mieszkania. Jego stary zawsze dawał pieniądze. Bał się kompromitacji. Że Budda - kryminalista,

kombinator, podejrzany typek - to jego przyrodni brat. W dodatku z dość szczególnym rodowodem, który niejedyn pismak chciałby poznać z detalami. I zaszkodzić szanownemu panu profesorkowi, mądrali. Go zawsze był taki szlachetny. W dodatku patriota. Kochał ojczyznę. Ciekawe którą. Za to jego matka umarła w wariatkowie, a jej grób tak zaniedbał, że już go nie ma na cmentarzu. Zlikwidowali. Grobu jego ojca też nigdzie nie ma. Podobno cmentarz, na którym znajdował się ten grób, został zniwelowany. Ale to drania nie tłumaczy. Dla niego liczyła się wyłącznie kariera, a nie rodzina. Synowie też nie tego. Jeden wyjechał i zmienił nazwisko, a nawet imię. Drugi zaś siedzi w wariatkowie. To chyba u nich rodzinne. Ze co drugi w tej rodzinie ląduje w wariatkowie. Więc teraz hop-siup. Trzeba zająć się synalkiem. Tym mądralą z brodą. Co udaje, że nie rozumie po polsku. Jak się Budda usiłował z nim przywitać na pogrzebie starego, to zagadał coś po szwedzku. Ze niby jest Szwedem i po polsku ani rusz. Akurat.

- No to dzwoń, Waldi, do tych drzwi, nie bój się.

Waldi jakoś nie miał śmiałości, więc Budda musiał go wyręczyć. Nacisnął dzwonek trzy razy. Nerwowo, agresywnie. Żeby się gnojkwowi nie wydawało, że może nie otworzyć. I nie wpuścić takiego gościa. W kapeluszu.

Wpuścił, niestety. Potem wszystko potoczyło się szybko. O wiele za szybko jak dla Waldka, który tego dnia był nieźle wstawiony po sześciu albo nawet siedmiu piwach i dwóch małpkach. Ogarnięcie i spamiętanie wszystkiego, co się działo, przychodziło mu z trudem. Budda wlaź do mieszkania, jakby wchodził do

siebie. Widać było, że zna tam każdy zakamarek. Każdy kąt. Było tam dużo kurzu i Waldek zaczął się krztusić, bo był alergikiem. Dlatego właśnie u siebie w domu tak ciągle sprzątał specjalnym antyalergicznym odkurzaczem. Żeby się nie krztusić i nie chorować. W mieszkaniu pana profesorka to chyba od lat nikt porządnie nie sprzątał. Rychowi to jednak nie przeszkadzało. Ruszył do przodu i zaczął potrząsać tym Szwedem czy nie Szwedem. Waldek przecież wcale go nie znał. Jego ojca, owszem, znał z widzenia i z opowieści Moniki, ale o synu wiedział niewiele. Tylko tyle, że Szwed i że z brodą. Jednak wcale nie był niski ani drobny jak ojciec. Wręcz przeciwnie, był dosyć wysoki. I przystojny. W okularach. Jego okulary miały ciemne oprawki. Tyle Waldek zapamiętał. Jeszcze to, że ten Szwed nosił szary sweter. Budda coś tam do niego mówił. Wtedy tamten odpowiedział po polsku, żeby sobie poszli, bo to jest najście. Że wezwie policję. Jak Rychu usłyszał o tej policji, to się wnerwił jak jasna cholera. Przyładował temu Szwedowi prawym sierpowym. Ale tamten mógł się przecież bronić. Wyglądał na wysportowanego. Ale nie zrobił nic, nawet nie uchylił się od ciosu. Nagle spadły mu okulary, a na sweter poleciała krew. Jak Waldek zobaczył tę pierwszą krew, to wybiegł z mieszkania. Bo już wiedział, że to się źle skończy. Nie chciał być oskarżony o współudział w morderstwie. Pobiegł prosto do domu. Do dziewczynki. Postanowił, że kiedy Monika wróci, wszystko opowie jej, a potem policji. Byleby tylko nie mieć nic wspólnego z tą sprawą.

LOKATOR

Honorata Badziągowska dobrze zapamiętała tamten grudniowy poranek. Ponury i szary. Beznadziejny, jak wszystkie jej poranki. Wstała o zwykłej porze - kwadrans po szóstej. Chociaż nie mogła spać już od piątej. Ale leżała w łóżku. Grzecznie. Trzymała dłonie na kołdrze. Odganiała grzeszne myśli, które nachodziły ją od pewnego czasu. A dokładniej od dwóch tygodni. Coś się zaczęło z nią dziać, odkąd wpadli na siebie w Galerii Bałtyckiej. Poznał ją, chociaż przez te lata, gdy się nie widzieli, zdążyła przytyć parę kilo. Prawdę mówiąc, ze dwadzieścia. Tak jakoś łatwo poszło. Bez wysiłku. Inne rzeczy nie wychodziły jej wcale. Chociaż się wysilała. Ale jedzenie tak, szło jej idealnie, tycie również, bez najmniejszych trudności. Wszystkie budynie, ciasteczka, torciki poszły jej w biodra i w pas. Przez lata jej to nie przeszkadzało. Ale odkąd spotkała go w galerii i zaprosił ją na kawę, i patrzył na nią przez cały czas tymi swoimi czarnymi oczami, jak pochłaniała dwie muffinki i popijała caffè latte, do której dodała aż

trzy łyżeczki cukru, to zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna jednak mniej jeść. Chwilę potem pochylił się nad stolikiem i szepnął jej do ucha: - Masz śliczne piersi.

Zarumieniła się jak gówniara. Nikt nigdy nie mówił jej takich rzeczy. Mamusia by się pewnie skrzywiła i powiedziała, że podobnych świństw nie mówi się kobiecie na pierwszej randce ani nawet na drugiej. Ale Honoracie bardzo podobały się te słowa. Pierwszy komplement, jaki usłyszała od lat. Potem, gdy wróciła do domu, zaczęła przyglądać się sobie krytycznie. Stała przed lustrem. W ubraniu, chociaż korciło ją, żeby zdjąć stanik i zobaczyć, jak naprawdę wyglądają jej piersi. W lustrze. Bo w lustrze pewnie wyglądają inaczej niż pod prysznicem, kiedy w oczach ma się pełno mydła i za dobrze się ich nie widzi. A w lustrze, tym dużym, kryształowym, to zupełnie inna sprawa. Można sprawdzić, czy rzeczywiście są ładne. Czy może jednak trochę przesadził z komplementem? Zdjęła swój ulubiony, rozciągnięty T-shirt. Popatrzyła w lustro. Koszmar. Białe ciało. Wałki tłuszczu na brzuchu. A ten stanik - szkoda gadać. Powinna go wyrzucić, i to jak najszybciej, bo na następnej randce to może on będzie chciał go zdjąć. Własnoręcznie. Marzenie ściętej głowy. Nie zechce. A randki nie będzie. To było przypadkowe spotkanie. Więc zrezygnowała z oglądania swojego ciała. Przecież go nie znosiła. Była gruba i nieatrakcyjna. A on kłamał. Albo sobie z niej kpił. Poza tym wtedy, w galerii, była grubo ubrana, miała na sobie ohydny golf w sraczkowatym kolorze, z którego zawsze wyśmiewała

się Monika. Więc ten komplement to chyba sobie wymyślił. Po prostu ściemniał. Ale mimo to nie mogła przestać o nim myśleć. Obiecał, że się odezwie. Ale niestety nie zadzwonił przez kilka następnych dni.

Więc zrezygnowała. Z kupienia nowego stanika.

- Pójdź do gorseciarki - zachęcała ją Monika. -Masz duże piersi i warto zainwestować w dobry stanik. Od razu będziesz lepiej wyglądała.

Monika знаła się na wszystkim. Zawsze chodziła dobrze ubrana, chociaż chyba jej się nie przelewało. Natomiast Honorata, chociaż była młodsza od Moniki o całe pięć lat, wyglądała przy niej jak czupiradło. W dodatku miała idiotyczne imię. *Z Czterech pancernych i psa*. Bo jej matka w młodości kochała się w Gustliku. Był silny i przystojny. A nie taki byle jaki kurdupel jak ojciec Honoraty. Świeć Panie nad jego duszą. A właściwie nad jego truchłem w zbutwiałej trumnie na cmentarzu Łostowickim. Bo duszy to ten skurczybyk nie miał.

Honorata mimo wszystko słuchała rad koleżanki. Przynajmniej od czasu do czasu. Dzięki temu miała własne mieszkanie. To znaczy nie do końca własne. Było z TBS-u, ale zawsze. Dwa pokoje z kuchnią. Prawie pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Z wysuniętym balkonem, chociaż wolałaby loggię. Było urządzone całkiem przytulnie. Też dzięki Monice, która pomagała jej zmienić pierwotną aranżację. W dwa dni przemalowały ściany, zmieniając żółć na *ecru* i oliwkowy. Plus wszystkie fajne dodatki z Ikei. I pokrowce na fotele i kanapę. W kolorze kości słoniowej, żeby wewnątrz

było jaśniejsze i nowocześniejsze. Bez meblościanki. Z wielkim żalem wyrzucała na śmietnik swój paniński mebel wielofunkcyjny. Kupiony chyba jeszcze na jakieś talony. Tak czy inaczej, zdobyczny. **Trofejny**, jak mówił jej ojciec, dla którego meblościanka w pokoju i boazeria na ścianach były szczytem elegancji. Ale Monika to geniusz aranżacji i warto jej słuchać. Poza tym pomogła w malowaniu. W szczególności zaś namówiła ją na tę całą zmianę. Przede wszystkim żeby się wyprowadziła od matki z falowca. Dzięki temu nie musiała już słuchać jej ciągłego narzekania. Ze to, że śmo, że owo. Ze na przykład za grubo obiera jabłka. A jabłka są drogie jak jasna cholera. Nawet na ryneczku na Przymorzu, gdzie przecież i tak najtaniej. Ze wyrzuca do śmieci mnóstwo całkiem jeszcze dobrych i użytecznych rzeczy. Woreczki foliowe, słoiki i gumki recepturki. I stare, dziurawe buty kupione dziesięć lat temu na bazarze od ruskich. Szkoda gadać.

Teraz z rosnącym napięciem czekała na telefon od niego. Powiedziała nawet Monice, że wreszcie ktoś pojawił się w jej życiu. Rozwiedziona mężczyzna w średnim wieku. Bez zobowiązań. W sam raz dla niej. Przecież chciałby wreszcie kogoś mieć. Nie musi być na stałe. Oj, mamusia byłaby oburzona, że ona chciałaby tak bez ślubu. Życ w grzechu. Ale na szczęście Zdzisława Badziągowska była daleko, w falowcu, a Honorata w swoim mieszkanku na osiedlu o ślicznej nazwie „Twoje Marzenie” mogła robić, co tylko chciała. Mogła robić, co jej się żywnie podobało. Natomiast mamusia już nie mogła wtykać swojego kartoflanego

nochala w nie swoje sprawy. Nie mogła polować n; i grzechy swojej jedynej córki Honoraty. W każdym razie polowania były już znacznie utrudnione.

Właśnie przez matkę Honorata nigdy nie miała chłopaka. Mamusia krytykowała każdego, który się nawinał. Ze nie taki, że owaki. Beznadziejny. Nierokujący na przyszłość bliższą i dalszą. Zupełnie jak ojciec Honoraty, co po pijaku wpadł pod eskaemkę. Chociaż niektórzy uważają, że wcale nie wpadł, ale się rzucił. I nie po pijaku, lecz całkiem na trzeźwo. Honorata słabo pamiętała ojca. Zdarzenie z eskaemką miało miejsce w stanie wojennym. Jak chodziła do podstawówki. Owdowiała Zdzisława rwała włosy z głowy i strasznie krzyczała na pogrzebie. Aż ją szwagier ojca, ten z Sulęczyna, musiał uspokajać. Został jeszcze z tydzień w falowcu i uspokajał mamusię tak intensywnie, że Honorata wkrótce miała młodszego braciszka. Zdzisława twierdziła, że to pogrobowiec Czesława Badziągowskiego, ale Honorata nie miała pewności. Bo potem szwagier jeszcze często do nich przyjeżdżał i zostawał na noc. Ścieliło mu się w stołowym, na kanapie, ale rano zwykle budził się w małżeńskim łóżu rodziców.

Honorata była wtedy mała, ale na tyle duża, żeby nie mieć wątpliwości, co się działo w ich domu po tragicznej śmierci ojca, po którym została ta meblościanka i boazeria w przedpokoju. Kiedy jednak wreszcie sama przyprowadziła do domu chłopaka, a było to w czasach, gdy szwagier z Sulęczyna już się nie pojawiał w falowcu, to mamusia stwierdziła, że kandydat nie nadaje się na chłopaka córki. Bo jest za niski. I w ogóle. Tak

zmarnowała córce życie. O tym Honorata dowiedziała się od Moniki. Ze matka jej życie zmarnowała, bo przepędziła tego chłopaka, którego przyprowadziła do domu w klasie maturalnej. Z nadzieją, że jej rodzicielka go zaakceptuje. Ze będzie mogła, jak inne dziewczyny ze swoimi, chodzić z tym chłopakiem, a jak mamusia pojedzie z młodszym braciszkiem na wieś, to przyprowadzi tego chłopaka do domu i da mu wreszcie dowód miłości. A jak już da, to będzie normalną dziewczyną jak wszystkie pozostałe, a nie żadną kaczką dziwaczką. Ale się nie udało i chłopak odebrał dowód miłości od innej dziewczyny, co chodziła do klasy C. Potem ta biedaczka musiała urodzić dzieciaka, bo jej rodzice nie zgodzili się na to, żeby bękarta wyskrobali w szpitalu. Honorata pozostała nietknięta i czysta. Jak biały obrus, który Zdzisława rozkładała na stole w niedzielę i święta. Tak się właśnie zaczęły trudne sprawy w życiu Honoraty. Po tym chłopaku ze szkoły już nikt się do niej nie przystawiał, bo poszła fama, że ona jest cnotka idiotka albo Dziewica Orleańska. Na studiach też były same dziewczyny, bo kończyła pedagogikę. Naprawdę nie było z kim się umówić, a w domu mamusia - cerber. Więc zaczęła chodzić do duszpasterstwa na Górkę. Do dominikanów, znaczy się. Tam śpiewała i się modliła. Ale nie poznała żadnego chłopaka, bo wszyscy, którzy tam przychodzili, już dawno byli zajęci. Żonaci albo zaręczeni. Jak to na Górcie. Więc jedynie chodziła tam i śpiewała. Pieśni religijne. Chodziła też na pielgrzymki. Do Częstochowy. Była z pięć razy albo sześć. Ale też nie poznała nikogo fajnego, chociaż podobno

właśnie na pielgrzymkach wiele par się kojarzy. Ale jej się jakoś nie skojarzyło, nie ułożyło. Została starą panną. Opowiedziała o tym kiedyś Monice, jak ta była już nieźle nawalona. Wtedy Monika uświadomiła jej, że to matka ją skrzywdziła i że musi odbudować swoje życie. Koniecznie sobie kogoś znaleźć. Wreszcie mieć jakieś życie intymne. Bo na razie to masakra. Tak nie może dalej być. Honorata uwierzyła w to skwapliwie. To dzięki radom starszej koleżanki wyniosła się z tego cholernego falowca. Załatwiła mieszkanie, na które wydała wszystkie oszczędności. Trzeba było wpłacić aż osiemdziesiąt tysięcy.

Teraz musi zadbać o siebie. Inaczej nigdy nie znajdzie faceta. W tych ciuchach to już na pewno ma zerowe szanse. Przede wszystkim musi schudnąć. Z tym będzie najtrudniej. Zawsze była okrągłutka, ale nie była gruba. Teraz niestety jest. Zwłaszcza w niektórych partiach. Dlatego tak bardzo ją podbudowało, że bez schudnięcia, na dodatek w starych ciuchach, usłyszała pierwszy raz w życiu komplement od mężczyzny. I to od jakiego mężczyzny!

Honorata była nim zauroczona. Pamiętała go przecież z dawnych, studenckich czasów. Wtedy był jeszcze piękniejszy i całkowicie pozostawał poza jej zasięgiem. Bo miał żonę. A małżeństwo święta rzecz. Tak przynajmniej mówiła jej mamusia. Ksiądz też tak mówił. Natomiast Monika twierdziła, że małżeństwo to przekleństwo i straszny syf, a nie żadna tam świętość. Wielkie oszustwo. Lipa i tyle. Dlatego Monika ma dość tych wszystkich dupków. Ale Honoratę namawiała na małe

co nieco. Jakiś romansik na boku. A może coś trwalszego? Związek? Honorata bała się tego słowa. Dla niej to wcale nie było coś takiego niezobowiązującego na boku, skoro jeszcze nigdy nikogo nie miała przy boku. Ale po spotkaniu w galerii zaczęła na coś liczyć. Niestety, on nie dzwonił. Patrzyła na wyświetlacz swojej komórki. I nic, ciągle nic.

Tamtego grudniowego poranka już o nim nie myślała, czuła się fatalnie. Bolała ją głowa i brzuch. Mimo to nawet nie pomyślała, żeby wziąć wolny dzień. Przyszła do pracy piętnaście po siódmej. Zaspany ochroniarz rzucił w jej kierunku pogardliwe spojrzenie. Budynek, gdzie pracowała, należał do rady miasta. Przed laty rozbrzmiewała tu jazzowa muzyka studenckiego klubu. Natomiast w czasach, których nikt już nie pamiętał, mieściła się w nim siedziba Wysokiego Komisarza Ligi Narodów.

Wszyscy wiedzieli, że Honorata Badziągowska przychodzi do pracy wcześniej, ponieważ źle sypia. Prawdę mówiąc, nie sypiała wcale. Tamtego dnia włączyła komputer i zalogowała się do swojej prywatnej skrzynki pocztowej. Login: honorata39. Zdradzała w ten sposób swój wiek. Może niezupełnie. Tak naprawdę niedawno obchodziła czterdzieste urodziny. Login był z zeszłego roku. Ale co to szkodzi? Przecież ciągle jeszcze czuła się tak, jakby miała gorące trzydzieści dziewięć i pół. Najwyżej.

W skrzynce czekała na nią wiadomość opatrzona dobrze jej znanym nazwiskiem. Więc jednak napisał. Nie zadzwonił, ale zamiast tego napisał e-maila. Serce

zabiło jej mocniej. Pytał, co u niej słyszeć. Jak się czuje. Więc napisała. Ze wspaniale, super i w ogóle genialnie. Pisząc do niego, zrobiła się cała czerwona. Na sam widok jego imienia i nazwiska nachodziły ją różne kosmate myśli. Wysłała wiadomość. I tak się rozmarzyła, że nie zauważyła, gdy Monika weszła właśnie do pokoju. Ani tego, że już było po ósmej i należało skupić się na pracy, a nie na jakichś dyrdymałach. Monika od razu spostrzegła, że Honorata jest myślami gdzieś daleko. Nawet wiedziała co, a właściwie kto wprowadził ją w ten stan nieważkości. „Szczęściara” - pomyślała o koleżance. Ona już od dawna nie przeżywała czegoś takiego. Od bardzo dawna. Od czasów, których już właściwie nie pamiętała. Bo była wtedy młoda i nie wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi.

- To mi powiedz, gdzie mam szukać tej gorseciarki.

- O, widzę, że ktoś się wreszcie do ciebie odezwał! Kiedy randka?

-Jeszcze nie wiem. - Honorata zrobiła się czerwona na myśl o randce. Miała nadzieję, że jej marzenie wreszcie się spełni. Ze to właśnie on. Zadzurzyła się w nim przed laty, gdy go poznała. Był taki piękny. Wgapiła się w niego jak sroka w gnat. Wiedziała, że to grzech, bo miał już żonę, ale to okazało się od niej silniejsze. Była wtedy studentką. Świeżutką i głupiutką. Udało jej się załapać na praktykę dziennikarską. To było coś, bo jej koleżanki trafiły do przedszkoli i szkół. A ona do poważnej gazety. Czuła się niezmiernie dumna. Właśnie tam, na tej praktyce, on był jej opiekunem. Zakochała się od razu, ale tak platonicznie. Zresztą wcale nie

zwracał na nią uwagi. Modliła się do Przenajświętszej Pani, żeby jednak coś z tego było. Do tej prześlicznej figurki w kościele Mariackim, ale nie została wysłuchana. Teraz znowu miała nadzieję. Modliła się i czekała na odpowiedź. Liczyła na to, że odpisze. Zamiast pracować, raz po raz zaglądała do swojej skrzynki e-mailowej. Ale niestety, nie przychodziła żadna odpowiedź. Z każdą godziną jej nastrój się pogarszał. Już nie odpowiadała na zaczepki Moniki. Postanowiła, że pojedzie dziś do mamusi. Trudno, wysłucha narzekania. Na ból głowy. Na nogi, które spuchły jej w kostkach. Na dokuczające jej hemoroidy. Jak pokuta, to pokuta. Chociaż tak naprawdę to nie miała za co pokutować.

Wieczorem, gdy już leżała w łóżku i smarowała twarz kremem na noc, zastanawiając się, czym się różni ten na noc od tego na dzień, zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu pojawił się jego numer. Więc jednak zadzwonił. Od razu przystąpił do rzeczy. Rano napisał, a teraz dzwoni. Bardzo się cieszyła, bo wciąż jej największą obawą było to, że on zniknie.

- Spisz?

- Nie, ale jestem w łóżku.

- Sama? -Tak.

- A chciałabyś, żebym przyjechał?

Co? Czyżby to było takie proste? A teraz trzeba szybko udzielić odpowiedzi. Bo jeszcze się rozmyśli

i nie przyjedzie. Już nigdy się nie odezwie. O Matko Święta! Gały tydzień biegła do bazyliki Mariackiej i modliła się do tej pięknej Madonny, żeby to się stało. Więc musi udzielić odpowiedzi. Twierdzącej, oczywiście. I to szybko.

- Tak, przyjeżdżaj - odrzekła. Chciała jeszcze koniecznie dodać słowo. Ale się ugryzła w język. Mogłaby jeszcze powiedzieć, że go kocha, że zawsze kochała. Od pierwszego wejrzenia. Wtedy, gdy był jej opiekunem na stażu. Zawsze jej się podobał. Jak nikt inny. Jego czarne oczy i kręcone, ciemne włosy, teraz przyprószone siwizną, ale wtedy w kolorze hebanu.

Rozmarzyła się, a czas uciekał. Wyglądała żałośnie w tej starej, powyciąganej koszuli. Jak się tu pokazać takiemu przystojniakowi w tak lichym stroju?

- O matko, o mamuniu - jęknęła na głos, bynajmniej nie mając na myśli własnej mamusi, która o tej porze już zapewne w najlepsze pochrapywała na swojej arcyniewygodnej wersalce. Na szczęście daleko stąd. Na Przymorzu, w falowcu. Przynajmniej zdejmie te papiloty. Może gdzieś znajdzie tę jedwabną koszulkę? Trochę przymałą i przykrotką. Zwłaszcza w górnych partiach, ale co jedwab, to jedwab. Na szczęście znalazła ją na dnie szuflady w sypialni. Nie dość, że była za mała, to jeszcze prześwitująca. Ale wyglądała zdecydowanie lepiej. Seksi fleksi, jak mówiła Monika. To był strój w sam raz na randkę. Taką rozbieraną. Chociaż on może się nie spodziewa, że powita go w takim stroju. Prawie nago. Może spodziewa się zobaczyć ją w tym sraczkowatym golfie i w tych starych, czarnych

spodniach na gumce, które miała na sobie w galerii? Może tak byłoby lepiej? A nie tak od razu walić z grubej rury. Cycki na wierzchu i bierz mnie, bierz. Co za głupota! Ale to było silniejsze od niej. W jego głosie, w słuchawce, usłyszała coś takiego, co ją sprowokowało. Odważyła się założyć tę koszulkę. I dobrze. Całkiem nieźle w niej wyglądała. Tak kobieco. Do tego rozpuszczone włosy. Farbowane na platynowy blond. Niech zobaczy, jak ładnie wyglądają, kiedy są rozpuszczone i umyte. A nie spięte w kitkę jak w tej galerii. Ta kitka zawsze drażniła Monikę, która nie szczędziła jej kąśliwych uwag, że w takiej fryzurze wygląda na kasjerkę z biedronki. Ale Honorata nie przejmowała się tymi komentarzami. Przecież i tak nikt nie zwracał na nią uwagi. Była przezroczyta. Tak się mówi o wszystkich starych i nieatrakcyjnych kobietach. Spojrzała w lustro. Może być. Teraz przezroczyta była jej koszulka. Pod nią rysowały się duże brodawki i lekko wystający brzusek, a pod nim ciemny trójkącik. Niech się zdziwi, jak mu otworzy drzwi. Zdziwi się na pewno. I bardzo dobrze.

- No i co? I jak było? - Monika była od wczoraj podekscytowana e-mesem, który wieczorem otrzymała od koleżanki. Ze o n ma do niej przyjechać, teraz, zaraz. Ten jej wymarzony, z czarnymi oczami.

- Chyba coś poszło nie tak, bo jesteś jakaś bez humoru. No opowiadaj, jak było! Nie daj się prosić!

Honorata spojrzała na koleżankę z ukosa i rzuciła:

- Później ci opowiem, teraz nie mam czasu, pracuję, nie widzisz?

- Dobrze, jak chcesz. - Monika wydeła usta. Była niezadowolona. Miała nadzieję na jakieś pikantne szczególiki przy porannej kawie, a tu nic. Dupa blada. Honorata siedziała przy biurku w swoim obrzydliwym golfie. Pochylona nad klawiaturą, udawała, że pracuje. Znowu spięła włosy w kitkę. Chyba jednak randka nie wypaliła.

Honorata nie miała ochoty opowiadać o wczorajszym wieczorze. Bo zjawił się późno. Było po jedenastej, gdy wreszcie usłyszała dzwonek domofonu. Już zdążyła zmarznąć w tej koszulce, ale się nie przebrała. Chociaż powinna. W końcu był grudzień. Na zewnątrz dość chłodno. Zwłaszcza wieczorem.

Miał na sobie czarny golf i pachniał jakąś dobrą wodą po goleniu. Ale wyczuła od niego również zapach alkoholu. Znała ten zapach doskonale i nic nie mogło jej zmylić. Jej młodszy brat Franciszek, zanim trafił do ciupy, często wracał do domu napity. Pod gazem, jak mówiła mamusia. Wtedy to właśnie Honorata otwierała mu drzwi. Bo mamusia chrapała w swoim pokoju. Honorata miała więc zadanie, by położyć pijaka do łóżka. Żeby się nie awanturował po nocy. Bo co ludzie pomyślą? Wezmą ich na języki jak nic! Teraz ten jej wymarzony, wytęskniony Kuba Herbst pachniał jak jej brat. To znaczy niezupełnie, bo używał lepszej wody po goleniu. Ale niestety pachniał nie tylko tą wodą. Mimo to była zachwycona. Chociaż jakby trochę mniej.

Jego wzrok prześlizgnął się po przezroczystej koszulce Honoraty, ale chyba jej strój nie zrobił na nim takiego wrażenia, jak oczekiwała. Był głodny. Chciało mu się również pić. Niestety, nie miała w domu żadnego piwa ani wódki. Nic z alkoholu. Więc zaparzyła mu kawę. Usiedli w kuchni. Na stołkach. Był zmęczony i chciało mu się spać. Honorata pościeliła mu w dużym pokoju na kanapie. Sama poszła do sypialni. Rano zauważyła w łazience, że w kubeczku do mycia zębów stoi jeszcze jedna szczoteczka, a na pralce leży męska kosmetyczka. Taka w szkocką kratkę, całkiem gustowna. Otworzyła ją z ciekawości. Oprócz maszynki do golenia była tam jeszcze buteleczka z wodą po goleniu. Psiknęła sobie na nadgarstek, żeby sprawdzić, czy to ten sam zapach, który przedtem poczuła w Galerii Bałtyckiej i wczoraj w swoim mieszkaniu. Okazało się, że tak. Teraz, siedząc w biurze, ciągle jeszcze czuła ten zapach i zastanawiała się, co on robi. Czy już wstał, czy jeszcze śpi? Jak wychodziła, to spał jak zabity, więc musiała sprawdzić, czy żyje. Spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem. Nic nie powiedział. Przewrócił się tylko na drugi bok. Przykryła mu plecy kocem i wyszła z domu, bo już było późno. O mało nie spóźniła się do pracy. Monika była zdziwiona, że przyszła pierwsza do biura i musiała wziąć klucz z portierni. Bo Honoraty nie było. Zaczęła sobie wyobrażać Bóg wie co na temat tego wieczoru koleżanki z jej ukochanym. A tu nic. Chyba kompletna klapa. Honorata sprawiała wrażenie zmęczonej i zniechęconej. „A może jedynie zmęczonej?” -spekulowała Monika. - Może po prostu nie spała całą

noc? Więc teraz jest nie w humorze, bo nie może się doczekać, aż wróci do domu".

- Nic mi nie powiesz, taka jesteś zarobiona? - Monika nie dawała za wygraną. Musiała się dowiedzieć, co się zdarzyło wczoraj wieczorem. I w nocy. Przede wszystkim w nocy.

- Później, przecież powiedziałam ci, że później. Tak naprawdę nie było o czym opowiadać. Po prostu

wprowadził się do niej na jakiś czas. Bo już nie mógł wytrzymać z matką. Zupełnie tak jak ona, zanim załatwiła sobie to mieszkanie z TBS-u. Też chodziła struta i nie chciało jej się żyć, bo co to jest za życie w tym cholernym falowcu, w jednym mieszkaniu z wiecznie zrządzającą rodzicielką? Z tymi sąsiadami, co wszystko słyszą i widzą. Stare baby i łażą po galerii dla zabicia czasu. Zaglądają ludziom do okien i plotkują. O tym, że Franek Badziągowski, ten mały Franuś, ten blondasek, urwis, co kiedyś latał za piłką po parkingu koło falowca, teraz siedzi w pudle. Za rozbój. Matka wozi mu paczki do więzienia. I ciągle płacze po kątach. Ze takiego ma nieudanego syna.

Prawda była taka, że zamiast ognistego romansu Honorata miała w domu nowego lokatora i zastanawiała się, co z tym zrobić. Monika pewnie by poradziła, żeby go przepędzić, póki czas. Dopóki się nie zagnieździ jak jej Walduś. Dopóki nie zacznie na niej żerować. Ale ona jeszcze nie podjęła decyzji. Trzeba to przemyśleć jeszcze raz. Druga okazja może się nie zdarzyć. Trzeba będzie iść do gorseciarki. No i kupić jakieś nowe ciuchy. Może to go ruszy z tej kanapy. Byle nie pił, jak jej braciszek cholerny, zakała rodziny. W każdym razie jej

nowy lokator, choć pil, to jednak miał markowe ciuchy i w ogóle był z wyższej półki. To się czuło. Pachniał całkiem ładnie. Więc jeśli rzeczywiście zechce się u niej zagnieździć, to pewnie przywiezie resztę swoich rzeczy. A ona będzie musiała powiedzieć mamusi, że ma lokatora. Chyba inaczej nie można o nim powiedzieć. Bo jak inaczej? Rezydent? Współmieszkaniec? Chyba tylko określenie lokator pasowało do niego jak ulał. Mamusia pewnie byłaby oburzona, że przyjęła kogoś takiego pod swój dach. Ale mniejsza z nią. Jest stara i głupia. Zresztą też gościła u siebie tego szwagra z Sulęcyna. Nie raz i nie dwa. Przyjeżdżał do nich całe lata. Swojej żonie mówił, że wyjeżdża w delegację. Kuba jest przynajmniej rozwiedziony. I bez zobowiązań, bo jego córka to już, zdaje się, jest całkiem dorosła i ma chłopaka. Tak przynajmniej twierdzi Kuba. Opowiadał jej o córce, jak pili kawę w Galerii Bałtyckiej. Nie chciał opowiadać wyłącznie o swojej matce. Napomknął jedynie, że jest starą hipochondryczką i że ma jej dosyć. Tego zapachu jej ciężkich, piżmowych perfum. Tych flakoników z różnymi smarowidłami, które rzekomo miały opóźnić starzenie. Pudru, który wszędzie rozsypywała. Czasem nawet znajdował drobinki w swojej garderobie. Koszmarna stara baba. Tak mówił o matce. Z niechęcią. Ba, nawet z nienawiścią. Honorata, chociaż momentami nie mogła ścierpieć swojej mamusi, ukrywała to sama przed sobą. Mówiła o niej i do niej „mamusia”. Mamusia to, mamusia tamto. Nawet w myślach nie mogłaby nazwać jej swoją starą. Tak jak Franek. Ale on był kryminalistą, więc poza nawiasem społeczeństwa. Natomiast Kuba, ten

piękny Kuba o szlachetnej twarzy i wspaniałych, przyprószonych siwizną kędziorach, mówił o matce „matka”. Tak po prostu. Z oschłością i krytycyzmem. Z pogardą. Ciekawe, jaką krzywdę mu wyrządziła, gdy był mały?

Monika była zawiedziona, bo niczego nie dowiedziała się od koleżanki. Honorata spakowała się i wyszła równo o czwartej. Normalnie wstawiała od komputera kwadrans po tej godzinie. Zazwyczaj też wcale nie spieszyła się do domu, bo jak mówiła, nic tam na nią nie czekało. Ani tym bardziej nikt. Dziś jednak najwyraźniej ktoś czekał i stąd ten pośpiech. Monika poczuła ukłucie zazdrości. Na nią czekały trzy gęby do wy karmienia. Portfel zaś, a właściwie jej konto w banku świeciło pustkami. Ważne, że nie miała debetu. Może nawet nie będzie musiała go robić na święta, bo w pracy mają dać jakieś bony. Więc zrobi zakupy w dyskoncie i jakoś przebiedują. Ale bez dziadowania. Gorzej, że Waldek łąził całkiem rozstrojony. Od czasu jak wróciła do domu po czterodniowym gigancie u Anki, chodził po domu taki zgaszony, sprawiał wrażenie, jakby się czegoś bał. Dziwnie reagował, ilekroć dzwonił domofon. Po prostu wpadał w panikę. Coś mu się w tym durnym łbie poprzestawiało od wódy i od fajek. Może zaczął jarać coś innego? Cholera go wie. Dostał coś od Buddy. Bo ten to jak nic handluje na boku jakimś świństwem. Trzeba będzie pójść do Hali i popytać o Budkę. Co się z nim stało? Zwłaszcza że Anka chciałaby się dowiedzieć o nim czegoś więcej. Ostatnio Waldek strasznie się alkoholizował. Opuścił się w pracach domowych, a Monika nie miała pojęcia, skąd brał pieniądze na wódę i fajki. Może

kogoś zaciukał i dlatego chodził taki spanikowany, że policja przyjdzie i go przymkną? Więc niech zabiera dupę w troki i jedzie do tego Kingdomu cholernego zarabiać na spłatę zadłużenia. Wisieli już z piętnaście tysiąków za czynsz. Monika była gotowa kupić mu nawet bilet do Londynu, byleby się wyniósł. Przestał jej truć dupę. Może wreszcie by sobie kogoś znalazła. Jakiegoś Norwega albo Fina. Bo na pewno nie Polaka. Z głową jak arbuz. Najczęściej bez włosów. I z debetem na koncie. Albo bez konta. Jak Budda czy Waldi.

Honorata postanowiła zrobić porządne zakupy. W „Madisonie”. Swoją drogą, cóż za pretensjonalne nazwy w tym Gdańsku - „Madison”, „Manhattan”. Brakuje tylko Fifth Avenue. Najpierw kupi nową bieliznę. Tam na górze jest sklep, gdzie mają większe rozmiary. Na pewno uda jej się coś dobrać. Nie będzie musiała latać do żadnej gorseciarki. Warto mieć coś nowego, bo ten stary stanik był kompromitujący. Tak na wszelki wypadek, gdyby Kuba raczył się nią zainteresować. Może nowe dzinsy, jeśli będzie jej rozmiar? I ze dwie bluzki. Takie w stylu Moniki. Młodzieżowe. Jeszcze pigułki, ale to w Internecie. Przeciw otyłości. Odchudzają o osiem kilo w czternaście dni. Miała spore wydatki. Ale może się opłaci? Może Kuba się ruszy z tej kanapy? Musiała nad tym popracować.

347.

BYĆ JAK JUDIDENCH

Chyba wyprowadził się na dobre. Tak jak kiedyś jego ojciec. Dawno temu. Wczoraj zabrał resztę swoich rzeczy. Na pożegnanie uroczyście trzasnął drzwiami. Aż się wszystko zatrzęsło. Nawet buteleczki z perfumami na toalecie. Zostawił ją samą. Na odchodnym nie powiedział ani słowa. To był fakt. Mogła się tylko domyślać, że znalazł wreszcie jakąś naiwną kobietę i postanowił u niej zamieszkać. Teraz to ona będzie zbierać jego brudne skarpetki, porozrzucane po całym mieszkaniu, i wymiatać spod łóżka zgniecione puszki po piwie i pety. To jej zasłony oraz firanki będą przesiąknięte smrodem papierosów. To ona będzie musiała prać i prasować jego koszule. A nie Ukrainka Lena, która zdążyła już posprzątać mieszkanie Romy Herbst tak, że lśniło i pachniało. Wreszcie. Mogła teraz spokojnie odpoczywać i nie martwić się o syna. Skoro ją zostawił, to znaczy, że miał dokąd pójść. Opuścił ją ostatni mężczyzna w jej życiu. Wszyscy pozostali zrobili to znacznie wcześniej. Zarówno ci długotrwali,

jak i jednorazowi. Powinna chyba zapisać ich imiona w kolejności. Zrobić z tych imion łańcuszek i owinać nim szyję. Chociaż owijanie szyi czymkolwiek byłoby jednak ryzykowne, bo od rana miała duszności. Pewnie będzie musiała wstać z łóżka, żeby uchylić okno i zaczerpnąć świeżego powietrza. Ale to wymagało wielkiej mobilizacji. Żeby wstać. Jakoś nie miała na to siły. Mówiła Gosi, że gorzej się czuje, ale ona nie zareagowała na jej skargi. Zawsze uważała, że wszystkie choroby byłej teściowej to zwykła hipochondria. Nic innego. Kpiła z niej okrutnie. Więc Roma nie będzie prosić jej o pomoc. Ukrainka nie przyjdzie już do świąt, bo pojechała do siebie. Teraz Roma będzie musiała sobie radzić sama. Jednak duszności były coraz większe. Po prostu nie do zniesienia. Zmęczona walką o wyrównanie oddechu, opadła na poduszki.

Jak tylko poczuje się lepiej, powinna usiąść przy biurku i coś napisać. Może testament? A gdyby tak zmienić ostatnią wolę? Wydziedziczyć syna? A wszystko, co ma, przepisać na kościół? Ten Mariacki, gdzie się kiedyś tak gorąco modliła. Powinna zapisać swój majątek na renowację zabytkowych kaplic. Może nawet kaplicy Jedenastu Tysięcy Dziewic?

Z pewnością nie będzie pisała wspomnień. Wstydziała się swojego grzesznego życia. Dlatego nie zapisze nazwisk wszystkich tych mężczyzn, którzy byli dla niej ważni i nieważni. Ale kiedyś należeli do niej. Pierwszą literą tego jej tajnego alfabetu był Artur, który w młodości był Arthurem i skakał ze spadochronem jako cichociemny, żeby ratować Polskę. A ponieważ nie udało

się jej uratować przed ruskimi, przez resztę swojego życia pisał niepokorne książki i odezwy, płomienne mowy przeciwko znieprawionemu reżimowi, a przy okazji złamał jej serce, bo pewnego dnia nie otworzył jej drzwi do swojej garsoniery i już nigdy nie zamienił z nią ani słowa. Mimo to płakała na jego pogrzebie. Dziś nawet nie pamiętała, dlaczego go pokochała. Nie pamiętała, jak to jest, gdy się tak kocha. Pamiętała za to, że na pogrzebie miała na sobie ten piękny chanelowski kostiumik i pantofelki na kaczuszcze, i perełki. Zapach, który roztaczała dookoła. To był piękny moment. Dla takich chwil warto żyć. Tę jej kreację na pogrzebie Artura Hofmana zapamiętali wszyscy. A przede wszystkim ona.

Chciałaby zostać pochowana w tym kostiumiku. I w perełkach oczywiście. Pantofle mogą być inne, bo tamte wyrzuciła już wiele lat temu. Było jej najzupełniej obojętne, gdzie ją pochowają. Byle mieć na sobie to śliczne ubranie. Nie wiedziała, komu powierzyć to ostatnie zadanie. Na syna przecież nie mogła liczyć. Z pewnością będzie pijany na jej pogrzebie. O ile w ogóle się zjawi. Może lepiej, żeby nie przychodził. Bo taki syn to kompromitacja. Właściwie lepiej by go było nie mieć, niż mieć. Ale między jej gorącym uczuciem do mężczyzny, który był pierwszą literą jej miłosnego alfabetu, a tą wspaniałą kreacją na jego pogrzebie znajdowało się jeszcze wiele imion i wielu mężczyzn. Prawie cały jej alfabet. Nie były to osoby warte uwagi. Lepiej niż swoich dawnych mężczyzn pamiętała sukienki, z których ją rozbierali. Były to głównie kreacje mini.

Krótkie spódniczki. Sukieneczki. Wyglądała w nich jak Twiggy. Chociaż miała większy biust. Ale też miała duże oczy i regularne rysy. Kiedyś, dawno temu. I talię osy. I szczupłe nogi. W końcu jednak zgubiła swoją dziewczęcość i wiotkość. Nie żeby utyla. Ale po prostu całe jej piękno zaczęło pękać i się kruszyć. Nie lubiła już chodzić do fotografa ani patrzeć w lustro. Wtedy ten jej alfabet zaczął się kurczyć. Samotność zajrzała jej w oczy.

Teraz to najlepiej czuła się sama. Nie musiała się nawet ubierać. Wystarczył szlafrok. Nie musiała nakładać makijażu. Tej swojej drugiej skóry, bez której jej cera coraz bardziej przypominała skórę węża. Tak jest - węża. Na przykład anakondy. Cała w cętki. W końcu wstała. Uchyliła okno, żeby wpuścić trochę powietrza. Usiadła przed lustrem. Zrobiło jej się smutno, gdy spojrzała na swoją twarz bez makijażu. Wyglądała żałośnie. Jak jakaś stara wiedźma, którą straszy się dzieci. Twarz cała w przebarwieniach i plamach wątrobowych, szyja pomarszczona i zwiędła, a dekolt - szkoda gadać. Coś tam wisiało poniżej dekoltu, ale to przecież nie były jej ponętne niegdyś piersi, lecz jakieś woreczki wypełnione trocinami. Czuła się zdradzona i oszukana przez wszystkich. Ale jakby miała wskazać, przez kogo najbardziej, nie umiałaby wskazać winnego. Chyba sama była winna. Bo się zestarzała. Zwiędła, a teraz po prostu gniła od środka. Jej ciało ją zdradziło. Właśnie dlatego została całkiem samotna.

Po raz pierwszy została sama, gdy jej mąż, Leon Herbst, spakował swoje rzeczy i wyprowadził się do

jakiegoś służbowego mieszkania, a niedługo potem zadzwonił do niej i powiedział, że chyba jednak dołączy do alii. Nie wiedziała, co to znaczy. Myślała, że jej były już wtedy mąż po prostu oszalał. Ale potem okazało się, że emigruje do Izraela. Ze opuszcza kraj przez politykę. Roma nigdy nie interesowała się polityką i nie mogła zrozumieć, dlaczego jest tak ważna dla mężczyzn. Jej ojciec zawsze mówił, że wszystkiemu winni są Żydzi, i dlatego tak się ucieszył, gdy w oficjalnej propagandzie pojawiły się hasła antysyjonistyczne. W jeszcze większym stopniu ucieszyło go to, że jego niechlubnej sławy zięć, jak zwykł nazywać Leona Herbsta, musiał opuścić kraj. Właśnie - musiał. Ten zatwardziały komunista. Mąż jego wyrodnej córki musiał uciekać. Do swojej drugiej ojczyzny, a tak naprawdę to do pierwszej, jak sam powiedział. Chyba z tej radości stary Olczak dostał wylewu. Już nigdy nie podniósł się z łóżka. A to z kolei niezwykle uradowało jego córkę, która nigdy nie odwiedziła chorego ojca, a na usilne prośby matki, żeby jednak przyjechała i pojednała się z rodzicem, odpowiadała głuchym milczeniem. Gdy matka próbowała się do niej dodzwonić, rzucała słuchawkę na widełki. Wreszcie przyszedł telegram, że pogrzeb w sobotę i żeby przyjeżdżała. Przeczytała go dwa razy, a potem starannie złożyła blankiet i włożyła go do szuflady w biurku. Na pamiątkę. Nie pojechała na pogrzeb. W końcu jako wyrodna córka miała do tego prawo. Żeby nie być na pogrzebie wyrodnego ojca.

Ale z Leonem potem się jakoś ułożyło. Gdy już był w Izraelu. Bardziej finansowo niż towarzysko. Przysyłał

jej pieniądze regularnie przez te wszystkie lata. Początkowo uważała, że to naturalne, że ją wspiera materialnie. Jednak z czasem zaczęła cenić jego pomoc i troskę. Był jedynym przyjacielem, jakiego miała. Pisali do siebie stale. Teraz też powinna do niego napisać. Ostatni list. Z okazji Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Z życzeniami. Choć Leon nie obchodził chrześcijańskich świąt. Żydowskich też nie. Przynajmniej na początku. Ale potem jego druga żona, rumuńska Żydówka, wprowadziła ten obyczaj. W grudniu świętowali Chanukę. Święto świąteł.

Więc zwykle wysyłała mu kartkę z okazji Chanuki, a Leon życzył jej radosnego Bożego Narodzenia. Wspominał ich wspólne święta. Wiele lat temu. Że choinka była dopiero na Nowy Rok, a Kubusiowi prezenty przynosił Dziadek Mróz zamiast Świętego Mikołaja. O barszczu, o pierogach z kapustą i grzybami i o opłatku przypominała jej jedynie kartka od matki. Ale w jej domu nie było wigilijnej kolacji. Za to chodzili z mężem na bale sylwestrowe. Były balony, serpentyny, sypało się konfetti. Do tego ostry makijaż. I oczywiście nowa kreacja, która wzbudzała zachwyt mężczyzn i zazdrość kobiet. Mąż nie żałował jej pieniędzy na ciuchy. A ona miała dobry gust i umiała się ubrać. W Nowy Rok zwykle miała kaca po radzieckim szampanie. Zawsze miała słabą głowę, a *sowietskoje szampanskoje* miało szczególną moc. Dlatego nic nie mogła zjeść na późne noworoczne śniadanie, które miało być ich głównym świątecznym posiłkiem. Jej mąż stawiał wtedy na stole kwaśne mleko, dzięki któremu jakoś dochodziła do

siebie. To były wspaniałe czasy. Ogromnie żałowała, że jej małżeństwo się rozpadło. Czas pokazał, że Leon był jej najlepszym przyjacielem. Ze tylko on ją rozumiał i wspierał. Nawet gdy stracił cały swój młodzieńczy czar.

Teraz trzeba zrobić coś z twarzą. Już nie mogła patrzeć na tę wężową skórę. Niektóre stare kobiety - tak jest, stare, nie należy się bać tego straszego słowa - otóż niektóre starsze panie (tak brzmi lepiej) potrafią dobrze wyglądać. Na przykład Judi Dench, było nie było, rówieśnica Romy. Ta to wygląda! Kwitnąco. Chyba nawet lepiej niż w młodości. I to nie przez żaden botoks. Odślania nawet szyję. Skubana. W dodatku ta jej fryzura. Roma też chciałaby mieć taką. Właśnie taką. Więc Gosia musi ją zawieźć do fryzjerki. Żeby ją tak ostrzygła i ufarbowała. Roma miała już dość tej rudej lisicy na głowie. Wyglądała jak czupiradło. Należało to zmienić. Jak najszybciej. Chciała wyglądać jak Judi Dench. Jak rasowa gwiazda i świetna aktorka.

Więc wystukała numer Gosi. Ale ta nie odbierała. Jej wnuczka oczywiście też nie. Jak zobaczyła na wyświetlaczu, że dzwoni babcia Romcia, to naturalnie odrzuciła połączenie. Nic ją z babcią nie łączyło. Nic a nic. Poza tym, że była do niej ładząco podobna. Do tej babci ze zdjęcia w szkolnym mundurku, które stało na toalecie w mieszkaniu Romy. Na tej toalecie były jeszcze dwie inne fotografie. Również babci Romci. Bo babcia kochała wyłącznie siebie. Tak mówiła matka Agnieszki. Że Roma kocha siebie i tylko siebie. Że urządza sobie seanse samouwielbienia z tymi starymi zdjęciami, na

których rzeczywiście wygląda olśniewająco. Jak gwiazda filmowa. Taka z dawnych lat.

To się nawet Agnieszce podobało, bo lata pięćdziesiąte, a zwłaszcza sześćdziesiąte, były w modzie. Więc zdjęcia, a zwłaszcza stare sukienki, które Roma trzymała w szafie, mogły się przydać. Gdyby Agnieszka chciała zaszpanować stylem *vintage*. Oczywiście pod warunkiem że by schudła. Bo babcia zawsze była szczuplutka. Wnuczka zazdrościła jej tego, patrząc bezradnie na swoje wałeczki tłuszczu na brzuchu. Talia osy była jej nieosiągalnym marzeniem. Nie mogła go zrealizować, nawet za pomocą najbardziej restrykcyjnych diet. Nieudane próby zrzucenia wagi jedynie pogłębiały jej niechęć do babci. Więc nabijała się ze zdjęć na toaletce. Z tego w białej studenckiej czapce. A zwłaszcza z tego, na którym babcia miała śmieszne, nadmuchane włosy. Natapirowane, jak poprawiała Agnieszkę jej mama. To było w czasach, kiedy Agnieszka odwiedzała babcię. Z musu. Bo tak wypadało. Na Dzień Babci i z okazji jej imienin, a także urodzin trzeba było dać kwiatki. Na święta zapraszali babcię do siebie, ale zwykle się wymawiała bólem głowy albo niestrawnością. Nie była rodzinna. Więc niech się teraz nie dziwi, że nikt nie chce z nią rozmawiać. Nawet przez telefon.

Agnieszka jednak powoli dojrzewała do tego, żeby odwiedzić babcię. Właściwie w większym stopniu niż Roma interesowało ją jej mieszkanie, które było zupełnie inne niż dom matki. Chciała zobaczyć, jak teraz wygląda wnętrze, które zapamiętała z dzieciństwa. Ten buduar starej kurtyzany, jak kiedyś nazwała jej pokój

Gosia. Agnieszka lubiła powtarzać tę nazwę. Miała ochotę poczuć zapach pudru i duszących perfum. Mniejszą ochotę miała na spotkanie z właścicielką tych zapachów. Roma bowiem zawsze ją strofowała. Gadała jakieś głupoty. O tym, że trzeba prosto się trzymać, zamiast się garbić. I wypinać pierś do przodu. Zwłaszcza jak się ma tak ładne piersi jak Agnieszka, która w przeciwieństwie do swojej matki miała dość obfity biust, którego się wstydziła. Chowiała go pod luźnymi bluzami. Więc wkurzało ją, gdy babcia poruszała ten temat. To był szczyt braku delikatności. Babcia, choć wyglądała jak potwór, ciągle się pindrzyła, jakby nadal była niezłą laską. A laską nie była już od kilku dziesiątków lat. Ale nie umiała tego zauważyć. Ciągle jej się wydawało, że jak nałoży na tę pokrytą gęstą siateczką zmarszczek gębę pół tony podkładu i tonę pudru, to odzyska młody wygląd. Do tego te jej apaszki. Obwiązywała nimi szyję, żeby nie było widać, jaka jest pomarszczona. Żalotne. Żenada po prostu. Wstyd się przyznać komukolwiek do takiej babci. Niestety, wielu ludzi pamiętało ją z dawnych czasów. Jeszcze gorzej wspomniano jej dziadka. Agnieszka miała żal do matki, że związała się z takimi ludźmi. Ze wskutek niefrasobliwości Gosi ona - Agnieszka - miała ojca alkoholika i babcię wariatkę. Dzidzię piernik. Koszmarną staruszkę, której nienawidziła. Dlatego nie odebrała telefonu. A niech sobie dzwoni, stara jędza. Jak zwykle czegoś chce. Matce też nie daje spokoju. Chociaż ta już przecież od dawna nie była jej synową. Szkoda, że Agnieszka nie mogła przestać być wnuczką.

Roma jednak postanowiła nie odpuszczać. Będzie dzwonić do skutku, a jak Gosia nie odbierze, to Lena, ta Ukrainka, która u niej sprząta i gotuje, zaprowadzi ją do fryzjera, a ona poprosi, żeby zrobili jej takie włosy jak ma Judi Dench. Aha, i jeszcze trzeba będzie zobaczyć ten ostatni film z serii o Jamesie Bondzie, bo tam po raz ostatni Dench zagrała M. Ale Lena była już chyba na Ukrainie, u swoich, więc nie mogła przyjść. Roma o tym zapomniała. „Skleroza cholerna” - pomyślała. Więc koniecznie Gosia musi jej przynieść kasetę albo Agnieszka pójdzie do sklepu i kupi. Pójdzie do empiku. Roma musi to obejrzeć. Jeszcze raz. Zresztą wszystkie filmy z tą aktorką są znakomite i warte obejrzenia. Więc teraz będzie je oglądać. Jeden po drugim. Przecież nie ma nic innego do roboty. Skoro w szpitalu spisali ją na straty, syn się wyprowadził, a wnuczka nie chce jej znać. Chociaż wszyscy mówią, że Agnieszka to skóra zdarta z babci. Wprawdzie jest wyższa i nie taka cienka w pasie. Teraz dziewczuchy są jakieś toporne i chodzą w portkach, które odsłaniają połowę tyłka. Okropność. Agnieszka powinna się i odchudzić, i zacząć się nosić jakoś inaczej. W przeciwnym razie nigdy nie złapie porządnego kawalera. Głupia koza, myśli, że to takie babcine gadanie. Ze fajnie tak w tych portkach latać. i mieć wystający brzuch w wieku dwudziestu lat. Jeśli dobieje do czterdziestki, będzie miała tyłek jak armata. A właściwie jak jej mamusia. To złe geny Gosi popsują Agnieszce figurę. Gosia spaczyła córce także charakter. Swoim prostactwem. Od dziecka również wypaczała małej gust. Srajkomajtkowatymi ubrankami. Totalnie

bez gustu. Bez żadnego kroju. Takimi jak te pokutne worki, które zakładała na siebie Gosia. Żeby ukryć mankamenty figury. Brak tali, za małe piersi i ten straszny tyłek. A wiadomo, że cały szyk i elegancja kryją się w cięciach i w szwach. We wszystkich wycięciach, zaszewkach, marszczeniach. Ale Gosia i Agnieszka nie miały o tym pojęcia. Zresztą nie miały pojęcia o niczym. Były jak dwa potężne babony. Bez klasy. Tego już nie da się zmienić. Za późno. Jej wnuczka była stracona. Tak jak syn. Bardzo ją to przygnębiało.

Ale za to ona może być jeszcze jak Judi Dench. Może obejrzeć wszystkie filmy z ulubioną aktorką. Kobieta z wielką klasą. Inteligentną, mądrą. Więc Roma nie odpuści fryzjera. Musi wyglądać inaczej. Musi coś zmienić, bo już nie może patrzeć na wężową skórę i ten okropny wiecheć na głowie. Ale najpierw trzeba się jakoś ubrać. Wyjściowo. Może jakaś dżersejowa sukienka. Szara. Albo beżowa. W szafie wisi kilka takich. Szara będzie najlepsza. Do tego tweedowy żakiet. I perły. Koniecznie perły. A może sukienka powinna być czarna? Dopasowana, żeby było widać, jaką ma świetną figurę. Mimo wieku. Tej nieznośnej osiemdziesiątki. Największy problem będzie z apaszką, bo przecież założy apaszkę. Nie rusza się z domu bez ładnie zamotanej apaszki. Chociaż w zakładzie fryzjerskim trzeba będzie ją zdjąć i pokazać szyję. A niech się napatrzą, panie ciekawskie. Kiedyś też będą miały pomarszczone szyje. To tylko kwestia czasu.

Duszości niestety się nasilały. Roma, zamiast pójść do fryzjera, powinna położyć się i odpocząć. Najlepiej

by było, gdyby teraz zasnęła. Tak byłoby najrozsądniej. Sen zawsze poprawiał jej samopoczucie. Kiedyś nie mogła spać. Cierpiała na bezsenność. Ale to było dawno. W młodości. Zanim wyszła za mąż. Małżeństwo z Leonem pomogło na wszystkie dolegliwości. Na bezsenność. Na nerwicę. Po raz pierwszy w życiu czuła się bezpiecznie. To właśnie Leon był mężczyzną jej życia. Niemniej nie zdołała tego zrozumieć. Nie umiała go docenić. Na szczęście teraz mogła to trochę nadrobić. Od pewnego czasu regularnie pisali do siebie. W jej życiu znowu było lepiej. Chociaż listy z Hajiy szły długo. Zdecydowanie za długo. Gdyby tak nauczyła się klikać na komputerze, to mogłaby kontaktować się z nim codziennie. Wtedy byłoby już naprawdę dobrze. Na razie każdego dnia sprawdzała, czy w skrzynce nie ma czegoś dla niej. Czekala na te listy w wielkim napięciu. Gdy nie przychodziły przez dłuższy czas, stawała się niespokojna. Leon był przecież od niej sporo starszy. Obiecywał, że na wiosnę przyjedzie do Gdańska, i zapraszał ją do Hajfy. Ale ona nie czuła się na siłach, żeby wytrzymać taką podróż i zmianę klimatu. Więc umawiali się, że na wiosnę to Leon przyjedzie. To ją trzymało przy życiu. Perspektywa, że się spotkają po tylu latach. Pewnie jej nawet nie pozna. Zmieniła się całkowicie. Kiedy stąd wyjeżdżał, była młodą kobietą. Nosila krótkie sukienki, przed kolano. Kolorowe. Miała krótkie włosy. Prawie tak krótkie jak Judi Dench. Ale jeszcze nie siwe. Zaczęła je farbować gdzieś tak na początku lat osiemdziesiątych. W trudnych czasach, kiedy niczego nie było w sklepach. Dzięki pieniądzom

przysyłanym przez Leona mogła zaopatrywać się w peweksie. Nigdy więc nie brakowało jej dobrej farby do włosów. Ani żadnych innych pachnideł, które umilały jej życie. Wtedy jeszcze tak bujne. Pełne romansów. Radosnych chwil. Komplementów. Jeszcze nie była babcią Romcią. Ani nawet teściową. Dziś nie sprawdzała, czy coś jest w skrzynce. A przed świętami coś powinno przyjść.

Roma po powrocie ze szpitala wysłała już dwa listy do Hajfy. Ekspresem poleconym. Czekala na odpowiedź. Ale do wczoraj nic nie przyszło. Więc może dzisiaj znajdzie coś w skrzynce. Leon miał piękny charakter pisma. Stawiał litery zamasyście. Dobrze się to czytało. Roma wolała swoje listy wystukiwać na maszynie, bo zawsze miała nieczytelne pismo i z wiekiem to się nasiliło. Ręcznie się tylko podpisywała. Zawsze tak samo, tak jak za dawnych dobrych czasów: ***Twoja Roma***. A on w odpowiedzi pisał: ***Całuję, Lejb***. Zmienił imię na żydowskie. Nie pytała go dlaczego. Dawniej mówiła do niego Leo. Teraz w nagłówku pisała: ***Mój drogi***, bo jakoś ten Lejb jej nie pasował. I bardzo, ale to bardzo chciała z nim porozmawiać. Ale on nieszczególnie lubił rozmowy telefoniczne, bo chociaż podobno był głuchy jak pień, nie znosił aparatów słuchowych. Poza tym pewnie krępowałby się przed swoją żoną. Na spotkanie trzeba więc będzie czekać do wiosny. Roma chciałaby dobrze wypaść. Obciąć włosy. Na pewno by mu się spodobała w takiej fryzurze. Ogromnie jej na tym zależało. Więc już teraz chciała iść do fryzjera. Żeby wypróbować nową fryzurę. Czy będzie jej do twarzy. Nie ma co,

musi iść do fryzjera. Z pomocą czy bez. Przed świętami musi zmienić swój wygląd. Być jak Judi Dench.

Wciąż miała nadzieję, że ktoś się zgłosi. Odpowie na jej błagalne telefony. Pomoże zrealizować nowe marzenie. Może jedno z ostatnich. Chociażby Gosia. Na nią zawsze mogła liczyć. Miała nadzieję, że pójdzie z nią do fryzjera. A właściwie że Gosia ją zawiezie. Sama też mogłaby coś zrobić ze swoim uczesaniem. Wyglądała jak czupiradło. Jak farbowany koczokodan. Czyli dokładnie tak samo jak babcia Romcia. Roma doskonale wiedziała, że właśnie tak, jadownicie i z przekazem, mówi o niej Agnieszka. Nie chce pamiętać wszystkich dobrych chwil. Na przykład momentów, kiedy uczyła ją jeść owoce morza. Albo robić makijaż. To nie było tak dawno. Ledwie chwilę temu. Niestety, dziś babcia Romcia była dla Agnieszki uosobieniem kogoś niekochanego, niepożądanego i niedzisiejszego. Zupełnie nieprzydatnego.

Dość czuwania. Trzeba odpocząć. Jeszcze sprawdzi, czy drzwi są zamknięte. Tak na wszelki wypadek. Zawsze lubi to sprawdzić. Bo pamięć już nie ta. Zawodzi coraz częściej. Dlatego trzeba sprawdzać różne rzeczy. Najgorszy jest gaz i właśnie drzwi wejściowe. Wydawało jej się, że Ukrainka zatrzasnęła je, wychodząc. Ale może jednak nie są zamknięte?

Roma jakoś nie do końca ufała tym zamkom, zatraskom. I automatom. Lubiła wszystko sprawdzić własnoręcznie. To dawało jej poczucie bezpieczeństwa. Coś, co utraciła dawno temu. Właśnie w Boże Narodzenie. Dlatego starannie unikała wszystkiego,

co kojarzyło jej się ze świętami. Choinki, prezentów, kolęd. Nawet tego nieszczęsnego karpia czy pierogów. Ignorowała święta. Nienawidziła ich. Więc filmy z Judi Dench okazały się skuteczną odtrutką na tę nieznośną dla niej atmosferę. Na kolędy, które zaczęły się przez ścianę. I na samotność. Bo nikt jej nie odwiedzi ani nawet nie zadzwoni. Wszędzie kolędy i kolędy. Najtrudniejszy moment w roku. Więc tym bardziej trzeba coś zmienić. Coś poprawić. Na przykład fryzurę. Niemniej duszności nie dawały jej dojść do drzwi. Na chwilę musiała usiąść na podłodze. Żeby zaczerpnąć powietrza. Odrobinę. Odetchnąć. Chociaż raz.

- Ale nie zostawiaj mnie. Nie przed świętami. Poczekaj chociaż do Nowego Roku. - Ton Marianny był płaczliwy.

Juliusz nie słuchał. Starannie składał ostatnie sztuki bielizny i układał je w walizce. Był już prawie spakowany. A ona coraz bardziej histeryzowała. Bał się, że posunie się do jakichś dramatycznych gestów. Że zagrozi mu drogę. Że jak Rejtan położy się w drzwiach wejściowych. Albo zacznie rzucać przedmiotami. Tłuc porcelanę. A to przecież będzie do podziału. Jak wszystko. Więc byłoby trochę szkoda. Gdyby nie to, że wróciła od kosmetyczki nieco wcześniej, tej sceny dałoby się uniknąć. Zdążyłby wyjść z domu. Tak jak planował. Bez świadków. Nie spodziewał się, że będzie się tak głośno darła. W końcu zawsze udawała taką powściągliwą

damę. A teraz czar prysł jak bańka mydlana. Makijaż jej się rozmazał. Poleciało jej oczko w pończosze. Wyglądała okropnie. Postarzała się. Jeszcze dwa, trzy lata temu wyglądała znacznie lepiej. Była szczuplejsza. Teraz wyraźnie zaczynała tyć. Zupełnie jak jej matka. Też się roztyła tak koło pięćdziesiątki. Juliusz nie lubił tłustych bab. Zresztą za chudymi też nie przepadał. Juliusz był gejem i nie miał ochoty dłużej tego ukrywać. A to, że jego żona nie chciała uznać tego faktu i nazwać go należycie, pozostawało już jej problemem. Nie jego. Dla niego było ważne tylko to, żeby jak najszybciej skończyć się pakować i wyjść z domu. Potem już zacznie z nią rozmawiać przez adwokata. Nie będzie potrzeby się spotykać. Miał jej dość. Czuł wstręt. Nie tylko do Marianny. W ogóle do kobiet. Do całego swojego życia. Wstręt do tego kłamstwa. Do niebycia sobą. Do zasypiania i budzenia się obok osoby, która napawała go wstrętem. Powiedział jej przecież, że tak będzie lepiej. Jak odejdzie. Bo cóż innego miał jej powiedzieć? Zamiast się pozabijać, lepiej się rozstać. Po prostu. A najlepiej zrobić to bez krzyku. Kulturalnie. Marianna z pewnością jeszcze kogoś sobie znajdzie. To wcale nie jest takie trudne. Zwłaszcza przy stanie jej konta. Nie będzie miała żadnego problemu, żeby znaleźć odpowiedniego kandydata.

Więc nie ma co rwać włosów z głowy. To prawda, że śmierć jej ojca otworzyła mu drogę. Do tego, żeby wreszcie przestać kłamać. Skończyła się pewna epoka i dobrze. Stary wyciągnął kopyta i nic już tego nie zmieni. Juliusz poczuł, że wreszcie zaczyna się jego

czas. Już nie musi udawać, że jedzie na tournée, kiedy będzie jechał zupełnie gdzie indziej. Wcale nie po to, żeby pracować. Powtarzał jej przez lata, że musi pracować zawsze wtedy, gdy jest to niezbędne. Marianna tylko kiwała głową. Nic jej nie dziwiło. Nawet to, że mąż spędzał niemal wszystkie weekendy w pracy, ani to, że od lat nie byli razem na wakacjach. Juliusz jeździł sam. W różne dziwne miejsca. Ostatnio był na Ibizie. Nie miała także nic przeciwko temu, żeby spał w pokoju gościnnym. Wtedy, gdy spał w domu. A to zdarzało się coraz rzadziej. Ale Mańce było chyba wszystko jedno. Byleby tylko trwać. Utrzymywać fasadę tego małżeństwa. Bywać na premierach, wernisażach, przyjęciach. Wyłącznie to się dla niej liczyło. Mieć go u swego boku na celebryckich spędach. Ale to już koniec gry. Teraz to Mańka miała problem. Juliusz już nie miał żadnego. Wreszcie był wolny.

- Zostań na święta, proszę. To będzie takie nasze pożegnanie.

- Chyba upadłaś na głowę. Wychodzę i nie zatrzymuj mnie.

Niestety, był nieprzejezdny. Wiedziała, że go nie zatrzyma, że zostanie sama. To małżeństwo było fikcją. Nie wiedziała jedynie, że od samego początku. Ze się z nią ożenił, bo jej ojciec sporo mógł. Bo miał nazwisko. A Juliusz miał gówna. Wkroczył do domu Baumannów w Otwocku z jedną walizką. Teraz też wychodził z jedną walizką. Ale był już sobą. Oficjalnie. Nie zamierzał tej prawdy ukrywać. W końcu w jego środowisku to było nawet modne. Nie groził mu żaden ostracyzm.

Wręcz przeciwnie. Mógł liczyć na to, że stanie się popularniejszy. Ze na tej popularności sporo zarobi. Poza tym należała mu się połowa ich majątku. W końcu zapracował na to przez dwadzieścia pięć lat małżeństwa z Marianną. Teraz wreszcie mógł zrzucić maskę i odejść. Żeby wreszcie być sobą.

Niech sobie wyrzaskuje wszystkie obelżywe nazwy, głupia baba. Najważniejsze, że miał ją z głowy. Lekkim krokiem poszedł do drzwi wejściowych. To był najszcześniejszy dzień w jego życiu.

Usiadła przy biurku. Zapłakana. Z rozmazanym makijażem. Dobrze, że wraz z Jaśkiem i Bożeną podłożyli ojcu ten nowy testament. Że zapisał Otwock Bożence. Ale Juliusz o tym nie wiedział. Nie tylko bękart będzie zawiedziony. Juliuszek też. Zapewne liczył na to, że jemu również przypadnie jakaś część schedy po Robercie Baumannie. To było pocieszenie. Niewielkie. Bo oprócz męża utraciła całą swoją przeszłość. Wszystkie pozory, które tak pracowicie podtrzymywała. Uroczyste premiery i wernisaże, na które wkraczali, trzymając się pod rękę. Jakby byli kochającą się parą. A przy tym taką piękną. Wszyscy się zachwycali. Że ona jest taka wysoka i smukła, a on przystojny. W dodatku oboje z klasą. Majętni. Zakochani w sobie mimo upływu lat. To było całe jej życie. Piękne kreacje. Czarujące uśmiechy jej uszmiokowanych ust. Do tego jej torebki i pantofle. Wszyscy podziwiali również jej kolekcję sukienek *haute couture*. Budziły zachwyt. Zachwycali się wszyscy. Tylko nie jej mąż, który po takich występach okazywał swoją irytację i musiał długo dochodzić do siebie. Z dala

od żony. To była zawsze chwila prawdy. Ale i tak była zadowolona. Ze się udało raz jeszcze. Ze była kobietą sukcesu. Do tego posiadającą szczęśliwą rodzinę. No i szczęśliwą w małżeństwie. Nawet gdy już zmyła makijaż i schowała wyjściowe kreacje do szafy, nie była zbytnio szczęśliwa. Ale mimo to uważała, że warto. Paradować. Wyłącznie to się liczyło. Ze robiła wrażenie. A jej mąż się do tego przyczyniał. To prowadzanie się pod rękę i jego uprzejme gesty były jego wkładem. Teraz to się skończyło. Gdyby tak jeszcze chciał odejść, nie robiąc hałasu wokół swojego gejestwa. Niemniej Juliusz powiedział, że wyjdzie z szafy, czyjej się to podoba, czy nie. Ze zrobi głośny *coming out*. Jasna cholera by to wzięła. Mania postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Trzeba mu będzie przemówić do rozsądku. Albo dalej będzie jej towarzyszył na wernisażach i premierach i grał swoją rolę, albo jeszcze popamięta. W końcu już raz go kupiła. Trzeba to będzie zrobić po raz drugi. Nie było innego wyjścia.

MAGIA ŚWIĄT

Dwudziesty czwarty grudnia to był dla niej zawsze trudny dzień, chociaż krótki. Może właśnie dlatego był taki trudny, że krótki. Chciała zrobić coś z niczego. W ostatniej chwili. Niemal w panice. Żeby w domu było coś do zjedzenia. Coś pysznego. Przepysznego. Od samego rana zastanawiała się, czy ugotować pierogi z kapustą i z grzybami, czy usmażyć karpia. A może jedno i drugie? Nawet miała przygotowany zawnazas farsz. Pozostawało zagnieść ciasto. A potem je rozwałkować i wycinać spodeczkiem niewielkie krążki. Nakładać drobne kupki farszu. Później lepić, lepić, lepić. Ale żeby lepić, potrzebne było towarzystwo. Jakaś bratnia dusza, pomocna dłoń. Niestety nikogo takiego nie było w pobliżu. Żadnej matki ani córki. Ani nawet wnuczki. Mogłaby już mieć wnuczkę, ale wciąż nie miała. Pewnie się nie doczeka, bo jej córka jest do niczego. Do diabła z taką córką! Nie szanuje matki. Nigdy nie było i nie będzie z niej żadnej pociechy. Teraz to już są pokłócone na amen. Nie będzie więc

żadnych świątecznych uścisków ani życzeń. Zresztą nigdy nie było uścisków. Anka ścisnęła się tylko z tatuśkiem. W mikołajki. Oj, tak, z nim to lubiła. On zresztą też. Matce nigdy nie powiedziała cieplejszego słowa. Najwyżej: wesołych świąt. Ale przysyłała pocztówki. Zawsze to coś. Grażyna trzymała je w szufladzie. W starym kredensie, który Wichura skołował jeszcze na Kercelaku. Za okupacji. W swoich złotych czasach. Każdy człowiek ma w życiu złoty czas, a potem przychodzą czasy spiżowe. A w końcu żelazne. Dla Grażyny nastąpiły takie właśnie czasy. Bo w jej organizmie brakowało żelaza. Musiała je brać w tabletkach. Może nawet wezmą ją do szpitala. Ale nikogo to nie obchodziło. A już na pewno było to obojętne Ance. Ze matce brakuje żelaza i że to może się źle skończyć.

Więc w tym roku nie będzie pierogów. Farsz pozostanie w lodówce. A ciasto jeszcze niezagniecione. Szkoda marnować mąkę. O barszczu też nie było co marzyć. A zwłaszcza o choince, bo wszystkie bombki już dawno się stłukły. Więc żadnej Wigilii nie będzie. Niby dlaczego miałyby być? Śniegu nie było ani na lekarstwo, mrozu także. Więc co to za Boże Narodzenie? Chyba tylko w kalendarzu. W pogodzie i w sercu nie było żadnego święta. Ot, jedynie dwa wolne dni dla ludzi, którzy pracują etatowo. Kiosk będzie nieczynny i trzeba zrobić zapas fajek. I tyle. Poza tym Grażyna miała od lat wszystkie dni wolne, więc naprawdę święta nie były jej do niczego potrzebne. Na szczęście miała zachomikowane dwa kartony fajek. I pokaźny zapas kawy. Nie tej najgorszej, w żółtym opakowaniu. Tylko

w zielonym. Więc jakoś zdoła przebiedować święta. Sąsiadki też powinny coś przynieść. Jak zwykle. A córka - ta wstrętne egoistka - będzie siedziała w tym swoim domiszczu sama. I tworzyła te swoje dzieła, których i tak nikt nie przeczyta, bo są nudne. W dodatku jakaś baba sprzątnęła jej męża przed nosa. Anka została na lodzie. Głupia frajerka. Najgorsze, że wydziedziczy ją siostrzyczka. A przy okazji również Grażynę. Ale na to chyba nie da się nic poradzić. Ance nie zależy na tym, co w życiu liczy się naprawdę. Głupia. Zawsze była głupia.

Monika długo wahała się, czy zadzwonić do Anki. Układała sobie przemowę kilka razy. Nie wiedziała, jak jej to powiedzieć. W końcu uznała, że nie może dłużej czekać. Wybrała numer i niepewnym tonem zaczęła mówić:

- Słuchaj, powinnaś to przeczytać. Koniecznie. Posłuchaj tylko: ***Gdańska prokuratura postawiła Ryszardowi R zarzut napaści na tle rabunkowym na obywatela Szwecji. Do pobicia doszło osiemnastego grudnia w godzinach wieczornych. W mieszkaniu w Starej Oliwie znaleziono pobitego mężczyznę. Mężczyzna był nieprzytomny i krwawił. Przewieziono go do szpitala.***

- No i co?

- Jak to co? Przecież Ryszard P. to Budda! Znasz go. Rozmawiałaś z nim.

- Ach, tak. Ale co ja mam do tego?

- Chyba jednak masz. Nie słuchałaś tego, co czytałam? On pobił twojego Sinobrodego! Obywatel Szwecji, rozumiesz?

- Ale skąd on się tutaj wziął? Przecież siedzi tam, u siebie. W Szwecji. Może to jakiś inny Szwed?

-Akurat. - Monika nie mogła powiedzieć koleżance wszystkiego. Ten gnojek Waldi od pięciu dni był na prochach. Bał się, że przyjdzie po niego policja i go aresztuje. Histeryzował. Płakał jak dziecko. Monika bezskutecznie tłumaczyła mu, że powinien sam się zgłosić. Jako świadek. Przecież nic nie zrobił Sinobrodemu. To ten debil Budda rzucił się na niego z pięściami. Waldi, jak tylko zobaczył, co się święci, od razu uciekł. Więc go o nic nie oskarżają. A jeśli nawet, to dostanie mały wyrok. Najwyżej jakieś zawiasy. Ale jest ważnym świadkiem. Dlatego musi pójść na komendę i złożyć zeznanie. Monika wściekała się na Waldka, że jest taką pipą wołową. Wszystkiego się boi. Po jaką cholere łaził do Buddy?! Po co brał udział w tej podejrzanej eskapadzie do Oliwy? Jasna cholera by wzięła tego dziada! Obu dziadów. Paskudnych. Postanowiła, że sama zaprowadzi go na komendę. Bo przecież inaczej niepodobna. Niech się tam wypowiada. Będzie spokój na święta. I rodzinna atmosfera. Nawet jeśli zamkną Waldusia. Najwyżej trzeba będzie paczki mu nosić do kicia.

-I co mam teraz robić? - W głosie Anki dało się wyczuć zdenerwowanie. Chyba wreszcie do niej dotarło, co się stało.

- Zadzwoń do niego albo może lepiej do któregoś z jego synów, chyba masz na nich namiary?

-Zwariowałaś! Nigdzie nie będę dzwonić.

- Jak uważasz. Ja bym zadzwoniła. To jest twój ukochany. Przecież wiem. Więc zadzwoń, przestań się czaić.

Anka nie miała ochoty na dalszą rozmowę. Usłyszane słowa uznała za domysły Moniki. Tak naprawdę ofiarą mógł być jakiś inny Szwed. Nieprzytomny i zakrwawiony. Jednak bardzo się zdenerwowała. Znowu wrócił ból głowy. Nieznośny, szarpiący. A już myślała, że będzie zdrowa. Miała nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Na głowie pojawił się meszek. Włosy zaczęły jej odrastać. To był pozytywny objaw. Zaczęła mieć nadzieję. Tak ją to wczoraj ucieszyło, że nabrała ochoty, żeby jednak coś przygotować na święta. Barszcz czerwony. Z uszkami. Uszka miała zrobić Monika. Mistrzyni uszek. A tu zamiast barszczu z uszkami taka wiadomość.

Powinna go poszukać, podzwonić po szpitalach. Ale przecież i tak nikt nie udzieli jej informacji. Jest dla niego nikim. Nic jej nie powiedzą. Nie ma prawa wiedzieć, co się stało. O ile coś się stało. Rzeczywiście jemu, a nie jakiemuś zupełnie innemu szwedzkiemu obywatelowi. Jest tu całkiem sporo Szwedów. Przyjeżdżają w interesach i żeby zrobić tanie zakupy. Zwłaszcza te z procentami. Ciekawe, dlaczego Monika miała pewność, że to on? Ze to Sinobrody. Bo była tego pewna. Dlatego zadzwoniła. Musiała mieć z tym coś wspólnego. Te jej konszachty z Buddą. Tak, Budda go znał. A właściwie znał jego ojca. To nawet miałyby sens. Budda go pobił, bo miał jakieś pretensje. Może

chodziło po prostu o pieniądze, a może o to, że Dibelius nie chciał uznać jego pretensji do spadku po profesora? Pewnie nie chciał uznać, co wynikało z charakteru Sinobrodego. Był uparty. Wszystko musiało być tak, jak chciał. Ryszard P. to mógł być Budda. Imię się zgadza. Tak samo pierwsza litera nazwiska. Zresztą Budda wygląda na człowieka, który może rzucić się z pięściami z byle powodu. Podobno ćwiczył boks. Poza tym profesor mieszkał w Starej Oliwie. Znała to mieszkanie.

Postanowiła, że zaparzy sobie kawy. Potem do niego zadzwoni. Choć pewnie i tak nie odbierze. Nawet jeśli jest cały i zdrowy. Ale zaniepokoiła się. Wszystko pasowało. Niestety. Dlaczego jednak Monika była taka pewna, że to Sinobrody padł ofiarą Buddy? Ze Budda chciał zabić właśnie jego? Niestety, jej telefon był ciągle zajęty. A może zabił? Może on już nie żyje? Przeszukała Internet. Znalazła tylko tę jedną notatkę, którą przeczytała jej Monika. Nic więcej na ten temat. Wzięła do ręki komórkę. Zapisała go pod literką S, a powinna pod D. Nieważne gdzie. Ogarniał ją coraz większy niepokój. Na szczęście w gazecie nie napisali, że nie żyje. Więc żył. Chyba. Miała nadzieję, że tak. Wybrała jego numer. Bez nadziei na to, że ktoś odbierze. Pomyliła się jednak. W słuchawce usłyszała obcy głos i obcy język. Głos brzmiał młodo. To chyba jego syn. Ralph czy Norman. Chyba wszystko jedno. Nie znała żadnego z nich. Postanowiła, że nie będzie z nim rozmawiać. Wstydziła się. Co miałyby powiedzieć? Ze jest znajomą jego ojca? Ze chciała zapytać o jego zdrowie? Albo

że dzwoni z życzeniami? Z okazji *White Christmas*'? Za oknem wcale nie było *white*. Dominowały brązy i rozwodnione błękity. Jej ulubione. Pogoda była piękna. Zupełnie niewigilijna. Było słonecznie i ciepło jak na grudzień. Ale miała już pewność, że coś mu się stało. Trzeba wreszcie dorwać Monikę, bo ona wiedziała chyba znacznie więcej, niż powiedziała przez telefon. Chociaż w Wigilię nie wypadało jej niepokoić. Monika pewnie lepiała pierogi i uszka. Te same, którymi miała podzielić się z Anką. Ale się nie podzieliła. Może zapomniała o obietnicy? Lepiła więc dla rodziny, dla dzieci. Dla tego drania Waldusia. Anka nie miała żadnych świątecznych planów. Ani potraw w lodówce. Z wyjątkiem barszczu. Spędzi święta sama. Więc nie przygotowała niczego szczególnego. Tylko choinkę. Była piękna. Rozłożysta. Wisiały na niej granatowe i niebieskie bombki. Gdzieś tam również białe. Świetlista, wspaniała choinka. Wysoka. Musiała poprosić sąsiada o pomoc. A teraz drzewko stoi w salonie i pięknie pachnie. Palą się na nim światełka. Będzie towarzyszyło Ance podczas samotnych świąt. Nawet nie pomyślała, żeby zadzwonić do matki. Zresztą po co miałyby z nią rozmawiać? Już powiedziały sobie wszystko. Wystarczy, że wyśle jej pieniądze w przyszłym tygodniu. Dopóki jeszcze miała coś na koncie.

Gosia była bardzo obolała po zabiegu. Ale dopięła swego. Wreszcie czuła się pełnowartościową kobietą.

Taką z nowym biustem. Dużym. Może nie tak dużym, jak by chciała. Ale w każdym razie znacznie większym. Będzie mogła zmienić garderobę i zacząć nosić obcisłe sweterki. Takie, jakie lubił Wiesiek. To była ta dobra wiadomość. A zła była taka, że nie mogła nic robić. Żadnego dźwigania. Więc święta będą skromniejsze niż zwykle. Trochę szkoda, bo lubiła wystawne bożonarodzeniowe uczty. Z pompą i na bogato. Zamówiła catering w restauracji. Ciekawe, czy będzie smakowało Wieškowi. Bo jej nowy biust spodoba mu się na pewno. Kiedy go wreszcie zobaczy. Bez stanika. Bała się trochę, że jednak będzie zawiedziony, że rozmiar nie do końca jest taki, jak by chciał. Ona też by chciała więcej. Ale lekarz się uparł. Twierdził, że się nie da. Że będzie wyglądało nieproporcjonalnie, sztucznie. Gosia upierała się, żeby jednak był większy. Musiała długo z nim negocjować. Zadawał jej mnóstwo niedyskretnych pytań.

- A dlaczego tak pani na tym zależy? Czy zdaje sobie pani sprawę z tego, że możemy wprawdzie poprawić wygląd pani piersi, ale niech pani nie liczy, że uda się nam osiągnąć stan idealny. Idealu nie da się osiągnąć. Proszę uzbroić się w cierpliwość i myśleć realnie.

Więc uzbroiła się i nie oczekiwała cudu.

Rzeczywiście, żadnego cudu nie było, bo Wiesiek nawet nie przyjechał po nią do kliniki. Wymawiał się pracą. Twierdził, że przed świętami zawsze tak ma. Że nocuje w biurze. Bo koniec roku i nawał pracy. Trzeba pracować więcej. Dużo więcej niż poprzednio. Zwłaszcza że jest kryzys i trudno się utrzymać na rynku. Gosia nie pamiętała, żeby w zeszłym roku był aż tak zajęty

przed świętami. A kryzys trwa już od wielu lat. W zeszłym roku przed świętami spędzali razem dużo czasu. Choć jeszcze oficjalnie mieszkał z żoną. Ale wtedy miał czas dla Gosi. Teraz, po operacji, którą przecież zrobiła dla niego, unikał jej. Nawet nie chciał obejrzeć jej nowych piersi. Chyba coś było nie tak z ich związkiem. Gosia poważnie się zaniepokoiła. Dziś, w Wigilię, też wyszedł do pracy bardzo wcześnie. Nawet na nią nie spojrzął. Nie pożegnał się. Ubrał się i wyszedł. Potem nie mogła się do niego dodzwonić. Przez cały dzień. Nie odbierał telefonu. Trzeba go będzie wychować, bo tak dalej nie może być. Dała mu za dużo swobody. Trzeba to poprawić. Popełniła kilka błędów. Za bardzo jej zależało na nim. Za bardzo. Dlatego między nimi coś zaczęło się psuć. Faceci niestety takie rzeczy wyczuwają. Niby taki nie zna się na tym. Niby wszystko można z nim zrobić. W dziedzinie uczuć. I spraw łóżkowych. Ale jak taki wyczuje, że kobiecie bardzo na nim zależy, wtedy się zmienia. Tak więc Wiesiek się zmienił.

Mieli pojechać jeszcze do Romy. Razem. Gosia bowiem nie powinna prowadzić. Prosiła Wieśka o pomoc. Żeby ją podwiózł. Chciała zawieźć Romie coś na święta. Pewnie nic nie miała. Stara od kilku dni nie odbierała telefonu. Znowu coś jej odbiło. Zawsze musi stroić swoje fochy i chimery. Stara wariatka. Ale nikt poza Gosią się nią nie interesował. Więc musiała jej zawieźć trochę świątecznych potraw. I przełamać się opłatkiem. Syn pewnie nawet do niej nie zadzwoni. Taki to syn. Straszny egoista. Biedna stara. Może

nawet zabierze ją na Wigilię. Żeby nie była sama. Nikt nie powinien być sam na święta. Tak się przynajmniej mówi. W kościele. Ze święta. Ze trzeba się dzielić. Ze to powinność takich jak ona, co mają wszystko. Nawet nowy, lepszy biust. Więc jak tylko Wiesiek wróci z pracy, pojedą do Romy. Na Jańskową Dolinę.

Tymczasem Gosia zamknęła się w łazience. Żeby zobaczyć, jak teraz wygląda bez ubrania. Dawniej bała się patrzeć w lustro, gdy była całkowicie rozebrana. Musiała mieć na sobie jakiś *push-up*, żeby się dobrze czuć. Ostatnio nawet do sypialni chodziła w gorsecie. To się Wieskowi podobało. Na razie nie mogła jeszcze zdjąć specjalnego stanika. Ale i tak było widać, że przybyło jej sporo centymetrów. W biuście. Wiesław powinien być zadowolony, gdy już się wszystko zagoi i uleży. Różnica była znacząca. Czuła się wreszcie szczęśliwa i spełniona. Jeszcze pozostawała sprawa rozwodu Wieśka. Trzeba też będzie coś zrobić z jego domem. Dalsza przyszłość rysowała się w jasnych barwach. Wreszcie wyglądała tak, jak trzeba. Przydałoby się jeszcze odessać trochę tłuszczu tu i ówdzie. Może małe liftingi twarzy również nie byłby od rzeczy? Ale to wszystko da się zrobić. Kroczek po kroczeniu. Poza tym to sporo kosztuje. Więc może poczekać. Dziś nie miała już czasu na przeglądanie się w lustrze. Takie sesje były raczej w stylu jej byłej teściowej. Roma zawsze miała wspaniałe buduar. Pełen różnych dziwnych zapachów. Utrzymany w barwach *ecru* i pudrowego różu. Wszystkie jej flakoniki i pachnidła po prostu oszołomiły Gosię, gdy weszła tam po raz pierwszy. Tamten dzień zapamięta

na zawsze. Z takim wydaniem kobiecości się nie zetknęła nigdy wcześniej. Jej matka pracowała przy taśmie w fabryce. Musiała obwiązywać swoje zbolące łydki bandażem elastycznym. A z kosmetyków znała tylko krem Nivea. W plastikowym, niebiesko-białym pudełeczku. Jeszcze szampon do mycia włosów z pokrzywy, a dla dzieci szampon Jacek i Agatka albo Bez Łez. Oczy szczypały po nim tak samo jak po jacku i agatce. To wszystko z kosmetyków jej matki. W ich domu nie było toaletki ani szminek, pudrów, perfum. Raz w życiu jej matka dostała wodę toaletową. W zakładzie pracy. Na Dzień Kobiet. Ta woda strasznie pachniała. To były ruskie perfumy, jak mówił ojciec. Ale matka nie chciała ich wyrzucić. Bo to były chyba pierwsze i jedyne, jakie dostała w życiu. Za to Gosia od dawna miała swoją szafkę na kosmetyki w łazience. I toaletkę w sypialni. Nikt jej nie wypominał pieniędzy, które wydawała na kosmetyki. No może córka. Miała okropny charakterek, cholerna gówniara. Wiadomo po kim. Po tatusiu. I po babci, a jakże. Chociaż przecież nienawidziła obojga. Szczerze i otwarcie. Taka była Agnieszka - szczerza i otwarta w nienawiści. Z babcią nie widziała się chyba od pięciu lat. Może to jednak wina Gosi, że stosunki między babcią a wnuczką są takie złe? Niemniej zapach buduaru Romy już zawsze pozostanie z Gosią. Bo jej pokój i jej toaletka nie mogły się równać z buduarem Romy. Tam jeszcze dziś można poczuć ten szczególny, wysublimowany zapach, który dla Gosi zawsze będzie kwintesencją wyrafinowanej kobiecości, do której przecież dążyła przez całe życie. Dopiero teraz, po

tej operacji, zdawało jej się, że znalazła sposób na to, by stać się naprawdę atrakcyjną babką. Romie wystarczyły cudowne zapachy i sukienki z silnie podkreśloną talią. Zawsze miała idealną figurę i śliczną buzię. Dziś jeszcze tej pięknej kibici mogłaby jej pozazdrościć niejedna młódka. Nawet własna wnuczka. Widocznie odziedziczyła talię po matce, a nie po babce. Gosia nie miała wcięcia w pasie. Dlatego wolała spodnie. Zwykle czarne. Do tego czarny sweter. Ale z nowym biustem mogła wreszcie założyć sukienkę. Też czarną. Ale dopasowaną. Podkreślającą jej nowe, wspaniałe kształty. Pooperacyjne. Czula się dzięki temu naprawdę zwycięska. Bo wyglądała zupełnie inaczej. Dzięki temu będzie to najwspanialsze Boże Narodzenie w jej życiu. Z nowym biustem i z nowym mężczyzną. Ubrała się więc elegancko. A jakże. W końcu Wigilia jest raz w roku. Wielkie święto. Jak by nie było. Sukienka idealnie dopasowana. Do jej nowej figury. Mała czarna. Ale taka z zaszewkami gdzie trzeba. Zupełnie inna niż te wszystkie worki, które dotychczas zakładała na siebie. Teraz wisiały w szafie. Trzeba je będzie wyrzucić. Przejrzała się w lustrze. Stwierdziła, że warto się było męczyć. Wreszcie wyglądała tak, jak chciała. Przez całe życie. Może trochę przypominała babcię Gizelkę Koljaczkową, gdy była młoda. Nieźle wygląda na zdjęciu ze swoim mężem. Żołnierzem w mundurze Wehrmachtu. Miała figurę. Zwłaszcza biust. Trzeba przyznać. Plus figlarny, zadarty nosek. Chociaż nie była ładna. Ale w życiu przecież nie o to chodzi, żeby być ładną. Ale żeby mieć to coś. I wiedzieć, czego się chce.

Gosia wiedziała. I też miała to coś. Może nie w sobie. Ale obok siebie. Miała mężczyznę, którego nie mogła stracić. Czuła, że niestety chyba tak właśnie się dzieje. Więc nowa figura pod nową sukienką tym bardziej była ważna. Można z niej było zrobić użytek. Tylko gdzie on się podziewał? Ten wspaniały mężczyzna. I gdzie się podziały jego rzeczy?

Honorata chciała urządzić te święta. Żeby było jakoś znośnie. Żeby było normalnie. Ale również inaczej niż dotąd. Bo do tej pory nie była w związku. Teraz też jeszcze nie do końca była. Ale nie mieszkała już sama. To fakt. Kuba od kilku dni był jej lokatorem. Zajmował duży pokój. Tam miał sypialnię. Sypiał z puszką piwa. Czasem nawet z kilkoma. Jedna mu nie wystarczała. Ale Honorata nie traciła nadziei. Wynosiła puste puszki do śmieci. I przynosiła nowe. Prała skarpety i koszule. Przeżywała swoje małe chwile szczęścia, gdy wieszala w szafie uprasowane męskie koszule. Miał jedynie dwie. Ale zawsze coś. Bo jeszcze niedawno to było jej największe marzenie. Męskie koszule w jej mieszkaniu. Wierzyła, że to początek pozytywnych zmian w jej życiu. Nawet jeśli nie wszystko jeszcze było tak piękne i wspaniałe, jak sobie wymarzyła, odczuwała spokój i błogość. Zwłaszcza wieczorem, gdy zasypiała, ogarniała myślą całe to szczęście, które na nią spłynęło. Tak niespodziewanie. Miała tylko jeden problem. Mamusia nic nie wiedziała o zmianie, jaka zaszła w jej życiu.

Pewnie bardzo by się zdziwiła. Może nawet byłaby zła. Ze jej córca znalazła sobie takiego absztyfikanta.

Ale była Wigilia. A Wigilię zwykle spędzała u mamusi. W falowcu. W tym roku chyba tam nie pojedzie, chociaż nie uprzedziła mamusi. Więc pewnie już wszystko przygotowane na dwie osoby. Oczywiście jeszcze jedno nakrycie dla niespodziewanego gościa. Czy Kuba mógłby być tym gościem? Chyba nie. Zwłaszcza że był już po dwóch piwach albo i po czterech. Mamusia jak nic zacznie biadolić, że Honorata związała się z pijakiem. Ano z pijakiem. I co z tego? Zdzisława też wyszła za mąż za pijaka. I bijaka w dodatku. Więc dlaczego Honorata miałyby postąpić inaczej? Kuba pił. Może nawet nałogowo. Najważniejsze, że był. Ze z nią mieszkał.

- Nie jesteś w humorze? - Rozmowę z Kubą zaczęła z pewnym niepokojem.

- Nie, skądże.

- Powiedz, o co chodzi.

- Takie tam. Nic ważnego.

- Takie tam są najgorsze. Pojedziesz ze mną do mamusi? Jest Wigilia.

- Do jakiej znowu mamusi?

- Do mojej, na Przymorze. Zawsze Wigilię spędzam u mamusi.

- To jedź. - Kuba nie miał ochoty na Wigilię. Ani na spotkanie z cudzą matką. Poza tym trochę niepokoił się o własną rodzicielkę. Wbrew swoim dotychczasowym zasadom, które nakazywały mu ignorować wszystkie jej narzekania na zdrowie, próbował się do niej dodzwonić od kilku dni. Ale nie odbierała telefonu. Pewnie się

obrazila na swojego wyrodnego syna. Nieczulego i pozbawionego ludzkich uczuc, jak czesto mawiala. Gdy sie smial z jej ciaglych narzekan na duszności i bóle w klatce piersiowej.

- Ale to Wigilia, nie powinienes być sam.
- Dam sobie radę. Spoko.
- Jak chcesz. Ja muszę tam pojechać. Przynajmniej na troche.
- No to jedź.

Honorata nie miała ochoty na tę wizytę, bo mamusia na pewno będzie biadolić przez cały wieczór. Terkotać jak stare auto. Jak syrenka, którą kiedyś jeździli na wakacje do Skowronek. Ten radosny czas zaczynał się zawsze nieznośnym terkotaniem. Okropnym pyr, pyr, pyr, które zwiastowało, że już niedługo, za kilka godzin, będzie mogła sycić się zapachem morza i plaży. A ojciec będzie siedział na leżaku na ganku i pił piwo. I przeklinał. Klął na czym świat stoi. Ze ma żonę idiotkę i córkę pokrakę. Ze tak dalej nie da się żyć. Ze lepiej się powiesić albo rzucić pod pociąg. Honorata mimo wszystko chciała żyć. Spędzać wakacje w domku kempingowym. W Skowronkach. Chociaż nie miała zbyt dobrego słuchu, chciała śpiewać jak skowronek. Ze szczęścia. Wreszcie się do niej uśmiechnęło. Już nie była sama. Chyba po raz pierwszy w życiu.

Musiała się jednak przygotować na to, że mamusia znowu będzie zrzedzić. Jak zawsze przy Wigilii. Będzie narzekać, że jest sama, że córka jej nie odwiedza, a syn gnije w więzieniu. Ze nie ma wnuków. I nie będzie mieć. Bo kto by chciał taką Honoratę? Brzydulę

i pokrakę. Może gdyby była ładniejsza i zgrabniejsza, toby sobie kogoś przygruchała. Wtedy byłyby z tego dzieci i rodzina by przetrwała. Geny. A te, jak wiadomo, są najważniejsze. Tyle to matczynego gadania będzie. Zupełnie niepotrzebnego. Do tego przyjdzie jej jeść wszystkie potrawy. Tego smażonego karpia. Tłustego jak nie wiem co. Będzie też karp w galarecie. Kto by to wszystko zjadł? Na pewno nie Honorata. Bo Honorata się odchudzała. Miała się teraz komu podobać. Liczyła, że jak schudnie, to zyska swój wymarzony związek. Mamusia będzie narzekać, że nieformalny. Ze nie było ślubu w kościele. Białego welonu i sukni, przynajmniej takiej *ecru*. Koronkowej. Chociaż mamusia miała podobną z krempliny. Nawet nie trzeba było jej prasować. Wystarczyło uprać i powiesić na wieszaku. I gotowe. A i na zdjęciu ładnie się prezentowała ta sukienka. Chociaż była krótka, zgodnie z ówczesną modą. Zdzisława Badziągowska nigdy nie należała do szczupłych kobiet. Więc niezbyt jej pasowała taka kusa kiecka. Ale z drugiej strony to była oszczędność materiału. W każdym razie na monidle nie było widać, że mamusia Honoraty miała grube nogi. Ze w młodości też była niezła z niej pokraka. A jednak usidliła chłopaka. Bo zaszła w ciążę. Chyba od pierwszego razu. Dlatego musiał się z nią ożenić. Jak mus, to mus. Chłopak skapitulował od razu. Potem żałował tego przez całe życie. Ona też żałowała. A jeszcze bardziej Honorata. Zwłaszcza gdy ojciec ją bił i wyzywał. Ale mamusia miała satysfakcję, że udało się jej wyjść za mąż. Nie została starą panną. Bo to, jak wiadomo, najgorsze, co może się przydarzyć

pannie. Niezgrabnej. I nieładnej. Dlatego teraz przy każdej Wigilii Zdzisława Badziągowska wypominała Honoracie brak urody. To, że była gruba. Ale tym razem Honorata okazała się odporna na wszystkie matczyne poszturchiwania i grubiaństwa. I nie chciała nic jeść. Ani karpia, ani barszczu, ani pierogów. Ani nawet fasoli. Zjadła tylko jedno uszko. Pochwaliła. Poprosiła, żeby jej zapakować do domu. Jako gościniec. Te uszka i barszcz. Chciała też jeszcze ciasto. Ale nie chciała rozmawiać. W ogóle myślami była jakaś taka nieobecna. Więc Zdzisława nabrała podejrzeń. Ze z córką dzieje się coś złego. Ze może chora. Albo ma jakieś kłopoty w pracy. Albo - no właśnie! - była jeszcze jedna możliwość. Ale Dzidce trudno było uwierzyć w to, że jej córka Honorata kogoś ma. Oj, przyznaj się, córcia, co tam masz za kłopoty. Może się zwierzysz matce? Warto się zwierzyć. To przyniesie ci ulgę, nie będziesz się gryźć. Bo coś cię gryzie. Pewnie zupełnie niepotrzebnie. Powiedz, czy coś jest nie tak ze zdrowiem. Zdrowie to najważniejsza rzecz. Największy skarb w życiu. Nie zdrowie? Więc co takiego? Schudłaś, zmizerniałaś. Co cię trapi, córcia? Honorata nic nie odpowiedziała. Ucałowała mamusię i wyszła z ciasnego mieszkania w falowcu. Spieszyła się, bo wreszcie miała do kogo.

Monika jednak postanowiła zadzwonić do Anki. Pewnie teraz siedziała sama w domu i się martwiła. Nie miała odwagi pojechać sama do szpitala. Bo niby

z jakiej racji? Trzeba ją namówić. Chociaż Monika coraz bardziej wątpiła w swoją siłę perswazji. Waldek, mimo jej namów, zamiast się zgłosić na komendę, leżał w pozycji embrionalnej na kanapie i kulił się, gdy tylko słyhać było jakieś szmery dochodzące z klatki schodowej. Albo gdy w pobliżu parkował jakiś samochód. Słyhać było trzaskanie drzwiczkami. I czyjeś kroki na klatce schodowej.

- Tak nie można żyć! - grzmiała Monika. Waldek tylko chował głowę w poduszkę. - Zaraz się zesrasz z tego strachu, więc lepiej idź do kibla!

Waldek posłusznie wstał z kanapy i poszedł do łazienki. Monika postanowiła, że jednak zadzwoni, że z nią porozmawia i namówi, żeby poszła do szpitala. Żeby przestała się gryźć. Ale nie powie nic o udziale Waldka w całej tej sprawie.

- To ja.

- No mów wreszcie! - Anka nawet nie próbowała kryć zaniepokojenia.

- Wiem, że leży w Akademii Medycznej. Jest na OIOM-ie. W Akademii Medycznej. Nieprzytomny cały czas. Ale nie martw się. On się z tego wywinie. Czuję to.

- A niby dlaczego czujesz? I skąd wiesz, że jest na OIOM-ie?

- Pojedź tam. To sama zobaczysz. Jak nie pojedziesz, to będziesz żałować.

- Ale mnie do niego nie wpuszczą.

- Skontaktuj się z jego synem. On tam jest. Musisz się wreszcie odważyć i tam pójść. Ale najpierw

zadzwoń. Powinnaś być przy nim. Jeśli nie odważysz się, to będziesz tego żałowała. Pojedź tam. Opiekuj się nim. Będzie ci z tym dobrze. Jemu też. Jak już wyjdzie ze szpitala, to mu będziesz gotować rosółki. Karmić go łyżeczką. Nie mów, że o tym nie myślałaś. Nie marzyłaś. Wszystkie mamy tę potrzebę opiekowania się. Sama przed sobą nie chcesz się przyznać. Ale tak właśnie jest. Przecież wiem, że najchętniej byś tam pojechała. I się nim opiekowała. To jest najlepsze, co możesz zrobić. Zadzwoń i pojedź. Dzisiaj jest Wigilia. Masz swoje pięć minut. Potem może być za późno. Ruszaj.

To wcale nie było proste. Ale sznureczek, który mógł ją zaprowadzić na ten OIOM, wciąż trzymała w ręku. To był jego numer telefonu, który należało wybrać i porozmawiać z tym obcym, młodym głosem. To mógł być Ralph lub Norman. Wyglądali prawie tak samo, więc chyba wszystko jedno, który odbierze. I tak będzie trudno wyrzucić z siebie tych kilka zdań. Po angielsku. Dobrze, że przez telefon. Ze nikt nie będzie widział, jak się czerwieni. Ale z pewnością będzie słyszeć, jak łamie jej się głos. Była wściekła na siebie, że zachowuje się jak egzaltowana panienka. Po prostu należy zadzwonić. A potem pojechać do szpitala.

A jeśli ona kogoś już ma? Niemożliwe. Znadto ceni spokój i wygodę. Przecież ten dom to dla niej wszystko. Nie ruszy się stamtąd, żeby nie wiem co. A do tego jest chora, więc na pewno nie ma siły na jakieś tam

rififi. Co innego on. Wyszalał się za wszystkie czasy. Doszedł do wniosku, że teraz potrzebuje spokoju i porządku. Poza tym jest Wigilia i zrobi jej niespodziankę. Mógł pojechać do matki. Ale co tam stara. Tylko będzie zrzędzić jak to ona. Będzie narzekać na zdrowie i na lekarzy, że ich brak. Złorzeczyć na Anulkę. Ze w domu nie ma kwiatów. Takich w doniczkach. Kaktusów, fikusów i rododendronów. Ileż to razy przynosiła swojej synowej w prezencie doniczkę z kwiatkiem albo nawet dwie? Żeby w tym domu było jakoś tak bardziej przytulnie. Bardziej swojsko. I nic. Kwiatek padał i lądował w śmietniku razem z doniczką. Bo go nie podlewała albo podlewała zbyt często. Żeby się go pozbyć. Żeby było tak, jak ona lubi. Ani śladu życia. Tylko ten jej porządek. I wszystko na niebiesko. Okropność. Jak tak można? Bez kwiatów, bez ziemi. Co najważniejsze - bez dzieci. Bez tego tupotu małych nóżek, bez pieluszek, kupek, smoczków, loczków. Bez dziedzica. Czyli bez tego, czego matka Wieśka najbardziej pragnęła dla swojego syna. Bo jak to tak bez dzieci? Dzieci powinny być. A syn już ma pięćdziesiątkę na karku. I nic. Bo wiąże się z niewłaściwymi babami. Wziąłby jakąś młodą i zdrową. Żył z nią, jak Pan Bóg przykazał. Od razu by były dzieciuki. Mało to dziewczuch się kręci wokoło? Każda by poleciała na jego pieniądze. Ale Wiesiek zadaje się z jakimiś starymi, bezpłodnymi babami. Dzieci z tego jak nie było, tak nie ma. Pojechałby do Sierakowic i tam poszukał. Panien tam jak ulęgałek, biadolila stara. Nie mają wymagań jak te jego. Stare i brzydkie. Zupełnie nie wiem, co ty w nich widzisz,

synku, biadoliła. Wiesiek przyznawał matce trochę racji. Ze przydałaby się mu młoda kobieta. Ze powinien mieć dziecko. Syna oczywiście. Bo na co komu córka? Ale to wcale nie było takie proste. Po pierwsze, miał żonę. I to już drugą. Z pierwszą się rozwiódł. Nie mieli dzieci. Potem ona zaszła w ciążę z drugim mężem. Więc może to jednak jego wina, że nie miał potomka? Powinien się zbadać. I zrobi to. Po Nowym Roku pójdzie na badania. Po drugie, miał żonę, z którą wcale nie miał ochoty się rozwodzić. A po trzecie, była jeszcze Gośka, z którą zupełnie nie wiedział, co zrobić. Myślał, że to będzie niezobowiązujący romans. Miał już kilka podobnych. Ale tym razem nawet wyprowadził się z domu. To był wielki błąd. Tak go omotała ta Koljaczkowa cholerna. Głupia baba. W dupie jej się poprzewracało. Powiększyła sobie cycki. Chirurgicznie. Waśnie to ostatecznie odstręczyło od niej Wieśka. Nie mógł patrzeć na jej nowe cycki. Wypełnione jakimś cholernym silikonem albo innym gównem. Jak można było wpaść na tak głupi pomysł? Poza tym chciała sprzedać jego dom. Nawet już szukała kupca. Bez jego wiedzy. Miarka się przebrała. Właśnie dzisiaj, w Wigilię, przyszedł czas na zmiany. Wiesiek już wczoraj się spakował. Walizkę schował w składziku. Żeby się nie zorientowała. Nie miał ochoty na sceny. Rano wyszedł z domu, zanim się obudziła. Już z walizką. Wyłączył komórkę. Krążył po mieście cały dzień. Bo nie wiedział, co powiedzieć Ance. Że wrócił. Że przeprasza. Że zachował się jak ostatni gnojek. Takie bla, bla, bla. Że dalej będą spokojnie żyć. Pod warunkiem że Anka wyzdrowieje.

Ale przecież wypuścili ją ze szpitala, więc może nie jest z nią tak źle? Tak czy inaczej, Wiesiek postanowił wrócić do domu. Do żony. Jak już się to wszystko przewali, to pójdzie do spowiedzi, żeby oczyścić sumienie.

Zatrzymał samochód na podjeździe. Nareszcie znalazł się u siebie. Anka chyba gdzieś wyszła, bo się nie świeciło. A może oszczędzała energię? Zupełnie niepotrzebnie. W Wigilię można sobie pozwolić na małą iluminację. Ale było jeszcze widno, więc może zaszyła się w swoim pokoju i dlatego nigdzie nie paliło się światło. Nie spodziewa się go, więc będzie niespodzianka. I pewnie nic nie ma w lodówce. To się zamówi jakiś catering. Coś takiego *last minutę*. W salonie stała choinka. Nieoświetlona. Mimo to lśniąca. Anka swoim zwyczajem zawiesiła srebrne bombki. I oczywiście niebieskie. Ale lubił ten styl. Lubiał ten dom. Czuł się tu naprawdę dobrze. O niebo lepiej niż u Gosi. Odetchnął głęboko. Chciał krzyknąć: „Aniu, wróciłem!”. Ale chyba rzeczywiście musiała gdzieś wyjść. Może spędza święta u matki? To było mało prawdopodobne, ale trzeba to sprawdzić. A może jednak kogoś sobie znalazła? Chyba że jest u tej Moniki. Postanowił czekać. Włączył komórkę. Wtedy posypały się nieodebrane połączenia. Od Gosi i od matki. I esemesy. Też od Gosi. Nie przeczytał żadnego. Bo po co?

Nie miał zobowiązań wobec tej pani. Wyśle jej potem wiadomość, że to już koniec, *finko* i koniec filmu, *the end*. Niech sobie poszuka innego frajera. Wiesiek nie miał ochoty przez resztę życia dusić się pod jej lączkiem. W końcu wszedł do domu. Ponieważ niewiele

znalazł w lodówce, zamówił catering. Nalał sobie łychy, usiadł w swoim ulubionym fotelu i patrzył na migoczące światełka na choince. Białe i niebieskie. Robiło się coraz później. Komórka pikała raz po raz. Ale to tylko Gosia się dobijała. Pewnie coraz bardziej zaniepokojona i poirytowana. Zastanawiał się, czy tę Wigilię spędzi sam, czy może jednak jego żona wróci wieczorem do domu. Próbował się do niej dodzwonić. Ale nie odbierała.

Wróciła od mamusi przed dziesiątą. Nie chciała jej wcześniej wypuścić. Narzekała, że nie lubi być sama. Ze powinny razem iść na pasterkę. Zawsze chodziły razem.

- Więc dlaczego tak się spieszysz, córcia?

Honorata nie znosiła tego „córcia”. Nie powinna się wstydzić mamusi i falowca. Ani tego, że brat siedział w ciupie, a ojciec popełnił samobójstwo. Ale ciężko jej to było nosić. Ten krzyż. Wstydziła się. Nie chciała, żeby Jakub patrzył na to wszystko i słuchał biadolenia mamusi. Córcia to, córcia tamto. Jakub był inny. Imponował jej, chociaż pił nałogowo. Ale był taki przystojny. Po prostu piękny. Ciągle wierzyła, że będzie nie tylko jej lokatorem. Modliła się o to. Codziennie przed pójściem do pracy chodziła do kościoła Mariackiego i odmawiała zdrowaśki przed figurą Piękną Madonny. Wierzyła, że zostanie wysłuchana. Tylko musi być cierpliwa i gorąco się modlić. Z niepokojem otwierała drzwi, zastanawiając się, czy on tam jest. Czy może

jednak gdzieś wyszedł? I wróci nad ranem. Tego się obawiała. Na szczęście siedział w domu. Nigdzie nie poszedł, chociaż była Wigilia. Miał na sobie ten czarny golf, który tak lubiła.

- Usiądź koło mnie - powiedział. Posłusznie usiadła. Położył dłoń na jej kolanie. - Napijesz się ze mną?

- Ale dziś jest Wigilia...

- To co, że Wigilia? Właśnie w Wigilię można się napić. To co, nalać ci?

- Nalej - odrzekła, chociaż chciała powiedzieć, że ma taką zasadę, że nie pije w święta kościelne. Starła się nie pić nigdy. Jej mamusia od lat działa w towarzystwie trzeźwości. Ale pewnie by ją wyśmiał, gdyby mu to powiedziała. Więc nawet upiła łyk tego świństwa. Pomyślała, że się z tego wypowiada. Ale jutro nie przystąpi do komunii. Bo zgrzeszyła. Poza tym od dawna miała grzeszne myśli. Nawet biła się z tymi myślami. Ale ciągle wracały i Honorata zastanawiała się, czy są naprawdę grzeszne. Przecież modliła się, żeby to się wreszcie stało. Żeby znowu było jak wtedy, w Galerii Bałtyckiej. Żeby jej szepnął coś do ucha. Jakub był chyba w odpowiednim nastroju. Włożył jej rękę pod bluzkę. A ona się zaczerwieniła.

- Masz ładne piersi, już ci to mówiłem.

Nic nie odpowiedziała. Cieszyła się, że nie uległa namowom mamusi i wróciła do domu. Chciała mu zrobić kolację. Ale nie chciała psuć nastroju. Jeszcze jeden łyk tego paskudztwa i może będzie łatwiej. Była zawstydzona, gdy zdejmował jej bluzkę. Dobrze, że kupiła ten stanik od gorseciarki. W końcu się skusiła,

choć okazał się kosztowny. Ale teraz była zadowolona. Bo wyglądała korzystnie. Chyba podobała się Kubie. Więc jeszcze jeden łyk. Ten trzeci smakował o wiele lepiej. A ona wstydziła się trochę mniej. Nawet wtedy, gdy była już bez stanika. Pewnie rozebrałby ją całkiem, gdyby nie zaterkotała komórka. To mamusia. Zdzisława Badziągowska. Domagała się uwagi. Cholerna Dzidka. Dzidzia. Mała dzidzia, która nie potrafi żyć bez córeczki. Znowu chciała jej wszystko popsuć. Zawsze psuła. Bo była zazdrosna. O wszystko. Musiała wyczuć, że córcia, jej córcia Honorcia, spieszy się do domu z jakiegoś niebłahego powodu. Ze się do kogoś spieszy. Tak się spieszy, że nawet postanowiła nie iść na pasterkę. Honorata wstała z kanapy i nawet nie wstydziła się swojej obnażonej sylwetki. Bardzo kobiecej. Ale co tam. Wyłączyła komórkę. Wypiła jeszcze jeden łyk paskudztwa.

- Nalej mi jeszcze - poprosiła. I postanowiła, że już nikt nie zgasi płomyka, który rozblęsnął w niej tego wieczora.

Rosołki. Będzie gotować mu rosołki. Pożywne. Rozgrzewające. Żeby wyzdrowiał. Chciałaby to robić zawsze. Ale teraz, niestety, może tylko o tym marzyć. Powinna się jeszcze pomodlić. Tak powiedział lekarz. Że trzeba się modlić.

Ralph cały czas patrzył na nią ze zdumieniem. Zastanawiał się, kim jest ta dziwna pani w chustce na głowie. Bo chyba nie kobietą ojca. Choć może jednak

tak. Była podobna do Fridy. Jego macochy. Ojciec miał bzika na punkcie tej kobiety. Rozpaczał po niej bardziej niż po śmierci matki. Chyba bardziej ją kochał. Bardziej niż matkę. Bardziej niż synów. I to ich wkurzało. Normana i jego, Ralpa, też. A ta tutaj krasnoludka była podobna do Fridy. Chyba też chorowała na raka. Nie miała włosów na głowie ani brwi. Pewnie była po chemii. Tak jak kiedyś Frida. Stary miał spaczony gust. Ale w tej chwili to był najmniejszy problem. Ważne, żeby udało się go wybudzić z tej śpiączki i zabrać do domu. Po jaką cholere tu przyjeżdżał? Chyba z powodu tej babki. Jak nic to jego nowa miłość. Kochliwy ten staruszek. Choć chyba nie ma szczęścia do kobiet. Ani on, ani dziadek. Obaj nie mieli szczęścia. A ta kobietka była rezolutna i uparta. Dziś już mogła pojechać do domu. W szpitalu i tak niewiele się dzieje. Wszyscy świętują. Więc ona też powinna. Ale nie chciała wyjść. Powiedziała, że może tu czekać, aż Sven odzyska przytomność. Ona wierzy, że odzyska. Ralph wcale nie był tego pewien. Lekarz wciskał mu jakieś głodne kawałki, że trzeba czekać. A pielęgniarka powiedziała, że trzeba się modlić. Ralph się modlił. W duchu. Bo nie należeli do żadnego Kościoła. Ani ojciec, ani oni. I nie modlili się dotąd. Nawet gdy umierała Frida i ojciec był jej pielęgniarką, to też nikt się nie modlił. Potem staruszek wpadł w depresję. Postawili go na nogi. Ale od tego czasu miał kłopoty ze spaniem. Właściwie to cierpiał na bezsenność. Teraz za to śpi jak zabity. Postanowił zostać w szpitalu na noc. To była już jego trzecia noc tutaj. Ale był silny. Poza tym przecież nie zostawi ojca samego. Przez szybę, bo

przez szybę, ale będzie mu towarzyszył, dopóki nie przyjedzie brat i go nie zmieni. A ta kobieta mogła iść do domu. Już dwa razy upomniął ją po angielsku, żeby poszła. Ale ona nic. Usiadła na krześle i siedzi. Twarda sztuka. Patrząc na nią, czuł niepokój. Ze ojciec znalazł sobie drugą Fridę. Pewnie dlatego tu przyjechał. Gonić za tymi swoimi fantazjami. No i się stało. To była jej wina. Chyba dlatego tu siedziała. Winowajczynie.

Gosia była z tych kobiet, które nigdy się nie poddają. Nawet jak już nie ma szans. Wiesiek zabrał swoje rzeczy, to fakt. Zauważyła to jeszcze wczoraj. Ze się spakował. Ale nie wierzyła, że może ją zostawić. Bez słowa. Jednak tak się stało. Wymknął się cichcem. Jak tchórz. Bo jest tchórzem. Głupim gnojkiem. Ale i tak go kochała. Nie odbierał telefonu. Ignorował ją. Pewnie wrócił do żony. To jeszcze nie oznaczało porażki. Tylko chwilowe załamanie. Jeszcze tu wróci. Jeszcze będzie ją przeproszał. Ma słaby charakter. Jest chwiejny. To jest jego największy problem. Brak zdecydowania. I to, że ciągle chowa głowę w piasek. Ale wróci, pewnie, że wróci. Nie wytrzyma z tą swoją drewnianą królewną. A może raczej aniołkiem z barwionej na niebiesko masy perłowej. Trzeba pojechać do teściowej. Do Romy. Nie dawała znaku życia i to już było niepokojące. Agnieszka będzie prowadzić. Bo Gosia przecież nie mogła.

- Ale ja nie chcę do niej jechać, sama wejdiesz na górę!

- Nie marudź, razem wejdziemy. To jest twoja babka.
- Stare czupiradło. Nie chcę jej oglądać.
- Idziemy.

Razem weszły po schodach. Dzwoniły, pukały. Nikt się nie odzywał. Cisza.

- Pewnie umarła.
- Nawet tak nie żartuj.
- Stara jest. I nikomu niepotrzebna.
- Zadzwoń do ojca. On ma klucze. Trzeba będzie tam wejść, bo chyba naprawdę coś się stało.

Niestety, Kuba nie odbierał. Pewnie się upił. Albo miał pilniejsze sprawy. Gosia była wściekła. Zupełnie straciła ochotę na wigilijną kolację. Bolały ją piersi. Coraz bardziej martwiła się o Romę. To niemożliwe, żeby gdzieś wyjechała. Była na to za słaba. Należało poszukać Kuby. Gosia nie miała pojęcia, gdzie się podziewał. Pewnie się zadekował w jakiejś pijackiej melinie i leży tam nieprzytomny. Nawet nie pomyśli o matce. Taki to z niego syn. Artysta z bożej łaski. Chyba trzeba się będzie włamać do tego mieszkania. Gosia zastanawiała się, jak to zrobić. Wysłała wiadomość do Kuby, żeby koniecznie odwiedził matkę. Bo chyba coś się stało.

Zastanawiał się, co jej powinien powiedzieć, jak już wróci. O ile w ogóle wróci. Pewnie nie spieszy jej się do domu. Trudno jej się dziwić. Ale chyba jednak wróci. Wtedy trzeba będzie mówić. Przepraszać. Kajać się. Dużo mówić. Gadanie nigdy nie należało do jego

specjalności. Ale tym razem trzeba będzie się wysilić. Bardzo mu zależało, żeby było jak dawniej. Bo przecież było świetnie. Znakomicie. Spokojnie. Było idealnie. Nie wiadomo, dlaczego to popsuł. Może dlatego, że przestraszył się jej choroby. Poza tym Koljaczkowa zamieszała. Zawsze tak o niej myślał: Koljaczkowa. Taka, co potrafi zamieszać. Postawić na swoim. Niestety postawiła. Wstydział się tego, że jej uległ. Postanowił, że ułoży sobie przemowę do żony. Najlepiej będzie to napisać. Zeby jak przyjdzie co do czego, nie zapomnieć języka w gębie.

Było już ciemno. Wbrew powszechnym oczekiwaniom nie padał śnieg. Pomyślał, że to dobrze. Na co komu śnieg? Chyba jest potrzebny tylko dzieciom. Ale on nie miał dzieci. To był chyba największy problem. Jego matki. Bo nie jego. Matka się martwiła. Biadoliła. Na szczęście Wiesiek już od dawna jej nie słuchał. Nawet dziś nie zadzwonił, żeby złożyć jej życzenia. Jakoś nie był w nastroju. Żeby słuchać tego biadolenia. Smędzenia. Zrządzenia. Wszystkie jego kobiety zrządziły. Z wyjątkiem Anki. Ona w ogóle mało mówi i raczej się nie skarży. Nawet wtedy, gdy mówiła mu o swojej chorobie, zrobiła to zdawkowo. Powiedziała mu o tym jakby przy okazji.

- Podejrzewają, że to jednak nowotwór.

- Aha. - Potrafił się zdobyć jedynie na taką reakcję. Nie przytulił jej, nie pocieszył. Nie zrobił nic. Żadnego gestu. Gapił się w telewizor. Zastanawiał się, dokąd uciec i kiedy. Na szczęście Anka nie lubiła absorbować go swoimi problemami. Była skryta i to mu odpowiadało. Ale pomimo tego, że jego żona nie lubiła go obciążać

swoimi problemami, bał się tej choroby i nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Więc uciekł. Teraz chciał ją przeprosić za swoje tchórzostwo. Kupił jej pierścionek. Z dużym brylantem. Tak dużym, jak jego wstyd i żal. Jeśli jej się spodoba, to dokupi jeszcze kolczyki i wisiołek. Kupi jej wszystko, czego Anka sobie zażyczy. W ogóle odtąd już będzie sielanka. Między nimi. Będzie ją nosił na rękach. Jeśli tylko mu na to pozwoli. Chociaż jednak chyba nie pozwoli. Jest zdecydowana. Nie lubi przesady. Z Goską już nigdy nie zamierza gadać. Usidliła go, wykorzystała moment słabości. O mało co jej nie uległ, ale na szczęście w ostatniej chwili oprzytomniał. Dzięki temu był tutaj. Siedział na swojej ulubionej kanapie w salonie i patrzył na migocące światełka na choince. Zbliżała się dwunasta. Już za chwilę nadejdzie Boże Narodzenie. A jej wciąż nie było. Więc zaczął się niepokoić. Może jednak coś jest nie tak? Może Anulka znowu leży w szpitalu? Postanowił, że będzie czuwał. Ze nie położy się spać. Chociaż miał wielką ochotę. Najwyżej się zdrzemnie na kanapie. Cały czas czuwając. Jeśli Anka wróci do domu, odgrzeje jej kolację. Albo przynajmniej zaparzy herbatę. Zawsze tak robił, gdy wracała przemoczona albo przemarznięta. I było dobrze. Cicho i spokojnie. W kominku palił się ogień. Tak właśnie powinno być w domu kulturalnych ludzi. Bo u jego matki przez cały czas grało radio. Na cały regulator. Program pierwszy. Pamiętał to z dzieciństwa. Sprzed wielu lat. Zawsze mu to przeszkadzało. Ale niepodobna było z tym walczyć. Więc teraz matka pewnie też spędza święta z radiem. Byłaby oburzona, gdyby wiedziała, że Wiesiek wrócił do domu.

Do kobiety, która jej zdaniem nigdy nie rokowała dobrze na przyszłość. Nigdy nie sądziła, że coś z niej będzie. Coś, o czym matka marzyła od niemal trzydziestu lat. Ale żona Wieśka nie spełniała jej marzeń. Więc do diabła z nią. Komu może być potrzebna taka żona? Rodu nie przedłuży. A ród to święta rzecz. Jedna z wielu świętości, na które powoływała się matka. Marzył jej się wnuk. Wtedy mogłaby spokojnie myśleć o przyszłości. Ciągłe namawiała syna. Żeby miał dziecko z młodą, zdrową kobietą. A jak już nie chce się rozwodzić i ponownie żenić, to może przecież tak na kocią łapę albo na kartę rowerową. Byleby coś z tego było. Wnuk.

Trumf, trumf, misia bela, misia kasia konfacela, misia a, misia be, misia kasia konface.

Tylko zamiast misi beli była babcia Bela. Ilekroć Marianna bawiła się z dziećmi sąsiadów i słyszała tę wyliczankę, przypominała jej się babcia Bela. Pamiętała ją jak przez mgłę. Bardziej ze zdjęć i z opowiadań ojca niż z zapamiętanych, wspólnych chwil. Dzisiaj Marianna była sama. W dodatku pijana. To była jej pierwsza w życiu pijana Wigilia. Ale może nie ostatnia, kto wie? Po sporej dawce alkoholu wszystko robi się jakieś takie bardziej wyraźne. Nawet babcia Bela - ta z portretu, który już nie wisi u ojca w Otwocku, ale u niej,

w salonie. Zawsze chciała mieć ten obraz u siebie i wyłącznie dla siebie. Był taki piękny. Więc wreszcie go miała. Ale jakoś wcale jej to nie cieszyło. Czuła, że coś jest nie tak. Z nią. Z jej całym życiem. Ze powinna inaczej. Tak żeby się podobało babci Beli. Czyli powinna dać coś innym. Być szlachetna. A nie tak wszystko do siebie i tylko dla siebie. Na złość innym. Ze powinna się pojednać. Wyciągnąć rękę. Po pijanemu łatwiej jej się myślało o różnych dziwnych rzeczach, które normalnie nie mieściłyby się jej w głowie. Więc wystukała numer zapisany w komórce nie wiadomo po co. Chciała go mieć tak na wszelki wypadek. Więc go zapisała. Nikt nie odbierał po trzecim sygnale. A przecież telefony od niej były odbierane po jednym sygnale. Czasem po dwóch. Bo była ważna. Liczono się z nią. A tu już trzeci sygnał i nic. Więc powinna się rozłączyć. Natychmiast. Ale po czwartym sygnale usłyszała w słuchawce:

- Halo? - Wypowiedziane słabym głosem, w którym można było wyczuć zniecierpliwienie.

- Mówi Marianna. - Cisza. Żadnej reakcji. Pewnie jest zaskoczona. Nie wie, co powiedzieć. W końcu to ich pierwsza rozmowa w życiu. - Musimy porozmawiać. Należy ci się twoja część. Po ojcu. A właściwie także po babci Beli. Więc musimy to omówić. Kiedy przyjedziesz?

- Nie wiem. Niebawem mam następną chemię. - Anka sama się sobie dziwiła, że jest taka otwarta. Ze rozmawia o swojej chorobie. I to z kim! Przecież z Marianną nie miała rozmawiać już nigdy. A już na pewno nie o tym. Nic osobistego. W dodatku była w szpitalu.

Ktoś chyba słyszał to, co powiedziała do słuchawki. Ale ten mężczyzna, który siedział naprzeciw niej, nie rozumiał za wiele po polsku.

- To przyjedź, jak już będziesz po. Musimy to wszystko załatwić jak najszybciej. - Mańka czuła ulgę, że tak łatwo poszła jej ta rozmowa. Może dlatego, że była na rauszu? Właściwie to schłała się jak bela i to pewnie dało się poznać po brzmieniu jej głosu. Więc to niezupełnie była rozmowa. Bo rozmówczyni odpowiadała bardzo zdawkowo. Pomyślała, że siostra nie lubi zwierzeń. Zresztą cholera wie, co ona lubi, a czego nie? To naprawdę nie było takie ważne. Liczyło się zwłaszcza to, żeby być wobec niej w porządku. Na pogrzebie wyglądała fatalnie. A teraz mówi o chemioterapii. Ale nie warto przedłużać tej rozmowy. Chociaż na trzeźwo w ogóle by jej się nie udało. Przemówić ludzkim głosem. Do siostry.

Obudziła się nad ranem z poczuciem spełnienia. Kuba chrapał. Leżał obok niej w pozycji embrionalnej. Boże Narodzenie zapowiadało się znakomicie. Ale czuła pewien niepokój, bo mamusia zapewne będzie chciała ją odwiedzić. Pewnie dlatego wczoraj dzwoniła. Zdzisława Badziągowska nie lubiła być sama. Zwłaszcza w święta. Święta bowiem powinny być rodzinne i tradycyjne. A jeśli rodzina nie może zjawić się w komplecie, bo na przykład ktoś siedzi w więzieniu, to pozostali członkowie rodziny tym bardziej powinni trzymać się razem. I zawieźć do więzienia paczkę. Pojechać na

widzenie. Do Barczewa. To wcale nie jest tak daleko. Pociągiem do Olsztyna. A potem busem.

Honorata nie chciała jeździć na te widzenia. Jakoś nie brakowało jej brata. Lepiej, że siedział w więzieniu. Gorzej będzie, jak już wyjdzie. Ale na szczęście nieprędko to nastąpi. Jednak bożonarodzeniowej wizyty mamusi w jej nowym mieszkaniu chyba nie uda się uniknąć. Lubi zaglądać jej do lodówki i do szafy. I wszystko krytykować. Nie spodoba jej się nowy wystrój mieszkania. Zwłaszcza to, że wyrzuciła meblościankę i ten kilim z papieżem, przywieziony z pielgrzymki do Częstochowy. Ale teraz jest o wiele lepiej. I więcej miejsca bez tej meblościanki. Kilim z papieżem był zaś wyjątkowo brzydki. Zupełnie nie pasował do nowego wystroju. Ani do jej nowego życia, które zaczęło się od grzechu. Od cudzołóstwa, z którym jej było tak dobrze. Więc bała się trochę nieuchronnej świątecznej wizyty matki. Zapewne niezapowiedzianej. Bo kto by zapowiadał się tam w święta. W dodatku jedynej córce. Córka musi zawsze być gotowa na wizytę matki. Matka ma prawo ją odwiedzać, kiedy tylko zechce. Więc Kuba powinien jednak wstać. I przynajmniej nie pić, dopóki mamusia nie wyjdzie. Honorata bardzo chciała, żeby zrobił dobre wrażenie. Chociaż za pierwszym razem. Ale w rzeczywistości nie było szans, żeby się polubili. Może nawet nie byłoby źle, gdyby Kuba spędził to popołudnie u swojej matki. Powinien przynajmniej do niej zadzwonić. To stara, samotna kobieta. Nie wiadomo, co się z nią dzieje. Kuba nie był chyba troskliwym synem. To nie wróżyło dobrze na przyszłość.

- Może byś wstał, kochanie? - Głos Honoraty drżał. Bała się, że go rozniewa. I chyba tak się stało. Wściekał się, że go obudziła. Miał kaca. Chociaż nie było jasne po czym.

- Przynieś mi piwo z lodówki.

Posłusznie podreptała do kuchni. W lodówce znajdowało się pięć butelek piwa. Chyba nie wystarczy na cały dzień. Lepiej jednak będzie dokupić. Może gdzieś na stacji benzynowej? Pięć butelek to za mało dla Kuby. Zwłaszcza w świąteczny dzień. Gdy już wypił pierwsze, zagadnęła nieśmiało:

- Może powinieneś zadzwonić do matki?

Nic nie odpowiedział. Był wściekły. Na Honoratę. Ale również na siebie. Niepotrzebnie się z nią przespał. Nie chciał żadnych zobowiązań. Teraz się porobiło. Ona pewnie myśli, że są w związku. A on na żadne związki już nie miał ochoty. Do tego jeszcze matka. Tak na dobrą sprawę wczoraj powinien przynajmniej do niej zadzwonić. Nie zostawiać jej zupełnie samej. Włączył komórkę. Jedenaście nieodebranych połączeń. I dwa esemesy. Od Gośki i od Agnieszki. Ciekawe, czego od niego chciały. Przecież nie odzywały się do niego od dawna. Chyba od dwóch lat albo i dłużej. Gośka udawała, że go nie zna, nawet wtedy, gdy się spotykali. Przypadkowo, oczywiście, ale zawsze. Obie nosiły jego nazwisko, ale się do niego nie przyznawały. Uważały go za coś gorszego. Głupie pizdy. Teraz nagle sobie o nim przypomniały. Ciekawe dlaczego?

401.

DRUGIE ŻYCIE

Chciała się uwolnić od życia. Zupełnie nie rozumiała, co zrobiła źle. Siedziała w szafie i wstrzymywała oddech. Nie zamierzała wychodzić, dopóki on nie zaśnie. Zły duch. Nawet wtedy, gdy już zacznie chrapać jak stary niedźwiedź, będzie się go bała. Jak nie wiem co. Bała się jego zębów. Czarnych, przegniłych. Jak jego dusza. Szafa to dobre schronienie, pod warunkiem że był napity i nie miał siły się podnieść. Jeśli nie był, to zaczynało się dziać. Wtedy na nic się zdawało siedzenie w szafie.

-Wyłaź! - darł się. - Bo jak nie, to ręka, noga, mózg na ścianie! - wrzeszczał.

To było jedno z jego ulubionych powiedzonek. I to, że nogi z dupy powyrywa. Jej, oczywiście. Była mała i nie miała szans na to, żeby się bronić. Jedynie ta szafa chociaż na chwilę dawała złudne poczucie bezpieczeństwa. Jednak wyłącznie wtedy, gdy był napity. Albo miał ochotę na co innego. I wychodził z domu.

Marysia zawsze powtarzała, że ludzie mają duszę. Nieśmiertelną. Ania po spędzeniu kilku tygodni, które

ciągnęły się jak lata, u starego Wichury, wierzyła już tylko w duchy. Ze krążą wokół i nie wszystkie są przyjazne. Niezbyt chciało się jej wierzyć w jakąś abstrakcyjną duszę. Ani w nieśmiertelność.

Wichura lubił grać w szachy. Sam ze sobą, bo nie miał żadnych znajomych ani przyjaciół. Wszyscy pomarli. Większość jeszcze za okupacji. Tak mówił. Wszystko co dobre w jego życiu, wydarzyło się za okupacji. Wtedy był panem. Panem życia i śmierci. Trzymał w rękę wszystkie sznurki. Na przykład trzymał w garści Belę Baumann i jej syna. Mógł z nimi zrobić wszystko. Ale okazał się szlachetny, przynajmniej dla tego małego gnojka, bo dla niej nie. On, syn fornala. Taki niepozorny. A jednak. To on przechował smarkacza. A potem jego siostra Maryśka. Całe trzy lata ryzykował dla nich życie. To była ciężka głupota. Najcięższa w jego życiu. Ze zarobił na tym tak mało. Zaledwie tyle, ile wziął za Belę. Jednak Bela i tak przeżyła. A potem się na niego wypięła. Cholerna bladź. Udawała, że go nie zna. Nie chciała nic zapłacić za uratowanie chłopakowi życia. Podobno mówiła, że to Maryśka przechowała małego, nie on. Stary Wichura mógł zaś wydać i Maryskę, i tego gówniarza. Ale okazał szlachetność. Po zakończeniu wojny Bela wyszła za mąż za jakiegoś dygnitarza. Zaraz po wojnie, gdy była straszna bieda i głód, ona jeździła sobie autem na zakupy. Wielka pani. Robiła zakupy w sklepach za złotymi firankami. Nikt nie miał do niej dostępu. Raz przyłapał ją na Polnej, na bazarze. Chciał się policzyć z tą cholerną Żydowicą. Chwycił ją za te jej loki-fioki farbowane na złoty blond. Zawsze ją tak łapał,

gdy chciał od niej zapłaty. Musiała to zapamiętać. Jak piszczała i trzęsa się przed nim ze strachu. Ale się wyrwała. Wtedy widział ją ostatni raz w życiu. Potem przyszli po niego z UB. Trafił prosto na Rakowiecką. Całe osiem lat przekiblował we Wronkach. Za niewinność, rzecz jasna. Wrobili go. Ale Wichura i tak wiedział, że to Bela. Zemściła się. Za to, że on, syn fornała, śmiał zagustować w jej tlenionych blond lokach. Wyszedł na wolność dopiero w pięćdziesiątym siódmym. Tak się zachłysnął tą wolnością, że wkrótce potem urodziła się Grażyna. Jego jedyna córka. Jej matka gdzieś przepadła. Uciekła od niego. Jak wszystkie baby z blond lokami, do których miał wielką słabość. Lubił je ciągnąć za te kudły. Lubił je bić. Gdzie tylko popadło.

Więc gdy Anka siedziała w szafie, stary Wichura rozgrywał swoją wielką partię czarnymi i białymi jednocześnie. Jego ulubiony mecz Fischer - Spassky. Studiował tę ich finałową partię sprzed lat. Była fascynująca. Miał pełną kontrolę nad wszystkim. Tak jak lubił. A ten mały szczur, co siedział w szafie i myślał, że jest tam bezpieczny, też miał blond warkoczyki. Prześliczne. Mniem. Lubił takie małe laleczki. Może nawet bardziej niż te duże.

Dlatego wtedy zjadła trutkę na szczury. To też było przed świętami. Zjadła trutkę. Bo mówił, że jest szczurem. Szczurką. Po zjedzeniu schowała się w szafie. Żeby już jej więcej nie dotykał żywej. Tak właśnie myślała. Potem, kiedy już ją odratowali, leżała w takiej niebieskiej sali w szpitalu. Glazura była niebieska. Już na zawsze polubiła ten kolor. Kojarzył jej się z bezpieczeństwem.

Teraz też patrzyła na niebieską ściankę w szpitalu. Za tą ścianką leżał nieprzytomny S. Cały w jakichś rurkach. Już trzecią dobę. Nie reagował na bodźce. Nawet na głos syna. Zwykle reaguje się na takie rzeczy. Jeśli kiedykolwiek się wybudzi, to będzie cud, drugie życie. Ale postanowiła, że będzie tu czekać. Chociażby na cud. Choć Ralph najwyraźniej jej sobie tu nie życzył. Nie rozmawiał z nią wcale. Czasem na nią zerkał. Podejrzliwie i niezyczliwie. Jakby chciał jej powiedzieć, żeby spadała. Ale to nie miało znaczenia. Już nie zważała na podobne drobiazgi ani różne techniki odstrasżające. Sven też stosował wobec niej tego rodzaju gierki. Wtedy tańczyła tak, jak jej zagrał. Ale teraz już nie odpuści. Nie ma mowy. Niech Ralph patrzy na nią swoim złym okiem. To naprawdę nie ma znaczenia. Nie zamierza stać ze spuszczoną głową i robić, co jej każą. Matka albo S. Wszyscy, którym zawsze ulegała. Ten młody facet z brodą, który tak przypominał swojego ojca, był najwyraźniej źle do niej usposobiony. Jakby obwiniął ją o to, co się stało. Nie chciał z nią rozmawiać. Ona też nie miała ochoty na rozmowę. Patrzyła tylko na niebieską ściankę. To jej pomagało. Postanowiła, że będzie tu czekać. Na tym krzeselku. Aż on się obudzi. Musi się obudzić. Czekwała na to. Jeśli nie w Boże Narodzenie, to później. Ale postanowiła, że będzie czekać. Niebieska ścianka dawała jej energię. Tak jak wtedy, wiele lat temu, gdy zjadła trutkę na szczury, bo chciała przestać żyć. Teraz była w zupełnie innej sytuacji. Chciała żyć, i to bardzo. Przestała się bać. Czegokolwiek. Tylko trochę straciła rachubę czasu.

Była też osłabiona, bo dawno nic nie jadła. Niedaleko, przy ulicy Polanki, znajdował się jej dom. Mogła tam pojechać na chwilę. Na godzinę, żeby wziąć prysznic i coś zjeść. Jednak drugi raz mogą jej nie wpuścić do szpitala. Mogła tu siedzieć wyłącznie dzięki Ralphowi.

Czuwała całą noc. Tak jej się wydawało. W końcu jednak zapadła w drzemkę. Gdy się ocknęła, okazało się, że Ralpa zastąpił jego brat Norman. Wydawało jej się, że patrzył na nią życzliwiej. Ale też nie chciał chyba z nią rozmawiać. Włączyła telefon. Cztery nieodebrane połączenia. Jedno od Moniki. Trzy od Wieśka. Wiesiek chyba chciał jej złożyć życzenia świąteczne.

Zawsze był religijny. Monika powiedziałaaby, że kościelny. W każdy pierwszy piątek chodził do spowiedzi, a w niedzielę przystępował do komunii. Tak jak nauczyła go mamusia. Teraz też pewnie czuje potrzebę przełamania się opłatkiem. Opłatek zawsze był najważniejszy na ich świątecznym stole. Sianko i opłatek. Do tego kolędy. Śpiewał, potwornie fałszując. Wtórowała mu teściowa. Tak przez cały wieczór. Nie lubiła tych wieczorów. Ale wiedziała, że Wieśkowi na tym zależy. Więc się męczyła. Dziś nie musiała już znosić tego rytuału. Wiesiek jednak najwyraźniej nie chciał jej odpuścić. Dlatego dzwonił aż trzy razy. Postanowiła nie reagować na jego telefony. Miała dość hipokryzji. Słuchania cudzych życzeń bez mrugnięcia. Także życzeń teściowej, która rok w rok powtarzała to samo. Dzidziuś. Koniecznie dzidziuś. Nawet bliźniaki. Żeby wreszcie miała wnuka. Bo się bała, że nie dożyje. Więc zawsze zaczynała znieawidzone przez

Ankę świąteczne życzenia od tego, że życzy jej jednego ponad wszystko inne. Powtarzała to wiele razy. Więc padały wówczas słowa „dzidziuś” i „dzieciątko”. Teściowa utyskiwała, że pod choinką są prezenty, ale nie ma szopki i Dzieciątka. Narzekała, że Anka nie idzie na pasterkę. Gdyby poszła razem z Wieśkiem, pod rękę, jak Pan Bóg przykazał, to może by wreszcie poczęli. Dzieciątko zawitałoby wreszcie również pod ich dach. Anka zaś serwowała kolejne dania, a potem szła się położyć. Była zmęczona nieznośną paplaniną teściowej i fałszywie śpiewanymi kolędami. Dziś teściowa zachęca do poczęcia dzieciątka już chyba kogo innego. I dobrze. Może wreszcie z właściwym skutkiem. Tyle że Gosia jest już chyba w wieku menopauzalnym, więc szanse na cud dość marne. Chociaż teściowa, jak na dobrą katoliczkę przystało, powinna wierzyć w cuda. Anka natomiast zdecydowanie wołała siedzieć na krześle i mieć nadzieję, że ta historia dobrze się skończy.

Zawsze jest jakiś koniec. Albo dobry, albo zły. Tak jak z Wichurą. Też miał swój koniec. Dla jednych dobry. Dla innych zły. To stało się właśnie w Wigilię. Pokłócił się z Grażyną o to, kto zabije karpia, który pływał w wannie. Karp był duży, oślizgły. Może to karpica, a nie karp? Tak przynajmniej utrzymywała Grażyna. Ze karp w wannie był płci żeńskiej. Grażyna w imię babskiej solidarności postanowiła jej nie zabijać. Tej karpicy. Tak to przynajmniej opisywała. Kiedy składała

zeznania w komisariacie MO na Żytniej. W drugi dzień świąt opowiadała milicjantom, że ojciec nie chciał zabić ryby pływającej w wannie. Mokłą robotę zawsze wolał zostawić innym. Na przykład gestapowcom. Stary Wichura jedynie składał doniesienie i dostawał za to zapłatę. Raz dostał tylko słoninę. Ale zwykle to były pieniądze. Judaszowe srebrniki, którymi się potem cieszył. W samotności. Przeliczał je po kilka razy w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Jeśli on by nie zadenuncjował, to pewnie zrobiłby to ktoś inny. Wtedy ten ktoś zgarnąłby nagrodę, a nie Heniek Wichura. Więc chyba lepiej, że on to zrobił?

Ale wtedy o tego karpia pokłócił się z córką na śmierć i życie. Głupia gówniara nie chciała zarznąć ryby, którą kupił od baby, co handlowała żywym towarem pod okrągłakiem przy Okopowej. Kupił ją okazji. Za śmieszne grosze. Chciał, żeby to Grażyna ją ukatrupiła. Potem wypatroszyła, pokroiła w dzwonka i usmażyła na żeliwnej patelni. Ale Grażyna zaczęła głupio się stawiać. Że nie zabije. Bo w Piśmie jest powiedziane: nie zabijaj. Więc ona nie będzie zabijać żywych stworzeń, przynajmniej w Wigilię, ani tym bardziej ich jeść. Więc Wichura się wściekł, chwycił za młotek, którego Grażyna nie chciała użyć w celu zabicia karpia, i rzucił się na córkę cyrkówkę. Chciał jej młotkiem wybić z głowy te wszystkie głupoty, cały ten jej cyrk. Pewnie dlatego tak się wściekł, że był napity i nie zważał na to, że Bóg się rodzi i moc truchleje. Wydawało mu się, że jest jeszcze wystarczająco mocny, żeby się policzyć ze swoją jedyną latoroślą. Ruszył za nią, ale niełatwo było schwytać

Grażynę, bo ta wiała się jak piskorz. Robiła różne wygi-basy i kontorsje, jak przystało na prawdziwą cyrkówkę. Ale Wichura nie dawał za wygraną i jeszcze po klatce schodowej gonił ją z młotkiem w garści, a ta krzyczała wniebogłosy „ratunku!”. Aż sąsiadka z parteru się zlitowała i wpuściła ją do siebie. Więc Wichura walił młotkiem w drzwi sąsiadki. Ale młotek to nie siekiera, więc drzwi nie porąbał, chociaż je poważnie uszkodził. I zakłócił cichą noc. W końcu ktoś zadzwonił po milicję. Ale Wichura chyba zwąchał pismo nosem, bo zwiął gdzie pieprz rośnie. Zabrał ze sobą młotek. Nie wziął jednak kapoty. A była zima. Dostyc ostra zima tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku.

Potem szukała go milicja. Grażyna też szukała. W końcu to był jej ojciec. Jedyny, jakiego miała. Ale się nie odnalazł. Milicja przypuszczała, że się utopił w Wiśle. Bo zostawił nad rzeką buty. Nie lubił tych butów, ponieważ go cisnęły. Po powrocie do domu zawsze je zdejmował. I klął, że są niewygodne. Ale je nosił, nie pozwalał wyrzucić na śmietnik, bo to były kartkowe buty. Kupione jeszcze w stanie wojennym. W pedecie na Woli. Grażyna dobrze je znała. Wiele razy nosiła je do szewca. Żeby podzelować. Kiedy została wezwana na Żytnią na komisariat, żeby zidentyfikować te buty, od razu je rozpoznała. Podpisała oświadczenie, że buty znalezione przez funkcjonariuszy nad Wisłą należały do starego Wichury. Do Henryka Wichury, znaczy się, syna Wincentego i Pelagii z domu Kruczek, urodzonego szesnastego czerwca tysiąc dziewięćset szesnastego roku w Warszawie. Grażyna kilka razy powtarzała, że to

na pewno są te buty z pedetu, kartkowe. Widać po zelówkach. Więc milicja szukała dalej. Nad Wisłą. Liczyli, że stary utopił się po pijaku w Wiśle i że wypłynie na wiosnę. Ale Wichura chyba osiadł na jakiejś mieliźnie. Albo poszedł na samo dno i przykleił się do tego dna na wieki wieków. Albo popłynął z prądem do morza. I tyle go widzieli.

Dlatego Grażyna zawsze w Wigilię zapalała w oknie świeczkę - latarnię dla umarłego. Żeby Wichura wiedział, gdzie jest jego dom. Żeby tu wrócił. Jeśli nie ciałem, to przynajmniej duchem. W każdą Wigilię o północy Grażyna modliła się za ojca. Najpierw za spokój jego duszy odmawiała *Zdrowaś Mario*, potem *Ojczy nasz*, a na końcu *Wieczny odpoczynek*. I wyjmowała z szafy buty.

Dzidka postanowiła nie odpuszczać. W końcu były święta i nigdy dotąd nie spędzała ich sama. Pojedzie do córki i zobaczy, co tam się dzieje. Bo że się coś działo, tego była pewna. Przez chwilę przeleciała jej przez głowę straszna myśl. Że jej córka przygruchała sobie kogoś. Już nie będzie miała dla niej tyle czasu. A przecież dzieci ma się po to, żeby na starość miał kto podać szklankę wody. Albo lepiej herbaty z cytryną. Takiej, jaką Dzidka najbardziej lubiła. Dobrze osłodzoną dwiema czubatymi łyżeczkami cukru. Honoracie pewnie nie spodoba się, że jej matka zrobiła nalot, ale trudno. Od tego ma się matkę, żeby mówiła i robiła różne

przykre rzeczy. Dla dobra dziecka. Zwłaszcza córki. Dotąd Honoratka była dobrą córką. Religijną. Nigdy nie opuściła niedzielnej mszy, a co dopiero pasterki. Więc skoro zamiast iść do kościoła z matką, wolała wrócić do domu, to coś musiało być na rzeczy. Wszystko dlatego, że wyprowadziła się z falowca. Dopóki mieszkała z matką, było dobrze. Po bożemu. Chodziła do kościoła i na Górkę do dominikanów. W lecie zaś szła z pielgrzymką do Częstochowy. W różnych intencjach. Dawała matce pieniądze na utrzymanie domu. Resztę składała na książeczkę PKO. Nie było żadnego tam fiu-bździu. Żadnych ciuchów. Łażenia do galerii handlowych. Jak coś jej było potrzebne, to kupowała sobie na bazarku na Przymorzu. Od ruskich, bo najtaniej. Ale odkąd wyprowadziła się do tego swojego TBS-u, zaczęła się zmieniać. Nie miała już tyle czasu, co kiedyś. A kiedy przyszła w Wigilię, to jak po ogień. Rach-ciach i już musiała wracać. Potem zaniepokojona matka do niej dzwoniła, ale nie odbierała telefonu.

Więc z samego rana w pierwszy dzień świąt Dzidka postanowiła pojechać na kontrolę. Zwłaszcza że Honorata ostatnio zrobiła się mizerna. Zupełnie nie miała apetytu. Nosiła też całkiem inną sukienkę. Czarną. Żeby się wyszczuplić. Powiedziała, że ją kupiła w Internecie. Zmiany więc były niepokojące. Dzidka postanowiła nie dzwonić, lecz wsiąść w dwójkę i pojechać do córki. Na to osiedle, co się nazywało „Twoje Marzenie”. Ładnie, ale co z tego? Chyba nie działa się tam najlepiej, skoro Honorata zaczęła zaniedbywać własną matkę i kościół.

Niestety, nie pomyliła się. Miała złe przeczucia. Wszystkie się potwierdziły. Trzy razy nacisnęła przycisk domofonu. Dopiero za czwartym jej córca raczyła się odezwać. Mówiła dziwnym głosem. Tak przez nos. Chrapliwie. Drzwi otwierała tak jakoś powoli. Już od samego progu wszystko było nie tak. Jak można o dziesiątej rano w Boże Narodzenie łązić w koszuli nocnej i w szlafroku?! A ta koszula była podejrzanie przezroczysta. Tfu! Uczciwe kobiety w takich nie chodzą. Może jakieś lafiryndy, ale na pewno nie dobre katoliczki. Drzwi do sypialni były zamknięte. W dużym pokoju na stole stała pusta butelka. Po jakiejś wódzie, i to takiej drogiej. Przede wszystkim od Honoraty czuć było alkohol! Chociaż żuła miętową gumę, żeby osłabić czymś ten nieładny zapach. Ale nic z tego! Nie tak łatwo oszukać matkę!

- Piłaś? - Dzidka postanowiła nie owijać w bawełnę. Honorata zamiast odpowiedzieć, jedynie spuściła wzrok. Jak dziecko. Nie miała odwagi, żeby odpowiedzieć matce na proste pytanie. Więc wszystko było jasne. Zamiast świętować narodzenie Pańskie, urządziła tu sobie jakąś libację. Ciekawe z kim? Bo przecież sama tej butli nie obciągnęła. Co to, to nie! Ale pomalutku. „Nie dajmy się zwariować” - pomyślała i dodała na głos: - Herbaty bym się napiła. Zrób mi taką, jak lubię. Z cytrynką.

- Ale ja nie mam cytryny.

- Nie masz? Nie kupiłaś na święta? Ja zawsze kupuję na święta cytryny i pomarańcze. I banany też. Żeby niczego nie brakowało. To zrób mi z cukrem. Dwie czubate łyżeczki, chyba nie zapomniałaś?

- Nie zapomniałam.

Zrezygnowana Honorata weszła do kuchni. „Zaraz się zacznie awantura - pomyślała. - Niech tylko Kuba się obudzi”. Właściwie to było jej wszystko jedno. Przecież kiedyś i tak musiało się wydać. Ze nie jest już sama. Tylko dlaczego w święta? Jeszcze ta butelka na stole. Nie zdążyła jej sprzątnąć. Ale mamusia i tak by się domyśliła. Musiało nieźle od niej wionąć. Guma nic nie mogła tu pomóc. Poza tym było jej trochę niedobrze, bo nie nawykła do picia alkoholu. Prawdę mówiąc, nie piła wcale. Więc whisky mogła jej zaszkodzić. Parzenie herbaty szło jej jakoś nieporadnie. Ręce jej drżały. To chyba nie po alkoholu, ale ze strachu przed matką, przed tym, co powie. Dzikka miała najwyraźniej ochotę na dłuższe przemówienie. Takie umoralniające. Mościła się właśnie na kuchennym stołku niczym kura na grzędzie. Ale co będzie, jak Kuba się obudzi? I wyjdzie na korytarz w samych slipkach albo nawet bez?

- No chyba mi przesłodziłaś! -To nie mieszaj.

-A zamieszam, zamieszam. I nie zamkniesz mi ust ani tą herbatą, ani ciastem. Możesz mi od razu dwa kawałki szneki ukroić, nie będziesz musiała wstawać od stołu. Bo mamy przecież do pogadania. No, nie spuszczaaj wzroku, tylko mów, co się dzieje. Jakiegoś gacha masz czy co?

- Nie gacha.

- Jak zwał, tak zwał. Ale jak bez ślubu z kimś żyjesz, to gach.

- Ty też żyłaś. Ze szwagrem.

Nie spodziewała się po córce takiej riposty. Sprawa ze szwagrem z Sulęczyna to stare dzieje. Poza tym Dzidka już dawno wypowiadała się z tamtych grzechów. Ksiądz dał jej rozgrzeszenie, bo przecież urodziła dziecko, a mogła się wyskrobać. Wszystkie się wtedy skrobały. I to nie raz, nie dwa. Ale Zdzisława urodziła. Więc jakim prawem córka wypomina jej stare grzechy? Była wtedy młoda. A krew nie woda, majtki nie pokrzywa. W dodatku ze szwagrem było jej lepiej niż ze ślubnym. Nieważne. Grzechy zostały odpuszczone i odpokutowane. A tutaj była świeża sprawa. Jej pobożna córka zeszła właśnie na złą drogę. Więc Dzidka musiała coś zrobić.

- Ty mi tu ze szwagrem nie wyjeżdżaj. To było dawno. I wszystko odpokutowałam. Tu chodzi o ciebie. Żebyś na złą drogę nie zeszła. Martwię się o ciebie. Widzę, że zmieniłaś meble. I kilim z papieżem gdzieś przepadł. Już nie jesteś ta sama, co kiedyś. Opamiętaj się, dziewczyno! Wróć do siebie.

Honorata nic nie odpowiedziała na jej słowa. Matka po prostu musi się wygadać. Co z tego, że wyrzuciła kilim? Był brzydki i tyle. Jak ta meblościanka i jej tłusty brzuch. Postanowiła się zmienić. Nie tylko siebie, ale również swoje mieszkanie. Co w tym złego? Chciała mieć lepsze życie. Z Kubą. Miała do tego prawo. Do życia bez starej meblościanki na wysoki połysk i bez kilimka z papieżem. Bez latania do spowiedzi w każdy pierwszy piątek miesiąca. Bez spędzania wszystkich niedziel i świąt z mamusią w falowcu. Nad talerzem z dymiącym rosołem z makaronem zakupionym

w biedronce. I nad schabowym, i marchewką z groszkiem. Oraz murzynkiem na deser. Albo babką piaskową. To wszystko było kiedyś. Teraz już tak nie będzie.

Siedziały w kuchni. Matka popijała mocno przesłodzoną herbatę, a Honorata gorzką. Dobrze robiła na mdłości. Whisky dobra była dla Kuby, ale dla niej zdecydowanie nie. Więc jej już wystarczy eksperymentów z mocnymi trunkami. Ma słabą głowę i tyle. Już więcej nie będzie takich ekscesów. Ale mamusi niczego nie zamierza tłumaczyć. Niech szybko zje ciasto, wypije herbatę i wraca do siebie. Nie ma o czym mówić. Oby Kuba nie wyszedł z małego pokoju. Wtedy zacznie się awantura.

Kuba cały czas się zastanawiał, czy wreszcie wyjść, czy czekać, aż ta okropna kobieta pójdzie stąd. Tego by sobie pewnie życzyła Honorata. Żeby czekał i się nie pokazywał broń Boże. Od rana prosiła go, żeby poszedł do matki, byle uniknąć konfrontacji z jej własną rodzicielką. Ale Kuba się ociągał. Cholernie dobrze mu było w łóżku. Materac wygodny. Nie to, co rozkładane kanapy z dziurą w środku. Do tego ta błoga cisza na zewnątrz. Wszyscy odsypiali wigilijne obżarstwo. Ale niestety wkrótce zaterkotał domofon i okazało się, że Dzidzia Badziągowska postanowiła złożyć córce świąteczną wizytę. Było to nieuniknione. Kuba natomiast nie miał ochoty oglądać tego koczkodana, ale czas naglił. Powinien jak najszybciej pojechać do matki. Nie odbierała telefonu od kilku dni. Jasna cholera wie, co się z nią działo. Gośka i Agnieszka próbowały się do niego dodzwonić, ale wyłączył telefon, więc im się nie

udało. Tym bardziej powinien pojechać i zobaczyć, co tam z matką. Czy przypadkiem nie umarła. Od lat chorowała na wszystkie choroby świata. I umierała. Tak na raty. Kawałek po kawałeczku. Wszyscy już mieli dość tego jej umierania. A najbardziej sam Kuba. Więc postanowił wreszcie wyjść z tej sypialni. Musiał jeszcze iść do łazienki. Koniecznie. Poza tym jego ciuchy zostały w salonie. A ta cholerna kaszubica nie miała ochoty wyjść. Pójść sobie w cholerę. Na to swoje Przymorze. Do falowca. Gdzie wszystko zapewne jest poukładane. Stare ścierki. Reklamówki i gumki recepturki. Wszystko na swoim miejscu. A właścicielka tego lokum jest zawsze zajęta. Gotuje, macha ścierką w tę i we w tę. Co niedziela biega do kościółka. Tak właśnie - wysprząta mieszkancko na błysk w sobotę, a w niedzielę leci na sumę, a jakże. Żeby *ordnung* był jak trza. Żeby ksiądz pochował ją w poświęconej ziemi, gdy przyjdzie na to czas. A potem żeby Pan Bóg zanadto się nie czepiał. Tak sobie radzi w życiu i z życiem Kaszuberia.

W końcu nie wytrzymał. Okręcił się jedynie kołdrą, żeby jakoś wyglądać. Ale to chyba niewiele pomogło, bo jak stanął w drzwiach, zaspany, rozczochrany i nieogolony, to stara wrzasnęła:

-Och!

A Honorata parsknęła śmiechem. Chwycił więc ciuchy i zniknął w łazience.

- No to już wszystko jasne - westchnęła Dzidka. Chciała jeszcze dodać, że niczego sobie ten facecik. Że ma ładne kędziorki. I pewnie zgrabny tyłeczek, ale sobie odpuściła ten komentarz. Zamiast tego powiedziała:

- Widzę, że się dobrze bawisz. I zapominasz o swoich obowiązkach. Honorata nic nie odpowiedziała. Nie da się sprowokować. Nie ma mowy. To były jej prywatne sprawy. Chciała mieć teraz drugie życie. Z Jakubem.

- Chcesz jeszcze herbaty?

- Nie chcę. Tamta była za słodka i za mocna. Mnie jedna torebka liptona wystarcza na cały dzień. Bo ja umiem oszczędzać. I tobie też chciałam to wpoić. Ale ty się w tatusia wdałaś. Tatuś był utracjuszem. Bo z Kalisza, z centralnej Polski. A ja z Kaszub. Oszczędzać to twój ojciec nigdy nie umiał. Utracjusz z niego był, że hej! Co innego ja. U nas zapalkę na czworo dziadzius dzielił. I nie marnowało się tak herbaty. Poza tym taka mocna jest niezdrowa. Dlatego teraz pika mi serce.

Kuba, wychodząc, tak trzasnął drzwiami, że obie aż podskoczyły na kuchennych stołkach. Honorata zachłysnęła się herbatą.

- Mamusia, przepraszam, ale muszę do łazienki. Ledwie dobiegła do muszli, tak ją zemdliło. Po tym

wigilijnym pijaństwie. Bo innych powodów na razie nie było.

Usłyszała, że się krztusi. Chociaż przecież nie powinna tego usłyszeć przez ściankę.

- Krztusi się! On się krztusi! - zawołała. Norman spojrzął na nią ze zdumieniem. Nie zrozumiał, co powiedziała, ale postanowił zajrzeć do ojca.

Rzeczywiście się krztusił. Należało wezwać lekarza. Ale było dobrze. Chyba się budził. Wracał do nich. Norman był zachwycony. Po wyjściu od ojca wyściskał ją serdecznie. Teraz ona mogła wejść i go zobaczyć. Spojrzeć mu w oczy. Poznał ją od razu. Próbował się nawet uśmiechnąć, ale sprawiało mu to trudność. Był tak bezbronny. Blady. Cały w tych rurkach. Ale patrzył na nią przytomnym wzrokiem. Przypomniało się jej, co Monika mówiła o tych rosołkach. Pewnie by się przydały. Ale przecież nie będzie mogła mu ich przyrządzić. Chociaż bardzo chciała. Nie miała prawa tam przebywać, a poza tym była ogromnie zmęczona. Chciało jej się spać. Wyciągnąć się na łóżku i odpłynąć. Na dłużej. Wyłączyć się po tym długim czuwaniu. Jeśli on rzeczywiście wrócił, to na pewno nie do niej. Tak jak nie do niej tu przyjechał. Ale czuła ogromną ulgę. Już więcej nie mogła zrobić. Dla niego.

Samochód Wieśka stał na podjeździe. A w domu się świeciło. Więc nie było szans na samotny wieczór. A zdawało się, że już jest tak dobrze. Tak spokojnie. Ale szczęście nie mogło trwać zbyt długo. W dodatku była śpiąca. Wiesiek zaś pewnie znowu zacznie gadać. Robić swoje cholerne podchody, żeby się wyprowadziła. Żeby ten rozwód przeprowadzić jak najszybciej. Ciągle ją o to męczył. Nie chciał jej odpuścić nawet w Boże Narodzenie. Ciągle to samo. Że jego własność. Że to, że śmo. Oczywiście, że się wyniesie. Ale jeszcze nie teraz. Za kilka dni znowu miała trafić do szpitala.

Więc jak wyjdzie, to zaraz sobie czegoś poszuka. Jakiejś kawalerki. Weszła do sieni. Nie zauważyła jego walizki, którą zostawił w holu. Od progu zaczęła mu tłumaczyć swoją sytuację:

- Ja naprawdę się wyprowadzę. W styczniu. No, może na początku lutego. Więc nie musisz mnie nachodzić.

- Ależ, Anulko, nie musisz się nigdzie wyprowadzać! To przecież jest twój dom. - Chciał jeszcze dodać: „i twój mąż”, ale nie przeszło mu przez gardło. To jakoś będzie musiało się uleżeć. Utrząść. Żeby znowu było normalnie. Spaprał to wszystko strasznie. A było tak dobrze. Spokojnie i pogodnie. Ta straszna baba, Koljaczkowa, zarzuciła na niego sieci. Teraz musi się pokajać. Rzucić na kolana. Dobrze, że kupił ten pierścionek. Jest piękny. I bardzo drogi. Naprawdę nie poskapił pieniędzy. Zapłacił więcej niż za zaręczynowy. Dwa razy drożej. Ale chodziło mu o efekt. Jego żona lubi piękne rzeczy. Powinna docenić jego gest.

Anka nie miała siły i cierpliwości do Wieśka. Ani do jego gadania. Nie miała już siły być Anulką. Żoneczką. Malusieńką. Milusińską. Zajączkiem. Itepe, itede. Była śpiąca po tej Wigilii i pierwszym dniu świąt, spędzonym na twardym krzeselku w szpitalu. Więc zamiast zatrzymać się, usiąść, wypić herbatę, pobiegła na górę i zamknęła się w łazience. Na wszelki wypadek zamknęła drzwi na klucz. Gdyby Wieškowi przyszło do głowy coś głupiego. Wszystko do prania. Spodnia bluzka, bielizna. Chustka. A ona pod prysznic. A potem spać. Żadnych rozmów z Wieśkiem.

-Aniu, otwórz, proszę!

On chyba oszalał! Zwariował, głupi dziadyga. Przecież byli w trakcie rozwodu. Może niezupełnie w trakcie, ale pozew został już napisany. Przez niego. A on nagle przychodzi i chce wejść do łazienki, podczas gdy ona się kąpie.

- Musimy porozmawiać.

- Nic już nie musimy.

Jakie „musimy”? Nikt tu niczego nie musi. A zwłaszcza Anka nie musi rozmawiać z wiarołomnym mężem. Na pewno nie teraz, kiedy jest taka zmęczona. Co go napadło? Dobrze, że jej nie zapytał, gdzie była.

- Ale ja mam coś dla ciebie.

Nie miała ochoty na jakiegokolwiek dary od męża. Ani na rozmowy z nim. Chciała spać. Po prawie dwóch dniach wyczekiwania na szpitalnym korytarzu resztę świątecznego czasu chciała spędzić w swojej błękitnej sypialni. Marzyła o ciszy. Ale Wiesiek nie ustępował. Wiedziała, że dopóki go nie wysłucha, nie da jej spokoju. Musiała zejść do salonu.

- O, włosy ci odrastają. - Wiesiek nie wiedział, jak zacząć rozmowę. Więc zaczął byle jak. „Wyglupiłem się” - pomyślał po wypowiedzeniu tego pierwszego zdania. Anka swoim zwyczajem milczała. Naciągnęła kaptur szlafroka na głowę. Jakby chciała potwierdzić, że już pierwszym zdaniem ją zranił. - Przepraszam, nie powinienem tak...

- Nie powinieneś - odpowiedziała natychmiast i jeszcze mocniej naciągnęła kaptur. Nie chciała, żeby na nią patrzył. A gapił się nachalnie. Zupełnie tak jak

ona kiedyś na Sinobrodego. Wiedziała, że po chemioterapii wygląda inaczej, że się postarzała, że miała sińce pod oczami i nowe zmarszczki. Była młodsza od Wieśka, ale wyglądała staro. Miała poszarzałą cerę. Także z niewyspania. Może nawet przede wszystkim z niewyspania. I z nerwów.

- Napijesz się herbaty? - Skinęła głową. Chciało jej się pić. Nawet bardzo. - A może napijemy się wina? -zapytał z nadzieją w głosie.

-Ja nie.

-A ja się napiję.

Wiesiek wprawdzie nie lubił wina. Wolał piwo. I oczywiście wódkę. Ale wino jakoś pasowało do sytuacji. Kojarzyło mu się z dawnymi czasami, gdy był ministrantem i ciągle biegał do spowiedzi. W każdy pierwszy piątek. Ech, dawne czasy. Teraz też miał się pokajać. Więc otworzył butelkę wina. Nalał sobie do pełna. Wiedział, że tak się nie nalewa. Ale co tam. Miał ochotę się napić. I zjeść. Były święta, a on od rana zjadł jedynie karpia. I barszcz z uszkami. Z wczorajszego cateringu. To za mało.

- Zjesz coś?

- Nie - odpowiedziała odruchowo, bo nie czuła głodu. Chociaż od dawna nic nie jadła. Poza tym nie chciała tego przedłużać. Chciała już zostać sama. Bez niego. Mógłby wreszcie usiąść, zamiast się krzątać po kuchni i brudzić. Pewnie tam był już straszny bajzel. Okruchy na blacie. Okruchy na podłodze. Nachlapane, nakapane. Natłuszczone. Dobrze, że nie musiała tego oglądać. Bo kojarzyło się jej z Grażyną.

Wiesiek przedłużał swoje działania w kuchni, jak tylko mógł. Układał w głowie przemówienie. Już trzeci dzień. Ale nie chciało mu wyjść z tej głowy. Z łba zakutego. Ciągle tam tkwiło. Nie dawało spać. Ani jeść. Tyle, ile by chciał. Od wczoraj jadł mniej niż zwykle. Wszystko przez myśli, które kotłowały się w jego głowie. Chciał przeproszać. Mówić czułe słowa. Obiecać poprawę. Tego obiecywania, że będzie lepszy, nauczył się w domu. I w konfesjonale. Gdzie bił się w piersi i mówił szeptem: „moja wina”. Później po odmówieniu kilku zdrowasiek albo ojcie-naszów mógł spokojnie wrócić do domu. Teraz też chciał powiedzieć coś podobnego. Żeby potem już był spokój. Jak dawniej. Ale jakoś nie mógł z siebie tego wyrzucić. Więc kroił wędliny. O wiele za dużo jak na jedną osobę. Ale kroił dalej. Żeby to trwało jak najdłużej. Zanim usiądzie naprzeciwko Anki i będzie musiał to z siebie wykrztusić. I dać jej ten pierścionek. Prze pros i nowy.

- Ja naprawdę nie miałem nic złego na myśli z tymi włosami. Chciałem tylko powiedzieć, że fajnie, że odrastają. - Wiesiek postawił przed Anką wielki kubek z herbatą. To był jego kubek. Anka nigdy go nie używała. Piła zawsze ze swojego. Niebieskiego, oczywiście. Albo z tego ze szwedzką flagą, który przywiozła z Lund. Jednak tak jej się chciało pić, że początkowo postanowiła nie grymasić. Ale szczegóły były dla niej ważne. Może zbyt ważne. Ostatecznie nie mogła zdobyć się na to, żeby wypić herbatę z nie swojego kubka.

- Przelej mi do mojego. Do tego w niebieskie kwiaty, który przywiozłam z Bremy.

- Dobrze, przeleję. - Wiesiek na takie prośby żony zwykle reagował złością, bo w końcu kubek chyba nie był aż tak ważny. Kiedyś drażniła go ta jej mania na punkcie różnych odcieni niebieskiego, ale teraz już podobały mu się wszystkie niebieskości. Bo taki właśnie był jego dom, do którego wrócił. Opamiętał się. Zrozumiał, że tu jest właśnie najlepiej. Z tą nieco pedantyczną kobietą, dla której tak ważne były szczegóły. Bo szczegóły rzeczywiście są ważne. Wiesiek lubił swój dom. Chciał, żeby było jak kiedyś. Więc przelał herbatę do kubeczka w niebieskie tulipany i postawił przed Anką. A swój kieliszek wypełniony czerwonym winem postawił przed sobą. I talerz z wędliną. Teraz już był gotowy. Mógł zacząć rozmowę. O drugim życiu. Ale zamiast tego położył na blacie stołu małe, czerwone pudełeczko w kształcie serduszka.

-A co to jest?

- Otwórz. To dla ciebie.

Anka otworzyła pudełko. I zaraz je zamknęła.

- Nie wygłupiaj się.

- Ja się nie wygłupiam. Chciałem cię tylko przeprosić. Tak jak umiem. Proszę cię, przyjmij to.

- Nie mogę.

-Ale to jest prezent gwiazdkowy. Przyjmij.

- Nie. Idę spać, jestem bardzo zmęczona. - Mówiąc to, wzięła ze stołu kubek. Poszła na górę do sypialni. Miała ochotę zamknąć drzwi na klucz. Ale postanowiła nie robić demonstracji. Była zmęczona. Najpierw musi

się wyspać, a potem pomyśli, co dalej. Gdy zasypiała, usłyszała pikanie komórki. Nie miała nawet siły, żeby sprawdzić, co to za wiadomość.

Przez to cholerne chłanie nie zrobił prawa jazdy. Dlatego teraz musiał jechać do matki autobusem. Ale na szczęście lubił tę trasę. Przez Morenę w dół, w Jańskową Dolinę. Tam się wychował. Hasał po bukowych lasach, których tak nie znosiła jego matka. Mówiła, że to ponure, ciemne lasy. Zupełnie inne niż te, które pamiętała z dzieciństwa. Dlatego nie chciała tam chodzić na spacer. W ogóle ich nie dostrzegała. Woląca łązić po kawiarniach. Z tymi swoimi facetami. Nie interesowała się synem. Zaniedbywała go. Więc nie ma teraz moralnego prawa, żeby czegokolwiek od niego wymagać. Powinien zadzwonić do Gośki, żeby się umówić. Ona też powinna tam pojechać. Kuba trochę się bał, co zastanie w mieszkaniu matki. Nie odzywał się do niej, odkąd się wyniósł do Honoraty. Gośka panikowała, że coś się stało. Bo Roma nie otwiera drzwi i w mieszkaniu jest ciemno. Telefonu też nie odbiera. Od tygodnia albo i dłużej.

- Goś się stało, mówię ci, coś złego - marudziła Gośka. Narzekała, że nie ma klucza do mieszkania Romy, bo mogłaby otworzyć drzwi i się przekonać. - Ze też cię własna matka nie obchodzi nic a nic - wzdychała do słuchawki.

Więc wsiadł w autobus i pojechał. Żeby się przekonać, czy jego matka jeszcze żyje. Jeśli umarła, to

trudno. Kuba nie będzie po niej płakał. Nikt po niej nie będzie płakał. Chyba że ojciec. Ale Leon jest daleko. W tej swojej Hajfie. Pewnie wciąż mu się wydaje, że Roma jest tą samą młodą kobietą, z którą się rozstał ponad czterdzieści lat temu. Dlaczego nie zabrał go ze sobą? W końcu był jego jedynym synem. Ale ojciec, poza przysyłaniem pieniędzy i zdawkowych życzeń urodzinowych, nie interesował się nim wcale. Tak czy inaczej, trzeba go będzie zawiadomić, jakby przyszło do najgorszego. Na pogrzeb nie przyjedzie, ale pewnie chciałby wiedzieć, że Roma nie żyje. Przypadkiem trafił na listy, które do niej pisał. Dziwnie się poczuł. Jakby podglądał rodziców w intymnej sytuacji. Wchodząc po drewnianych schodach na górę, miał wrażenie, że ją tam znajdzie. Martwą, oczywiście. Będzie musiał stawić czoła temu widokowi. Zapachowi. I całej reszcie. Nie wiedział, jak zorganizować pogrzeb. Czy ją skremować, czy pochować w całości? Nigdy o tym nie rozmawiali. O niczym zresztą nie rozmawiali. Chyba nigdy. Matka żyła swoim życiem, a on swoim. Nie było punktów stykowych. Oprócz pieniędzy, które przysyłał ojciec. Kłócili się o nie. Zwłaszcza Kuba. Bo matka po prostu wszystko brała dla siebie i odkładała na czarną godzinę. Żeby jej nigdy nie zabrakło. Mogło zabraknąć bliskich. Bo syn i wnuczka nie tacy, jak by się chciało mieć. Ale pieniądze wciąż miała na koncie.

Włożył klucz do zamka i przekręcił. W mieszkaniu było cicho. Cztery duże pokoje. W amfiladzie. Skrajnie niepraktyczne. Kiedy mieszkali razem, zawsze

musiała przejść przez jego pokój i wszystko widziała. Nie znosił tego mieszkania. Ale matka nie chciała się stąd wyprowadzić. Mówiła, że jest przywiązana do tego mieszkania, że to jej miejsce i się nie wyprowadzi na starość.

- Musisz poczekać, aż umrę - mówiła. - Wtedy sprzedasz to mieszkanie albo nie. Bo wcale nie jest pewne, że ci je zapiszę, że ci cokolwiek zapiszę. Nawet jeśli zapiszę, to i tak przepijesz. Więc może to, co mam, zapiszę na biednych. Będzie z tego większy pożytek. Nie licz na mnie ani na spadek po mnie. Jeśli w ogóle umiesz liczyć, to licz na siebie.

Nie chciała mu kupić nawet najmniejszej kawalerki. Cholerna starucha. Zawsze obojętna i nieczuła. Nigdy nie wiedziała, kiedy jej syn ma urodziny ani ile ma lat. Nie знаła jego ulubionych potraw.

Teraz szedł przez to puste, smutne mieszkanie, żeby odnaleźć jej ciało. Był pewien, że nie żyje. Nie siedziałyby sama w święta. Mieszkanie robiło wrażenie pustego. Ale nadal było czuć zapach jej pachnideł. Znienawidzonych przez niego perfum. Piżmowych, zwierzęcych. Taki miała gust. Pewnie umarła, siedząc w swoim buduarze. Przed lustrem. Nakładając tonę pudru na swoje zmarszczki. Nie rozumiała, że ją to postarza. Ten starczy makijaż. Wyobrażał sobie, jak siedzi znieruchomiła przed swoim lustrem. „Zmieniła się w słup soli. Jak nic” - pomyślał. Więc niezmiernie się zdziwił, kiedy się okazało, że nie ma jej ani w sypialni, ani w buduarze. Nie było jej nigdzie. Teraz powinien zacząć jej szukać. Pojechać na policję. Zgłosić,

że zaginęła. Postanowił zadzwonić do Goški. Mogłaby go podwieźć. Sama też była świadkiem. W końcu opiekowała się jego matką.

Gosia zawsze tak nerwowo prowadziła. Rozpędzała się, a potem gwałtownie hamowała na światłach. Nie znosił tego. Zawsze robiło mu się niedobrze. Kiedy narzekał, odpowiadała mu, że to dlatego, że jest nawalony. Dziś nie narzekał. Może dlatego, że od rana nie zdążył niczego wypić. Goška też nie była szczególnie rozmowna. Zgodziła się po niego przyjechać. Teraz jechali na policję. Na komisariat na Białą. To nie było daleko. Goška miała odmienny niż zwykle wyraz twarzy. Posmutniała i nawet nie robiła mu wymówek, że zawraca jej głowę w święta. Chyba też urosły jej cycki. O jakieś dwa numery. Nawet dobrze to wyglądało.

- Ale masz bufory, ho, ho - próbował zagaic rozmowę.

- Podobają ci się? Zrobiłam operację.

- Serio?

-A dlaczego miałabym nie zrobić? Zawsze mówiłeś, że jestem płaska jak deska, więc już nie jestem.

- Pewnie się Formeli podobają, on zawsze lubił duże cycki. Agnieszka mówiła mi, że z nim jesteś. Zawsze ci się podobał. Jeszcze w szkolnych czasach.

-Wiesiek wrócił do żony - rzuciła Gosia poirytowanym tonem.

- No nie złość się.

- Nie złoścę się, tylko odpowiadam na twoje głupie pytania. Ty się lepiej zastanów, co powiesz na policji. Zostawiłeś matkę samą. Będziesz za to odpowiadał. To nie przelewki, mój drogi. Będziesz miał kłopoty.

To była niestety prawda. Mogli się go czepiać. Zwłaszcza jeśli Romie coś się stało. A mogło się stać, bo chyba nie poszła na spacer. W dodatku w lodówce nie było jedzenia. Gosia obeszła wszystkie kąty, zajrzała nawet do kuchni i do spiżarni. Roma nie miała żadnych świątecznych zapasów. Szczoteczka do zębów była sucha. Właściwie nie brakowało żadnych ubrań. Chyba tylko jesiennego płaszcza w pepitkę, w którym cały czas chodziła.

Obudziła się rano i zaraz sięgnęła po telefon. Pewnie to Ralph albo Norman. Przez chwilę miała nadzieję, że żaden z nich. Przez całą noc bowiem śniło się jej, że napisał do niej nie Ralph i nie Norman, lecz Sven. Ale okazało się, że to doktor Maciek. Zapraszał ją na chemioterapię. Właśnie dziś. Dwudziestego szóstego grudnia. Na onkologii właśnie zwolniło się łóżko. A tam zawsze jest tłum. Więc chyba trzeba się pospieszyć. Poza tym doktor Maciek widocznie uważał, że przyszedł czas na następną dawkę trucizny. Nie było sensu się ociągać. Raz, dwa, trzy. Najpierw prysznic, potem walizka. Albo odwrotnie. Ale potrzebne jest jedno i drugie. Trzeba też coś zjeść. Potem taksówka i do szpitala. Tym razem to ona będzie pacjentką. Znowu. Wróci to, co już było. Zacznie wymiotować. Tego bała

się najbardziej. I tych kobiet, pacjentek w sali chorych. Pokręconych, niezdolnych, jęczących po nocach. Bała się, ale wszystko poszło jej sprawnie. I pakowanie, i prysznic. Siedziała już na dole i piła herbatę. A Wiesiek pojawił się nie wiadomo skąd i nawet nie marudził. Od razu przystąpił do rzeczy. Jajko na miękko. Trzyipółminutowe, a do tego morska sól, pieprz i kawałek bułki z masłem. Śniadanie dla Anki. Bez żadnych głupich pytań zapakował walizeczkę w kwiatuszki do bagażnika. Był gotowy ją odwieźć. Mogła jeszcze po-marudzić. Ale tylko przez chwilę.

Wiesiek cieszył się, że zgodziła się na to, by ją odwiózł. To był dobry znak. Miał nadzieję, że wszystko wróci do normy. Jeszcze tylko jedna chemia albo dwie. On już zawsze będzie u jej boku. Będzie ją odwiedzał w szpitalu. Przywoził i odwoził. I dbał o wszystko, nawet jeśli ona dalej będzie sama spała w tej niebieskiej sypialni, a on w gabinecie albo na kanapie w salonie. To nieważne. Ważne było wyłącznie to, że zmierzali do normalności. Do codzienności. Takiej, jaka była, zanim pojawiła się Koljaczkowa. Niech tam sobie wypina swoją sztuczną pierś. Ale już nie dla niego. Wiesiek lubił wszystko co naturalne. Nawet naturalne wychudzenie swojej żony przez chorobę. Co z tego, że była strasznie chuda? To normalne. Tak samo jak to, że nie miała brwi ani rzęs. Ale nie nosiła w sobie jakichś silikonów. Co to, to nie. Żadnych takich. Nigdy w życiu. Patrzył, jak Anka oddała się, idąc szpitalnym korytarzem i ciągnąc za sobą walizkę. Była drobniutka. Ale była prawdziwa i była jego. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Śluchaj, ojciec, tam się świeci! Rozumiesz? U babci Romci się świeci. Więc albo ona jest w domu, albo ktoś tam buszuje. Przyjeżdżaj! Nagrała mu się na poczcie głosowej, bo jak zwykle nie odbierał. Pewnie był pijany. Jak to on. Agnieszka zaś nie zamierzała wstępować do babci Romci. To nie była jej sprawa. Ta zwariowana staruszka. Matki też nie zamierzała męczyć. Rzucił ją facet. Biedaczka nie mogła sobie znaleźć miejsca. Łaziła pod jego dom i patrzyła, czy się u niego świeci. Czy jest w domu. On i ta jego żona. Ale się matka w tym wszystkim zakałapućkała! Cały czas płacze. Biedaczka. Cycki sobie odwalila na darmo. Okropnie z nimi wygląda. Jak jakaś cycolina. Postarza ją to, niestety. Dopóki była płaska, wyglądała dużo młodziej. Teraz naprawdę robi wrażenie staruchy po pięćdziesiątce. Tak czy owak, Agnieszka nie miała zamiaru sprawdzać, czy zaginiona babcia Romcia jest w domu.

Natomiast Kuba zaraz po odsłuchaniu wiadomości od córki zamówił taksówkę i pokrzykiwał na szofera, żeby ten jechał szybciej i najkrótszą drogą. Spieszył się. Jeśli matka jest w domu, to znaczy, że wszystko w porządku. Ze nie będzie żadnych okropnych poszukiwań. Wizyt w kostnicach. Całego tego koszmaru, którego tak się obawiał. W oknach rzeczywiście się świeciło. Więc albo była w domu, albo nie wiadomo co. Jakiś złodziej?

Znowu otworzył drzwi swoim kluczem. Poczł charakterystyczny zapach jej perfum, którego tak nie znoził.

Tym razem ten zapach wydał mu się intensywniejszy niż poprzednio. „To znak, że jest w domu” - pomyślał.

Siedziała w swoim buduarze przed lustrem. Żadna tam skamieniała żona Lota. Była jak najbardziej żywa. Chociaż siwowłosa. Uśmiechała się szelmowsko do swojego olbrzymiego, kryształowego lustra, w którym właśnie ukazała się zdziwiona twarz Kuby. Wyglądała znacznie młodziej niż dwa tygodnie wcześniej, kiedy opuszczał jej mieszkanie, obiecując sobie, że nieprędko tu wróci. Jeśli w ogóle. Zastanawiał się, co ją tak odmłodziło. Ze zdumieniem stwierdził, że siwizna. Dotąd farbowała włosy na kasztan. Przez wiele lat. Żeby wyglądać tak samo jak kiedyś. Teraz się zmieniła. W krótkiej fryzurze, z siwymi włosami wyglądała dużo młodziej. Tak świeżo. Dawno nie widział matki w tak dobrej formie. Uśmiechniętej i zadowolonej z siebie. Właściwie to od lat nie wyglądała tak dobrze. Kuba nie wiedział, co się działo, ale rozumiał, że matka sobie zakpiła. Z niego. Z Gośki również. Jedyne Agnieszka nie dała się wciągnąć w tę grę. Jest młoda, zresztą zawsze lekceważyła babcię i jej prawdziwe i urojone choroby. Taka już jest. Lekceważąca wszystko i wszystkich. Z właściwą sobie ekstrawagancją i dezynwolturą. „A z tej Romci to też niezła szelma” - pomyślał Kuba. Właściwie to się ucieszył, że tak spokojnie sobie siedzi przy lustrze. Chciałby ją taką zapamiętać.

- Gdzie byłaś wczoraj? Szukaliśmy cię z Goską całe popołudnie. Byliśmy nawet na komisariacie.

- Byłam w kościele. W Mariackim. Nie wolno mi już nawet chodzić do kościoła?

- Cały dzień tam byłaś? Odbiło ci czy co?
- Mam tam pewne miejsce. To jest kaplica Jedenastu Tysięcy Dziewic. Dobrze się tam czuję. To moje miejsce. Zawsze się tam modliłam. Od lat. Każdy ma jakieś swoje miejsce, ja mam to.

432.

„A W SERCU CIĄGLE MAJ!”

Lejb Herbst, nie bacząc na zalecenia lekarzy, postanowił wybrać się w podróż. Nosił się z tym zamiarem od kilku lat. Chciał się spotkać z Romą. Ogromnie mu zależało, żeby zobaczyć ją raz jeszcze. Po wielu latach. Wiedział, że Vered, jego drugiej żonie, taka podróż była nie w smak. Ale bez niej raczej nie mógł ruszyć się z domu. Poza tym nie chciał przed nią ukrywać swojego sentymentu do dawnych czasów. Gdy był młody i mieszkał w Polsce. Vered jednak nie mogła tego zrozumieć.

- Bo jak to? Zapomniałeś o tym, że cię stamtąd wyrzucili? A ta kobieta cię zdradziła? I wybaczyłeś jej to? - pytała.

Lejb zazwyczaj nie odpowiadał na pełne pretensji pytania żony. Chciał choć na chwilę wrócić do swojego pierwszego życia. Do tego wilgotnego, lesistego kraju, gdzie się urodził. Porozmawiać z Romą. I ze swoim synem. Chciał również poznać Agnieszkę, swoją jedyną

wnuczkę. Liczył na to, że wyczyta z jej dziewczęcych oczu, czy kiedyś zmówi za niego modlitwę. Obojętnie jąką, byleby pamiętała.

Długo zastanawiał się nad tym, czy w ogóle wybrać się do Polski i kiedy pojechać. Na pewno nie w zimie. Śniegu nie widział od lat. Ale jakoś za tym widokiem nie tęsknił. Jesienią też lepiej nie. Najodpowiedniejszą porą wydawała mu się wiosna. Więc w drugiej połowie maja - zdecydował. Już w lutym zabukował dwa bilety na lot linią El Al. Z Tel Awiwu do Frankfurtu, a potem Lufthansą do Gdańska. Wprawdzie Vered dalej dąsała się i stroiła fochy, ale dla Lejba to był radosny moment. Wiedział, że Roma niecierpliwie czeka na to spotkanie. Zastanawiał się, czy jego była żona naprawdę tak dobrze wygląda, jak na tym zdjęciu, które mu przesłała. Była wyjątkowo piękną kobietą, ale w odpowiednim czasie nie zawsze umiał to docenić. Partyjna robota wydawała mu się ważniejsza. Żonę traktował tylko jako miły dodatek. Przede wszystkim oczekiwał od niej potomków. A nie tego, żeby była piękna. I żeby miała kochanków.

Więc gdy nadszedł wreszcie ten majowy dzień, Lejb był niezmiernie podniecony i wzruszony. Gałą noc nie mógł spać. Vered martwiła się, że jej mąż tak to wszystko przeżywa, bo w jego wieku to mogło być groźne. Ale pocieszała się, że może uda mu się zasnąć w samolocie. Najgorsza była przesiadka we Frankfurcie. Ale dla Lejba nie to było ważne. Myślał tylko o tym, jak zareaguje na niego Roma. Na jego kalectwo. Wiedział, że ona też przeżywa to spotkanie, że żyje

tym od dawna. Pisała mu o tym w listach, jakie wystukiwała na starej maszynie do pisania, którą kiedyś jej kupił. Na starym remingtonie, który był już chyba egzemplarzem muzealnym. Lejb kupił go żonie, gdy przeprowadzili się z Warszawy do Gdańska. Ponad pół wieku temu.

- Zeby się dobrze pisało - tak jej powiedział. Roma więc zaczęła pisać. Najpierw swoją pracę magisterską, a potem artykuły i felietony o sztuce. Lejb zawsze je czytał z uwagą, zanim poszły do redakcji. Teraz już nie pisała żadnych artykułów. Tylko listy do niego. Pisała o wszystkim. O sobie najmniej. Zawsze była skryta. Nie lubiła mówić o sobie. Ani o swojej rodzinie. Zwłaszcza o ojcu. Ale pisała długie listy. Zawsze czekała na odpowiedź od niego. Na list z Hajfy. Na szeleszczącym papierze. Wielokrotnie podkreślała, że właściwie nikt już nie pisze listów. Tylko jakieś mejle. Lejb opanował również technikę komputerową, ale miał wielki sentyment do papieru listowego i eleganckich kopert. I do znaczków pocztowych. Przypominały mu dzieciństwo i to, jak zbierał znaczki. Z marszałkiem Piłsudskim. Roma cieszyła się, że wciąż ma do kogo pisać. Wprawdzie tylko do jednego adresata. Ale za to jakiego! Jej były mąż, zresztą jedyny, jakiego miała, nigdy nie był jej tak bliski jak teraz. W tym życiu po życiu, w tym jesiennym życiu, które było jak ich nazwisko, odnaleźli się naprawdę. Roma żyła tym, że pisała do Lejba. Wiedziała, że jej jedyny czytelnik z uwagą przeczyta to, co napisała. A potem odpisze. Czasem z kilkudniową zwłoką. Bo musi przemyśleć

sprawę. Jak to on. Ale wiedziała, że ma na co czekać. To dodawało jej sił. Całe jej życie skupiało się właśnie wokół pisania listów i oczekiwania, aż przyjdzie odpowiedź z dalekiej Hajfy. Dzięki tej korespondencji zrozumiała, że tak naprawdę to właśnie jej mąż, którego nie potrafiła kochać za młodu, był najbliższą osobą w jej życiu.

Tego majowego dnia Roma obudziła się o czwartej rano. Wiedziała, że Lejb już jest w podróży. Ze swoją izraelską żoną o tajemniczym, obco brzmiącym imieniu Vered. To jej trochę psuło nastrój, ale trudno. Gorzej, że znowu miała mdłości. I duszności. Ta piekielna choroba nie dawała jej spokoju. Ale tego dnia nic jej nie zepsuje. Najpierw fryzura. Potem makijaż. Strój miała przygotowany. Jeszcze powinna coś zjeść. Może kawałek bułki. I twarożek. Nic innego nie przejdzie jej przez gardło. Taka była rozemocjonowana. Gosia z Agnieszką przyjadą koło południa. Kuba z tą swoją nową panią pojawi się dopiero na lotnisku. Oby był trzeźwy. Nie miała pojęcia, co zrobić z pustymi godzinami, które dzieliły ją od wyjazdu na lotnisko. Szkoda, że Lejb nie chciał zatrzymać się u niej. To kiedyś było przecież ich wspólne mieszkanie. Ale to pewnie ta Vered nie chciała się na to zgodzić. Szkoda.

Już wczoraj spakowała swoje rzeczy. Do jednej małej walizki. Swojej ulubionej w niebieskie kwiatki.

Wprowadziła się tu z jedną walizką. Teraz odchodzi z jedną walizką. Tak powinno być. Zostawi Wieškowi kilka słów na malutkiej karteczce. Żeby jej nie szukał. W końcu kiedy wyprowadzał się do Goški, zrobił tak samo. Taksówka już czekała pod domem. Miała nadzieję, że samolot do Oslo odleci bez opóźnienia i bez problemu zdąży na ten do Sztokholmu, a tam uda się jej złapać wieczorny, bezpośredni do Oskarshamn. To właściwie taka większa awionetka, więc będzie trochę emocji. Miała przed sobą długi dzień w podróży. Postanowiła nie dzwonić do Grażyny. Wystarczy, że skontaktuje się z nią prawnik. Za jakiś czas. Wtedy jej matka dowie się o stałym zleceniu. O pieniądzach, które będzie otrzymywała od córki. Do końca życia. A także o tym, że będzie musiała założyć sobie konto w banku. Pewnie się wścieknie. Ale konto założy. Przestanie do niej przychodzić ten młody listonosz. Jedna przyjemność w życiu mniej. Pozostaną jej kawa i papierosy. Wróżenie. I oczywiście snucie przypuszczeń, co się stało z jej córką. Ale tego się nie dowie. To nie jej sprawa. Więc będzie narzekać. Na wyrodną córkę. Że ją opuściła i gdzieś związała. Ulotniła się jak stary Wichura. Nie zostawiła po sobie nawet butów. Grażynka będzie miała temat do rozmów podczas nakładania farby na włosy. Albo henny. Lub regulowania brwi i robienia manikiuru. Wszystkie sąsiadki dowiedzą się, jakie to Grażyna ma ciężkie życie. Że jest sama i że nikt jej nie kocha. Nawet własna córka. Że nie opłaca się mieć dzieci, bo prędzej czy później i tak się wypną na rodziców. A zwłaszcza na samotną

matkę, która nigdy w życiu nie miała łatwo. Od dzieciństwa miała pod górkę. Najpierw uciekła jej matka, a ojciec sadysta znęcał się nad nią, dopóki nie zwała z domu, by występować w cyrku. Ale tam też się na niej nie poznali, chociaż potrafiła się wyginać i nawet skomplikowane ewolucje cielesne nie były jej obce. Oj, nie były. To fakt.

Monika czekała na Ankę w hali odlotów. Tu się umówiły. Na kawę. I żeby porozmawiać. Nie wiadomo przecież, kiedy trafi się następna okazja. Zeby razem wypić kawę i się pośmiać. Chociaż Monice nie było do śmiechu. Walduś miał problemy, i to dość kosztowne. Więc pożyczła pieniądze. Od lewej do prawej i na skos. Od Anki też. Teraz znowu chciała pożyczyć. Brakowało jej do pierwszego. A w dodatku jeszcze musiała dokonać opłat. Anka spóźniła się, niestety. Chyba nie będzie już czasu na kawę. Dlaczego ona się tak grzebie? Przychodzi na ostatnią chwilę. Monika się niecierpliwiła.

Nareszcie! Jest! Nawet fajnie wygląda. Całkiem dobrze. Nareszcie z jakimiś włosami na głowie. Nie za wiele tego, ale zawsze. Tylko ubrała się trochę jak sierota. Na niebiesko. W jakieś dzinsy i bluzeczkę w kwiatuszki. Jak te na walizce. Bo w maju maryjnie trzeba. Monika spojrzała na zegarek. Nie zostało za wiele czasu, ale może wystarczy na wypicie espresso.

- To co, napijemy się tej kawy?

- Mhm.
- Masz mało czasu. -No.
- Głupio trochę, ale czy pożyczysz mi trochę kasy?
- Tak, ale mam warunek. -Jaki?
- Poszukasz mi tu jakiegoś przytulnego mieszkania. W Starej Oliwie. Albo w Górnym Wrzeszczu. Ale wolałabym w Oliwie.
- Ale po co? Przecież wyjeżdżasz.
- Na wszelki wypadek.
- Jak się czujesz?
- Dobrze.
- Ale co mówi lekarz?
- Mówi, że mam czterdzieści siedem procent szans.
- Na co?
- Na wyzdrowienie. Więc szklanka do połowy pełna. Albo do połowy pusta, jak kto woli.

Anka nie chciała rozmawiać. Myślami była już gdzie indziej. Monika patrzyła na nią, jak po odprawie szła do kontroli. Pewnym krokiem. Spokojna. Potem jeszcze przez kilka dni myślała o Ance i o jej szklance.

Agnieszka miała już dość swoich starych. Matce kompletnie odwaliło, odkąd zafundowała sobie nowe cycki. Strzela focha za fochem. Trudno się dziwić Formeli, że dał dyla. Agnieszka zrobiła to już dawno. Ale dziś miała się cała zwarta i gotowa stawić na lotnisku.

Żeby przywitać się z dziadkiem Lejbem. Straszna wiocha mieć dziadka komunistę, a właściwie żydo-komunistę. Naprawdę nie było się czym chwalić. Więc Sebastianowi, zwanemu Sebą, swojemu chłopakowi, powiedziała, że ma jakieś dodatkowe zajęcia na uniwersytecie. Żeby uniknąć obciachu. Zwłaszcza że ojciec Seby ciągle po pijaku wygadywał, że „żydki to lub tamto”. Więc jakby się dowiedział, że Aga ma dziadka Żyda, w dodatku byłego aparaczyka, byłoby naprawdę nieciekawie. Matka prosiła ją, żeby się ładnie ubrała. Tak wizytowo, podkreślała. Słowo „wizytowo” zdawało się pochodzić z repertuaru babci Romci, a nie z zasobu słownictwa matki. W końcu to babcia miała całą szafę garsonek, sukieneczek do kolan, szyfonowych bluzek, jedwabnych apaszek, pantofelków na kaczuszcze i tym podobnych, zupełnie niedzisiejszych ubraniowych akcesoriów. To babcia chodziła na wizyty, bo matka najwyżej do knajpy albo na wyjazd integracyjny. Żeby się nachlać. Dzisiejszego poranka w przyпіływie szczerości Aga nie omieszkała wypomnieć tego matce przez telefon, więc staruszka się obraziła. Rzuciła słuchawkę. Coraz z nią gorzej. Ewidentnie czegoś jej brakuje. Dlatego tak szaleje. Odbija jej od Bożego Narodzenia. Pogubiła się kobieta i tyle. Ostatnio zrobiła sobie liposukcję. Nawet nieźle to wygląda, bo wreszcie może założyć dzinsy. Ale jej powiększone usta są straszne. Miała być Angelina Jolie, a wyszła Maryla Rodowicz. Tyle że ta współczesna.

Ale skoro ma być Francja-elegancja, to będzie. Czarne, lakierowane glany. Trzeba je wyglansować, żeby

się błyszczały jak psu jajca. Do tego legginsy i tunika w czarnym kolorze. Oczywiście włosy czarne, z asymetryczną grzywką. Całkiem nowy nabytek w stylu emo. Matka się zdziwi, że zrezygnowała z bycia blondynką. Babcia Romcia pewnie będzie marudzić. Jak to ona. Ze jej jedyna wnuczka jest jakaś nie tego. Ponieważ pożarła się z matką, więc na lotnisko musi jechać autobusem. Straszny obciach, ale szkoda kasy na taksę. Najchętniej by została w domu, ale matka będzie się wściekać. Chociaż dziadek Agnieszki to przecież jedynie ojciec byłego męża Gosi. Żadna rodzina dla niej. Dla matki znaczy się. Dla Agnieszki to niestety była rodzina, i to bliska. Babcia wariatka, co chodzi w kapeluszach jak angielska królowa. Do tego dziadek Żyd. To ciążyło jej najbardziej. Wprawdzie Żydzi są ostatnio w modzie. Ale po pierwsze, nie wszędzie, bo na przykład Seba i jego ojciec mówią źle o Żydach. A po drugie, czy ktoś ją, u licha, pytał, czy chce być jakąś tam Żydowicą? Właśnie tak ojciec Seby mówi o Żydówkach. Ano nikt jej nie pytał! Więc to było naprawdę nie w porządku wobec niej, że jej dziadek miał na imię Lejb. Chociaż podobno kiedyś dziadek nie przyznawał się do tego żydowskiego imienia i nazywał się Leon. Szkoda, że do dziś się tak nie nazywa. Byłoby mniej obciachu. Nazwisko jeszcze jakoś dało się przeżyć. Mówiła kolegom, że jest niemieckie. Bo jest, a jakże! Zawsze lepszy dziadek z Wehrmachtu niż dziadek Żyd. Tak czy owak, teraz musi przywitać się z dziadkiem z Hajfy, z Izraela. Nie zaszkodziłoby tam pojechać, nawiasem mówiąc. Chociaż wtedy będzie się

musiała przyznać Sebastianowi, kim w rzeczywistości jest jej dziadek. I w konsekwencji ona też. Dlatego nie pojedzie do tej Hajfy, przynajmniej dopóki spotyka się z Sebą.

Na lotnisku było tłoczno. Samolot z Frankfurtu miał małe opóźnienie. Agnieszka patrzyła na ojca, którego od dawna nie widziała. Kuba miał kilkudniowy zarost i było czuć od niego alkohol. „Znowu się spił” - pomyślała z niechęcią. Widziała, że matka również przygląda mu się z niesmakiem. Wstydziły się go obie. Ale w przeciwieństwie do nich pulchna kobieta w widocznej ciąży, która stała obok Jakuba Herbsta, była z niego najwyraźniej dumna. Agnieszka trochę się zdziwiła na jej widok. Zaraz też zmartwiła się, bo wyglądało na to, że właśnie patrzy na jakąś nową laskę swojego ojca. O ile w stosunku do takiej pani można było użyć określenia „laska”. Ta kobieta wyglądała właściwie jak kopciuch i kocmołuch, a nie jak laska. Ale ojciec najwyraźniej zagustował w jej wdziękach i zmajstrował jej dzieciątko. Brawo, tatuś! Dziadek Lejb się ucieszy, że będzie miał wnuka. „A ta baba musiała być mocno zdesperowana, skoro się nie zabezpieczyła” - pomyślała Agnieszka. Sama zabezpieczała się już od dwóch lat. Skutecznie.

Była już zmęczona. Przede wszystkim psychicznie. I trochę zmarzła. To dlatego, że nie wzięła czapki ani nawet nie włożyła na głowę chustki. W tej krótkiej

fryzurce, niezwykle twarzowej, jak twierdziła Monika, było jej po prostu zimno. Marzła okropnie cały czas. Chociaż to był maj. Monika też ostatnio schudła. Pewnie dlatego, że tak się martwiła o swojego Waldusia, który cały czas siedział w kiciu. Anka musiała pożyczyć koleżance na adwokata. Bo taki z urzędu to nic nie pomoże.

Ale na szczęście podróż dobiegała końca. Czuła suchość w gardle. To z nerwów, bo tak na dobrą sprawę nie wiedziała, co ją czeka. To, co robiła, było szaleństwem. Sama się sobie dziwiła, że się zdobyła na ten krok. Ona, którą rodzona matka oskarżała o oportunizm i wygodnictwo. A tu proszę, zostawiła wygodne życie, swój ulubiony dom w Oliwie. Nawet pracę. A przecież nie miała pewności, że ktoś będzie na nią czekał na lotnisku. Chociaż może się zagalopowała w swoim pesymizmie. Ktoś chyba będzie czekał. Ale kto? Powoli wychodziła z samolotu. Wraz z nią wysiadało trzech pasażerów. Musiała jeszcze odebrać bagaż. Niestety, w maleńkiej hali przylotów lotniska w Oskarshamn nikt na nią nie czekał. Przypomniały jej się wszystkie momenty w życiu, gdy nikt na nią nie czekał. Jak wracała z letnich kolonii, jak zdała maturę, a potem jak dostała się na studia. Zawsze wracała sama do domu. Nigdy nikt nie czekał. Więc to nie pierwszy raz. Ale oczy jej się zaszkliły. Zrobiła głupstwo. Nie, nie żałowała. Dobrze, że wyprowadziła się od Wieśka. Mimo wszystko czuła wielką ulgę. Postąpiła słusznie. Nie ma już powrotu do tego, co było. Pora zacząć drugie życie. Cieszyła się, że jej

walizka dotarta na miejsce. Teraz zamówi taksówkę i pojedzie do jakiegoś hotelu, a jutro trzeba będzie pomyśleć, co dalej. Gdy wychodziła z niewielkiego budynku lotniska, ktoś wyciągnął jej z ręki walizkę. Było ciemnowo, ale wiedziała, że to on, że jednak po nią przyjechał. Chociaż w e-mailu napisał: ***Pewnie Norman cię odbierze.***

- No co, już się poryczałaś? - Był zniecierpliwiony po swoim. Wiedziała, że to dobry znak. Ze dobrze się czuje, że wyzdrowiał. Taki po prostu miał charakter. Szorstki. Zdążyła się przyzwyczaić do jego braku wylewności. Gdy był zdrowy. Bo w chorobie robił się liryczny. Wtedy się o niego bała. Na szczęście to minęło.

- Nie, ja tylko tak...

- No ale walizkę to mogłaś większą zabrać. Nie dorobiłaś się w tym małżeństwie.

- Nie bój się, mam posag, nie będziesz mnie utrzymywał. Wszystko mam w tej walizce. ***Omnia mea mecum porto.***

- No dobrze już, dobrze. Przestań gadać głupstwa.

- To nie są głupstwa.

Energicznym ruchem wrzucił jej walizkę do bagażnika. „Znowu rzuca moją walizką” - pomyślała z oburzeniem. Agresja zamiast czułego powitania. Usiadł za kierownicą. Pochylił się w jej stronę i niespodziewanie pocałował ją w policzek. Może powinna wysiąść z tego samochodu, zanim będzie za późno? Zanim zostanie następną, trzecią z kolei żoną Sinobrodego?

Lejb był ogromnie wzruszony, a jednocześnie bał się reakcji Romy na swoje kalectwo. Na to, że poruszał się na wózku. Dotąd pewnie w jej oczach zachował się obraz dziarskiego mężczyzny około czterdziestki, bo tak wyglądał i tyle miał lat, kiedy wyjeżdżał z Polski. Tamtego pamiętnego dnia, kiedy się żegnali w Warszawie na Dworcu Gdańskim. Ciekawiło go, jak wygląda Roma, czy zdjęcia nie kłamią. Oczekiwał też spotkania ze swoim synem Jakubem i jego córką. W domu miał zaledwie jedno jej zdjęcie. Przedstawiało jedenastoletnią Agnieszkę z blond włosami i skwaszoną miną. Nie liczył na wiele. Chciał porozmawiać z nimi wszystkimi. O czym? Jemu nie zostało wiele tematów. Chociaż z Romą korespondowało mu się znakomicie. Miał nadzieję, że rozmowa w cztery oczy nie sprawi im zawodu. Ale się bał, jak zareaguje na to, że jeździ na wózku. Bał się tego coraz bardziej, bo już dostrzegł ich w tłumie oczekujących. Vered pchała wózek. Roma ruszyła ku nim pierwsza. Kuba i Gosia pozostali na miejscu. Usłyszał znajome stukanie obcasami, które zapamiętał z dawnych czasów. Poczul zapach chanel no. 5. Stała przed nim jego była żona. Elegancka jak zwykle. Garsonka w kolorze marengo, perełki na szyi. „Prawie się nie zestarzała” - pomyślał. A jeśli nawet trochę, to był to ten piękny, szlachetny rodzaj starości. Za nią w jego kierunku szła dość wysoka dziewczyna, zupełnie nieprzypominająca skrzywionej jedenastoletki ze zdjęcia, które stało na honorowym miejscu w jego

gabinecie w Hajfie. Dziewczyna nosiła jakieś ciężkie buciory, jej czarny, powyciągany sweter nie miał nic wspólnego z elegancją babki. Gdyby życie potoczyło się inaczej, gdyby wszyscy mieszkali w Izraelu, ta dziewczyna też nosiłaby ciężkie buty. Ale nie byłyby to lakierowane martensy, lecz wojskowe kamasze.

Gdańsk, 11 listopada 2014 r.

SPIS POSTACI

Rodzina Herbstów i Koljaczków

Babcia Gizelka Koljaczkowa z d. Dziegielewska -

babcia Małgorzaty Herbst, Kaszubka; zmarła w 1982 roku.

Roma Herbst z d. Olczakówna - matka Jakuba zwanego Kubą, pierwsza żona Leona Herbst.

Leon Herbst - mąż Romy, wyemigrował z Polski pod koniec lat 60. XX wieku.

Jakub Herbst - syn Leona i Romy, były mąż Gosi.

Małgorzata Herbst z d. Koljaczkówna, zwana Gosią - była żona Jakuba Herbst, matka Agnieszki.

Agnieszka Herbst - córka Jakuba i Małgorzaty.

Honorata Badziągowska - nowa partnerka Jakuba.

Zdzisława Badziągowska - zwana Dzidką - matka Honoraty.

Rodzina Wichurów i Formelów

Marysia Wichura - siostra Henryka Wichury, matka chrzestna Grażyny, z zawodu położna, samarytanka, „święta kobieta”; zmarła w latach 80. XX wieku.

Anka Formela z d. Baumann - miłośniczka niebieskiego koloru i świętego spokoju.

Wiesiek Formela - mąż Anki, miłośnik dużych, dobrze wyposażonych przez naturę blondynek.

Grażyna Wichura - matka Anki, cyrkówka w stanie nieczynnym, namiętna palaczka i wróżka (niekoniecznie dobra).

Henryk Wichura, zwany starym Wichurą - ojciec Grażyny, właściciel pewnych butów zakupionych w stanie wojennym na kartki.

Rodzina Baumannów

Babcia Bela Baumann - matka Roberta, babka Anki Formeli oraz Jaśka i Mańki Baumannów, legendarna babcia Bela, właścicielka blond loków i pokręconej biografii; zmarła na początku lat 70. XX wieku.

Robert Baumann - syn Beli Baumann, ojciec Mańki, Jaśka i Anki, znany poeta.

Bożenka Baumann z d. Gumoś - druga żona Roberta Baumanna, poślubiona *last minute*, pielęgniarka i *self-made woman*.

Marianna Baumann, zwana Mańką - pierworodna córka Roberta, przyrodnia, niemitochondrialna siostra Anki Formeli, znana Ance głównie z telewizji, gdzie prowadzi jakiś program.

Jan Baumann, zwany Jaśkiem - syn Roberta, przyrodni brat Anki.

Juliusz - mąż Mańki Baumann.

Rodzina Diteliusów

Babcia Erika Dorothee Dibelius alias Dorota Dombrowska - żona zegarmistrza Gottlieba Dibeliusa zmarłego w roku 1943, matka Jana; zmarła na początku lat 70. XX wieku w szpitalu psychiatrycznym w Kocborowie.

Profesor Jan Dombrowski alias Johannes Dibelius

- syn Eriki i Gottlieba, ojciec Svena Dibeliusa, profesor, mieszkał w Gdańsku; zmarł w 2013 roku.

Sven Dibelius alias Szczepan Dombrowski, zwany Sinobrodym - starszy syn Jana, fizyk jądrowy, mieszka i pracuje w Oskarshamn w Szwecji.

Ralph i Norman Dibeliusowie - synowie Svena.

Jarosław Dombrowski - młodszy syn profesora, pacjent szpitala psychiatrycznego na Srebrzysku.

Budda - osobny egzemplarz, mieszka w solarium w pobliżu Hali Targowej w Gdańsku.